

Cole Courtney

Beautifully Broken 02

Jeśli odejdziesz



*Każdemu, kto wie, jak to jest być złamanym,
i każdemu, kto dzięki temu jest silniejszy.*

Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania.

Ernest Hemingway

Rozdział 1

Kabul, Afganistan

Czuję zapach krwi, więc to musi być sen.

Albo jawa.

Zresztą na jedno wychodzi.

Sen czy jawa, zapach wypełnia mi nozdrza i drażni wnętrze nosa, rdzawy, metaliczny i słodki. Wiem z doświadczenia, że nawet jeśli to tylko sen, zapach nie zniknie, kiedy się obudzę. Przeszywające bólem wspomnienie nocy, od którego nigdy się nie uwolnię.

Piekło, z którego nigdy nie ucieknę.

Kręcę się niespokojnie, usiłując się obudzić, gdy do mojej świadomości wdziera się jakiś dźwięk. Dźwięk, który nie jest częścią tego snu. Wiem o tym, bo ten koszmar śnił mi się już setki razy. Ten nowy dźwięk i towarzyszące mu uczucie do niego nie należą.

To chrzęst kości, którą właśnie miażdżę swoją ręką.

Błyskawicznie otwieram oczy i rozglądam się dookoła, w ułamku sekundy rejestrując kilka rzeczy.

Jestem w burdelu w Kabulu. Tym, którego jestem stałym bywalcem. Czarne włosy dziewczyny są owinięte wokół mojej lewej dłoni, ciasno zaciskam na nich palce. Prawą ręką ściskam jej bezwładną dłoń. Połamane palce układają się pod nienaturalnym kątem.

Natychmiast je uwalniam, a ona nie odrywa ode mnie wzroku. Drugą rękę przyciska do ust, żeby stłumić krzyk. Jej oczy wypełniają się łzami, które spływają po zmasakrowanym policzku. Krew barwi łyżę na czerwono, a ja zdaję sobie sprawę, że zapach krwi nie pochodził z mojego snu. To był zapach j e j krwi.

Boże.

Wszędzie jest pełno krwi. Płynie z nosa i oka, z całej poranionej połowy jej twarzy. Kapie na nagą oliwkową skórę i plami rozrzuconą na łóżku poźółkłą pościel. Gwałtownie nabieram tchu i instynktownie odsuwam się od niej. Jestem przerażony, czuję nagły ucisk w żołądku.

– Co, do kurwy...? – tylko tyle jestem w stanie wykrztusić.

Kiedy wykonuję ruch, ona osłania swoją rękę.

Tę, którą zламаłem.

Kropelki potu występują mi na czoło, a serce zaczyna walić jak szalone. Zrobiłem jej krzywdę. Zrobiłem jej krzywdę. Co jej, do cholery, zrobiłem? Mam atak paniki i cały się trzęsę, ale do głosu dochodzą lata treningu i szybko odzyskuję panowanie nad sobą.

– Przepraszam – mówię. Biorę się w garść i przysuwam do niej.

Wyciągam rękę, żeby sprawdzić, co jej jest. Dziewczyna cofa się przed moim dotykiem, w jej oczach maluje się strach. Kuli się, jakby w obawie, że zaraz spadnie na nią kolejny cios. Robi mi się niedobrze na myśl o tym, jakie przerażenie w niej wzbudzam.

A przede wszystkim na myśl o tym, że jej reakcja jest całkowicie uzasadniona.

Z trudem przełykam ślinę. W ustach czuję cierpki smak odrazy do samego siebie.

– Proszę – odzywam się ochryplym głosem, wyciągając dłoń. – Pozwól mi się obejrzeć. Już cię nie skrzywdzę.

Prostytutka, szczupła dziewczyna o imieniu Niki, cała drży, ale stara się opanować, kiedy dotykam jej kończyn. Gwałtownie nabiera tchu, kiedy jestem za blisko połamanej ręki, ale niechętnie pozwala mi się zbadać. Absurdalna sytuacja. Pieprzyłem ją na wszystkie możliwe

sposoby, a teraz wydaje się tak obca, jakby pochodziła z innej planety. To dlatego, że panicznie się boi.

Boi się mnie.

– Przepraszam cię – powtarzam, odwracając wzrok od jej nieruchomych, pokrytych plamami krwi ramion. – Nie będę już tu przychodził. To się stało, kiedy spałem. Nie wiedziałem, co robię. Nigdy więcej cię nie skrzywdzę, Niki. Przepraszam.

Jedno jej oko zdążyło już zupełnie zniknąć pod opuchlizną, ale drugie na te słowa szeroko się otwiera. Kurczowo łapie mnie zdrową ręką. Jej palce są lodowate i drżą.

– Nie – szepce. – Jeśli już nie wrócisz, pomyślą, że się nie starałam i mnie pobiją. Proszę. Nie odchodź, żołnierzu.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

– Przed chwilą j a cię pobiłem – mówię wolno. – Nie zrobiłem tego świadomie, ale to mnie nie usprawiedliwia.

Niki potrząsa głową. Krzywi się, bo gwałtowny ruch sprawia jej ból. Zalewa mnie poczucie winy. Jezu Chryste! Skrzywdziłem bezbronną kobietę. Jestem potworem.

– Spałeś – mówi Niki stanowczym tonem. – Kiedy śpisz, dręczą cię koszmary. To nie byłeś ty. To był twój demon.

– Mój demon? – pytam niepewnie, wpatrując się w jej zakrwawioną twarz.

Niki przytakuje.

– Ściga cię – mówi poważnie ze swoim ciężkim afgańskim akcentem. – Każdego ścigają inne demony, nikt nie jest od nich wolny. Twój właśnie cię dopadł.

Z trudem przełykam ślinę, usiłując się pozbyć pieprzonej guli, która ulokowała się w moim gardle.

– Przepraszam, Niki – powtarzam. – Może faktycznie dopadł mnie mój demon. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Patrzy na mnie z ciekawością. Cała jest obolała, ale posłusznie nie rusza się, kiedy okrywam jej ramiona prześcieradłem i szybko się ubieram.

Po chwili jestem za drzwiami i idę długim korytarzem. Nie zwracam uwagi na jęki, krzyki i miarowe poskrzypywania łóżek dochodzące z ciemnych i ciasnych pokoików. Docieram do sfatygowanego holu i skręcam w stronę biura, w którym urzęduje kierownik tego przybytku. Wiem o tym, bo to jemu płacę po każdej wizycie złożonej Niki.

Kiedy wchodzę, spogląda na mnie wyraźnie zaskoczony. Ale ja się nie waham. Rzucam na biurko całą gotówkę, którą mam w portfelu. Wszystkie te dziwnie wyglądające zagraniczne banknoty, będące równowartością setek amerykańskich dolarów.

– Dziewczyna świetnie się spisywała – mówię ściszym głosem. – Wracam do Stanów, ale będę za nią tęsknił. Należy jej się odpowiednie wynagrodzenie. Jeszcze jedna sprawa – potrzebuje lekarza. Jest ranna.

Mężczyzna podnosi na mnie wzrok, jego ciemne oczy błyszczą na widok grubych zwitków banknotów. Nie odzywając się, krótko kiwa głową, najwyraźniej nieprzejęty zakrwawioną dziewczyną na drugim końcu korytarza. Ciemne palce chciwie wyciągają się w stronę pieniędzy.

– Ona potrzebuje lekarza – powtarzam stanowczo. – Teraz.

Z impetem uderzam pięścią w stół, dokładnie w miejsce, gdzie leżą pieniądze.

Znów podnosi na mnie wzrok i bez słowa sięga po telefon. Mamrocze do słuchawki jakieś słowa, których nie rozumiem. Potem się rozłącza.

– Zrobione – mówi krótko, zaabsorbowany banknotami na biurku.

Bez słowa wychodzę na ciemne ulice Kabulu i wracam do bazy położonej za miastem.

Kiedy jestem już w swoim namiocie, odruchowo zaczynam składać rzeczy i umieszczać je w plecaku. Kiedy trafiam na swój telefon satelitarny, podnoszę go i wystukuję numer.

– Pan pułkownik? – upewniam się, kiedy odbiera. – Będzie pan musiał przysłać innego oficera wykonawczego. Ja stąd spadam.

Pułkownik nie zadaje żadnych pytań. Dobrze mnie zna i ufa moim decyzjom. Wie, że jeśli postanowiłem opuścić posterunek, muszę mieć ku temu dobry powód. I tak właśnie jest. Zawsze chciałem być żołnierzem. Tylko coś strasznego mogło mnie zmusić do zrezygnowania z armii.

Twój demon cię dopadł.

Nigdy w życiu się nie poddałem. Nigdy nie unikałem walki i nigdy nie stchórzyłem.

Nigdy. To nie mój styl. Ale uczestniczyłem w zbyt wielu walkach, aby nie wiedzieć, że kiedy ściga cię coś niepokonanego, możesz zrobić tylko jedno.

Wiać, gdzie pieprz rośnie.

Rozdział 2

Osiem miesięcy później, Chicago

MADISON

Muzyka w klubie jest tak głośna, że niemal fizycznie odczuwam mocne uderzenia rytmu wprawiające w rezonans moją klatkę piersiową. Co, do cholery, ludzie widzą w takich miejscach? Krztuszę się sztucznym dymem z fumatora, a potem boleśnie nadwerżam szyję, kiedy wśród setek stłoczonych na parkiecie spoconych osób usiłuję wypatrzeć moją przyjaciółkę Jacey.

Kiedy ostatni raz ją widziałam, właśnie kombinowała, gdzie by się zaszyć z tym swoim frajerskim chłopakiem.

– Widziałeś może moją przyjaciółkę? Tę blondynkę w obcisłym czerwonym topie? – wrzeszczę do nieznanego faceta, który od dziesięciu minut nie spuszcza ze mnie oczu, jak jakiś zboczeniec.

Posyła mi uśmiech piranii i przysuwa się w moją stronę.

– Nie – przekrzykuje hałas. – Ale do tego, o czym myślę, wcale jej nie potrzebujemy. Mało subtelne.

– Zapomnij – odpowiadam zimno, odwracając się do niego plecami, żeby jeszcze raz się rozejrzeć za Jacey w tłumie na parkiecie. Naprawdę chcę już wracać do domu.

W głowie mi się nie mieści, że dałam się namówić na wyjście na miasto z okazji jej urodzin. Miałam dziś wrzeczcie poznać jej brata, ale Jacey i jej chłopak rozplłynęli się w powietrzu ponad godzinę temu. Bolą mnie stopy, jestem wykończona, bo spędziłam w tym tygodniu sześćdziesiąt godzin w pracy, a na dodatek muszę coś zjeść, bo inaczej chyba wybiję komuś zęby.

Świadoma tego przeciskam się koło baru i zmierzam w kierunku wyjścia. Muszę się stąd wydostać. Co prawda przyjechałyśmy moim samochodem, ale Jacey może wrócić do domu z Peterem. Jej chłopak nie potrafi się utrzymać w żadnej pracy, ale przynajmniej potrafi prowadzić.

Sięgam po telefon.

„Wychodzę. Możesz się zabrać do domu z Peterem?”

Wysłałam wiadomość i wtedy przychodzi mi do głowy, że Jacey na pewno nie usłyszy dźwięku SMS-a. Kto wie, kiedy go zauważy? Z westchnieniem postanawiam, że muszę jej jeszcze poszukać. Przynajmniej przez chwilę. Nie byłoby w porządku tak po prostu ją tutaj zostawić.

– Gdybym chciała uprawiać z moim chłopakiem seks w miejscu publicznym, to gdzie bym to zrobiła? – zastanawiam się na głos, obchodząc klub dookoła. Jacey jest beznadziejnym przypadkiem, jeśli chodzi o numerki w miejscach publicznych. Ma w nosie, co ludzie sobie o niej pomyślą. Podziwiam to w niej, a jednocześnie mnie to irytuje.

Im dalej odchodzę od oświetlonego chodnika i zagłębiam się w mrok, tym bardziej wygląda to na miejsce, w którym Jacey i Peter oparci o jakąś ścianę mogliby się oddawać miłosnym igraszkom. Tyle że wygląda to również na miejsce, w którym można wpakować się w kłopoty. Nagle zdenerwowana, szybko rozglądam się wokół siebie.

Uliczka jest wąska i mokra. Mury pokrywa graffiti, a moje obcasy stukają po lśniącem asfalcie. Biorę głęboki wdech, rozkoszując się świeżym powietrzem, i z każdym krokiem

zagłębiam się w atramentową ciemność.

Dzięki Bogu, że nie jestem już w klubie, myślę, sięgam do torebki i ściskam puszkę gazu pieprzowego. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Nikogo tu nie ma. Przynajmniej tyle wiem, kiedy przyglądam się brudnemu budynkowi, pojemnikom, z których wylewają się śmieci, i ceniom, w których nie kryje się nic niebezpiecznego. Cóż, przynajmniej mam nadzieję, że jestem sama. Myśl o tym jednocześnie mnie uspokaja i frustruje.

– Jacey, gdzie ty, do cholery, jesteś? – mruczę pod nosem.

Kiedy już mam zamiar się poddać i wrócić do klubu, kątem oka rejestruję coś, co przykuwa moją uwagę. Zatrzymuję się.

Kilka kroków ode mnie o ścianę budynku opiera się jakiś facet. Częściowo schowany w cieniu, a częściowo widoczny. Normalnie nie przystanęłabym na taki widok, zwłaszcza sama w ciemnej uliczce. Ale coś w jego postawie – sama nie potrafię sobie uzmysłowić co – mnie intryguje.

Przyglądam mu się uważnie.

Opiera się o ścianę, a długie nogi nonszalancko skrzyżował przed sobą. Do diabła, ale jest wysoki! Ma szerokie bary, a potężna klatka piersiowa przechodzi w szczupłą talię.

Mimo chłodu mężczyzna nie ma na sobie kurtki, tylko obcisły podkoszulek i idealnie dopasowane dżinsy. Jest szczupły i muskularny, ma krótkie ciemne włosy, idealny profil i delikatny zarost na mocno zarysowanej szczęce. To wystarczy, żebym się totalnie nakręciła. Kręcą mnie twardziele.

A ten facet zdecydowanie jest twardy. Biję od niego siła i moc. Dochodzę do wniosku, że właśnie to mnie w nim zaintrygowało. Ten facet to uosobienie siły. Jest w nim jakaś niezłomność.

Kiedy mu się przyglądam, on zapala papierosa, zaciąga się i powoli wypuszcza dym, który ulatuje w nocne powietrze. Usta ma pełne i męskie, a w brodzie dołek. Normalnie trzymałabym się od niego z daleka – jest tak seksowny, że na sam jego widok ogarniają mnie grzeszne myśli, a jednocześnie ma w sobie moc. Taki facet może oznaczać tylko kłopoty.

Ale nie po to przyszedłam dziś do klubu, żeby teraz uciekać.

Przyszedłam tu, żeby się z kimś przespać. Żeby zapomnieć o tej swojej odpowiedzialności i na jedną noc pozbyć się wszystkich hamulców. Zachowywać się jak inne osoby w moim wieku. Jak ktoś, kim nie jestem.

Znowu uważnie mu się przyglądam.

Normalnie zwiewałabym, gdzie pieprz rośnie.

Ale dzisiaj... tylko dzisiaj... tego nie zrobię.

Dziś w nocy nie muszę być sobą. Mogę być, kimkolwiek zechcę, bo on nigdy więcej mnie nie zobaczy.

To tylko jedna noc.

Waham się, nie mogąc podjąć decyzji.

I nagle – zupełnie jakby moim stopom znudziło się to zwlekanie – robię krok naprzód. A potem jeszcze jeden.

GABRIEL

Rozpalony do czerwoności koniuszek papierosa rozprasza ciemność nocy, kiedy niespiesznie się zaciągam. Wciągam do płuc zapach miasta i nikotyne, potem wydecham toksyczne odpady. Wiem, że palenie jest zabójcze dla moich płuc, ale w tym momencie niespecjalnie mnie to obchodzi.

Z klubu dobiega odgłos basów, których wibracje czuję w dole kręgosłupa. Na parkiecie kłębią się kobiety. Podrygują w rytm muzyki, czekając na facetów takich jak ja. Facetów, którzy wezmą je do domu i zerzną.

To też nieszczególnie mnie obchodzi. Musiałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, wyrwać się z przesiąkniętego zapachem dymu i potu klaustrofobicznego wnętrza. Inaczej pewnie bym eksplodował.

Gdybym był zupełnie normalnym człowiekiem, czułbym się nieswojo, całkiem sam w ciemnej uliczce w Chicago. Ale nie jestem normalny, a całe to gówno, które widziałem w Afganistanie, skutecznie odebrało mi umiejętność odczuwania strachu.

Jednak z reakcjami innego rodzaju jest u mnie całkiem w porządku.

Przestępuję z nogi na nogę, poprawiam klejnoty i lekko sztywnego kutasa. Musiałbym nie być facetem, żeby się nie podniecić widokiem prawie nagich pijanych dziewczyn klejących się do każdego, kto chce im postawić drinka. I wcale nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia.

Przed wyjazdem za ocean nigdy się nie zadawałem z tego typu laskami. Ale po trzech latach na misji mój penis przestał słuchać głosu rozsądku. Robi to, na co ma ochotę.

Jeszcze raz poprawiam niewygodne džinsy w kroku i biorę kilka głębokich wdechów. Kutas zaczyna się uspokajać, a klaustrofobiczny lęk powoli znika. Dzięki Bogu. Jedną z wielu rzeczy, które przywoziłem do domu, jest klaustrofobia. Niestety, nie ten jej przewidywalny rodzaj, kiedy człowiek boi się ciasnych pomieszczeń. Moja klaustrofobia pojawia się znienacka, w najbardziej nieoczekiwanych momentach, na przykład gdy jestem w tłumie.

Ale pieprzyć to.

Wyrzucam papierosa i rozgniatam go obcasem. Wyciągam następnego i zapalam. To kolejne złe przyzwyczajenie, które przywoziłem ze sobą, razem z kilkoma tatuażami i skłonnością do budzenia się z jakichś popieprzonych koszmarów cały zlany zimnym potem.

– Wiesz, że to cię kiedyś zabije?

Natychmiast przełączam się na tryb najwyższej czujności. Głowa błyskawicznie się odwraca w poszukiwaniu wyłaniającego się z ciemności miękkiego głosu.

Kobieta robi kilka kroków w moją stronę, a ja nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłem jej wcześniej.

Cholera jasna!

Przecież jesteśmy jedynymi ludźmi na tej opustoszałej uliczce. Jak mogłem ją przeoczyć? Moje zmysły najwyraźniej się stępiły, odkąd wróciłem do Ameryki. Zwłaszcza że mam przed sobą wysoką, smukłą ślicznotkę, której trudno nie zauważyć w tłumie, a tym bardziej w samotnej uliczce.

Jasne włosy swobodnie opadają do połowy pleców, a szeroko otwarte oczy wpatrują się we mnie. W jej pełnych ustach dostrzegam lekkie napięcie, jakby nie była pewna, czy jest tu bezpieczna. Nie jest, szczególnie biorąc pod uwagę, jak wygląda.

– Nie wiesz, że samotne spacerowanie po ciemnych uliczkach Chicago są bardziej niebezpieczne niż papierosy?

Nie spuszczając z niej wzroku, podnoszę do ust papierosa i powoli się zaciągam.

Nie wydaje się ani trochę przestraszona. Wzrusza ramionami.

– Jedno i drugie wydaje mi się lepsze niż perspektywa bycia stratowaną na śmierć.

Z pogardą wskazuje drzwi klubu. Jeszcze raz uważnie się jej przyglądam. Ma na sobie typowe ciuchy na wyjście do klubu. Obcisłe różowe skórzane spodnie, równie obcisły kremowy top bez pleców i błyszczące szpilki. Trudno nie zauważyć, że pod pastelową bluzeczką nie ma biustonosza. Coś w tym wszystkim nie gra, dziewczyna jakby nie pasuje do tych wyzywających ciuchów.

Problem w tym, że wyzywające ciuchy świetnie pasują do niej, wszystko leży jak ulał. Mój penis znowu budzi się do życia, kiedy patrzę na kształtne biodra i zgrabny tyłeczek.

– W takim razie może się przyłączysz? – wyciągam w jej kierunku paczkę papierosów. Wygląda na zaskoczoną. Wreszcie śmieje się i kręci głową.

– Nie, dzięki. Wystarczy, że jestem sama w ciemnej uliczce. Nie warto jeszcze bardziej kusić losu.

Uśmiecham się szeroko i chowam papierosy do kieszeni.

– Już nie jesteś sama. Jesteś ze mną.

Uważnie mi się przygląda. Jej oczy są błękitne.

– Ale nie czuję się przez to bezpieczniejsza – mówi po chwili namysłu.

– I masz rację – odpowiadam z uśmiechem.

Dziwna sprawa, bo wcale nie wydaje się zaniepokojona. Podchodzi bliżej i swobodnie opiera się o brudną ścianę z cegieł. Nawet w przyćmionym żółtawym świetle ulicznej lampy wygląda idealnie.

– Pobrudzisz się – zauważam.

Podnosi wzrok i obdarza mnie niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych błękitnych oczu.

– Czasem lubię się trochę pobrudzić – odpowiada i uśmiecha się do mnie szelmowsko.

Czuję się, jakby ktoś bez ostrzeżenia zadał mi cios prosto w żołądek. Nie mogę złapać tchu. Jej prowokujący uśmiech na moment odbiera mi umiejętność logicznego myślenia. W starciu hormony przeciwko zdrowemu rozsądkowi zdecydowanie wygrywają te pierwsze.

Rzucam kolejnego papierosa na chodnik i rozgniatam obcasem. Nie wiem, co, do cholery, wyrabiam, ale w tym momencie nie ma to najmniejszego znaczenia. Ja jestem napalony, a ona przepiękna. Trudno o lepsze połączenie. Powietrze między nami aż iskrzy od seksualnego napięcia.

Patrzę na nią i przysuwam się trochę bliżej. Jest delikatna i cudownie pachnie.

– Jestem Gabriel.

– A ja Madison.

Przez cały czas ani na moment nie spuściła ze mnie wzroku. Zdecydowanie na mnie leci, choć nie mam pojęcia dlaczego. Jesteśmy od siebie tak różni, jak to tylko możliwe.

– Co tu robisz, Madison? – pytam. – Nie pasujesz do tego miejsca.

Nagle wydaje się zawstydzona.

– Przyjaciółka mnie wyciągnęła. Uważała, że dobrze mi zrobi wypad do dużego miasta. Ale tak naprawdę wolałabym być w domu. Jestem zmęczona, a te szpilki są strasznie niewygodne.

Uśmiecham się. Jej szpilki faktycznie wyglądają jak narzędzie tortur. Nigdy nie rozumiałem, czemu kobiety dobrowolnie się tak męczą.

– Więc nie jesteś stąd?

Potrząsa głową, a kiedy to robi, jej zapach mnie otula, wypierając wszystkie cierpkie miejskie wonie. Jej bliskość mnie oszałamia, kręci mi się w głowie. Próbuję nad sobą zapanować, żeby całkowicie nie oddać się w jej władanie.

– Nie. Mieszkam godzinę drogi stąd, w małym miasteczku nad jeziorem. Ale czuję się, jakbym była z innego świata. Nie mam w sobie wiele z miastowej dziewczyny. Już nie...

Szczerze mówiąc, wcale tego nie widać. Wygląda świetnie, tak jak dziewczyny z wielkiego miasta, no i ma w sobie tę jedyną w swoim rodzaju wielkomięjską pewność siebie.

Daje mi delikatnego kuksańca, jej szczupłe ramię trąca moje.

– A ty co tutaj robisz? – pyta. – Też nie bardzo tu pasujesz. Przynajmniej nie do tego

klubu.

Pytająco podnoszę jedną brew.

– Serio?

Klub The Underground to jedno z najmodniejszych miejsc na imprezowej mapie Chicago. Jednak Madison ma rację. Nie pasuję tu. Pasuję do humvee mknącego przez wzgórze Afganistanu. Tyle że to już przeszłość. Zamknięty rozdział.

Madison zauważa, że trafiła w czuły punkt, i jej policzki pokrywają się rumieńcem.

– Nie obrażaj się. Nie nosisz rurek i hipsterskich okularków. Wyglądasz raczej jak facet, który gra w futbol. No i spędza dużo czasu na dworze.

Spoglądam na nią i odpowiadam z uśmiechem:

– Nie obraziłem się. Dobrze kombinujesz. Jestem facetem, który dużo czasu spędza na dworze.

Jeśli mam być szczery, to najchętniej uzbrojony w naprawdę dużego gnata. Ale tego jej nie mówię.

Madison najwyraźniej ulżyło.

– Tak myślałam. W takim razie co robisz w samym środku miasta?

– A dlaczego uważasz, że tu nie mieszkam? Nie mogę spędzać czasu za miastem, ale mieszkać w centrum? Czy może jestem na to za mało cool? – znowu pytająco podnoszę brew.

Madison ponownie oblewa się rumieńcem.

– Przepraszam. Tak mi się wydawało. Gdzie mieszkasz?

Szeroko się uśmiecham.

– Tutaj. Pasuję jak kwiatek do kozucha, co?

Potrząsa głową i próbuje żartobliwie mnie uderzyć, ale chwytam ją za nadgarstek i przyciągam do siebie. To śmiały ruch, ale czuję, że może mi ująć na sucho. Madison nie zabiera ręki, co jest jednocześnie przyjemne i zaskakujące.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, zbliża się do mnie, czuję nacisk jest smukłego ciała. Wygląda, jakby czegoś oczekiwała i jednocześnie się tego bała, jest zarazem pewna siebie i nieśmiała. Kiedy czuję jej piersi przyciśnięte do mojej klatki piersiowej, trudno mi zebrać myśli, żeby się zastanowić nad tym, jak bardzo się różnimy i dlaczego ona to robi. Jej miękkość jest idealnym dopełnieniem mojej twardości. Tylko tyle jestem w stanie wymyślić.

– Odpowiadając na twoje pytanie, przyszedłem do klubu, bo moja siostrzyczka uznała, że powinienem wyjść do ludzi i kogoś poznać. Powiedziała, cytuję, że się starzeję i potrzeba mi jakiejś fajnej dupy.

Madison śmieje się niskim, przyjemnie wibrującym śmiechem.

– A tak jest? Potrzebujesz jakiejś fajnej dupy?

Wydaje się zaintrygowana. I chętna.

Wytrzymuję jej spojrzenie.

– Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Moje ręce ześlizgują się z jej pleców na pośladki. Biorę jej tyłek w dłonie i ściskam.

– A twoja bardzo mi się podoba – dodaję. Znowu jestem bezczelny, ale jej najwyraźniej się to podoba.

Prawie mruczy, przysuwając się do mnie jeszcze bliżej. Jej nos niemal dotyka mojego. Jej usta są tak blisko, że czuję ich ciepło.

Jej ręce zjeżdżają w dół i mocno chwytają mój tyłek.

– Twoja też niczego sobie...

Powietrze między nami jest ciężkie, naładowane elektrycznością. Nasze spojrzenia wczepiają się w siebie, oboje zastygamy w bezruchu, każde czeka, aż to drugie wykona jakiś

ruch.

Ta niepewność mnie zabija.

Biorę głęboki wdech.

Teraz ona bierze wdech.

Usta Madison delikatnie muskają moje. Jej oddech pachnie miętą. Na szczęście te tortury nie trwają długo, bo po chwili jej usta robią się bardziej namiętne.

Nareszcie.

Jej język wślizguje się do moich ust. Smakuje bosko, jak szklanka lodowatej wody pod koniec upalnego dnia na pustyni. Nasze języki się splatają, jej usta są natarczywe, jakby chciała mnie zjeść. Natychmiast robię się twardy jak skała, a ona to czuje.

Uśmiecha się.

– Chyba ci się spodobało... – mruczy.

– Skąd wiesz? – pytam z uśmiechem, przysuwając się do niej jeszcze bliżej.

Madison odwzajemnia uśmiech i znowu mnie całuje. Ten drugi pocałunek jest tak samo zachłanny. Wydaje się trochę zdesperowana i trochę bezbronna. A przede wszystkim – jest cholernie seksowna.

Jej dłonie znowu wędrują do góry i splatają się na mojej szyi. Kiedy to robi, głaszczę jej talię, czując pod palcami gładką skórę pleców.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że bołą mnie stopy? Chciałabym zdjąć buty.

Spoglądam na nią.

– To zdejmij.

– Chciałabym je zdjąć u ciebie – uściśla.

Gwałtownie nabieram powietrza i jeszcze ciaśniej obejmuję jej talię.

– Nie ma sprawy.

Takich rzeczy nie trzeba mi powtarzać. Biorę ją za rękę i praktycznie ciągnę w stronę ulicy, gdzie przywołuję taksówkę.

Po chwili mkniemy w kierunku mojego mieszkania ciasno przytuleni na tylnym siedzeniu taksówki.

Madison całuje moją szyję, delikatnie kąsa moje ucho, a jej ręce wędrują po mojej klatce piersiowej.

– Daleko mieszkasz?

– Nie bardzo – udaje mi się wyartykułować. To cud, że w ogóle coś zdołałem z siebie wydusić, biorąc pod uwagę, że jej dłoń dotarła już do mojego pulsującego krocza. Podnoszę lekko biodra, żeby mogła wziąć mnie całego do ręki.

Madison liże moją szyję.

– Fajnie smakujesz – szepce.

Już nie mogę wytrzymać. Chciałbym, żeby miała na sobie spódnicę, niestety tak nie jest. Jedyne, co mogę zrobić, to włożyć rękę między jej nogi i zataczać koła przyciśniętym do jej krocza kciukiem. Madison przyciska się do mnie, pojękując cicho.

Wkładam rękę do jej majteczek. Są całkiem przemoczone.

Mój palec wślizguje się do środka. Potem drugi.

Teraz wyjmuję oba i powoli wkładam je sobie do ust.

Jej oczy się rozszerzają, a palce zaciskają na moim członku.

– Jesteś pijana? – pytam. Nie wiem, dlaczego to robię, ale wydaje mi się, że powinienem się upewnić. Proszę, powiedz, że nie, błagam ją w duchu, gdy tymczasem jej palce zataczają małe kółeczka wokół mojego sutka.

– Nie – słyszę.

Dzięki Bogu! Podnoszę ją i pomagam usiąść na mnie okrakiem. Taka bliskość daje rozkosz i jednocześnie frustruje.

Kiedy znowu wkładam rękę pod jej ubranie, sięga na dół i zaczyna pieścić mojego pulsującego penisa.

– Jest ogromny. – Nie może złapać oddechu, a w jej oczach maluje się zarówno obawa, jak i podziw.

– Kiedy będziemy u mnie, mam zamiar porządnie cię nim wypieprzyć – szepczę jej do ucha. – I coś mi mówi, że ci się to bardzo spodoba...

Lekko kąsa moją dolną wargę, jej biodra ściśle przylegają do moich.

– Pewności siebie to ci nie brakuje, co?

Uśmiecham się przy jej szyi i mówię:

– Raczej nie. Wiesz co, umówmy się tak. Jeśli po godzinie w łóżku nie dojdiesz, wykrzykując moje imię, to jutro funduję śniadanie.

Na chwilę przerywa i uważnie mi się przygląda.

– Tak czy owak, dobrze na tym wyjdę.

– Owszem – tylko tyle jestem w stanie powiedzieć, zanim mój język z powrotem nurkuje w jej ustach.

Pomiędzy zdyszczanymi pocałunkami Madison zadaje mi pytanie:

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś szalony?

– Tego nie możesz wiedzieć – odpowiadam, podciągając jej bluzkę i biorąc do ust nagi sutek. Madison wygina się i próbuje złapać oddech. Na moment przestaję i podnoszę na nią wzrok. – Ale cię nie skrzywdzę. Coś mi mówi, że potrzebujesz tego tak samo jak ja. Mam rację?

Madison wreszcie łapie oddech.

– Tak – potwierdza.

Nie drażę tematu. Po prostu ciasno ją obejmuję ramionami i ponownie całuję.

Wdycham jej zapach, próbuję napęlić nim całe płuca. Nagle słyszę niepokojący pisk opon. Zanim jestem w stanie się zorientować, co się dzieje, włoski na moim karku instynktownie się unoszą. Błyskawicznie spycham Madison na podłogę taksówki i osłaniam ją własnym ciałem.

Uderzenie jest niespodziewanie mocne.

Rozlega się przeszywający dźwięk miażdżonego metalu i znajdujące się obok mnie drzwi zostają wgniecione do środka. Taksówka wiruje w poprzek wąskiej uliczki, aż wreszcie z impetem uderza w ścianę pobliskiego budynku. Przez chwilę się kołysze, po czym zastyga w bezruchu.

Siedzimy oszołomieni, próbując zrozumieć, co się właśnie stało. Spod maski samochodu zaczyna się wydobywać dym i para. Taksówkarz niezgrabnie wysuwa się zza kierownicy i otwiera drzwi od strony Madison.

– Szybko, wysiadajcie – mówi z indyjskim akcentem. – Nie ma czasu do stracenia!

Lekko popycham Madison, a gdy już jesteśmy na zewnątrz, odciągam ją od zniszczonego auta. Z silnika wydobywa się syczący odgłos, a potem dziwny trzask. Wiem, co to oznacza. Poznają ostry zapach benzyny.

– Szybko! – ponaglę Madison.

Jej obcasy głośno stukają po asfalcie, kiedy pospiesznie idziemy w kierunku chodnika. Tam odwracamy się i w tym samym momencie taksówka staje w płomieniach.

– O mój Boże! – szepcze Madison, zakrywając twarz przed falami gorąca, które w nas uderzają.

Widok pomarańczowych płomieni liżących czerń nocy i gorący podmuch na policzkach budzą moje wspomnienia.

Wnętrznosci kurczą mi się, jakby zacisnęła się na nich żelazna obręcz. Zaczyna mi być duszno, nie mogę zrobić pełnego wdechu.

– Muszę stąd spadać – mamroczę. Pot spływa mi po skroniach. Unoszę rękę, żeby go otrzeć.

Madison podnosi na mnie wzrok, w jej oczach widzę niepokój.

– Wszystko w porządku? – pyta, drżącymi palcami obejmując moje ramię. – Nie możemy tak po prostu sobie iść. Policjanci pewnie będą chcieli z nami porozmawiać.

Wskazuje na gromadzący się tłum, przy którym już się zatrzymało kilka radiowozów. Wśród ludzi kręcą się umundurowani policjanci, paru już nawet zmierza w naszą stronę. Gorąco buchające od ognia i rozpalający mnie wewnętrzny żar sprawiają, że zaczynam tracić nad sobą kontrolę.

– Muszę stąd spadać – powtarzam.

Uścisk jej palców zaczyna mnie uwierać, tak jak wszystko inne: koszula, pasek, buty. Czuję się osaczony i boję się, że lada chwila eksploduję. Wyrrywam ramię z jej uścisku i po prostu odchodzę.

Ostatnią rzeczą, jaką rejestruje mój mózg, jest zaskoczenie na oświetlonej pomarańczową poświatą twarzy Madison. Potem wszystko tonie w mroku.

Mój demon mnie dopadł.

Rozdział 3

MADISON

Przez chwilę zastanawiam się, czy to szok spowodowany wypadkiem tak namieszał mi w głowie, czy może jakimś cudem wpadłam do króliczej nory.

Stojący przede mną facet całkowicie się rozkleił. W ciągu zaledwie trzydziestu sekund z pewnego siebie, seksownego do bólu twardziela zmienił się w rozhisteryzowanego słabeusza.

Nie wiem, co mam z nim zrobić.

Kładę mu rękę na ramieniu, ale on ją strząsa. Wodzi dookoła oszalałym wzrokiem, jakby desperacko szukał drogi ucieczki.

– Muszę się stąd wydostać – mamrocze po raz trzeci.

Nagle zaczyna iść przed siebie, a ja znowu chwytam go za ramię. Nie mogę pozwolić mu odejść, kiedy jest w takim stanie. Nie znam go, ale czuję się za niego odpowiedzialna.

– Poczekaj – mówię. – Podamy policji swoje nazwiska i możemy iść. Masz przy sobie jakiś dokument tożsamości?

Sięga do tylnej kieszeni spodni, podaje mi portfel, a potem siada na krawężniku, opuszcza głowę i chowa ją w dłoniach, jakby chciał się od tego wszystkiego odciąć.

Przyglądam mu się jeszcze chwilę, po czym podchodzę do stojącego w pobliżu policjanta, żeby podać mu nasze dane. Gliniarz pyta mnie o numer kontaktowy i patrzy na Gabriela.

– Wszystko z nim w porządku? Może wezwać karetkę? – pyta.

– Nic mu nie jest – mówię, choć tak naprawdę nie mam pojęcia. – Po prostu za dużo wypił. Wracaliśmy taksówką z The Underground.

– Dobrze zrobiliście – chwali mnie policjant. – Nie należy siadać za kierownicą po alkoholu. Lepiej wezwać taksówkę.

– Chyba że taksówka wybuchła – mruczę, chowając prawo jazdy do torebki.

– Taaa, racja – odpowiada gliniarz z krzywym uśmiechem. – Dobrze chociaż, że nikt nie jest ranny.

Wracam do Gabriela. Ma zamknięte oczy, ale stopą nerwowo uderza o chodnik.

– Uderzyłeś się w głowę w czasie wypadku? – pytam, przykucając przy nim.

Podnosi na mnie wzrok.

– Nie wiem. Nie sędzę. Muszę iść do domu – odpowiada mechanicznym głosem, który w niczym nie przypomina seksownie chrapliwego barytonu, jakim się do mnie wcześniej zwracał.

Nie mogę go tutaj zostawić, więc zadaję kolejne pytanie:

– Gdzie mieszkasz?

Patrzy na mnie nieobecny wzrokiem.

Przypominam sobie, że wciąż mam jego portfel. Otwieram go i patrzę na prawo jazdy. Mieszka niedaleko, właściwie możemy iść tam na piechotę. I dzięki Bogu! Nie zamierzam w najbliższym czasie korzystać z taksówek.

Wyciągam rękę i ujmuję Gabriela pod ramię.

– Chodź – mówię. – Odprowadzę cię do domu.

Potulnie pozwala się prowadzić. Nagle przystaje i mamrocze:

– Nie mogę oddychać.

– Wszystko będzie dobrze – uspakajam go.

Ruszamy dalej i po pokonaniu kilkudziesięciu metrów Gabriel zaczyna coś bełkotać. Nie rozumiem go, a kiedy proszę, żeby powtórzył, tylko na mnie patrzy.

To mnie przeraża. Czemu, do diabła, nie powiedziałam temu gliniarzowi, żeby się nim zajął?

– Czy jest ktoś, kto mógłby się tobą zająć? – pytam z nadzieją, że poda mi jakieś nazwisko. Ale on znowu tylko na mnie patrzy, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.

Jego oczy są puste. Tak jakby wcale go tu nie było.

Z trudem przelatykam ślinę.

Na szczęście wkrótce docieramy pod jego dom. Portier poznaje Gabriela i zwraca się do niego po imieniu.

– Nie jest sobą – wyjaśniam enigmatycznie. – Zaprowadzę go do mieszkania. Pod którym numerem mieszka?

Portier jest tak uprzejmy, że nam towarzyszy i nawet otwiera drzwi swoim kluczem.

– Dziękuję panu – mówię i wprowadzam Gabriela do środka.

– Jeśli mógłbym w czymś pomóc, proszę dać mi znać – odpowiada portier.

Zanim odchodzi, zerka niepewnie na Gabriela, zupełnie jakby pierwszy raz widział go w takim stanie.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie wezwać pogotowia. Może jednak Gabriel doznał urazu głowy podczas wypadku. Ale on już rusza w kierunku sypialni – przez otwarte drzwi widzę porządnie zasłane łóżko.

Idę za nim i prawie na niego wpadam, kiedy gwałtownie przystaje i z całej siły wali pięścią w ścianę. Uderzenie jest tak mocne, że przez chwilę trzęsie się cały korytarz.

Gdy Gabriel powoli odwraca się w moją stronę, ogarnia mnie irracjonalny lęk, bo spodziewam się, że zobaczę kogoś innego. Kogoś przerażającego.

Mojego ojca.

Przez głowę przelatują mi wspomnienia dawnych czasów. Pięści, gniew, kłótnie, strach.

Ale przecież Gabriel nie jest moim ojcem, więc biorę głęboki oddech, by uspokoić rozszalałe serce. Z trudem przelatykam ślinę, kiedy Gabriel kieruje na mnie spojrzenie.

– Nienawidzę tego – mówi.

Policzki mu płoną, oczy są lekko zamglone, a dłoń zaciśnięta w pięść. Na ten widok robię krok do tyłu, bo wiem, co można zrobić z taką pięścią.

– Czego nienawidzisz? – pytam łagodnie.

– Nienawidzę, kiedy mnie kontroluje.

– Kto cię kontroluje?

Gabriel nie odpowiada. Wchodzi do sypialni i pada na łóżko.

Jest spokojny, wyciszony, jakby przed chwilą to nie on wybił pięścią dziurę w ścianie.

Co, do cholery, jest z tym facetem nie tak?

Pochylam się nad nim i pytam:

– Czy boli cię głowa?

Kiedy zaprzecza, przyglądam się jego oczom, bo kiedyś słyszałam, że objawem wstrząsu mózgu są źrenice różnej wielkości. Ale obie jego źrenice mają taką samą wielkość. Nie dostrzegam też żadnych guzów, zadrapań czy siniaków.

– Zdejmijmy koszulkę i dżinsy – mówię. – A potem będę się zbierać.

Posłusznie wstaje i rozpina spodnie, pozwalając im opaść na podłogę. Kiedy znów siada, zdejmuję mu przez głowę koszulkę, a potem odsuwam kołdrę.

Natychmiast się kładzie i zamyka oczy.

Kiedy go przykrywam, nie mogę się powstrzymać, żeby nie zerknąć na jego idealnie wyrzeźbione ciało. Na bicepsie dostrzegam tatuaż, trupa czaszkę w berecie nad dwoma skrzyżowanymi mieczami. Pod nią i nad nią wiją się litery: *Śmierć przed hańbą*.

Czyżby służył w piechocie morskiej? Chyba nie, przecież nie nosi charakterystycznej fryzury marines.

Wzdycham. Dlaczego to nie wyszło? Zdecydowałam się na jednorazową przygodę, a ten facet wydawał się idealnym kandydatem.

Dokładnie w tym momencie Gabriel odrzuca kołdrę i zaczyna coś mamrotać.

Najwyraźniej jest szalony, bo przecież mówił, że ktoś go kontroluje. Takie już moje szczęście. Ilekroć spotkam gorącego faceta, okazuje się, że słyszy głosy czy coś w ten deseń.

Podnoszę kołdrę, okrywam go i postanawiam, że jeszcze chwilę tu pobędę, aby zobaczyć, czy mu się nie pogarsza.

Nie czułabym się dobrze, gdybym go teraz zostawiła. Ale jeśli się obudzi i będzie agresywny, od razu wezmę nogi za pas.

Chce mi się siusiu, więc szukam łazienki. Jest zaskakująco czysta i urządzona w różnych odcieniach szarości, nawet kafelki na podłodze są szare. Nie widzę śladu kobiecej obecności – najwyraźniej Gabriel nie ma dziewczyny. A już na pewno żony. Dobrze wiedzieć, że nie jest świnią, jak niektórzy żonaci mężczyźni szlajający się po klubach w poszukiwaniu laski do wyrwania.

Otwieram szafkę. Patyczki do uszu, żyletki, krem do golenia i opakowanie środków nasennych z jego nazwiskiem. Nic, co by wskazywało na to, że jest szalony. Żadnych psychotropów na receptę czy czegoś w tym stylu.

Wracam przez jadalnię. Tu też wszystko jest schludne i męskie. Przy jednej ze ścian stoi wysoka mahoniowa szafka, tak płytka, że niewiele może się w niej zmieścić. Otwieram ją i gwałtownie nabieram powietrza na widok kolekcji broni.

Cholera jasna! Czy ten facet spodziewa się wybuchu trzeciej wojny światowej? No bo kto trzyma w domu prawdziwy arsenał? Tylko szaleniec, odpowiadam sobie w myślach, zamykając szafkę. Odwracam się i mój wzrok pada na dokument znajdujący się na szczycie sterty papierów leżących na granitowej ladzie kuchennej.

To wydany kilka lat temu dyplom ukończenia kursu rangera.

Więc Gabriel jest – a przynajmniej był – rangerem. Stąd to wspaniale wyrzeźbione ciało. I tatuaż. I broń. Co za ulga – jednak nie znajduję się w mieszkaniu psychopaty!

Chyba że go wywalili z powodu szaleństwa, uświadamiam sobie i znów zaczynam się czuć nieswojo.

Szybkim krokiem wracam do sypialni. Gabriel smacznie śpi, przestał mamrotać. Wydaje się, że już wszystko z nim dobrze.

Przynajmniej na tyle, że mogę go zostawić bez poczucia winy.

Opuszczam mieszkanie i schodzę na dół. Kiedy portier macha mi na pożegnanie, mówię: – Gabriel nie czuje się najlepiej. Myślę, że to nic poważnego, ale dobrze by było, gdyby ktoś do niego później wpadł. Jeśli ma pan telefon do jakiejś bliskiej mu osoby, proszę zadzwonić.

Portier obiecuje, że wszystkim się zajmie.

Dzisiejsza noc dała mi nieźle w kość, ale teraz jest już po wszystkim. Muszę wrócić do klubu, wsiąść do samochodu i zostawić całe to szaleństwo za sobą. Za kilka minut ten zwariowany, choć gorący facet będzie tylko niewyraźnym wspomnieniem.

GABRIEL

Budzę się zlany zimnym potem.

Nie wiem, gdzie jestem.

Nie zdarza się to po raz pierwszy, więc zmuszam się, żeby oddychać powoli i równo. Muszę się zorientować, gdzie jestem.

Rozglądam się i widzę szare ściany, sufit i znajomy wentylator, którego łopatki wyglądają jak wielkie liście wikliny.

Jestem w swoim mieszkaniu, we własnym łóżku. Rzut oka na zegarek i już wiem, że od czasu, gdy byłem przytomny, minęły cztery godziny.

Problem w tym, że nie mam pojęcia, jak się tu dostałem.

Ręce mi się trzęsą, kiedy sięgam po stojącą na nocnym stoliku szklanę wody. Upijam łyk i próbuję zmusić plamy czerwieni i czerni, żeby opuściły moją głowę, choć wiem, że wcale im się do tego nie spieszy.

Ciemność i krew prawdopodobnie nigdy nie dadzą mi spokoju.

Osuwam się na poduszkę, po czym gwałtownie się podrywam, bo przypominam sobie Madison.

Piękną dziewczynę z klubu.

Jechaliśmy do mojego mieszkania, kiedy zdarzył się wypadek. Mnie nic nie boli, więc najwyraźniej nie zostałem ranny.

Ale nie mam pojęcia, co się stało z Madison. Zostawiłem ją koło płonącego wraku naszej taksówki. Wciąż mam przed oczami pełen niedowierzania wyraz jej twarzy, kiedy zrozumiała, że odchodzę.

Była cholernie atrakcyjna. I cholernie gorąca. Ale nie powinna się zająć z takim facetem jak ja. Bo chociaż mogę się wydawać normalny, daleko mi do tego.

Wracam myślami do pytania, które Madison zadała mi w taksówce.

„Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś szalony?”

Nie jestem szalony... nie w klinicznym znaczeniu tego słowa. Lekarze wojskowi nazywają moją przypadłość zespołem stresu pourazowego. Ja mam na to inne określenie: jestem po prostu popieprzony.

Rozdział 4

MADISON

Z trudem otwieram zapuchnięte oczy, nie do końca pewna, co mnie obudziło z głębokiego snu.

Fale jeziora rozbijają się o brzeg, ale to nie to. Do tego dźwięku przywykłam, bo słyszę go co noc. Krople deszczu uderzają w szyby okien w mojej sypialni, ale to też nie to. Kiedy gapię się w sufit, słyszę brzęczenie telefonu wibrującego na nocnym stoliku. Najwyraźniej dostałam SMS-a.

Przecieram oczy, zerkam na zegarek (który z pewnością musi źle chodzić, bo niemożliwe, żeby było tak późno) i sięgam po natrętny telefon.

„Gdzie jesteś? Gdzie zniknęłaś wczoraj w nocy?”

Wpatruję się w te słowa i ogarnia mnie poczucie winy.

Jacey. Przyjaciółka, którą wczoraj zostawiłam w The Underground i która – tak się złożyło – pracuje u mnie. To najlepsza kelnerka, jaką mam, i najlepsza przyjaciółka, jaką mam, głównie dlatego, że nie mam wielu przyjaciół.

Wczoraj najpierw nie udało mi się jej znaleźć, a potem kompletnie o niej zapomniałam, bo coś innego zaprzętnęło moją uwagę. To „coś innego” właśnie wróciło we wspomnieniach, przed oczami stanęła mi twarz i muskularne ciało Gabriela. Wyrzucam go z myśli i wracam do telefonu.

„Jestem beznadziejną przyjaciółką. Przepraszam” – odpisuję.

„Gdzie byłaś???”

Najwyraźniej Jacey nie ma zamiaru łatwo dać za wygraną.

„Pamiętasz, jak powiedziałaś, że powinnam się z kimś przespać? Prawie mi się udało. W końcu wróciłam sama do domu. A ty wróciłaś z Peterem? Zadzwońiłabym, ale wiedziałam, że nie usłyszysz telefonu”.

Jacey odpisuje prawie natychmiast:

„Zdecydowanie masz za co przeproszać. Martwiłam się. A czemu nie wyszło??? Każdy facet stanąłby na głowie, żeby cię zabrać do domu”.

Jacey wcale się nie martwiła. Jestem tego pewna. Prawdopodobnie nawet się nie zorientowała, że mnie nie ma, dopóki nie zaczęła się zbierać do domu.

„Długa historia” – odpisuję.

Po sekundzie odpowiada:

„Ok. Mój brat nie przyszedł, ale wybiera się dziś do The Hill, żeby mi wręczyć prezent urodzinowy. Może się wreszcie poznać”.

Uśmiecham się w duchu, bo na śmierć zapomniałam o jej urodzinach. Chyba naprawdę jestem beznadziejną przyjaciółką. Wysyłam kolejny SMS:

„Wiem, że nie odpuścisz, dopóki go wreszcie nie poznam. Przyniosę ci urodzinową babeczkę”.

Chwila moment i już jest odpowiedź:

„Moja dieta ci nie dziękuję. Ale ja – tak!”

Rzucam telefon na kołdrę i jeszcze na chwilę przytulam twarz do poduszki. Głowa nie boli mnie z przepicia tylko z niewyspania. Położyłam się o wpół do piątej, a to do mnie zupełnie niepodobne. Jeszcze raz zerkam na zegarek. 9.00. Normalnie o tej porze byłabym już w The Hill, swojej restauracji. Ale czuję się fatalnie. Jeśli się nie podratuję ogromną ilością kofeiny, cały

dzień będę nie do życia.

Odrzucam koldrę, siadam na łóżku i rzucam okiem na ściany pokryte starymi plakatami i artykułami wyciętymi ze szkolnych gazetek. Dom, w którym spędziłam dzieciństwo, odziedziczyłam kilka lat temu. W najbliższym czasie muszę wziąć się w garść i zrobić porządek z tymi starociami.

Ale dzisiaj nie mam zamiaru zaprzętać tym sobie głowy. Dziś po prostu potrzebuję kawy.

Wlokę się do kuchni, gdzie nastawiam ekspres i wrzucam do mikrofalówki mrożone burrito. Moje nawyki żywieniowe są beznadziejne, co zakrawa na ironię, jeśli wziąć pod uwagę, że jestem właścicielką restauracji. Którą, nawiasem mówiąc, też odziedziczyłam.

Po dwóch filiżankach kawy z mnóstwem śmietanki i cukru wreszcie czuję się jak człowiek. Biorę szybki prysznic, wkładam rybaczki, koszulkę polo i sweter i wychodzę.

Zapinam sweter, przyciskając guzik opuszczający dach w moim kabrioletcie, jedynej luksusowej rzeczy, jaką posiadam. Uwielbiam, gdy wiatr rozwiewa mi włosy podczas jazdy, więc korzystam z tego, że wiosenny deszcz na chwilę ustał i mogę jechać z opuszczonym dachem.

Wyjeżdżam na wąską drogę wijącą się wzdłuż jeziora Michigan. To przyjemna, mało uczęszczana droga i kiedyś – zanim zabiła moich rodziców – kochałam nią jeździć.

Światło słońca odbija się od zamglonej tafli jeziora i pada prosto na szybę mojego samochodu, więc mrużę oczy, sięgając w stronę radia. Nie ma to jak kawa i głośna muzyka na zwalczenie porannej senności! Przyciskam guzik, żeby zmienić stację i podnoszę wzrok na oślepiające słońce.

Mrugam, ale zanim moje oczy odzyskują ostrość widzenia, zdaję sobie sprawę, że z o wiele za dużą prędkością zbliżam się do ostrego zakrętu.

Szarpię za kierownicę. Gorąca kawa rozlewa mi się na kolana, kiedy auto gwałtownie skręca i zjeżdża z drogi. Wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Samochód przechyla się na bok i zjeżdża do rowu, po czym, ustawiony pod nienaturalnym kątem, wpada w poślizg i pędzi w dół w stronę plaży.

Kabriolet ślizga się po błocie, a mokra trawa głośno uderza o podwozie, gdy w zatrważającym tempie zbliża się do mnie znajome wzgórze.

Przez moment obawiam się, że samochód będzie dachować, ale na szczęście tak się nie dzieje. Zatrzymuje się gwałtownie, z kołami do połowy zakopanymi w wilgotnym piasku. Jestem całkowicie wytrącona z równowagi. Usiłuję zaczerpnąć powietrza, ale nadal siedzę bez tchu, w całkowitym szoku.

Co, do diabła, właśnie się zdarzyło? Czy naprawdę w ciągu ostatnich dwunastu godzin miałam dwa wypadki samochodowe?

Ręce mi się trzęsą, kiedy rozglądam się dookoła. Jestem na samym dole zbocza opadającego od strony drogi na plażę, wokół mam kamienie, trawę i piasek. Jaka ja głupia! Przecież jechałam tą drogą tysiące razy. To nie powinno się zdarzyć.

Na szczęście wszystko jest w porządku. Nic mi się nie stało. Nie przydarzyło mi się to, co moim rodzicom. Nie zginęłam. Nie ma stłuczonego szkła ani krwi.

Otwieram drzwi i próbuję wysiąść, ale natychmiast zapadam się w błoto sięgające do połowy łydki. Muszę się schylić, żeby uwolnić stopę. But od Jimmy'ego Choo nadaje się tylko do wyrzucenia. Buty to moja słabość, a ten – prawie nowy – jest całkowicie zniszczony.

Otoczona przez błoto nie mogę wyjść, żeby sprawdzić, co z samochodem, ale z tego, co widzę, jedno koło jest wygięte w stronę podwozia. Nie mam pojęcia, czy w tej sytuacji zdołam ruszyć.

Naciskam sprzęgło, próbując tyłem wjechać na zbocze, ale wygięte koło ani drgnie.

Utknęłam.

Bezradnie opieram głowę o kierownicę i sięgam po komórkę.

Po dwudziestu minutach przybywa ekipa ratunkowa w postaci mojej siostry. Spieszy mi na pomoc, niezgrabnie schodząc po śliskim zboczu.

– Mila, wracaj na górę! Ze mną wszystko w porządku! – wołam, wychylając się przez okno. – Jeszcze się przewrócisz i coś sobie złamiesz, a przecież jesteś w ciąży!

Obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem i zatrzymuje się na brzegu wielkiej błotnistej kałuży.

– Teraz ty zaczynasz! – jęczy. – Wystarczy mi, że Pax nie pozwala mi kiwnąć palcem. Ty powinnaś mieć więcej oleju w głowie. Jestem w ciąży, ale to nie znaczy, że jestem niepełnosprawna.

Zdejmuję buty, chwytam torebkę i bardzo ostrożnie wychodzę z auta, ale i tak natychmiast grzęznę po kostki w błocie.

– Twój mąż po prostu troszczy się o ciebie – przypominam siostrze, brnąc w jej stronę przez błotnistą breję.

Mila roztacza wokół siebie tę magiczną poświatę, która jest dana tylko niewielu kobietom spodziewającym się dziecka. Cięża naprawdę jej służy. Zawsze była piękna, ale teraz dosłownie promienieje. Jej długie ciemne włosy są gęste i lśniące, policzki uroczo zaróżowione, a skóra – nieskazitelna.

– Nie wierzę, że tak dobrze wyglądasz! – marudzę, przyglądając się jej ciążowemu brzuskowi. – Prawie nie przytyłaś.

Wyciąga rękę, żeby mi pomóc pokonać kamienie, i wybucha dźwięcznym śmiechem.

– Chciałabyś, żebym wyglądała jak jakaś paskuda?

– Może i tak – droczę się z nią.

Wdrapujemy się na szczyt wzgórza, gdzie czeka na nas samochód Mili.

– To niesprawiedliwe, że nawet w ciąży jesteś ode mnie ładniejsza. Spróbuj przytyć choć kilka kilogramów.

Znowu się śmieje i wywraca oczami, gdy pakujemy się do samochodu.

– Wariatka z ciebie, Mad! Przecież to ty zostałam modelką. Jedyne, którą ja mam, a ty nie, to duże cycki. Ale w życiu nie można mieć wszystkiego!

– Już nie jestem modelką – odpowiadam, patrząc na swoje nogi, prawie do kolan pokryte brązową mazią, która teraz kapie na podłogę. – Przykro mi. Będziesz musiała oddać samochód do czyszczenia. Oddam ci pieniądze.

– Nie wygłupiaj się – zbywa mnie i dodaje poważnie: – Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Ale jak, u licha, do tego doszło, Maddy? Przecież wiesz, jak niebezpieczna jest ta droga.

Czuję się winna, bo wyczuwam w jej głosie napięcie. Ze wszystkich możliwych miejsc na ziemi musiała przyjechać właśnie tutaj, na ten zakręt.

– Przepraszam, Mi. Nie chciałam, żebyś się martwiła.

Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem.

– Wiem. Ale naprawdę musisz być ostrożniejsza. Prawie dostałam ataku serca.

Nie ona jedna.

Opieram głowę o zagłówek. Nadal nie otrząsnęłam się po szaleńczym zjeździe w dół zbocza. Nagły skok adrenaliny nie podziałał na mnie dobrze. Serce mi wali, a ręce i nogi drżą. Patrę przez okno na jezdnię. Samochód jest tak wysoki, że wydaje się bardzo odległa.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że Pax cię namówił na to auto – mówię ze śmiechem, żeby rozluźnić atmosferę. – Jest zupełnie nie w twoim stylu.

Mila wywraca oczami.

– Wiem. Ale kiedy tylko się dowiedział, że jestem w ciąży, poszedł do salonu i kupił najbezpieczniejszy samochód, jaki znalazł. Praktycznie jest kuloodporny! Czasem myślę, że to zamaskowany czołg.

– Ze wszystkim sobie radzisz o wiele lepiej niż ja – zauważam. – Mnie by wkurzało, gdyby ktoś tak mnie kontrolował.

Mila potrząsa głową.

– To nie tak, że jestem kontrolowana. Kiedy masz męża, czasem trzeba iść na kompromis. Tym razem naprawdę nie miałam z tym problemu. Wprawdzie to auto pali jak smok, ale przynajmniej Pax jest szczęśliwy, bo uważa, że jestem bezpieczna. Poza tym mieści się w nim więcej rzeczy do galerii, więc są też plusy.

– Ale przecież teraz nie możesz taszczyć rzeczy do galerii – przypominam jej. – Zresztą nie musisz jej prowadzić. Pax wkrótce przejmie firmę dziadka i już nigdy nie będziesz musiała pracować.

Mila wywraca oczami.

– Dobrze wiesz, że muszę tworzyć. Jeśli nie będę mogła wyżyć się artystycznie, zwariuję.

– Już zwariowałaś, zgadzając się na tę przeprowadzkę do Connecticut.

Zerka na mnie zza kierownicy.

– Wcale nie mam na to ochoty, ale tam jest siedziba główna Alexander Holdings. Pax nie może przejąć firmy i nadal mieszkać tutaj. Jego dziadek naprawdę już chce przejść na emeryturę, więc Pax musi się przeprowadzić. A ja muszę być przy nim.

– Jeszcze jeden z małżeńskich kompromisów?

Kiwa głową.

Wzdycham.

– Dochodzę do wniosku, że twoje małżeństwo raczej mi nie służy. Będziesz musiała się rozwieść.

Mila wybucha śmiechem.

– Nie mogę! – mówi. – Podpisaliśmy intercyzę. W razie rozwodu straciłabym szansę na bycie naprawdę bogatą.

Teraz z kolei ja się śmieję. Nie znam osoby, której tak mało zależałoby na pieniądzach jak mojej młodszej siostrze. No i wiem, że nie było żadnej intercyzy.

Czuję nadchodzący ból głowy, więc zaczynam masować skronie, krzywiąc się niemiłosiernie. Jęczę cicho, bo nagle wszystko tego poranka zaczyna mi się wydawać głupie.

Mila dostrzega, że coś jest nie tak.

– Dlaczego jesteś w takim złym humorze? – pyta, skręcając w uliczkę nad jeziorem, przy której znajduje się nasza restauracja. – Przecież nic ci się nie stało. Głupi zawsze ma szczęście.

– Sama nie wiem – odpowiadam. – Chyba po prostu wstałam dziś lewą nogą. Miałam ciężką noc.

Nie wdaję się w szczegóły, bo natychmiast zasypałyby mnie tysiącem pytań. Od miesiący namawia mnie, żebym zaczęła wychodzić, więc nie chcę się przyznawać, jaką porażką zakończyła się pierwsza próba.

– Uśmiechnij się! – mówi Mila, zatrzymując samochód na naszym parkingu. – Mamy słoneczny dzień. A życie jest piękne.

– Taaa – mruczę ponuro. – Życie jest piękne.

– A ty jesteś prawdziwą szczęściarą – dodaje. – Mogłaś się nieźle potrubować, a nic ci nie jest. Komu jak komu, ale tobie nie muszę tłumaczyć, jak niebezpieczna jest ta droga.

Jest teraz bardzo poważna i wiem dlaczego. W jej oczach prawie mogę zobaczyć powracające wspomnienia. Rozbity samochód rodziców, podwójny pogrzeb, rozdierający

smutek...

Powstrzymuję łzy i mówię:

– Tak, prawdziwa ze mnie szczęściara. Wejdiesz na chwilę?

Potrząsa przecząco głową.

– Nie mogę. Mam wizytę u lekarza, a potem wracam do galerii. Ale nadrobimy to później. Myślę, że wpadniemy na kolację.

– W porządku. Będę trzymać dla was stolik.

– Wspaniale. Do zobaczenia wieczorem.

Macha do mnie, wycofując swojego potężnego czarnego SUV-a. Będę za nią tęsknić, kiedy się wyprowadzi. Nie mamy żadnych krewnych, z całej rodziny zostaliśmy tylko my dwie. No, jest jeszcze Pax. Więc jest nas troje.

Wzdycham, ale postanawiam na razie o tym nie myśleć. Przeprowadzkę planuję nie wcześniej niż w lecie. Będę się martwić, kiedy przyjdzie na to czas.

Kieruję się w stronę małej, pokrytej tynkiem włoskiej knajpki na wybrzeżu, w której od kilku lat spędzam praktycznie cały swój czas. The Hill była marzeniem moich rodziców, nie moim. Przez wiele lat harowali dzień i noc, żeby odniosła sukces, a kiedy zginęli, Miła i ja nie mogłyśmy znieść myśli, że miałybyśmy ją zamknąć.

Ale, jak mi Bóg miły, czasami jestem nieźle wkurzona, że dla tej restauracji poświęciłam wszystko, że ugrzęzłam w małym miasteczku nad jeziorem, aby realizować czyjeś marzenia. W takich chwilach mam wrażenie, że ta knajpka wysysa ze mnie całe życie i czuję się o wiele starsza, niż naprawdę jestem.

Bywa jednak, że czuję się o wiele młodsza, bo nie zawsze znam rozwiązanie problemów, którym muszę sprostać. Właściwie nie mam pojęcia, jak się prowadzi restaurację. Mój dyplom z zarządzania firmą to tylko kawałek papieru. Studia nie przygotowały mnie do radzenia sobie z kredytem, z personelem i z mnóstwem innych rzeczy. Ale nie mogę powiedzieć tego na głos, bo jako właścicielka restauracji i starsza siostra powinnam na wszystko mieć odpowiedź.

Do tego prawidłową.

Nikt nie musi wiedzieć, że tak naprawdę niewiele wiem. Że płynę przez życie z prądem, nie wiedząc gdzie i po co. Że czasem nienawidzę życia, które wiodę, ale nie mam siły, aby cokolwiek w nim zmienić.

Ciężko wzdycham i wchodzę do środka.

Jedną z najgorszych rzeczy związanych z prowadzeniem własnego biznesu jest cała ta pieprzona papierologia i biurokracja. Czasami mam koszmarne sny, w których tonę w morzu papierów.

Dziś podnoszę wzrok znad papierów, dopiero gdy Tony – barman, który jest z naszą rodziną, odkąd rodzice otworzyli restaurację – zagląda do mojego biura i pyta:

– Dzwoniłaś już w sprawie swojego auta, Madison?

– Tak. Odholują je i przywiozą mi samochód zastępczy.

Tony kiwa głową.

– Dobrze. O wszystko zadbali. A teraz chodź coś zjeść. Nie żartuję. Niedługo pora kolacji i będziemy tu mieli tłumy klientów. Jak tak dalej pójdzie, zagłodzisz się na śmierć, a duch twojego ojca będzie mnie straszył do końca świata i jeden dzień dłużej za to, że o ciebie nie zadbałem.

Podnoszę wzrok znad grafiku na następny tydzień, żeby spojrzeć w zmartwioną twarz Tony'ego. Choć ma czterdzieści lat, wygląda najwyżej na trzydzieści. Jednak nigdy mu tego nie powiem – jego ego i tak jest dostatecznie rozbuchane.

– To nie mój ojciec straszylby cię w związku z moimi nawykami żywieniowymi, ale

raczej matka – prostytutkę. – A nie sądzę, żebyś chciał z nią zadzierać!

Tony śmieje się.

– Racja! Twoja matka była prawdziwym wulkanem. Tylko twój ojciec potrafił ją okiełznać.

Na chwilę zastygam w bezruchu. Oczy Tony'ego błyszczą z rozbawienia, a ja wiem, że to dlatego, że nie ma pojęcia, jakich środków używał ojciec, żeby okiełznać matkę. Nikt tego nie wiedział.

Nikt z wyjątkiem mnie i Mili. W gardle czuję narastającą gulę, ale uśmiecham się do Tony'ego, próbując odegnać przykre wspomnienia. Moi rodzice nie żyją. Nie ma powodu wracać do przeszłości.

– Przyjdę za chwilę – zapewniam go. – Obiecuję!

Unosi krzaczaste brwi.

– Lepiej dotrzymaj słowa. Jacey właśnie przyszła, a ja upiekłem jej ulubione wiśniowe babeczki. Myśli, że to był twój pomysł. Zjedz z nią chociaż jedno urodzinowe ciastko.

– Cholera – mruczę, bo kompletnie zapomniałam o urodzinach przyjaciółki. – Na swoją obronę powiem, że miałam zamiar kupić jej muffinki, ale mój samochód prawie wylądował w jeziorze. Chyba jest to okoliczność łagodząca. Nie potępiaj mnie.

Tony prawie się uśmiecha. Prawie, bo nie pozwala mu na to rola surowego ojca, jaką przyjął.

Odwraca się i odchodzi, mamrocząc coś na temat kobiet za kierownicą i sprania mnie na kwaśne jabłko, jeśli nie będę go słuchać. Nie pozostaje mi nic innego, jak iść za nim. Uśmiecham się w duchu, bo wiem, że Tony nigdy by mnie nie skrzywdził i biada temu, kto by się na to odważył!

Idziemy na taras położony na plaży za restauracją. Sznury lampek i latarni krzyżują się nad naszymi głowami, a oplatające altanę kapryfolum wkrótce zacznie kwitnąć. Wieczorem jest tu naprawdę pięknie i bardzo romantycznie. Turyści uwielbiają to miejsce. Ja zresztą też.

Na stole widzę tacę ze sławnymi babeczkami Tony'ego, urodzinową kopertę z imieniem Jacey i trzy porcje sałatki.

– Dziękuję ci, Tony – mówię ze szczerym uznaniem. – Wiesz, że cię kocham!

Uśmiecha się od ucha do ucha i obejmuje mnie silnym ramieniem.

– Wiem, ile masz na głowie – odpowiada. – To drobiazg.

Ale to nie jest drobiazg. Lata temu Tony został zatrudniony na stanowisko barmana, ale odkąd zginęli moi rodzice, ogromnie mnie wspiera. Nie tylko zajmuje się barem, ale pomaga utrzymać w ryzach całą restaurację. Nawet nadzoruje kucharzy i od czasu do czasu przyrządza specjalne desery. Bez niego nie dałabym sobie rady i oboje dobrze o tym wiemy.

Chwilę później pojawia się Jacey. Jej oczy lśnią w oczekiwaniu urodzinowych niespodzianek.

– To idealny dzień na urodziny! – oznajmia radośnie.

Jacey patrzy na życie z dziecięcym zachwytem, co zawsze w niej uwielbiałam. Nawet najnudniejszą rzecz potrafi zmienić w świetną zabawę.

Przyjaźnimy się od lat. Jacey spędzała tu wakacje u dziadków i pewnego dnia przyszła z nimi do The Hill na lunch, a wyszła z wakacyjną pracą. Od tego czasu pracuje u nas w każde lato. Jest zabawna, beztroska i choć od czasu do czasu wpada z tego powodu w tarapaty, wnosi powiew świeżości w nudę codziennego dnia.

Odkąd sama stałam się królową codziennej nudy, cenię to jeszcze bardziej.

– Wszystkiego najlepszego! – mówię, a Tony wręcza jej kopertę.

Jacey się uśmiecha i otwiera ją. W środku znajduje studolarowy kupon na masaż.

Bezgłośnie mówię „Dziękuję!” do Tony’ego, a Jacey zarzuca mi ręce na szyję.

– Dziękuję wam! – piszczy. – Nie macie pojęcia, jak bardzo jestem zestresowana. Ten masaż dobrze mi robi.

Wypuszcza mnie z objęć i przytula Tony’ego, a potem rzuca się na babeczki, błyskawicznie pochłania trzy i zerka na zegarek.

– Musimy się pospieszyć – obwieszcza. – Mamy dziś pełną rezerwację. Prawdopodobnie będziesz musiała pomóc na sali, Maddy, i to się nawet dobrze składa, bo wyglądasz wystarczająco na luzie. Właśnie przeniosłaś swobodny styl biznesowy na zupełnie nowy poziom.

Jacey przygląda się moim ciuchom, a ja wzdycham.

– A kiedy nie pomagam na sali? – mówię. – Jestem tam codziennie. Jak nie wierzysz, pokażę ci moje pęcherze. A ubrałam się tak, bo w drodze do pracy cała się ubłociłam i musiałam się przebrać w ciuchy do ćwiczeń.

– Cóż, w tych szortach i obcisłym podkoszulku masz szansę na duże napiwki od męskiej części klienteli. Nie jest źle!

Prycham i daję jej kuksańca, po czym odwracam się i chcę za nią wejść do środka, ale Tony chwyta mnie za łokieć i wskazuje moją sałatkę.

– Jedz.

Po jego minie widzę, że nie ma sensu protestować, więc schylam się i szybko zjadam kilka kęsów.

– W porządku? – pytam, jednocześnie wycierając usta serwetką.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem, zjadam jeszcze trochę, a potem wstaję i zabieram talerz.

– Dokończę później – obiecuję.

Tony wzdycha.

– Wcale nie – mówi. – Pójdiesz do domu i zjesz mrożone burrito.

Nie cierpię, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić. Pewnie dlatego, że przez lata przyglądałam się, jak ojciec za pomocą pięści rozstawia matkę po kątach. Ale nie przeszkadza mi, kiedy Tony trochę się rządzi. Bywa szorstki, ale ma złote serce i robi, co może, żeby mnie i Mili nie stała się krzywda. Jest dla nas jak rodzina, nie mamy nikogo bliższego.

Kiedy wracamy do głównej sali, Milla i Pax właśnie wchodzą do środka. Pax podtrzymuje Milę, kiedy ta potyka się o wycieraczkę.

Chce mi się śmiać na widok jego przerażonej miny. Najchętniej wzięłby Milę na ręce i nosił ją wszędzie przez cztery miesiące pozostałe do porodu. Powiedzieć, że jest nadopiekuńczy, to eufemizm. Trudno w to uwierzyć, kiedy się na niego patrzy.

Bo mój szwagier to twardy jak skała, wytatuowany bóg seksu. Serio, ten facet wręcz emanuje seksapilem. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam: „Cholera, ten facet oznacza kłopoty”. I tak właśnie było.

Pax szeroko się do mnie uśmiecha, w jego piwnych oczach czają się wesołe iskierki.

– Widzisz coś, co cię kręci, Mad? – droczy się ze mną.

Zdaję sobie sprawę, że się na niego bezwstydnie gapię. Odwzajemniam uśmiech i wcale nie zbita z tropu odpowiadam:

– Żebyś wiedział, że tak. Podobasz mi się, braciszku. Kto by pomyślał, co?

Jako opiekuńcza starsza siostra od razu powiedziałam Mili, żeby się trzymała od niego z daleka, co oczywiście sprawiło, że była nim jeszcze bardziej zainteresowana. Pax miał swoje problemy, więc sporo przeszli, ale jakoś pokonali przeszkody i teraz są razem.

Pax kiwa głową.

– Taaa, trudno uwierzyć, że kiedyś się nie poznałaś na tych wspianiałościach.

Wywracam oczami i prowadzę ich do stolika. Pax odsuwa Mili krzesło, a kiedy ta już siedzi, kładzie jej serwetkę na kolanach.

– Jedzenie też zamierzasz za nią przeżuć? – pytam, ale Pax tylko się uśmiecha od ucha do ucha.

– Szczęśliwa żona to szczęśliwy mąż – odpowiada radośnie, sadowiąc się wygodnie. – Tej zasady się trzymam!

– I bardzo dobrze ci idzie – chwali go Mila, ale jej wzrok jest utkwiony gdzieś za mną. – Maddy, czy to przypadkiem nie Ethan Eldridge?

Odwracam się i widzę, jak moja hostessa Julie zaprasza naszego przyjaciela z dzieciństwa do małego stolika pod oknem.

– A niech mnie! – odpowiadam. – To on. Nie widziałam go, odkąd wyjechał studiować medycynę. Nigdy nie przyjeżdżał do domu na wakacje. Jego mama przychodziła tutaj i mi się na niego skarżyła.

– Dobrze wygląda – zauważa Mila.

Przyglądam mu się. Jasne włosy, niebieskie oczy, wysoka i szczupła, ale raczej niewysportowana sylwetka.

– Powinnaś z nim pogadać – mówi moja siostra. – Zresztą to twój obowiązek. Musisz się postarać, żeby dobrze się tu poczuł.

Rzucam jej gniewne spojrzenie.

– Nie mam zamiaru tam iść i z nim flirtować.

– Nie mówiłam o flirtowaniu, tylko o zwykłej rozmowie – odpowiada Mila. – Ethan zawsze miał do ciebie słabość. A ty naprawdę potrzebujesz podkręcić swoje życie towarzyskie.

Zastanawiam się, czy dźgnąć ją widelcem w oko, kiedy Ethan podnosi wzrok i mnie zauważa. Z entuzjazmem macha w moją stronę.

– Cholera – mamroczę, a Mila aż popiskuje z zachwytu. – Za moment wracam i wtedy się z tobą policzę.

Idąc w stronę Ethana, słyszę za plecami jej śmiech.

– Madison. – Uśmiecha się, gdy podchodzę. Przez te wszystkie lata prawie zapomniałam, jak cudowny ma uśmiech. – Miałem nadzieję, że cię tu spotkam!

– Zawsze tu jestem – zauważam. – Praktycznie tu mieszkam. Wróciłeś na stałe? Dobrze słyszałam, że masz pracować w klinice na oddziale ginekologiczno-położniczym?

Znowu się uśmiecha, a ja przez moment się zastanawiam, dlaczego nic nie czuję. Czy dlatego, że znam go od tak dawna?

– Tak, właśnie tam się zaczęłam. Jeśli kiedyś będziesz chciała się przenieść od doktora Halla do mnie, zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby badania kontrolne były dla ciebie o wiele przyjemniejsze.

Porusza brwiami w ten komiczny sposób, który pamiętam z dzieciństwa, i przez chwilę mam wrażenie, jakbym znowu znalazła się w szkole.

– O, tak. Właśnie tego mi trzeba! Facet, który w przedszkolu zwymiotował na mnie czekoladowym mlekiem, pobierający mi wymaz z pochwy! Zresztą jeszcze nie jesteś prawdziwym lekarzem, prawda? A do doktora Halla chodzę od lat. Więc nie licz na to! Twoje ręce nie będą miały nic do roboty w tej okolicy. – Wskazuję na swoje podbrzusze, a on potrząsa głową ze śmiechem. – Miło cię widzieć! Nie było cię jakieś sto lat.

– Jestem prawdziwym lekarzem – zapewnia. – Lekarzem rezydentem. Mogę nawet wypisywać recepty. Ale nieważne. Też się cieszę, że cię widzę! Wyglądasz fantastycznie, dokładnie tak samo jak w dniu ukończenia szkoły średniej.

Uśmiecham się na ten komplement.

– Dzięki, Ethan. Ostatnio czuję się trochę staro, więc dobrze to słyszeć. Ty też nieźle wyglądasz.

Obdarza mnie najbardziej czarującym ze swojej kolekcji uśmiechów.

– Musimy się kiedyś spotkać i pogadać, nadrobić zaległości, Mad. Stęskniłem się za tobą.

Patrzę na niego i próbuję sobie wyobrazić, jak postrzegają go inne kobiety. Jest wysoki, jasnowłosy i niebieskooki. Wygląda jak potomek wikingów, tyle że nie ma mięśni. Nasze dzieci byłyby piękne. Problem w tym, że znam go od przedszkola, czyli wiem o wszystkich przygłupich akcjach, które zrobił od tamtego czasu aż do teraz. Ciągle mam przed oczami, jak w czwartej klasie zjadł w ramach wyzwania konika polnego. O, nie! Lekarz czy nie lekarz, jego język nie znajdzie się w pobliżu mojego.

Puszcza do mnie oko, a ja potrząsam głową. Właśnie mam mu powiedzieć, jakie to niesamowite, że ludzie powierzają mu swoje zdrowie, kiedy drzwi restauracji otwierają się i wpada przez nie promień słońca, jasną rysą przecinając podłogę. Podążam wzrokiem za światłem i moje spojrzenie pada na mężczyznę, który wszedł. Właśnie wsuwa komórkę do kieszeni kurtki.

Podnosi wzrok, patrzy na mnie, a ja nie wierzę własnym oczom.

Moje serce wali, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Ponieważ przede mną stoi Gabriel.

Rozdział 5

GABRIEL

To musi być jakiś żart. Siły rządzące wszechświatem najwyraźniej mają specyficzne poczucie humoru. Wczorajszej nocy chciałem ją przelecieć, potem cały dzień zastanawiałem się, co się z nią stało, a teraz stoję z nią twarzą w twarz? Jakie było prawdopodobieństwo, że jeszcze się spotkamy? Cholernie małe.

A jednak to właśnie ona.

Madison wpatruje się we mnie, równie zaskoczona jak ja. Stoi obok faceta ubranego w modne dzinsy i koszulę. Widać, że to mięczak, ale nie on mnie w tym momencie interesuje.

W tym momencie istnieje dla mnie tylko Madison – jej szeroko otwarte oczy, jej lekko uchylone usta.

Próbuję przeanalizować ten szalony zbieg okoliczności, kiedy widzę siostrę wyłaniającą się z zaplecza z wielką tacą pełną napojów. Jacey na mnie zerka i elementy układanki natychmiast łądzą na swoim miejscu.

Wspominała, że zamierza zabrać ze sobą do klubu przyjaciółkę. Zresztą już wcześniej mówiła mi o swojej szefowej – jej zdaniem świetnej dziewczynie – która musiała zbyt szybko dorosnąć. Nie pamiętam powodów tej przedwczesnej dojrzałości, ale pamiętam, że Jacey mówiła o swojej przyjaciółce „Maddy”.

Maddy, czyli Madison.

Potrząsam głową i patrzę, jak Jacey odkłada tacę i biegnie do mnie przez salę.

– Gabriel! – woła, obejmując mnie. – Nareszcie jesteś! Stęskniłam się za twoją paskudną gębą.

Nie pozostaje mi nic innego, jak ją uściskać, choć jestem niezłe wkurzony tą całą sprawą z Madison. Ale przecież Jacey w żaden sposób nie mogła zaaranżować naszego spotkania za klubem.

Czuję na sobie chłodne spojrzenie Madison, ale nie spieszę się z podniesieniem wzroku, bo nie mam pojęcia, czy też jest wkurzona, czy raczej zaintrygowana faktem, że znowu nieproszony wtargnąłem w jej życie.

Nie wiem, co się wydarzyło wczoraj w nocy po wypadku tej pieprzonej taksówki. Mam całkowity zanik pamięci, pierwszy od miesięcy.

Nie pamiętam, co do niej mówiłem ani jak się wobec niej zachowałem. Coś mi majaczy, że Madison położyła mnie do łóżka, ale nie wiem, czy to prawdziwe wspomnienia, czy umysł płata mi figle. Niczego nie mogę być pewny, kiedy jestem w takim popieprzonym stanie.

Cholernie mi się nie podoba, że mnie takiego widziała.

– Hej, siostrzyczko – mruczę w jasne włosy Jacey. – Wszystkiego dobrego w dniu urodzin! Pachniesz jak spaghetti.

Wypuszcza mnie z objęć i zwraca się do Madison:

– Maddy, musisz tu przyjść i wreszcie poznać mojego brata!

Madison wygląda, jakby nie ogarniała sytuacji, ale posłusznie idzie w naszym kierunku, zostawiając mięczaka samego. Wreszcie staje przede mną.

Na widok jej zakłopotanej miny ledwie się powstrzymuję od wybuchnięcia śmiechem. Madison najwyraźniej nie wie, jak się zachować. Nie ma pojęcia, zielonego pojęcia. I to jest cholernie zabawne.

– To mój brat Gabriel. – Jacey z dumą podnosi na mnie wzrok. – Kilka miesięcy temu

wrócił z Afganistanu i do tej pory nie znalazł czasu, żeby odwiedzić w pracy swoją biedną siostrzyczkę. Gabriel, to jest moja przyjaciółka i szefowa Madison, o której ci opowiadałam.

Madison wpatruje się we mnie takim wzrokiem, że znów zaczynam się zastanawiać, jak dużo widziała wczoraj w nocy. Na wszelki wypadek przyjmuję pozycję obronną i rzucam jej bezczelny uśmiezek, żeby sobie przypadkiem nie wyobrażała, że to wszystko cokolwiek dla mnie nie znaczy.

Spojrzenie Madison staje się jeszcze twardsze.

Jacey szeroko otwartymi oczami patrzy to na nią, to na mnie.

– Co się z wami dzieje? Nie macie zamiaru się odezwać? Może jakieś „Miło cię poznać”?

Wreszcie Madison mruga, odwraca spojrzenie ode mnie i patrzy teraz na Jacey.

– Właśnie... yyy... miło cię poznać – mamrocze.

Chrząkam. Nie widzę powodu, żeby wspominać to, co się stało poprzedniej nocy.

Dokładnie mówiąc – prawie się stało.

Madison przez chwilę patrzy na mnie z wdzięcznością, ale potem jej twarz znowu przybiera chłodny wyraz. Pewnie taka jest naprawdę – chłodna i opanowana.

A może ma do mnie żal, że ją zostawiłem po wypadku? Na tę myśl aż się wzdrygam. To było paskudne zagranie. Ale nie byłem wtedy sobą. Jeśli ona mnie osądza na tej podstawie, to do diabła z nią. Nic o mnie nie wie.

Uśmiecham się szeroko, żeby jej pokazać, że nie zawsze ma nad wszystkim kontrolę.

– Miło mi wreszcie cię poznać, Madison. Wiele o tobie słyszałem. Nawet kilka pozytywnych rzeczy.

Jacey daje mi kuksańca i zapewnia przyjaciółkę, że wyrażała się o niej w samych superlatywach i nigdy nie powiedziała by na nią złego słowa.

Zerkam na piersi Madison pod obcisłą koszulką i natychmiast pojawiają się przebłyski wspomnień z wczorajszej nocy – jak jej sutki smakowały w moich ustach, różowe i słodkie. Mój członek sztywnieje, więc staram się skupić na chwili obecnej. Madison podaje mi szczupłą dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi spokojnie i zwraca się do Jacey: – Nie przejmuj się, wiem, że mówisz o mnie tylko dobre rzeczy. Jestem pewna, że twój brat żartował.

Powstrzymuję prychnięcie.

– Przepraszam, Maddy – tłumaczy się Jacey, wyraźnie spokojniejsza. – Gabriel jeszcze nie doszedł do siebie po pobycie na misji.

Ogarnia mnie wściekłość, ale udaje mi się zapanować nad sobą. Chciałem być nieuprzejmy, więc nie mogę mieć pretensji, że ktoś mi to wytknął.

– Na pewno niedługo znów będę normalny – zgadzam się uprzejmie, po czym gładko zmieniam temat. – Znajdzie się dla nas miejsce? Potrzebujemy stolika dla trzech osób. Będzie jeszcze Brand.

Jacey rozpromienia się na myśl o spotkaniu z przyjacielem z lat dziecińczych.

– Dzięki Bogu! Nie widziałam go co najmniej od miesiąca. Oboje ostro przeginacie, jeśli chodzi o spotkanie się ze mną. Powinniście się wstydzić! – Następnie zwraca się do Madison. – Mogę im dać ten stolik w kącie pod oknem?

– Oczywiście – zgadza się Madison. – Miło było cię poznać, Gabrielu. Mam nadzieję, że spodoba ci się u nas.

Obraca się na pięcie i idzie obsłużyć jakąś parę przy innym stoliku. Nie, żeby miał to po sobie pokazać, ale jestem trochę oszołomiony zmianą, jaka w niej zaszła. Ta chłodna, niedająca się wyprowadzić z równowagi kobieta w niczym nie przypomina gorącej laski, którą poznałem wczoraj w nocy. Zerkam na jej zgrabny tyłeczek i zastanawiam się, jak w takiej małej pupci może się zmieścić sztywny kij. Jacey prowadzi mnie do stolika.

– Przyniosę ci piwo – mówi, wręczając mi menu i przyglądając się z zaciekawieniem prezentowi, który położyłem na blacie. – Czego się napije Brand?

– Piwo będzie w porządku – odpowiadam. – Dzięki, siostrzyczko.

Odchodzi, a ja rozglądam się dookoła.

Knajpka jest całkiem przyjemna, ale Madison nie wygląda na właścicielkę tego typu lokalu. Przynajmniej wczoraj tak nie wyglądała. A dzisiaj... kto wie? Zaczyna mi świtać, że Jacey wspominała, że Madison odziedziczyła restaurację po rodzicach.

Która Madison jest prawdziwa? Seksowna syrena, która wczoraj chciała iść ze mną do domu, czy właścicielka niezłe prosperującego interesu?

A może jest prężną bizneswoman za dnia, a syreną w nocy?

Warto by rozwiązać tę zagadkę, myślę, zerkając na nią kątem oka.

Siedzi ze swoimi znajomymi: piękną ciemnowłosą kobietą i muskularnym, wytatuowanym facetem. Wyraźnie unika patrzenia w moją stronę i głośno się śmieje ze wszystkiego, co mówią jej znajomi, tak jakby chciała pokazać, że świetnie się bawi.

Nie mam cienia wątpliwości, że jest dokładnie tak samo świadoma, gdzie jestem w tej sali, jak ja – gdzie jest ona. Od czasu do czasu rzuca w moją stronę ukradkowe spojrzenia. Prawdopodobnie zastanawia się, jaki naprawdę jestem. Jeśli dałem wczoraj w nocy niezły popis i ona to zobaczyła, pewnie teraz próbuje się w tym wszystkim połapać.

A skoro nie pamiętam, co się wydarzyło, mogę teraz zrobić tylko jedno.

Udowodnić jej, że nie jestem jakimś cieniem. Wbijać w nią spojrzenie, aż zacznie się kręcić na stołku, aż sobie dokładnie przypomni, co prawie zrobiliśmy zeszłej nocy, o co mnie błagała. Pokazać jej, że nie może sobie ze mną pogrywać tylko dlatego, że nie pamiętam, co robiłem.

Zmieniam krzesło, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko niej, i ostentacyjnie zaczynam się na nią gapić.

Należy mi się trochę zabawy.

MADISON

O co tu, do diabła, chodzi?

Policzki mi płoną, kiedy czuję przeszywające mnie spojrzenie Gabriela z drugiego końca sali. Dlaczego tak się na mnie gapi? Zachowuje się, jakby wczorajszej nocy nic się nie zdarzyło. Co niby mam z tym zrobić?

Wyraźnie próbuje zwrócić na siebie moją uwagę, ale raczej umrę, niż dam mu tę satysfakcję i na niego popatrzę.

Podnoszę kieliszek z winem i uśmiecham się do szwagra.

– Dobrze ci się pracuje u dziadka? – pytam.

Pax zastanawia się nad odpowiedzią, a jednocześnie w roztargnieniu gładzi moją siostrę po plecach.

– Na początku myślałem, że nigdy się tam nie odnajdę – mówi. – Wokół sami kolesie w garniturach i pod krawatem, a mnie się to wcale nie podobało. Ale potem znalazłem swoje miejsce. Nie muszę nosić garnituru, bo jestem właścicielem tej pieprzonej firmy. Ciągle udowadniam dziadkowi, że dam radę, ale ogólnie jestem zadowolony.

– To dobrze. Ale ja na pewno nie będę zadowolona, kiedy się wyprowadzicie.

Miła wzdycha.

– Mad, przerabialiśmy to tysiące razy. Będziemy mogły się odwiedzać. To tylko dwie godziny samolotem. Poza tym mam nadzieję, że wkrótce się zaczniesz z kimś spotykać i skupisz się na nowym chłopaku. Trzeba wreszcie coś zrobić z tym twoim, pożałuj się Boże, życiem

osobistym!

Unoszę brwi.

– Masz zamiar wziąć tę sprawę w swoje ręce?

Mila się śmieje i klepie Paxa po udzie.

– Najwyraźniej dobrze mi idzie w temacie związków. Chętnie pomogę ci z twoim!

– Nie jestem w związku – przypominam jej. – W tym cały problem.

– Więc zacznijmy od czegoś prostego. Ethan Eldridge. Wiem, że nie ma dziewczyny.

Niedawno wpadłam na jego mamę w bibliotece. Powiedziała, że czuje się samotny, bo wielu jego znajomych się stąd wyprowadziło. I to jest właśnie moment, kiedy powinnaś wkroczyć! Zacznij od umawiania się z Ethanem. Równie dobrze możesz na nim poćwiczyć.

Podnoszę łyżeczkę.

– I nie przeszkadza ci, że ta łyżeczka ma więcej charakteru niż on?

Pax wybucha śmiechem, zerka przez ramię na Ethana, a potem zwraca się do żony:

– Madison ma rację. Potrzebuje kogoś, kto dotrzyma jej kroku. A ten facet wygląda na takiego, który odpadnie w przedbiegach.

Mila rzuca mu sceptyczne spojrzenie.

– Może i tak. Ale Maddy zwykle wybiera facetów, którzy są despotyczni i próbują ją kontrolować. Kończy się to katastrofą i potem jest wkurzona na cały świat, a zwłaszcza na wszystkich mężczyzn. Może więc powinna dać szansę komuś takiemu jak Ethan.

Wszyscy zerkamy w stronę Ethana, który właśnie przegląda wiadomości na telefonie. Ma drogi zegarek, drogą koszulę, modne spodnie. Jest taki porządny, że nawet paznokcie ma wypolerowane i idealnie przycięte. Niebudzący emocji, bezbarwny, nudny.

Bezbarwny i nudny – to nie mój styl.

Pax potrząsa głową.

– Wątpię, żeby miał wystarczająco dużo ikry, aby wytrzymać z Maddy.

Podnoszę pytająco brew.

– Wytrzymać ze mną?

Pax od razu się wycofuje.

– Nie o to mi chodziło. Jesteś... jakby to powiedzieć... czasami jesteś trochę... nieokiełznana? Potrzebujesz gościa z jajami, a nie faceta, którego jaja będziesz mogła nosić w torebce.

– I kto to mówi? Facet, którego jaja są pięknie ułożone w torebce Mili!

Mila pęka ze śmiechu, a ja rzucam Paxowi lodowate spojrzenie, on jednak to ignoruje.

Splywa po nim jak po kaczce, że publicznie oskarżam go o bycie pantoflarzem. I słusznie. Tylko facet bez kompleksów na punkcie swojej męskości nie przejmuje się takim gadaniem.

Nieznacznie odwracam głowę i kątem oka widzę zarys sylwetki Gabriela. Przez całą tę rozmowę jego spojrzenie dosłownie mnie parzyło. Jest tak intensywne, że czuję je na sobie niemal fizycznie, jakby mnie dotykało.

Nie jestem w stanie dłużej się opierać i podnoszę wzrok.

Odwzajemnia spojrzenie. Jego oczy są gniewne i ciemne.

O czym myśli? O wypadku? A może o tym, jak niesamowicie było przed wypadkiem?

Wpatruję się w jego usta i przypominam sobie, jak smakowały. Dymem papierosowym, miętową gumą do życia...

I wtedy zamieram. Ponieważ on, nie spuszczać ze mnie wzroku, wkłada palec do ust, a potem wolno go wyciąga, nie przestając ssać.

Policzki zaczynają mi płonąć, a jego ciemne oczach błyszczą rozbawieniem. Dociera do mnie, że ze mną pogrywa. Specjalnie próbuje mi przypomnieć o zeszłej nocy.

Posyłam Gabrielowi lodowate spojrzenie, unoszę podbródek i odwracam się do Mili, która z zainteresowaniem obserwuje tę niemą komunikację.

– Kto to? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Brat Jacey. Przed chwilą go poznałam.

– Przed chwilą? – powtarza z niedowierzaniem. – Nie wygląda na to. Nie spuszcza z ciebie oczu. Musiałaś go znać wcześniej. Opowiadaj!

– Nie odpuścisz, prawda? No dobra, poznałam go wczoraj w nocy w klubie w Chicago. Miła aż krztusi się wodą.

– Serio? Poznałaś go w klubie?

Obraca się, żeby mu się przyjrzeć.

Gabriel również się jej przygląda, a potem znów przenosi wzrok na mnie. Zaczynam się wkurzać.

– Odwróć się! – syczę do Mili, szarpiąc ją za ramię. – Nie możesz być trochę bardziej dyskretna?

– Nic na to nie poradzę – mówi, nie odwracając się. – Jak mogę nie przyjrzeć się facetowi, który tak cię podkręcił?

– Wcale mnie nie podkręcił – cedzę przez zęby. – Nie zmuszaj mnie do użycia przemocy wobec kobiety w ciąży, bo wtedy Pax mnie zabije. Po prostu się odwróć.

Wreszcie robi to, o co ją proszę.

– Po co te nerwy, Maddy? Czemu jesteś taka wzburzona? Przecież to tylko brat Jacey, prawda?

Po jej tonie poznaję, że dobrze wie, o co chodzi.

– Tak – potwierdzam stanowczo, ignorując jej ton. – To tylko brat Jacey.

– Cóż, w takim razie powinnam podejść i się przedstawić. W końcu Jacey jest naszą pracownicą. Uprzejmość tego wymaga.

Powiedziawszy to, wstaje i zanim jestem w stanie ją powstrzymać, pędzi na drugą stronę sali. Jak na kobietę w ciąży jest zaskakująco szybka. Gapię się na nią z szeroko otwartymi ustami. Pax sięga w moją stronę i pomaga mi je zamknąć.

– Przechytrzyła cię, Mad.

Wbijam w niego wzrok.

– Pax, przysięgam na Boga, pewnego dnia ją zabiję.

Pax się śmieje.

– Nie sądzę. Gdybyś miała ją zabić, już dawno byś to zrobiła. Zamiast tego zawsze ją chroniłaś jak matka-niedźwiedzica. Nie pozwoliłabyś, żeby jej spadł choćby włos w głowy. A teraz muszę się odlać. Będziesz się zachowywać, kiedy cię zostawię? Czy mogę liczyć, że nikogo nie zabijesz?

Wstaję i idę za nim.

– Nie zostanę tu sama – mruczę, kiedy się na mnie ogląda zaskoczony.

– Ze mną w każdym razie nie idziesz – zastrzega, uśmiechając się od ucha do ucha. – Jest wielki, ale mogę sam go sobie potrzymać.

Gdy dociera do mnie, co miał na myśli, znowu się czerwienię.

– Boże, całe życie z wariatami...

Wzdycham i sztywnym krokiem wycofuję się do biura. Nadal słyszę śmiech szwagra i czuję na sobie spojrzenie Gabriela bacznie śledzącego każdy mój ruch. Wytrąca mnie to z równowagi i jestem wkurzona, że pozwoliłam mu tak się podejść.

Jakieś dziesięć minut później do mojego biura wpada Jacey, jak zwykle bez pukania.

Poprawia blond kucyk i opada na krzesło przed biurkiem.

– Maddy, co, do cholery, jest grane? Ty i mój brat wpatrujecie się w siebie jak sroka w gnat. O co właściwie chodzi?

Jej wielkie brązowe oczy błyszczą z ciekawości, kiedy czeka na moją odpowiedź.

– Dzisiaj w nocy... Gabriel... – przerywam, bo ciężko mi to z siebie wydusić. Nie chcę jej powiedzieć, że prawie przeleciałam jej brata. Jakoś nie wypada. Czuję się, jakbym wkraczała na niebezpieczne terytorium. Czy w jakimś niepisanym kodzie nie ma zasady, że nie powinno się umawiać z bratem przyjaciółki? Zwłaszcza gdy ewidentnie dzieje się z nim coś dziwnego. Jeśli Jacey jeszcze tego nie wie, wolałabym, żeby to nie ode mnie usłyszała złe wieści.

Tyle że Jacey dobrze mnie zna. Jej oczy zwężają się, kiedy uważnie mi się przygląda.

– No, mów. Co się zdarzyło w nocy? – Krótka pauza, a potem: – O mój Boże. Czy spotkałaś Gabe'a wczoraj w nocy w Chicago? Miał się z nami spotkać, ale nie dotarł, bo był jakiś problem z jego taksówką. Ale ty też zniknęłaś. Byliście razem? Nie, przecież to niemożliwe...

Z trudem przełykam ślinę i odwracam wzrok.

– O mój Boże! – Jacey zrywa się z krzesła i tańczy jakiś dziwaczny taniec, jakby była małym, niezdarnym ptaszkiem. – Przespałaś się z moim bratem!

– Prawie... – uściłam. – Czy to nie głupie?

Patrzy na mnie, jakbym miała dwie głowy.

– Oszalałaś? Od lat marzę o tym, żebyście się umówili. Ale kiedy byliśmy nastolatkami, Gabe nigdy nie chciał przyjechać tu na lato. Pewnie przechodził przez etap nieśmiałości czy inne cholerstwo. A potem wyjechał na misję. Idealnie do siebie pasujecie! Tylko jeszcze o tym nie wiecie. Ale mnie interesuje coś innego: dlaczego się ze sobą nie przespaliście?

Zerkam na zegar. Dochodzi siódma, w restauracji właśnie zaczyna się największy ruch.

– Nie ma się czym podniecać. Było późno, byliśmy w klubie i... trochę nas poniosło. A potem taksówka miała wypadek i nastrój prysł. Biorąc pod uwagę, że namawiałaś mnie, żebyś się z kimś przespała, można powiedzieć, że to wszystko twoja wina...

Jacey marszczy brwi.

– Wypadek? Gabe mówił mi tylko, że był problem z taksówką. Nawet się nie zająknął o żadnym wypadku. Czy ktoś został ranny?

– Nie. Jakiś facet nie zatrzymał się na czerwonym świetle i wjechał w nas na skrzyżowaniu. Samochód jest skasowany, ale nikomu nic się nie stało. Jednak nastrój prysł.

Na nastrój nie wpłynęło też dobrze, że musiałam odprowadzać do domu zupełnie niekontaktującego mężczyznę, a potem uciekać z jego mieszkania, zanim miał okazję mnie zamordować.

Mam ochotę zapytać Jacey o dziwaczne zachowanie Gabriela, ale się waham. Jej zwykle pogodna twarz wyraża teraz wyłącznie troskę o brata. Nie chcę jej dawać kolejnego powodu do martwienia się.

– Cholera jasna! – rzuca. – Jestem winna Gabe'owi przeprosiny. Myślałam, że mnie wystawił, a wam naprawdę mogło się coś stać!

Nie wspominam, że właśnie zamierzał ją wystawić, kiedy wydarzył się ten wypadek.

– Taaa, mogło być nieciekawie – mówię tylko. – Na szczęście nic się nie stało.

Kosztowało nas to tylko trochę nerwów.

Jego więcej niż mnie. Ale tego też jej nie powiem.

Jacey potrząsa głową i wzdycha.

– Przysięgam na Boga, ten człowiek po prostu przyciąga niebezpieczne sytuacje.

Normalna osoba w obliczu zagrożenia bierze nogi za pas, a Gabe wybiega mu naprzeciw. Zawsze tak było. Nikt się nie zdziwił, kiedy wstąpił do rangersów. Mnie dziwi raczej, że tak długo żyje.

Trafia się doskonała okazja, żeby zdobyć więcej informacji na temat Gabriela. Patrzę z namysłem na przyjaciółkę, kombinując, w jaki sposób najwięcej z niej wyciągnę.

– Nie przypominam sobie, żebyś mi mówiła, że jest rangerem – zaczynam ostrożnie. Jacey wlepia we mnie wzrok.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – pyta oskarżycielsko.

Rumienię się. Szczerze mówiąc, czasami się wyłączam, kiedy coś mówi. Jacey lubi paplać. Dużo i bez sensu.

– Gabe spędził na misji z rangersami ostatnie trzy lata – podejmuje. – Zawsze chciał służyć w wojsku. To dlatego tak się o niego martwię. Był na misji, a rangersi robią cholernie niebezpieczne rzeczy. Ale wtedy coś się stało i odszedł z wojska. Wrócił do domu, tak samo jego najlepszy przyjaciel Brand. Teraz próbują razem rozkręcić jakiś biznes. Nic z tego nie rozumiem, bo to do nich zupełnie nie pasuje. Obaj są rangerami do szpiku kości.

Waham się, czy zadać kolejne pytanie, ale ciekawość zwycięża.

– Co właściwie się stało?

Wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Gabe nie chce ze mną o tym rozmawiać. Ale totalnie go to rozpieprzyło. Ma problemy ze snem i nie jest sobą. Wiesz, łatwo wpada w złość i takie tam.

Chyba wyglądam na przerażoną, bo Jacey spieszy z wyjaśnieniem:

– Nie, żeby się jakoś wściekał. Po prostu jest bardziej drażliwy. Ale w końcu dojdzie do siebie. Pewnie już niedługo. Poczytałam trochę o ludziach, którzy wrócili do domu ze strefy walki. To, co się z nim dzieje, jest całkowicie normalne. Potrzeba mu tylko czasu.

To, co się z nim dzieje, nie jest normalne, myślę. Przynajmniej to, co widziałam zeszłej nocy. Najwyraźniej Jacey nie ma pojęcia, co naprawdę się dzieje z jej bratem.

Wyobrażam sobie Gabriela w mundurze polowym. Pasuje to do niego. Ale potem wyobrażam go sobie zranionego, zakrwawionego i ten obraz sprawia, że czuję ucisk w gardle. Zmieniam temat, żeby rozluźnić atmosferę.

– Przykro mi, Jacey. Ale jeśli twój brat jest jakimś wiecznie podminowanym samcem alfa, to nie jest facetem dla mnie. Nie kręć mnie mężczyźni uzależnieni od adrenaliny. I tacy, którzy łatwo tracą panowanie nad sobą.

Jacey robi nadąsaną minę.

– Nic takiego nie mówiłam. Gabriel panuje nad sobą. On po prostu jest bardziej drażliwy. Myślę, że ciągle się przyzwyczajają do życia w cywilu. To nie jest problem, Mad. Powinnaś dać mu szansę.

Już dostał swoją szansę, myślę i próbuję odsunąć od siebie natrętne wspomnienie Gabriela sięgającego między moje nogi, chociaż z przodu siedział taksówkarz. W pewien sposób podobało mi się, że kręci go ryzyko. Nie będę kłamać. Nie przed samą sobą.

Nie odpowiadam przez dłuższą chwilę i Jacey wyraźnie się niecierpliwi.

– Co się stało z moją starą przyjaciółką? Tą, która nie bała się podjąć ryzyka i wykradała gin z barku rodziców, a potem wymykała się przez okno, żeby iść na imprezę na plaży? Z tą Madison, która nigdy nie zostawiłaby najlepszej przyjaciółki w klubie? Mam nadzieję, że wkrótce wróci, bo potrzebuję kumpelki do wspólnej zabawy. Chcę, żeby stara Madison wróciła. A kiedy wróci, może się umawiać z moim bratem.

Trafiła w czuły punkt. Czuję się stara i nudna. Czuję się jak ktoś, kim nie jestem. Jacey mnie przejrzała. Więc robię to, co robię zawsze, kiedy ktoś się zbyt blisko do mnie zbliży – chowam się za wysokim murem.

– Tamta Madison już nie wróci – mówię. – To się nazywa dorastanie. Też powinnaś spróbować. Ale teraz chyba powinnaś się zająć swoimi stolikami. Julie pewnie wariuje bez

ciebie.

Jacey wpatruje się we mnie gniewnie.

– W porządku. Możesz mnie teraz spławić, ale jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Opowiesz mi o każdym szczególe twojej „prawie” przygody z moim bratem, a potem wspólnie się zastanowimy, jak mogłabyś zacząć się z nim spotykać.

Z tymi słowami wybiega z biura. Próbuje się skupić na papierach, ale moje myśli uparcie wracają do jej słów.

Ranger w stanie spoczynku. Zdyscyplinowany. Nieugięty. Niebezpieczny. Tak, właśnie taki jest Gabriel. Wprawdzie nie widziałam go w akcji, ale widziałam to wszystko w jego oczach.

Musiało się wydarzyć coś bardzo złego, skoro się zdecydował odejść z armii.

Dochodzę do wniosku, że Gabriel to zagadka.

Bezczelnie arogancka zagadka.

Nieziemsko seksowna i cholernie niebezpieczna.

Zagadka z cudownie wyrzeźbionym ciałem i płonącymi oczami.

Wiem, że nie powinnam, ale przemykam korytarzem i zerkam na niego zza rogu. Jacey właśnie zaśmiewa się z czegoś, co powiedział. On wtóruje jej cichym śmiechem. Jest rozluźniony, ciepło patrzy na siostrę. Jest dokładnie taki, jaki był wczoraj w nocy przed wypadkiem.

Jego kumpel Brand to też kawał chłopca. Zbudowany jak solidna forteca, a do tego cholernie seksowny. Blondyn, niebieskie oczy, szelmowski uśmiech. Tak by wyglądał Thor, gdyby postanowił zstąpić na ziemię. Czy właśnie tak wyglądają wszyscy rangersi? Bo jeśli tak, to zdecydowanie są solą amerykańskiej ziemi! Ale kiedy patrzę na Branda, to – choć jest nieziemsko przystojny – krew w moich żyłach nie zaczyna szybciej krążyć, tak jak gdy patrzę na Gabriela.

Gabriel mnie fascynuje. A to, co powiedziała o nim Jacey, jeszcze podsyciło moją ciekawość. Chciałabym wiedzieć o nim więcej, choć doskonale zdaję sobie sprawę, że powinnam zwiewać od niego, gdzie pieprz rośnie.

Rozdział 6

GABRIEL

Madison zniknęła na zapleczu jakąś godzinę temu i jeszcze nie wróciła. Nie wróciła nawet, aby posiedzieć ze swoją siostrą Milą, tą laską, która podeszła do stolika, żeby mi się przedstawić. Dlatego kombinuję, że może się przede mną ukrywać. Uśmiecham się na tę myśl. Nie wiem czemu... chyba jestem sadystą.

Odwracam się i zerkam w stronę Mili. Śmieje się, próbując zmusić męża do zjedzenia truskawki. Pax, powiedziała mi, że jej mąż tak ma na imię.

To potężny facet i wygląda na twardziela, ale z takim imieniem po prostu musi taki być. Wygląda na to, że został udomowiony, ale pewnie nie zawsze tak było. Ma spojrzenie gościa, któremu nic w życiu nie przyszło łatwo.

Mila znowu wybucha śmiechem i podnosi wzrok. Nasze oczy na moment się spotykają i przypominam sobie, co powiedziała o siostrze. „Maddy może się wydawać niezłą żołą, ale masz moje słowo, że to tylko pozory”.

Dlaczego, do diabła, to powiedziała? Jak dla mnie Maddy nie zachowuje się jak żołą. Ale ja wiem, dlaczego tak chłodno mnie traktuje. Mogę sobie wyobrazić, co wydarzyło się wczoraj w nocy. Nikt inny tutaj tego nie wie. Pewnie wszyscy myślą, że olewa mnie bez przyczyny.

Wracam do rzeczywistości, kiedy słyszę słodkie mruczenie Jacey. Moja siostra praktycznie weszła Brandowi na kolana, próbując go namówić na opowiedzenie jakichś historyjek z placu boju.

Brand posyła mi zrozczone spojrzenie nad jej jasną główką, więc lituję się nad nim i nadciągam z odsieczą. Brand może i przypomina Niesamowitego Hulka, ale Jacey zawsze potrafiła owinąć go sobie wokół palca. Biedak myśli, że nikt o tym nie wie.

– Jacey, dobrze wiesz, że nie wolno mu o tym mówić. To całe cholerstwo jest ściśle tajne. A ty nie posiadasz certyfikatu bezpieczeństwa, żeby ci o tym opowiadać.

Siostra obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

– Nie posiadam żadnego certyfikatu.

Uśmiecham się do niej.

– Właśnie w tym rzecz. Daj chłopakowi spokój. Poza tym chyba powinniśmy się zmywać. Zajmujemy tylko stolik.

– Nie idźcie jeszcze – jęczy Jacey, odgryzając kolejny kęs swojego ciastka. – Stęskniłam się za wami! A tak rzadko się widzimy, nawet teraz, kiedy od miesiący jesteście w kraju. Czy to nie dziwne? – Odgryza kolejny kęs i zwraca się do mnie tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Wypijesz jeszcze jedną filiżankę kawy. Mogę ci nawet zrobić bezkofeinową.

Zeskakuje z kolan Branda i pędzi w stronę kuchni, zanim mam okazję odpowiedzieć.

Brand uśmiecha się do mnie.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jacey nadal robi z tobą, co chce.

– Niech ci będzie. Chociaż to t o b i e siedziała na kolanach. Ale mówiąc poważnie, żal mi jej. Cały czas jej się wydaje, że nasz tata się zmieni i pewnego dnia zainteresuje się córką. Nigdy nie nabierze rozumu.

– Dlatego ty zawsze będziesz gotowy robić to, czym on powinien się zająć – mówi Brand.
– Znam cię, stary. I cholernie cię za to szanuję. Serio. Jestem pewien, że Jacey też, chociaż tego nie okazuje.

– Moja siostra jest silniejsza, niż na to wygląda – odpowiadam, przyglądając się, jak Jacey przystaje, żeby porozmawiać z jakimś facetem, który właśnie wszedł do restauracji. – Może nie afiszuje się z uczuciami względem ciebie, ale wiem, że też cię bardzo ceni.

Brand podąża za moim spojrzeniem i zatrzymuje wzrok na facecie, który rozmawia z Jacey. Coś z nim jest nie tak. Ma na sobie robocze ciuchy, jest krępy i umięśniony. Najwyraźniej wykonuje jakąś pracę fizyczną. A teraz jest niezłe wkurzony.

– Kto to? – pyta Brand.

– Nie mam pojęcia.

Nie słyszę, co mówią, ale dyskusja robi wrażenie gorącej. Twarz mężczyzny gwałtownie czerwienieje. Gdy Jacey potrząsa głową i odwraca się, żeby odejść, facet chwyta ją za ramię.

Zalewa mnie nagły gniew. Brand i ja podrywamy się z krzeseł i ruszamy w ich stronę. Kilka długich kroków wystarczy, abym znalazł się przy Jacey. Brand jest obok mnie.

– Jeśli jesteś przywiązany do tej ręki, to radzę ci, żebyś ją zdjął z mojej siostry – cedzę przez zęby. Nie muszę podnosić głosu. Wiem, że wzbudzam strach. A kiedy obok stoi Brand, razem stanowimy mur nie do przejścia. Pod każdym względem górujemy nad tym małym śmieciem.

Podnosi na nas wzrok i widzę w jego oczach strach, który za wszelką cenę próbuje ukryć. Nie spieszy się – powoli, przesadnie akcentując każdy ruch, uwalnia ramię Jacey i unosi pustą dłoń.

– Już lepiej – mówi Brand. – Sugeruję, żebyś więcej tego nie robił.

– Odwalcie się – wypluwa facet z wściekłością. – To nie wasz interes.

– Jared, lepiej będzie, jak sobie pójdziesz – wtrąca się Jacey. – Poważnie. Idź już.

Jared tylko się uśmiecha.

– To miejsce publiczne. Przyszedłem tu na kolację. Chcę, żebyś mnie obsłużyła.

– Nie ma mowy – mówi mu Jacey. – Wynoś się. Mam już tego dosyć.

– O co tu, do cholery, chodzi? – odzywam się. – Kim jest ten facet i dlaczego cię nachodzi?

Zanim Jacey może odpowiedzieć, na horyzoncie pojawia się Madison. Na widok Jareda oczy jej się rozszerzają i przez chwilę wygląda na przestraszoną, ale szybko udaje się jej to ukryć. Spokojnie do nas podchodzi.

– Co się dzieje? – zwraca się cicho do Jacey.

– Jared nie chce wyjść – wyjaśnia jej moja siostra.

– Właśnie się przymierzam, żeby mu w tym pomóc – mówię.

Facet znowu się uśmiecha.

– Spróbuj – zwraca się do mnie wyzywającym tonem. – Tylko spróbuj!

W jego zwężonych oczach widzę wyzwanie, choć jednocześnie czai się w nich strach. Ma więcej pewności siebie niż rozumu. Jeśli się nie mylę, jest również trochę pijany. Postanawiam mu pokazać, gdzie jego miejsce.

– Nie warto, żebyś tracił na ciebie swój cenny czas. Lepiej się stąd wynoś, zanim przyniesiesz sobie wstyd. Albo zanim ja cię zawstydzę.

Jared gapi się na mnie.

– Wiem, kim jesteś – mówi. – Jacey mi opowiadała o swoim dużym bracie, bohaterze wojennym. Wiesz co, dupku, teraz jesteś w Ameryce. A tutaj nie jesteś bohaterem. Więc odwal się ode mnie.

Kątem oka widzę, że Pax wstaje od stolika. Mila kładzie rękę na jego ramieniu, jakby chciała, żeby się nie mieszał. Uśmiecham się. Widocznie zauważyła, że mam wszystko pod kontrolą. Nie potrzebuję pomocy.

– Nie muszę być bohaterem, żeby sobie poradzić z takim żalonym piździelcem jak ty – odpowiadam mu spokojnie. – A teraz stąd spierdalaj.

Jared się nie rusza. Więc biorę sprawy w swoje ręce.

Chwytam go za łokieć i ciągnę do drzwi. Próbuje mi się wyrwać, ale choć jest silny, ja jestem silniejszy.

– Zaraz zadzwonię po policję – ostrzega go Madison, idąc za nami krok w krok. – Po prostu sobie idź, Jared.

– Obie jesteście dziwkami – parska, próbując się oswobodzić z mojego chwytu, żeby się odwrócić i na nią spojrzeć. – Nic ci nie zrobiłem. Nie wtykaj nosa w nieswoje sprawy.

– Jacey j e s t moją sprawą – odpowiada Madison chłodno, mijając nas, żeby otworzyć mi drzwi. – Przestań ją nachodzić. Tym razem zadzwonimy po policję.

Tym razem? Ze złością patrzę przez ramię na siostrę, która na swoje szczęście ma tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zawstydzoną. Pierwsze słyszę, że ktoś ją nachodzi.

Z półobrotu walę tym śmieciem o futrynę drzwi. Słyszę, jak Madison gwałtownie nabiera tchu, ale mam to gdzieś. Plecy tego dupka wydają głuchy dźwięk przy zetknięciu z drewnem. Wpijam palce w jego obojczyk.

– Jeszcze raz nazwiesz moją siostrę dziwką, a możesz pożegnać się z zębami – ostrzegam go. – Zrozumiałeś?

Wije się jak piskorz. Wypuszczam go i popycham mocno w stronę parkingu.

– Spierdalaj stąd.

Pluje na ziemię, po czym odchodzi wolnym krokiem.

– Masz szczęście, że miałeś ze sobą kumpli – woła do mnie. – Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

Wsiada do samochodu, a ja zerkam przez ramię. Za mną stoją Brand i szwagier Madison, tak jakbym potrzebował wsparcia, rozprawiając się z tą żalną kanalią. Potrzęsam głową.

– Możecie mi wierzyć, nie będę potrzebował pomocy. I lepiej dla niego, żeby nie było następnego razu.

Jared pokazuje mi środkowy palec, bierze ostry zakręt i z piskiem opon opuszcza parking. Odwracam się i stoję teraz twarzą w twarz z trzymającą ręce na biodrach Madison.

– Czy to naprawdę było konieczne? – pyta. – Miałam zamiar zadzwonić po gliny.

Przemoc nie była potrzebna. Mam klientów.

Jakbym dostał obuchem w łeb.

– Myślałem, że się ucieszysz, że go wywaliłem.

– Źle myślałeś. Panowałam nad sytuacją.

– Czyżby? A jak dokładnie nad nią panowałaś? Grożąc, że wezwiesz policję? Takie dupki jak on nie myślą logicznie, Madison. Musisz do nich mówić językiem, który rozumieją.

– Cóż, nie wątpię, że jesteś biegły w języku dupków – odpowiada, jeszcze chwilę mierzy mnie lodowatym spojrzeniem, po czym obraca się na pięcie i odchodzi.

Zamiast spokojnie podumać nad faktem, że kociak właśnie pokazał pazurki, kieruję wściekle spojrzenie na Jacey.

– Co to było, do cholery?

Wzrusza ramionami. Nad jej ramieniem widzę, jak Madison odprowadza szwagra do stolika i odwraca głowę, żeby porozmawiać z siostrą. Zamiast zastanawiać się, o czym gadają, skupiam się na aktualnym problemie.

Jacey.

– To były chłopak, który nie rozumie słowa „nie” – wyjaśnia. – Zwykły dupek, któremu nie spodobało się, że dostał kosza. Żaden problem.

– Tak bym tego nie ujęła – odzywa się zza moich pleców Madison.

Przyglądam się jej, zaskoczony, że zdecydowała się wrócić po odegraniu swojego małego show.

– Jego zachowanie może być problemem – dodaje. – W zeszłym roku praktycznie zaatakował moją młodszą siostrę. A teraz od jakiegoś czasu nie daje spokoju Jacey. Powtarzam jej, żeby zadzwoniła na policję, ale ona nie chce. Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć. Może ty przemówisz jej do rozumu.

Zepsuła swoje melodramatyczne wyjście, żeby wrócić i powiedzieć mi coś, co może pomóc Jacey? Interesujące.

– Madison, na Boga! – wkurza się Jacey. – Nie chcę mieszać do tego policji. To krępujące. Jared jest dupkiem, ale nie zrobi nic złego. Po prostu wysłała mi SMS-y... przysłała mi zdjęcia swojego interesu i takie tam.

Madison nie spuszcza z niej wzroku.

– On już robi coś złego. Nie tylko nie daje ci spokoju, ale przyszedł tutaj, do mojego lokalu, i zrobił scenę. – Ścisza głos i mówi do Jacey, ale i tak wszystko słyszę. – Mój tata był taki sam. Nie będzie lepiej. Ludzie mający skłonność do przemocy będą cię dręczyć, dopóki im się nie postawisz, dopóki im jasno nie pokażesz, że nie pozwolisz się tak traktować. Musisz coś z tym zrobić.

Obserwuję ją. Nawet nie wie, że właśnie dowiedziałem się o niej czegoś ważnego, czegoś, co czyni ją bezbronną. Co czyni ją dla mnie k i m ś.

Ale teraz nie mogę o tym myśleć. Muszę się zająć siostrą.

– Musimy pogadać – mówię, chwytając ją pod łokieć i prowadząc z powrotem do stolika.

– Co dokładnie się stało, kiedy zerwałaś z tym facetem?

Jacey potrząsa głową.

– Nic szczególnego. Powiedziałam mu, że to nie ma sensu, a jemu się to nie spodobało.

Ciągle wypisuje do mnie SMS-y, podjeżdża pod dom, dzwoni, a potem odkłada słuchawkę... To wkurzające, ale mu przejdzie.

– Takim narwańcom czasem nie przechodzi – wtrąca Brand. – Facet wyraźnie ma problem. Będę potrzebował jego nazwisko i adres.

Zerkam na przyjaciela. Po latach wspólnej służby dobrze wiem, do czego jest zdolny.

– Wyluzuj, żołnierzu – mruczę do niego. – Jesteśmy w cywilu. Nie będziemy składać temu dupkowi wizyty. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Zwracam się do siostry:

– Nie zostawię cię tu samej. Kiedy babcia wraca z Florydy?

Nasi dziadkowie mają w Angel Bay domek, jeszcze od czasów przed moim urodzeniem.

Kiedy byliśmy dziećmi, spędzaliśmy tu każde wakacje, ale potem dziadek zmarł, a babcia po jego śmierci nigdy nie doszła do siebie. Jacey nadal tu przyjeżdża, żeby dotrzymać babci towarzystwa, chociaż ona już od roku przebywa na Florydzie.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale nie mam pojęcia, kiedy wraca – odpowiada moja siostra. – Myślę, że spotkała kogoś w swoim ośrodku. – Przygląda mi się i kiwa głową. – Wiem. Też mi się to nie podoba. Ale z drugiej strony, dziadek zmarł wiele lat temu. Pewnie czuje się samotna.

– O Boże – mamrocze Brand. – Geriatryczny seks. Ja odpadam. Gdzie jest łazienka?

Jacey mu pokazuje, a potem siada na krześle, z którego wstał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś o tym facecie? – pytam. – Powinienem wiedzieć o takich rzeczach.

Spuszcza wzrok i gapi się na pustą butelkę po piwie, którą zostawił Brand.

– Sama sobie z tym poradzę – mówi. – Mój duży brat nie musi nadciągnąć z odsieczą,

żeby mnie ocalić.

– Wiem, że nie musi. Ale może c h c e przybyć z odsieczą i cię uratować. W końcu tym się zajmuję.

Jacey wybucha śmiechem.

– Och, super! Czyli odszedłeś z armii, a ja mam ci pozwalać się ocalać, żebyś nadal czuł się bohaterem?

– Coś w tym stylu – odpowiadam mechanicznie. W głowie już układam plan. – Myślę, że mogę tu na jakiś czas zamieszkać – mówię jej. – Za kilka miesięcy Brand i ja musimy podrzucić do Pentagonu nasze nowe uzbrojenie ochronne, ale do tego czasu jestem wolny.

– Chyba że w międzyczasie znajdę innego inwestora – wtrąca się Brand, biorąc inne krzesło i przysiadając się do stolika. – Ale jeśli nawet, to równie dobrze możesz pojechać na spotkanie stąd zamiast ze swojego mieszkania.

Przytakuję. Jacey się na nas gapi.

– Nie rozumiem tego waszego interesu – wyznaje. – Sprzedajecie uzbrojenie ochronne rządowi, tak? A czy rząd nie powinien mieć własnego uzbrojenia ochronnego?

– Ma – wyjaśnia Brand. – Tylko niezbyt dobre, bo dobry sprzęt zawsze za dużo kosztuje. Gabe i ja chcemy zaprojektować lepsze uzbrojenie, które rząd będzie mógł kupić dla każdego żołnierza. Jeśli nam się uda i jeśli namówimy armię na zakup, nikt nie będzie musiał przechodzić przez to, przez co my musieliśmy przejść.

Jacey robi nadąsaną minę.

– A ja nie mam pojęcia, co to jest, bo nie chcecie mi powiedzieć.

Brand i ja zgodnie milczymy. Jacey wzdycha.

– Wiem, wiem. Powieście mi, kiedy będziecie na to gotowi.

– Nie chodzi o ciebie, Jacey. To po prostu nie jest coś, o czym mielibyśmy ochotę rozmawiać z kimkolwiek – wyjaśnia Brand. – Pomyśl o najstraszniejszej rzeczy, jaką jesteś w stanie sobie wyobrazić. Najbardziej krwawej, najbardziej przerażającej... A teraz wyobraź sobie, że to się dzieje naprawdę. Wyobraź sobie, że twój najgorszy koszmar staje się rzeczywistością, że nie możesz się z niego obudzić. Uwierz mi, też by ci się nie chciało o tym gadać.

Jacey wygląda na poruszoną. Kładzie mi rękę na ramieniu i patrzy na nas obu.

– W porządku. Rozumiem. Ale pamiętajcie, że gdyby któryś z was chciał o tym pogadać, jestem tutaj. I potrafię słuchać.

Klepię ją po ręce.

– Dzięki, Jace. Ale wracając do bardziej aktualnych spraw, to mam zamiar trochę z tobą pomieszkać. Bez sprzeciwów, proszę.

Trochę jęczy, ale wreszcie się zgadza.

– W porządku. W sumie będzie miło z tobą pobyc. Stęskniłam się. Poza tym przypomniało mi się, że odkąd wróciłeś, babcia nie może się doprosić, żebyś przyjechał i zrobił porządek z pajakami w piwnicy. Teraz będziesz miał okazję.

Teraz ja jęczę.

– Cholera, na śmierć zapomniałem. Nie bardzo się znam na tępieniu insektów, ale Brand i ja na pewno coś wykombinujemy.

– Co niby mam wykombinować? – marudzi Brand. – Jedyne, co wiem o pajakach, to że powinienem trzymać się od nich z daleka.

– Zapłacę ci w walucie piwnej – zachęcam.

– Umowa stoi – pada szybka odpowiedź.

Zwracam się do Jacey.

– A teraz powiedz mi o Jaredzie. Co to za facet? Chcę wiedzieć, z kim mam do

czynienia.

– Cóż, nie jest najbardziej zrównoważoną osobą na świecie. Powinnam była posłuchać Maddy. Mówiła mi, co zrobił Mili, ale kiedy go o to zapytałam, powiedział, że był pijany i nie był sobą, a ja mu uwierzyłam. Problem w tym, że on ciągle jest pijany. Ale założę się, że kiedy będziesz ze mną mieszkał, zostawi mnie w spokoju. Nikt przy zdrowych zmysłach, pijany czy nie, nie zadzierzałby z tobą. Masz biceps jak moje udo.

Przywołuję w myślach obraz Mili, siostry Madison. Słodkiej, uroczej osóbką, która najwyraźniej muchy by nie skrzywdziła. Jeśli ten dupek nie miał oporów pogrywać sobie z taką dziewczyną, tym bardziej się nie zawaha pogrywać z moją ognistą siostrzyczką.

– Nie powinnaś lekceważyć takich pokręconych sukkinsynów, Jacey. Wątpię, żeby twój aktualny chłoptaş zdołał go nastraszyć. Na szczęście teraz ja tu będę. Miejmy nadzieję, że Jared będzie się po prostu trzymał z daleka i w ten sposób będziemy mieć problem z głowy.

– No dobrze – mówi Jacey. – Ale nie naśmiewaj się z Petera. Gra w zespole. Nie musi być groźny, wystarczy, że jest kreatywny.

Wywracam oczami, a ona szeroko się uśmiecha.

– Lepiej zabiorę się do sprzątanía, żeby Maddy nie świrowała. Zwykle zostaje, aż ostatni pracownik jest gotowy do wyjścia. Kiedy będziesz u mnie?

– Podjadę do domu, spakuję się i wracam jeszcze dzisiaj. Mogę być późno, ale na pewno przyjadę.

– W porządku. – Daje mi całusa w czoło, kiedy koło mnie przechodzi. – Jesteś najlepszym starszym bratem, jakiego mam. Dziękuję ci za urodzinowy zegarek. Jest wspaniały. – Wpatruje się w nadgarstek, na którym błyszczy złoty zegarek, który jej podarowałem.

– Jestem jedynym starszym bratem, jakiego masz – przypominam. – Miło mi, że zegarek ci się podoba.

Odchodzi, ale po paru krokach zatrzymuje się i ogląda na mnie.

– Ethan Eldridge właśnie zaprasza Maddy na randkę! Lepiej tam idź i zrób z tym porządek.

Podnoszę głowę i widzę, jak Madison rozmawia z tym mięczakiem, z którym widziałem ją wcześniej. Nie słyszę, co mówią, ale Jacey – tak.

– Spóźniłeś się – kręci głową. – Właśnie się zgodziła.

Dlaczego tak mnie to wkurza?

– Nie mam do niej żadnych praw, Jace – odpowiadam wreszcie. – Może się spotykać, z kim chce.

– Ale ja chcę, żeby się spotykała z tobą! Nie masz pojęcia, jak doskonale do siebie pasujecie.

Wreszcie odchodzi, a wtedy Brand pyta:

– Przywalisz mu?

Wiem, że nie ma na myśli mięczaka, który właśnie umówił się z Madison, tylko tego małego dupka, który nie daje spokoju mojej siostrze.

– Tak – odpowiadam. – Jeśli tylko się do niej zbliży.

Brand z satysfakcją kiwa głową.

– Pieprzony gnojek. Jacey nie powinna się umawiać z takimi frajerami.

– Wiem. Nie powinna się umawiać z tyloma facetami, kropka. Musi być bardziej wybredna.

Brand poważnie i mówi:

– Może to dobrze, że trochę tu pomieszkasz. To dobre miejsce, żeby spróbować stanąć na nogi i wrócić do zdrowia.

W gardle rośnie mi wielka gula, ale postanawiam ją zignorować. Bez słowa kiwam głową i gapię się w widok za oknem. Nawet z Brandem nie lubię gadać o tym całym gównie.

– Wiem, jak to jest – przypomina mi. – Każdy ma swoje demony. Tak się złożyło, że my mamy te same. I chcę ci powiedzieć, stary, że to nie twoja wina. I nie moja. Tamtej nocy trafiła się nam naprawdę gówniana fucha. Musisz przestać się za to obwiniać. Szalony Pies nie chciałby tego.

– Szalony Pies nie może już chcieć niczego. Nie żyje. A gdybym nie dał się podejść...

– Ani słowa więcej – przerywa mi Brand. – Wystarczy. Nie mogliśmy wiedzieć, co jest grane. Ani ty, ani ja. Musisz to przyjąć do wiadomości, Gabe, i ruszyć dalej.

Gapię się na niego przez minutę, wreszcie kiwam głową. Ma rację. Pobyt tu może mi naprawdę dobrze zrobić. Poza tym Brand wie, o czym mówi. Kiedy wróciliśmy zza oceanu, od razu zapisał się na intensywną terapię zespołu stresu pourazowego, z której ja zrezygnowałem. Po pierwsze, uważam, że taka terapia jest gównem warta. Po drugie, nie mogą mnie naprawić, tak jak naprawili Branda. Bo to nie on wtedy zawinił. Zawiniłem ja.

– Racja, brachu – zgadzam się. – Spróbuję sobie z tym poradzić. Jak tam twoja stopa?

Tamta noc, o której obaj chcielibyśmy zapomnieć, zostawiła nam obu trwałe blizny, tyle że innego typu. Eksplozja, która wysadziła w powietrze naszego humvee, zmiążdżyła dosłownie każdą kość w lewej stopie Branda. Praktycznie nic z niej nie zostało. Lekarze musieli ją zrekonstruować i teraz jest tam więcej stali i śrub niż kości. Jeśli się dobrze przyjrzeć, można zauważyć, że Brand lekko utyka.

– Coraz lepiej – odpowiada. – Ciągłe boli jak skurwysyn, ale wiesz, jak to mówią. Ból to tylko słabość, która opuszcza nasze ciało.

– Szalony z ciebie sukinsyn. Wiesz o tym?

– Że jak? Po odejściu z woja śpiewająco zdałem test psychologiczny. Mam na piśmie, że jestem normalny. Takie są fakty.

– Nie bardzo. Po prostu wiesz, jak udawać normalnego. Takie są fakty.

Brand wybucha śmiechem i rzuca na stół dwudziestkę jako napiwek dla Jacey.

– Nie za dużo? – podnoszę brew.

Wzrusza ramionami.

– Ma dziś urodziny. Poza tym zawsze jest splukana. Poważnie, ta dziewczyna nie potrafi planować wydatków. Powinna ruszyć tyłek i wrócić do szkoły, żeby mieć szansę na robotę, w której więcej zarobi.

Potrząsam głową na samą myśl o planach zawodowych mojej siostry.

– Gdyby zarabiała więcej, pewnie po prostu więcej by wydawała. Co chwilę ma inny pomysł na swoją przyszłość. Powinna się wreszcie na coś zdecydować. Nie może do końca życia być kelnerką.

Pomimo ostrych słów też zostawiam hojny napiwek. Jacey naprawdę potrzebuje kasy.

Brand chwilę się waha, zanim idzie w swoją stronę.

– Mówiłem poważnie. Odpocznij trochę.

Nigdzie nie widzę Jacey, więc piszę do niej SMS-a z informacją, że zobaczymy się później w domu. Idę w stronę drzwi, kiedy do głowy wpada mi pewien pomysł.

Biorę mój rachunek i zapisuję na nim krótką wiadomość i numer swojej komórki. Potem składam karteczkę i podchodzę do krzepkiego faceta obsługującego bar.

– Czy mógłby pan to przekazać Madison? – pytam.

Patrzy na mnie nieufnie, ale wyciąga rękę po liścik.

– Jasne – odpowiada.

– Dzięki – mówię.

Wychodzę, nie oglądając się za siebie, i wskakuję do swojego camaro.

Nie jest to praktyczny samochód, ale zawsze chciałem taki mieć, więc kiedy odszedłem z rangersów, kupiłem sobie najnowszy model. Rodzaj nagrody pocieszenia za rzucenie pracy moich marzeń. Kurewsko fajny samochód, ale nie na tyle dobry, żeby wynagrodzić mi to, co straciłem.

Jedna noc zmieniła moje życie na zawsze.

Jedna pieprzona noc.

A najgorsze w tym wszystkim, że nawet jeśli popełniłem błąd, to gdybyśmy byli lepiej chronieni, Szalony Pies nadal by żył, a noga Branda nie zostałaby zmiądzona.

Nie zmienimy tego, co nam się przydarzyło. Ale jeśli możemy ustrzec przed czymś takim kolejnych żołnierzy, to damy z siebie wszystko, żeby tak się stało. Musimy tylko dokończyć projekt i znaleźć kolejnego inwestora, dzięki któremu wyprodukujemy prototypy, które następnie zaprezentujemy w Pentagonie.

Proste.

Zapalam papierosa, pędząc prawie pustą autostradą. Angel Bay jest takie ciche i spokojne, prawie nic się tu nie dzieje. Może faktycznie tego mi trzeba.

I nawet nieźle się złożyło, że jest tu Madison.

Uśmiecham się na myśl o tych wszystkich zbiegach okoliczności. I o liściku, który jej zostawiłem.

„Musimy skończyć to, co zaczęliśmy”.

Rozdział 7

MADISON

Na myśl o jego liściku policzki płoną mi żywym ogniem. Znowu mu się udało wytrącić mnie z równowagi!

„Musimy skończyć to, co zaczęliśmy”.

Patrzę w lustro, kiedy zakładam kolczyki, które dostałam od rodziców z okazji ukończenia studiów. To ostatni prezent od nich.

Włosy związałam w luźny węzeł na karku, usta pomalowałam szminką, mam na sobie małą czarną sukienkę i zabójcze szpilki – seksowne czarne paseczki na gołej stopie. Właśnie tak powinna wyglądać dziewczyna, która wybiera się na randkę.

Nie wychodzę z Gabrielem. I nie mam zamiaru o nim myśleć.

Ethan przygotowuje dziś dla mnie kolację i zamierzam się dobrze bawić. Albo przynajmniej udawać, że cholernie dobrze się bawię. Wzdycham, biorę czarną kopertówkę, po czym gaszę światło i idę do auta.

Przejazd przez naszą miejscinę zabiera mi tylko dziesięć minut. Ethan wychodzi mi na spotkanie. Ma na sobie jasnobłękitny sweter, który podkreśla kolor jego oczu, i obcisłe czarne spodnie, które podkreślają kształt jego tyłka. Powinnam na niego lecieć. Więc dlaczego nie lecę?

– Myślałam, że mieszkasz w domu nad jeziorem, a nie w jednym z tych nowych apartamentowców – mówię mu, kiedy się witamy.

– Mój grafik jest tak napięty, że nie miałbym czasu zajmować się domem – wyjaśnia z uśmiechem. – Jestem niewolnikiem szpitala.

Przypatruję się mu i nie mogę się nadziwić, że ludzie powierzają swoje zdrowie (i zdrowie swoich dzieci) tym wielkim, niezgrabnym łapskom. Gdy dzielę się z nim tą refleksją, śmieje się dobrodusznie.

– Och, Maddy. Musisz mnie poznać na nowo. Myślę, że będziesz miło zaskoczona.

Wchodzimy do jego mieszkania i muszę przyznać, że jestem miło zaskoczona. Wszystko jest takie lśniące i nowoczesne, czyste i schludne. Nie tego się spodziewałam, mając w pamięci dawnego niefrasobliwego Ethana. Trudno mi to sobie wyobrazić, ale może faktycznie dojrzał.

– Pięknie się urządziłeś – mówię, obracając się dookoła, żeby wszystkiemu dokładnie się przyjrzeć. – Bardzo dorosłe mieszkanie.

– Pasuje do dorosłego mężczyzny, który tu mieszka – odpowiada.

– To prawda. I masz rację. Spróbuję zobaczyć cię w innym świetle, nie jako chłopaka, który zjadł konika polnego.

– Boże! Czy to się będzie za mną ciągnąć całe życie? Miałem wtedy dziesięć lat! Przez piętnaście lat wiele się może zmienić, Madison.

Wskazuje mi miejsce na sofie i nalewa mi wina.

– Mam nadzieję, że lubisz czerwone – mówi, podając mi kieliszek. – Na kolację będzie cielęcina, więc postanowiłem do niej podać dobrego merlota.

– Cudownie – odpowiadam, kiedy nasze palce się stykają. – Uwielbiam merlota.

Przeprasza na moment i idzie sprawdzić, co z jedzeniem. Zapachy dochodzące z kuchni są tak wspaniałe, że aż cieknie mi ślinka.

– Jestem zaskoczona, że potrafisz też gotować – wołam do niego. Mieszkanie ma aneks kuchenny, więc mogę obserwować, co robi. Zamyka piekarnik i z butelką wina w ręku obchodzi kuchenną ladę.

– Mam bardzo sprawne ręce – mówi aluzyjnie, siadając obok mnie. – Możesz mi wierzyć. Nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Naprawdę się zmieniłeś. W szkole nie umiałeś flirtować.

Ethan spogląda na mnie zaskoczony.

– Ależ umiałem! Tylko nie flirtowałem z tobą. Bałem się ciebie jak diabli. Przez cztery lata marzyłem, żeby cię zaprosić na randkę, ale obawiałem się, że twoja odpowiedź będzie miażdżąca. Nie byłaś z mojej ligi.

Teraz ja jestem zaskoczona.

– Nie z twojej ligi? Wiesz, że wszyscy nazywali cię Kenem? Tak jak tę lalkę... ponieważ byłaś taki doskonały?

Wpatruje się we mnie intensywnie.

– Opowiedz mi o tym – prosi z udawaną powagą.

Śmieję się i nagle czuję się jak za dawnych czasów, kiedy z całą paczką przychodził do mnie i paliliśmy ognisko na plaży.

Właśnie w tym problem, że czuję się jak za dawnych czasów. Nie ma między nami żadnej chemii, dokładnie tak jak wtedy.

– Co lubisz robić w wolnym czasie? – pytam uprzejmie i upijam łyk wina.

Ethan bierze łyk ze swojego kieliszka.

– Tak naprawdę to mam niewiele wolnego czasu – przyznaje. – Prawie non stop jestem w szpitalu. W domu głównie śpię albo oglądam telewizję. Nie mam czasu na przyjemności.

– A jednak teraz spędzasz wieczór ze mną – zauważam.

Ethan uśmiecha się szeroko.

– Widzisz? Powinno ci to pochwlebiać.

Udaję, że nie widzę, jak powoli się do mnie przybliża. Najwyraźniej on nie ma problemu z brakiem chemii między nami. Na domiar złego pewnie przywykł, że kobiety rzucają się na niego. Nie jest przyzwyczajony do dostawania kosza, bo te wszystkie salowe, pielęgniarki i pacjentki mają w nosie, że jest nudny jak flaki z olejem i żyje wyłącznie pracą. Jedyne, na co zwracają uwagę, to skrót „dr n. med.” na jego identyfikatorze.

Nie obchodzi ich, że brak mu ikry. Że jego ręka w taksówce nigdy nie wślizgnęłaby się pomiędzy ich uda. Że nigdy nie pieprzyłby ich na oczach taksówkarza zerkającego w lusterko wsteczne.

Cholera! Znowu myślę o Gabrielu. A co gorsza, jedna myśl o nim wystarczyła, żebym się zrobiła mokra.

Kiedy kolacja jest wreszcie gotowa, czuję ulgę, że mogę odsunąć się od Ethana i przestać udawać zainteresowanie tym, co mówi. Zamiast tego mogę skupić się na jedzeniu. Nigdy w życiu tak się nie cieszyłam na widok dymiącego półmiska z cielęciną w sosie marsala!

– Przepyszne! – mówię, biorąc do ust kolejny kęs. – Jestem pod wrażeniem.

Obdarza mnie promiennym uśmiechem.

– To dobrze. O to mi chodziło. Tak naprawdę to jedyna potrawa, którą potrafię przyrządzić.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Naprawdę?

Potrząsa głową.

– Nieee... Potrafię gotować. Po prostu chciałem, żebyś się roześmiała. Jesteś zbyt poważna, Mad. Może i wyglądasz jak ona, ale nie jesteś tą dziewczyną, którą pamiętam ze szkoły.

Czuję, że znowu się rumienię, kiedy sięgam po kieliszek z winem. Ile razy już to

słyszałam, odkąd zginęli moi rodzice? Czego właściwie spodziewają się ludzie? Na miłość boską, Mila i ja zostałyśmy sierotami! Musiałam szybko dorosnąć, a to oznaczało, że musiałam spoważnieć. Musiałam zaopiekować się siostrą, przejąć restaurację, zadbać o spłatę kredytu... żadna z tych rzeczy nie była łatwa.

Jednak nie mówię tego na głos, bo przecież nic z tego nie jest winą Ethana... ani jego sprawą.

– Cóż, wiele się zmieniło, kiedy moi rodzice umarli – mówię po prostu.

Kiwa głową w zamyśleniu.

– Tak właśnie mi się wydawało. Mama mi mówiła, że wszystko wzięłaś na siebie.

Pozwoliłaś Mili żyć własnym życiem, a sama wróciłaś do domu i zajęłaś się restauracją. To było bardzo wielkoduszne z twojej strony. Nie wiem, czy ja bym się zdobył na takie poświęcenie.

– To nie było żadne poświęcenie – protestuję. – Skończyłam przedsiębiorczość, żeby mieć co ze sobą zrobić, kiedy będę za stara na modelkę, więc było całkowicie naturalne, że ja przejmę The Hill. Żadna z nas nie chciała jej sprzedawać, a Mila chętnie by się nią zajęła, gdybym ją o to poprosiła.

– Ale nie poprosiłaś – zauważa Ethan. – Wróciłaś do domu, żeby się wszystkim zająć.

– Tak – przyznaję. – Wróciłam. Mila nigdy nie chciała mieć nic wspólnego z prowadzeniem interesów. Zawsze była artystyczną duszą. Marzyła o sztuce, a jej marzenia nie powinny umierać razem z naszymi rodzicami.

Ethan dolewa mi wina i mówi:

– Byłem na studiach, kiedy usłyszałem o twoich rodzicach. Nie miałem pojęcia, co robić. Ale naprawdę mi przykro, że to się stało. I że tak to wpłynęło na twoje życie. Rozumiem, że nie chcesz, żeby Mila rezygnowała ze swoich marzeń, i szanuję to. Ale co z twoimi marzeniami? Prowadzenie The Hill nie było twoim marzeniem. To było marzenie twoich rodziców.

– O co ci właściwie chodzi? Mam się zacząć nad sobą litować? – uśmiecham się i próbuję mówić lekkim tonem, ale moje pytanie wisi między nami w powietrzu.

Ethan potrząsa przecząco głową.

– Oczywiście, że nie. Po prostu nie wydajesz się taka szczęśliwa, jak kiedyś. I próbuję zrozumieć, dlaczego tak jest. Nie chciałem cię urazić.

– Cóż, sytuacja się zmieniła. Już nie jestem tą dziewczyną, którą pamiętasz – zauważam. – I wcale mnie nie uraziłeś.

To ostatnie nie jest do końca prawdą.

Dopijam wino i gawędzimy nad deserem o starych, dobrych czasach. O liceum, o studiach i o wspólnych znajomych. Nagle, całkiem niespodziewanie, Ethan spogląda na mnie i mówi:

– Wiem, że to głupie pytanie, biorąc pod uwagę, że tu dzisiaj jesteś... ale czy się z kimś spotykasz? To znaczy, czy się z kimś spotykasz na poważnie?

Jestem zaskoczona i przez chwilę głupio się w niego wpatruję.

– Oczywiście, że nie – udaje mi się wreszcie wydusić. – Gdybym się z kimś spotykała, na pewno nie byłby zachwycony, że umówiłam się na randkę z tobą.

Ethan uśmiecha się z wyraźną ulgą.

– W porządku. Po prostu nie byłem pewny, czy uważasz to za randkę, czy za miłe spotkanie po latach.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Szczerze mówiąc, ja uważałam, że to zwykłe spotkanie po latach, ale Mila upierała się, że to randka. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy!

– Cóż, wyglądasz pięknie i zdecydowanie nie jestem gotowy na powiedzenie sobie

„dobranoc” – oznajmia Ethan. – Masz ochotę na spacer po plaży? Pierwszy raz od kilku dni nie pada. Powinniśmy to wykorzystać. Możemy podjechać, wtedy będziesz mogła zostawić szpilki w samochodzie.

– Dobry plan. Bo za nic nie dopuszczę, żeby te szpilki znalazły się choćby w pobliżu piasku. Przez miesiąc jadłam tylko mrożone burrito, żeby na nie zaoszczędzić.

Śmieje się. Nie wie, że zwykle żywię się mrożonym burrito. Kiedy pomaga mi włożyć sweter, schyla głowę i wciąga powietrze.

– Pięknie pachniesz.

– Dziękuję. – Komplement jest miły, ale zastanawiam się, czy decyzja o przedłużeniu randki była właściwa.

Ethan mnie nie kręci, mimo że jest chodzącym ideałem.

Wskakuję do jego bmw, a on zamyka za mną drzwiczki. Dżentelmen w każdym calu. Po kilku minutach jesteśmy na plaży.

Patrzę na bezmiar oceanu.

– Wydaje się taki majestatyczny, prawda? I taki ogromny. Nad oceanem zawsze czuję się bardzo mała.

– Nigdy tak o tym nie myślałem – odpowiada. – Ale zdecydowanie jest wietrznie.

Przewracam oczami na taki brak wrażliwości na otaczające nas piękno i idę za nim wąską ścieżką biegnącą na wybrzeże.

– Uwielbiam to miejsce – mówię i biorę Ethana pod ramię.

Skoro to randka, chyba mam prawo dotknąć faceta, prawda? Wiatr jest lodowaty, a jego ramię – ciepłe. Nie ma nic złego w tym, że chcę się trochę ogrzać.

Nie pozwalam swoim myślom zbłądzić w stronę faceta, którego naprawdę chciałabym dotykać. I to nie tylko po to, żeby się ogrzać.

– Mnie też się tu podoba – odpowiada Ethan, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości. – Myślałem o pozostaniu w mieście, zrobieniu tam rezydentury, ale naprawdę chciałem wrócić do domu. Byłem miło zaskoczony, że cię tu spotkałem. Zawsze mi się wydawało, że wyfruniesz do jakiegoś ciekawszego miejsca, wiesz?

Naprawdę bardzo bym chciała, żeby moje serce zatrzepotało albo żeby hormony dały o sobie znać. Ale tak się nie dzieje.

– Cóż, nie było łatwo przestawić się z powrotem na życie tutaj. Tu wszystko jest takie... małe.

Ethan się śmieje, ale nie draży tematu. I dobrze, bo to, co mówił, było irytująco blahe.

Spacerujemy, gawędzimy, a ja nadal trzymam go pod ramię.

Wydaje się szczerze zainteresowany wszystkim, co opowiadam o The Hill, ale ja nie mogę powiedzieć tego samego na temat jego opowieści z kliniki. Jak to możliwe, że taki przystojniak jest taki nudny?

– Trochę świrowałem, kiedy pierwszy raz zakładałem cewnik. No bo pomyśl. Kto ma ochotę wziąć do ręki czyjś penis i włożyć w niego rurkę? Dzięki Bogu zwykle zajmują się tym pielęgniarki – mówi Ethan, a ja najchętniej odpowiedziałabym: „Kto chce słuchać, jak miałeś w ręce interes innego mężczyzny?”

Skupiam się więc na niesłuchaniu i w pewnym momencie widzę biegnącą w naszym kierunku postać. Z czystej ciekawości przyglądam się nadbiegającemu mężczyźnie. Kiedy zdaję sobie sprawę, kto to jest, zamieram.

Gabriel.

Nie wierzę własnym oczom! Jakby wszechświat się uparł, żeby nasze drogi ciągle się przecinały!

Jest bez koszulki, widzę, jak mięśnie na klatce piersiowej i brzuchu napinają się przy każdym ruchu. Jego ciemne włosy są zmierzwiłe i wilgotne.

Jak to możliwe, że po całym wieczorze z Ethanem jestem zimna jak lód, a jedno spojrzenie tego faceta rozpała mnie do białości?

Kiedy Gabriel nas mija, nie mogę oderwać od niego wzroku. On też na mnie zerka.

Przebiegając obok nas, trafia stopą na małą kałużę i spodnie Ethana pokrywają się kropelkami błota.

– Hej, stary! – protestuje Ethan, mierząc Gabriela gniewnym spojrzeniem. – Uważaj, co robisz!

Jestem zdziwiona, że w ogóle się odezwał, bo było jasne, że Gabriel nie zrobił tego specjalnie, ale jeszcze bardziej mnie dziwi, gdy Gabriel zatrzymuje się, odwraca i podchodzi do nas. Jego czoło lśni od potu.

– Co powiedziałeś? – pyta z niedowierzaniem. Najwyraźniej on też jest zaskoczony.

Ethan nie wydaje się już taki pewny siebie.

– Powiedziałem, żebyś uważał – powtarza ciszej. – Pobrudziłeś mi spodnie.

– Serio? Tak mi przykro! Przykro mi, że jesteś mięczakiem, który nie lubi się pobrudzić.

Ethan zaciska zęby, a Gabriel dalej drwi:

– No i co zrobisz, mięczaku? Masz jakiś pomysł?

Postanawiam interweniować.

– O co ci, do cholery, chodzi, Gabriel? Ochlapałeś go błotem. To twoja wina, nie jego. Czemu zachowujesz się jak dupek?

Patrzy na mnie, jakby poczuł się dotknięty. Może zareagował tak, bo Ethan jest ze mną? Ale po chwili na jego twarzy znów maluje się absolutna obojętność, więc pewnie się mylę.

– Zapraszam do siebie, kiedy dojdiesz do wniosku, że dziewczyna nie powinna załatwiać za ciebie takich spraw – zwraca się do Ethana. – Chętnie ci odkupię te pedalskie portki.

Powiedziawszy to, odwraca się i odchodzi.

– Ale dupek! – mamrocze Ethan. – Co to za facet?

– Brat Jacey – odpowiadam. – Nie wiem, co tu robi. Wydaje mi się, że mieszka w Chicago.

– Cóż, miejmy nadzieję, że wkrótce wróci, skąd przyjechał. Nie potrzebujemy tu takich dupków. Miasteczko jest na to za małe. Wystarczy, że mamy Paxa. – Nagle przypomina sobie, że Pax jest moim szwagrem. – Boże, przepraszam. Chodziło mi tylko o to, że kiedy się tu przeprowadził parę lat temu, wszyscy szybko zrozumieli, że lepiej nie wchodzić mu w drogę.

– Dla ciebie to chyba nie był problem – zauważam. – Przecież rzadko tu bywałeś. Poza tym Pax nie jest już dupkiem.

– Tak mówią... – Ethan nie wydaje się przekonany.

Jego ton, jego słowa... wszystko w nim mnie irytuje. Nie ma prawa oceniać Paxa. Nawet go nie zna.

Fakt, Gabriel przesadził. Mógł udać, że nie słyszał uwagi Ethana, i biec dalej. Z drugiej strony, Ethan mógł się nie odzywać. W końcu to nic takiego, że Gabriel trochę ochlapał mu spodnie.

Problem w tym, że Ethan jest mięczakiem.

A Gabriel z pewnością nim nie jest.

Wracamy do auta w milczeniu.

Kiedy zatrzymujemy się przed jego domem, mówię, że jestem zmęczona i naprawdę powinnam wracać, zamiast wstępować na drinka. Jest rozczarowany, ale nie okazuje tego.

– W porządku, Maddy. Jestem na nogach od czwartej rano, więc też padam na twarz. Ale

było miło. Powinniśmy to powtórzyć...

Następuje chwila niezręcznego milczenia. Wiem, że się zastanawia, czy mnie pocałować. Na tę myśl cała drętwieję.

Ale nie mogę wymagać, żeby czytał w moich myślach, więc rozwiązuję problem, wspinając się na palce i całując go w policzek.

– Jasne – bąkam pod nosem.

– Zadzwoń do ciebie w tym tygodniu, ok?

Kiwam głową i wsiadam do auta. Wracając do domu, usiłuję sobie to wszystko poukładać w głowie.

Nienawidzę mięczaków, ale nienawidzę również agresywnych facetów. Mój ojciec był agresywny. Nie podobało mi się to wtedy i nie podoba mi się teraz.

Nie cierpię agresywnych facetów, nawet jeśli są cholernie przystojni. Zwłaszcza jeśli są cholernie przystojni, bo tacy mnie pociągają, a wiem, że powinnam trzymać się od nich z daleka.

Nie podobają mi się faceci, którzy powinni mi się podobać, a ci, którzy robią na mnie wrażenie, nie rokują dobrze. Może moim przeznaczeniem jest samotność.

Kiedy wchodzę do pustego domu, czuję tę samotność jeszcze bardziej niż zwykle.

Zrzucam szpilki, idę do salonu i zanurzam się w fotelu z butelką wina w ręce.

Tylko butelka, kieliszek niepotrzebny.

Co, do cholery, jest ze mną nie tak?

– Madison, z tobą jest coś nie tak! – mówi Jacey, potrząsając głową. Przekopuje się właśnie przez stos wiosennych bluzeczek. – Serio. Znam dziewczyny, które chętnie oddałyby lewy jajnik, żeby tylko Ethan Eldridge umówił się z nimi na randkę, a ty mi tu jęczysz, że coś ci w nim nie pasuje. Podsumujmy, dobrze? Jest przystojny, jest lekarzem... czego ci jeszcze trzeba?

Sięgam po różową tunikę i uważnie się jej przyglądam. Wyglądałaby świetnie z moimi szarymi džinsami, więc przrzucam ją przez ramię.

– Jest lekarzem rezydentem i, owszem, jest przystojny – odpowiadam. – Może po prostu za długo go znam. A ja chcę poczuć motyle w brzuchu... wiesz, kiedy poznajesz kogoś wyjątkowego. A tak w ogóle to dlaczego przystąpiłaś do drużyny Ethana? Myślałam, że chcesz, żebym się spotykała z twoim bratem.

Jacey nie daje się zbić z tropu.

– Wczoraj Gabriel zachowywał się tak niegrzecznie, że pewnie nie zrobił na tobie najlepszego wrażenia. Pomyślałam, że nie dasz mu szansy.

Szczerze mówiąc, Gabe zrobił na mnie piekielnie dobre wrażenie.

– Pierwszej nocy nie zrobił na mnie złego wrażenia – mówię. – Ale wczoraj zachowywał się naprawdę okropnie.

Jacey triumfuje.

– Wiedziałałam! Wiedziałałam, że wpadł ci w oko! Maddy, uwierz mi, on będzie dla ciebie idealny! Po prostu daj mu jeszcze jedną szansę. Prooooooszę! Nie będzie to trudne, bo przez jakiś czas będzie teraz ze mną mieszkał ze względu na Jareda. Duży brat Gabriel bierze sprawy w swoje ręce. Zostanie tutaj co najmniej kilka tygodni. Jestem pewna, że będzie wpadał do The Hill coś zjeść. Gotowanie nie bardzo mu idzie.

Podnoszę na nią wzrok.

– Wiesz, że dostarczamy jedzenie do domu. Nie będzie musiał przychodzić.

Jacey się śmieje.

– Nieważne! Wiem, że chcesz go zobaczyć. Mnie nie oszukasz!

Pewnie, że chcę! Ale nigdy się jej do tego nie przyznam.

– Nie zależy mi, żeby go widywać. Poza tym on nie jest mną zainteresowany, więc nie ma

o czym mówić.

Mam nadzieję, że w ten sposób ostudzę zapał Jacey. Ale nie. Spogląda na mnie jeszcze bardziej zaintrygowana.

– Uważasz, że nie jest tobą zainteresowany? Tak się składa, że mogę to sprawdzić...

– O mój Boże! – jęczę. – Opuść, Jace.

– No dobra. Ale jeśli zmienisz zdanie, dam ci jego numer i będziesz mogła sama do niego zadzwonić.

Nie wie, że ten numer już mam. Nie wyrzuciłam karteczki, na której go zapisał. Obok wiadomości: „Musimy skończyć to, co zaczęliśmy”.

Rozdział 8

GABRIEL

Noc jest tak ciemna, że nie widzę nawet własnej dłoni, kiedy ją trzymam przed oczami. Jęczę, próbuję wstać, ale daję za wygraną. Usiłuję coś usłyszeć, zobaczyć, poruszyć inną częścią ciała... nic się nie udaje. Wokół poruszają się jakieś cienie, ale jestem zbyt słaby, żeby się nimi przejmować. Nic nie czuję i wydaje mi się to dziwne. Powinno mnie cholernie boleć. Przez chwilę panikuję, że jestem sparaliżowany.

Uspokajam się, kiedy do mnie dociera, że prawdopodobnie jestem w szoku. Jeszcze raz próbuję się podnieść i znowu mi się nie udaje.

I wtedy czuję ten zapach.

Krew.

Gdzieś tam są Brand i Szalony Pies. Muszę sprawdzić, czy żyją. Lekki wiatr przynosi wyraźnie wyczuwalny zapach krwi, płonącego metalu, ulatniającego się z sykiem gazu i piasku. Cholera. Zajmuje mi to całą minutę, ale wreszcie udaje mi się przewrócić na brzuch i czołgać, opierając się na łokciach.

Centymetr za centymetrem posuwam się naprzód przez pokryte pyłem miejsce jatki. Na lewo ode mnie leży pogięty kawałek naszego humvee. Czuję smród palonej gumy, bo po mojej prawej płonie opona.

I wtedy, mimo wirującego w powietrzu pyłu, dostrzegam na poboczu czyjąś twarz, zakrwawioną i pokrytą błotem. Serce wali mi jak młot, kiedy staram się tam dotrzeć, żeby się przekonać, czy to Brand, czy Szalony Pies. Kiedy wreszcie docieram na miejsce, okazuje się, że to nie jest żaden z nich.

Oczy dziewczynki są szeroko otwarte. I martwe.

Wpatrują się we mnie oskarżycielsko.

Nagle przypominam sobie wszystko. Wspomnienia uderzają we mnie jak rozpędzony pociąg.

To moja wina.

Ból w głowie nasila się, jakby wbijało się w nią milion odłamków szkła. Nagle wszystko wokół tonie w ciemności.

Budzę się zlany zimnym potem, a gardło mam suche jak pieprz.

Przez minutę leżę bez ruchu, chrapliwie wciągając powietrze i próbując się uspokoić.

Sięgam po szklankę wody, żeby zwilżyć wysuszone gardło, ale obok łóżka nie ma nocnego stolika. Zapomniałem.

Wstaję i po omacku idę do kuchni. Zegar na mikrofalni pokazuje 5.30. Niedługo wzejdzie słońce.

Biorę butelkę wody i ciężko opadam na krzesło przy kuchennym stole. Bezmyślnie gapię się w okno. Na podjeździe nie ma samochodu Jacey, co oznacza, że nie wróciła na noc. Wkurza mnie to.

Jest dorosła i normalnie mogłaby zostać na noc u chłopaka, żaden problem. Ale, do cholery, jestem tu, żeby czuła się bezpieczna. Skoro nawet nie fatyguje się, żeby wrócić do domu, nie ma sensu, żebym tu tkwił.

Wypijam butelkę wody, potem jeszcze jedną i idę do łazienki. Wtedy słyszę, jak ktoś otwiera drzwi od podwórza.

Jacey.

Wypadam z łazienki i w kilku krokach przemierzam korytarz. Jacey właśnie próbuje przemknąć przez kuchnię.

– Witaj w domu – mówię, zapalając światło.

Jacey mruga, żeby przyzwycząić oczy do ostrego światła.

– Cześć, bracie – mówi, potykając się na dywaniku. – Nie chciałam cię obudzić.

Jest pijana.

– Zdajesz sobie sprawę, że za kilka godzin powinnaś być w pracy? – zauważam, ale ona nie wydaje się tym przejmować.

– Dam radę – zapewnia. – Nie martw się, jestem dużą dziewczynką. Masz jakiś problem?

– W tym momencie nie ma sensu rozmawiać o moim problemie – mówię. – Ale możesz być pewna, że pogadamy o tym później. Jeśli jeszcze raz wrócisz do domu autem pijana, dostaniesz za swoje i to nie od Jareda. Osobiście skopię twój mały tyłek. A teraz się prześpij. Porozmawiamy, kiedy będziesz przytomna.

– Jak sobie chcesz – mamrocze, chwiejnym krokiem przemierzając przedpokój. – Tyle że nie jesteś na bieżąco. Jared nadal nie daje mi spokoju. Pisał do mnie przez całą noc. Powiedział, że ma zamiar dać ci nauczkę.

Energicznym ruchem stopy pozbywa się jednej szpilki, a następnie ze złością rzuca na podłogę drugą.

– Nie potknij się o mój but – życzliwie woła przez ramię.

Podnoszę oba buty i wrzucam je do jej sypialni. Jestem wkurzony i na durnowatego byłego chłopaka mojej siostry, i na nią. Skoro pisał do niej przez całą noc, dlaczego, do cholery, nie zadzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć?

Ale nie ma sensu teraz z nią o tym rozmawiać. Zaciskam zęby i próbuję sobie znaleźć coś innego do roboty. Czyszczę buty, zostawiam w piwnicy środek na pająki i myję samochód.

Cztery godziny później nadal mnie nosi. Jacey pochrapuje w swoim pokoju, niedługo powinna wstawać, jeśli chce zdążyć do pracy.

Idę na miasto poszukać siłowni. Podnoszenie ciężarów zawsze pozwala mi wyładować zbędną energię. Nie mogę przestać pakować tylko dlatego, że już nie jestem w armii.

Znalezienie siłowni nie zajmuje mi wiele czasu, bo w Angel Bay jest tylko jedna. Wcale mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę wielkość tej miejsciny. Dziwi mnie raczej, że w ogóle jakaś tu jest.

Kilka minut później mam już wyrobioną kartę członkowską i zmierzam do strefy wolnych ciężarów. Siłownia jest oldskulowa, nie ma w niej nic wymyślnego. Na białych ścianach wiszą plakaty z hasłami motywującymi do ćwiczeń:

Jeśli masz zamiar w coś wątpić, to zacznij wątpić w swoje ograniczenia.

Walka niepodjęta to walka przegrana.

Możesz wszystko.

Jedynym sposobem, żeby coś skończyć, jest to zacząć.

Wszystkie prawdziwe, wszystkie oklepane.

Ale co tam. Oklepane czy nie, właśnie tego typu miejsca szukałem. Robię pięćdziesiąt powtórzeń dziesięciokilogramową sztangą i zmieniam rękę. Skupiam się na równym, powolnym oddychaniu, a kątem oka zauważam szwagra Madison, który po drugiej stronie sali robi nogi. Nie powinno mnie dziwić, że ciągle spotykam kogoś znajomego. Miasteczko jest cholernie małe. Nie da się zrobić kroku, żeby na kogoś nie wpaść.

Facet zauważa moje spojrzenie. Po kilku minutach podchodzi do mnie i wyciąga spoconą rękę.

– Pax Tate – przedstawia się. – Moją żonę Milę poznałeś wczoraj. Ja nie jestem taki

towarzyski, więc nie chciałem ci przeszkadzać w trakcie kolacji.

– Pewnie była ciekawa – mówię. – W Angel Bay chyba nie ma wielu nowych ludzi.

Dzięki za pomoc z Jaredem.

Pax uśmiecha się.

– Mnie się wydawało, że masz sytuację pod kontrolą. Ale Mila uważała, że możesz potrzebować wsparcia. Zwłaszcza w konfrontacji z jej siostrą. Kobiety – wzdycha. – Potrzebuję asekuracji na ławce. Masz chwilę?

– Jasne.

Wstaję i idę za nim. Czekam, aż położy się na plecach, po czym zdejmuję z uchwytów i podaję mu stu pięćdziesięciokilogramową sztangę.

– Dlaczego Milę interesuje, co jest między Madison i mną? – pytam, jednocześnie licząc powtórzenia. Jest silny i ma kondycję. Bez problemu wyciska sztangę piętnaście razy.

– Bo Maddy nie chodzi na randki. Jesteś pierwszym facetem od dłuższego czasu, któremu okazała jakiegokolwiek zainteresowanie. Możesz mi wierzyć, że Mila nie odpuści takiego tematu.

– Przez „okazała zainteresowanie” rozumiesz, że wczoraj w restauracji nawet na mnie nie spojrzała? A potem naskoczyła na mnie, że za ostro potraktowałem Jareda?

Pax uważnie mi się przygląda, kiedy zamieniamy się miejscami. Podaje mi sztangę. Wyciskając, opowiadam mu, jak się poznaliśmy i jak Madison zdecydowanie nie chciała, aby ktoś w The Hill dowiedział się o szczegółach tego wieczoru, a już zwłaszcza jej siostra. Pax wybucha śmiechem.

– To całkiem w stylu Madison! Nie chce dawać Mili amunicji! Była wściekła, kiedy ośmieliłeś się pojawić w jej restauracji, co?

Przytakuję, odkładając sztangę na miejsce, i próbuję złapać oddech.

– Najwyraźniej.

– Cała Madison! – parska śmiechem Pax. – Ale to naprawdę świetna dziewczyna, trzeba się tylko przebić przez zewnętrzną warstwę jędzowatości. Słyszałem, jak na ciebie naskoczyła w związku z Jaredem. Może nie powinienem ci o tym mówić, ale Madison ma problem z tego typu dupkami, więc nie bierz tego do siebie. Ojciec jej i Mili łał ich matkę, więc Madison ma uraz do każdego rodzaju przemocy.

– Cholera – mamroczę. – Serio?

Pax przytakuje.

– Córki też bił?

– Nigdy nie tknął Mili. Ale nie wiem na pewno, jak było z Maddy.

Kiedy zamieniamy się miejscami, żebym mógł zrobić drugą serię, Pax zmienia temat.

– Więc zostajesz tu na jakiś czas? Czym się zajmujesz?

Wyjaśniam, dlaczego tu jestem, i opowiadam o raczkującej firmie, której jestem współwłaścicielem. Wydaje się zainteresowany DefenseTech.

– Zaawansowane uzbrojenie ochronne? Brzmi kozacko. Kojarzy mi się z Batmanem. Powiem ci, że myślimy o przebranzowaniu rodzinnej firmy i zainwestowaniu w coś nowego. Teraz jestem bardzo zajęty, ale może dzwoniemy się i umówimy na spotkanie w przyszłym tygodniu?

Taka okazja spada nam prosto z nieba! Kiedy powiem Brandowi, chyba się zesra! Zachowuję pokerową twarz.

– Jasne, brzmi świetnie. Zadzwoń do ciebie pod koniec tygodnia, żeby się umówić.

– Przypomnij mi, żebym ci dał swoją wizytówkę.

Znów zamieniamy się miejscami.

– O co dokładnie wczoraj chodziło z Jaredem? – pyta Pax. – Tak przy okazji, to totalny

dupek.

– Zgadzam się – mówię. – Daje popalić mojej młodszej siostrze, bo z nim zerwała. Myślałem, że po wczorajszej naucezce wystraszył się i da jej spokój. Ale dziś rano Jacey powiedziała mi, że wypisywał do niej SMS-y przez całą noc.

– Jest za głupi, żeby się bać. Ma więcej odwagi niż rozumu. Spralem go na kwaśne jabłko, kiedy podniósł rękę na Milę, ale to niczego go nie nauczyło. Dostaje szału, kiedy ktoś zrani jego dumę. A uważa, że twoja siostra właśnie to zrobiła, zrywając z nim. Na dodatek ty go poniżyłeś w The Hill.

Przytakuję, a Pax mówi dalej:

– Powinieneś mieć się na baczności. To niezrównoważony dupek. Ale na szczęście przewidywalny. Codziennie chodzi do Bear's Den w centrum na lunch, wieczorami też tam zwykle bywa. Może masz ochotę na hamburgera?

Gapię się na niego, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Czemu nie? Zawsze mam ochotę na hamburgera.

Pax uśmiecha się od ucha do ucha.

– To się dobrze składa, bo w Bear's Den robią najlepsze hamburgery w mieście.

Odwzajemniam uśmiech.

– Trzeba było tak od razu. Umieram z głodu.

Bierzemy szybki prysznic. Kiedy się ubieramy, zagajam:

– Słyszałem, że tamtej nocy złamałeś Jaredowi rękę.

– Powiniennem był mu złamać obie – odpowiada Pax, wciągając szary T-shirt na umięśniony tors.

– Racja – przyznaję.

Idziemy do jego auta, doskonale utrzymanego czarnego dodge'a charger z 1968 roku.

– Niezły wózek – mówię z uznaniem. – Ja mam nowego camaro, ale zawsze miałem słabość do klasycznych modeli.

Pax uśmiecha się z dumą.

– Dzięki. Mam go od lat. Ciągłe trzeba coś przy nim robić i częściej jest zepsuty niż na chodzie, ale cholernie lubię tę kupę złomu. Wskakuj. Ja prowadzę.

Bear's Den jest tak blisko, że można tam było iść na nogach, ale przejażdżka chargerem to o wiele lepsza zabawa.

Kiedy wchodzimy do tonącego w mroku baru, rozglądam się, ale nie dostrzegam nikogo znajomego.

– Jeszcze go nie ma – potwierdza Pax. – Zamówmy jedzenie i po prostu poczekajmy. Na pewno przyjdzie.

Zamawiamy po hamburgerze i piwie i siadamy w łoży na końcu lokalu. Pax zadaje mi pytania dotyczące służby w rangersach.

– Zawsze wiedziałem, że chcę to robić – mówię.

– Więc dlaczego tak wcześnie odszedłeś?

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak tam naprawdę jest. A jest cholernie brutalnie. Dawałem radę, ale pewnej nocy to gówno wymknęło się spod kontroli i zginął mój dobry kumpel. Brand i ja uszliśmy z życiem, ale wyszliśmy z tego całkiem popieprzeni.

Widzę, że Pax czuje się trochę nieswojo.

– Przykro mi, stary. Nie wiedziałem. Szanuję wszystko, co robiłeś jako ranger. Pewnie nie chcesz o tym mówić i Bóg mi świadkiem, że ja też nie mam ochoty się w tym babrać, ale gdybyś kiedyś miał ochotę pogadać, zawsze jestem chętny na piwo.

Uśmiecham się i pociągam łyk.

– Dzięki. Ludzie mnie nie rozumieją, bo sami nie przeżyli czegoś takiego.

Pax spogląda na swoją dłoń. Na kciuku ma nierówną bliznę w kształcie litery X.

Zastanawiam się, jak się jej dorobił.

– Zdziwiłbyś się, co ludzie są w stanie zrozumieć – mówi i patrzy na drzwi. – Zobacz, kto właśnie przyszedł!

Zerkam przez ramię i widzę, jak do baru wkracza Jared. Ciuchy ma przepocone i brudne, więc najwyraźniej to jego przerwa na lunch.

Składa zamówienie i kieruje się w stronę łazienki, pewnie żeby się doprowadzić do porządku. Pax wstaje i ruchem głowy wskazuje w tamtą stronę.

– Przypilnuj drzwi – mówi. – Chyba że mnie potrzebujesz?

– Nie, poradzę sobie.

Idę za Paxem do łazienki. Kiedy jesteśmy na miejscu, Pax staje obok drzwi i mnie przepuszcza. Barman przez chwilę na mnie patrzy, po czym odwraca wzrok. Nie będzie nam przeszkadzał.

Wchodzę do łazienki i cierpliwie czekam, aż dupek skorzysta z pisuaru, a potem umyje ręce. Kiedy odwraca się od umywalki, łapię go za kark i z całej siły uderzam o kabinę.

– Co, do kurwy...? – Tyle jest w stanie powiedzieć, a na jego twarzy maluje się szczere zdziwienie. I strach.

Ściskam jego tchawicę tak mocno, że nie może już mówić. Próbuje przelknąć ślinę, ale moje palce mu przeszkadzają. Uśmiecham się.

– Zamknij się – mówię mu. – I słuchaj. Chyba ci powiedziałem, że masz zostawić moją siostrę w spokoju? Jeśli się od niej nie odczepisz, gorzko pożałujesz. Jeśli zobaczę, że kręcisz się koło jej domu, parkujesz na naszej ulicy albo w promieniu dwóch kilometrów, to własnoręcznie wyrwę ci kręgosłup i każę ci go zeżreć, kość po kości. Jedno ostrzeżenie już dostałeś. To jest drugie. Trzeciego nie będzie. Nie lubię kretynów, a szczególnie takich, którzy pogrywają z moją siostrą.

Przyciskam kolano do jego brzucha, a on jęczy i patrzy na mnie z wściekłością.

– Tym razem nie żartuję. Zostaw ją w spokoju. Zrozumiałeś?

Kiwa głową, więc go uwalniam. Natychmiast rozciera szyję i rzuca mi wściekle spojrzenie.

– Twoja siostra to kłamliwa dziwka – wyrzuca z siebie. – Nie widziałem jej od wczoraj.

Bez wahania uderzam jego twarzą o brzeg umywalki i szarpnięciem za włosy podnoszę go do góry. Z ust ciekną mu strużki czerwonej śliny.

– Jesteś pieprzonym skurwysynem! – charczy, wypluwając zakrwawiony ząb.

– Wiem. Ale ostrzegałem cię, co się stanie, jeśli jeszcze raz nazwiesz moją siostrę dziwką. Zostaw ją, kurwa, w spokoju.

Odwracam się, żeby odejść, a Jared rzuca się na mnie z tyłu. Chwytam go za ramię i przetrucam przez głowę prosto na ścianę. Z ciężkim westchnieniem osuwa się na podłogę.

– Nie pogrywaj sobie ze mną więcej – ostrzegam go. – I nie pogrywaj sobie z Jacey.

– Pieprz się – mamrocze, ale nie zwracam na to uwagi.

Wychodzę, zostawiając go na podłodze.

Pax parzy na mnie.

– Sprawa załatwiona?

– Chwilowo tak. Jeśli nadal będzie podskakiwał, dostanie prawdziwy wpierdol. Może nie jest zbyt lotny, ale w końcu i do niego coś dotrze.

Pax kręci głową.

– Co za kretyn. Zaatakował cię? Słyszałem jakiś hałas.

– Tak. Od tyłu.

– Pieprzony piździelec – mruczy Pax. – Tylko marnuje tlen.

Odsuwa się od drzwi toalety i dodaje:

– Właśnie pisała do mnie Mila. Jej galeria jest na tej samej ulicy. Zatrzasnęła kluczyki w samochodzie. Możemy tam wstąpić w drodze do samochodu?

– Jasne – mówię.

Zostawiamy na barze pieniądze za lunch i wychodzimy na zewnątrz. Sklepek Mili jest dosłownie pięćdziesiąt kroków od Bear's Den. Kiedy wchodzimy, twarz Mili rozjaśnia się na widok męża.

Mila ubrana w malarski fartuch stoi na przenośnej drabince i wiesza obraz na cienkiej metalowej linie. Pax wydaje niezadowolony pomruk i natychmiast rzuca się w jej stronę. Podtrzymuje jej nogi, żeby nie spadła.

– Mila, do jasnej cholery! Złaż z tej drabiny! Chcesz skrócić kark?

Mila tylko się uśmiecha i potrząsa głową. Schodzi z drabiny, nie zwracając uwagi na jego wyciągniętą rękę.

– Pax. Nie przesadzaj. Nie jestem chora ani niepełnosprawna, po prostu jestem w ciąży. Nic mi nie będzie.

Odwraca się w moją stronę.

– Kogo ja widzę, Gabriel! Miło znowu cię spotkać. – Z zaciekawieniem wodzi oczami od Paxa do mnie. – Co robicie razem?

Pax szeroko się uśmiecha.

– A co? Jestem taki antypatyczny, że nikt się nie chce ze mną zaprzyjaźnić?

Mila się śmieje.

– Nie jesteś niesympatyczny! Jesteś nadopiekuńczy. I, rzecz jasna, możesz mieć wielu przyjaciół. Jesteś czarujący. Tylko zupełnie nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Pax zabawnie porusza brwiami.

– Ależ doskonale zdaję sobie z tego sprawę, kochanie!

Mila chichocze i zwraca się do mnie.

– Dzięki, że wpadliście, żeby mi pomóc dostać się do samochodu. Mam ciążowy umysł. Wszystko zapominam. Nikt mi nie mówił, że ciąża wpłynie na moją pamięć.

– Kochanie, spójrzmy prawdzie w oczy – mówi Pax. – Nigdy nie miałaś zbyt dobrej pamięci. Możesz winić dzidziusia za zgagę, za gazy, za przybranie na wadze... Ale nie masz prawa winić biedactwa za złą pamięć!

Mila czerwieni się i daje mu klapsa w ramię.

– Nie wygłupiaj się! Nie mam gazów. Jestem delikatnym kwiatuszkiem...

– Jak sobie chcesz, kochanie. Ale najgłośniej pierdzisz przez sen.

– O mój Boże! – Mila jest prawie purpurowa. – Udam, że właśnie tego nie powiedziałaś w obecności osoby postronnej.

Znowu zwraca się do mnie.

– Proszę, miej na uwadze, że jestem w ciąży, Gabe. Z ciałem dzieją się wtedy okropne rzeczy. – Uśmiecha się czarująco. – Co cię sprowadza do Angel Bay? Myślałam, że mieszkasz w Chicago.

Dochodzę do wniosku, że ludzie mieszkający w małych miasteczkach nie mają żadnych oporów przed zadawaniem wścibskich pytań i powinno przestać mnie to wkurzać. Zresztą akurat na Milę i tak nie mógłbym się wkurzać. To najbardziej szczerą istotą, jaką w życiu spotkałem.

– Jestem tu tylko na jakiś czas. Jacey ma problem z byłym chłopakiem i chwilowo jestem jej ochroniarzem.

– Taaa, Jared Markson ciągle nie odpuszcza, mimo że wczoraj dostał nauczkę. Mówiłem Gabrielowi, że ty też nie jesteś jego fanką. – Pax opiekuńczo otacza żonę ramieniem. – I wyjaśniłem mu dlaczego.

Mila unosi brew.

– Więc powiedziałeś mu, że złamałeś Jaredowi rękę?

Pax się uśmiecha, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Tak. I żałuję, że nie złamałem mu obu!

– To by ułatwiło sprawy – zauważam, uśmiechając się krzywo. – Ale nieważne. Zajmę się tym. Pożałuje, że pogrywał sobie z Jacey, macie na to moje słowo.

– Hm, w takim razie bądź ostrożny – ostrzega mnie Mila. – Za czasów licealnych to był całkiem porządny chłopak. Ale teraz ma problem z alkoholem i zrobił się wredny. Nie jest wart, żebyś przez niego wpadł w kłopoty.

– Nie martw się. Nic mi nie robi.

Dzwonek nad drzwiami cicho brzęczy. Odwracamy się i widzimy, że do środka weszła Madison.

Wygląda zabójczo w krótkiej spódniczce opinającej jej rozkołysane biodra i w brązowych botkach do kolan.

Jest niesamowicie gorąca. I zaskoczona moim widokiem.

– Hej, Madison! – Nie potrafię się powstrzymać. – Miło cię widzieć!

Drażnię się z nią, a ona doskonale o tym wie. Widzę, jak jej twarz najpierw zastyga, a potem przybiera swobodny wyraz, kiedy Madison próbuje ukryć zaskoczenie. Bawi mnie, ile wysiłku w to wkłada.

– Ciebie też miło widzieć! – mówi, podchodząc do nas. – Jesteś kolekcjonerem sztuki?

– Właśnie byłem z Paxem na lunchu – wyjaśniam – kiedy zadzwoniła Mila, żeby powiedzieć, że zatrzasnęła kluczyki w samochodzie. Od razu pospieszyliśmy na ratunek.

Madison zerka na siostrę.

– Ciężowy umysł?

Pax puszcza do mnie oko.

– Zdania są podzielone. Nie ma czegoś takiego jak ciężowy umysł!

Śmieję się, a Mila głośno protestuje. Jednak gwałtownie milknie i zaczyna węszyć dookoła:

– Coś ładnie pachnie.

Nos prowadzi ją do Madison, która wręcza jej papierową torbę.

– Naprawdę masz teraz węch psa gończego! To zupa. Tony powiedział, że masz zjeść wszystko, bo inaczej tu przyjedzie i osobiście cię nakarmi. Nieważne, że znowu masz poranne mdłości, jeść i tak trzeba.

Mila bierze torbę i zerka na mnie.

– Tony jest barmanem w The Hill. Jest z nami od zawsze i opiekuje się moją siostrą i mną.

– Można tak powiedzieć – komentuje Pax. Po czym dodaje cicho, tak żebym tylko ja usłyszał: – Zapowiedział, że połamię mi kolana, jeśli kiedykolwiek źle potraktuję Milę.

Uśmiecham się, bo Tony wydał mi się równym gościem.

– W takim razie – mówię Mili – muszę respektować jego polecenie.

Mila wywraca oczami.

– Mężczyźni!

Jednak posłusznie otwiera styropianowy pojemnik.

– Zjedzenie tego nie będzie łatwym zadaniem – mówi i z uśmiechem podnosi łyżkę do

ust.

Zajada, a w tym czasie Pax wychodzi na zewnątrz, żeby otworzyć jej SUV-a. Ja dyskretnie przyglądam się Madison.

Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Wygląda, jakby zeszła z okładki jakiegoś magazynu. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, jak cudownie wygląda. Większość kobiet jest tego doskonale świadoma i bezpardonowo to wykorzystują. Ale Madison chyba nie działa w ten sposób. Woli polegać na swoim niełatwym charakterku.

Dostrzega moje ukradkowe spojrzenia i kącik jej ust podnosi się w delikatnym uśmiešku.

– Widzisz coś, co ci się podoba? – pyta.

– Po prostu zauważyłem, jak bardzo ty i twoja siostra różnicie się od siebie – odpowiadam. – Nie jesteście ani trochę do siebie podobne. Ona jest drobna i ma ciemną karnację, a ty jesteś wysoka i blada.

Policzki Madison natychmiast stają się czerwone i dociera do mnie, że nie była to taktowna uwaga. Może ma kompleksy z powodu wzrostu. Kobiety są dziwne, jeśli chodzi o te sprawy.

– Bez obrazy – mówię jej. – To tylko taka obserwacja.

– Przecież się nie obrażam – kłamie.

Ratunek przychodzi w postaci dzwiku dzwonka nad drzwiami, sygnalizującego, że Pax jest z powrotem.

– Załatwione – mówi do żony. – Dobrze, że mam zapasowe kluczyki. Możesz ruszać w drogę, ciężowa główko.

– Mam jeszcze jedną prośbę – mówi Mila. – Pomogliście mi przenieść kilka pudeł na zaplecze? Rano przyjechały nowe materiały.

Pax wlepia w nią zdumione spojrzenie.

– Dobry Boże! Czyżby moje tyrady wreszcie odniosły skutek? Dziękuję, że chociaż raz nie próbowałaś dźwigać ich sama!

Idą w stronę zaplecza, a Madison zwraca się do mnie.

– Pax jest nadopiekuńczy – mówi – ale to naprawdę słodkie. Kiedy go poznałam, nie przypuszczałam, że potrafi taki być. Był zupełnie inny. Miał gówniane dzieciństwo, ale będzie świetnym tatą. A tak swoją drogą, nie wiedziałam, że się kumplujecie.

– Wpadliśmy na siebie dziś rano w siłowni. A potem mieliśmy małą sprzeczkę z Jaredem w czasie lunchu. Pax znowu stanął za mną murem, co się ceni. Ma jaja i można na nim polegać. Chyba go zapytam, czy służył.

Madison prawie się krztusi.

– Służył? – powtarza. – Masz na myśli armię? O, nie. Paxowi życie dało nieźle w kość i trochę się w tym wszystkim pogubił. Wojsko raczej go nie interesowało.

– Co masz na myśli, mówiąc, że życie dało mu w kość?

Madison wpatruje się we mnie, jej błękitne oczy są teraz prawie granatowe i bardzo smutne.

– Kiedy miał siedem lat, na jego oczach zabito jego mamę. Poprzestawiało mu się wtedy w głowie. Przez lata nie potrafił sobie przypomnieć, co dokładnie się wtedy stało. Było z nim bardzo źle. Myślałam, że już nic z niego nie będzie, ale Mila się nie poddawała. Potrafi dostrzec dobro w ludziach, jest w tym lepsza niż ja. I miała rację!

Patrzę na nią w osłupieniu. Matka Paxa została zamordowana na jego oczach. A mnie się wydawało, że ja widziałem przerażające rzeczy.

– To straszne – mówię. – Ta blizna na jego ręce... czy to stało się właśnie wtedy?

Madison przytakuje, ale wygląda, jakby poczuła się nieswojo.

– Nie powinnam o tym mówić. To jego prywatna sprawa.

Kiwam głową.

– Rozumiem. Może kiedyś przy piwie sam mi o tym opowie.

– Może. Dobrze by mu to zrobiło. W zeszłym roku zdecydował się na terapię i właśnie wtedy wszystko sobie przypomniał. Uważam, że o traumatycznych przeżyciach trzeba dużo mówić. Im więcej, tym lepiej.

Aż się wzdrygam na te słowa, bo zupełnie się z nią nie zgadzam. Nie widzę sensu w gadaniu o tym całym bagnie. Ludzie nic nie poradzą na to, co się przydarzyło tobie i tylko tobie.

– Zmieńmy temat – proponuję. – Jak się miewa twój chłopak? Oddał już do pralni swoje pedalskie portki?

Obrzuca mnie surowym spojrzeniem, ale kącik jej ust znowu delikatnie wędruje w górę. Ciekawe dlaczego? Czy jest zadowolona, że zapytałem o tego faceta? A może to taka gra w kotka i myszkę?

– Dlaczego uważasz, że Ethan to mój chłopak? – Pytanie za pytanie, klasyczny unik.

– Cóż, wczoraj odniosłem wrażenie, że jesteście raczej blisko. Głupio mi było, że przerwałem wam randkę.

Patrzy mi prosto w oczy, w jej spojrzeniu odczytuję niewypowiedziane pytanie.

Chcesz zagrać?

W moim spojrzeniu jest na to odpowiedź.

Tak.

Madison odchyła się na krześle, oczy ma utwione w mojej twarzy, powietrze wokół aż trzeszczy od napięcia. To, że się nawzajem pragniemy, jest oczywiste zarówno dla niej, jak i dla mnie, a jednak siedzimy tu i gawędzimy o jej randce z innym facetem.

Zdecydowanie bawimy się w kotka i myszkę. Tyle że w tym momencie nie jestem pewny, kto jest kotkiem, a kto myszką.

– Nie musisz się tym przejmować – mówi gładko. – Ethan i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Wcale nam nie przeszkodziłeś. Przynajmniej dopóki nie przystanąłeś i nie zacząłeś się na nim wyżywać.

– To twój gogusiowaty chłopak zaczął. I nie tknąłem go nawet palcem. Gdybym chciał się na nim wyżyć, oboje byście to zauważyli.

Madison nie odpowiada, jej twarz przypomina teraz idealnie obojętną maskę.

– Spotykałaś się z Ethanem, kiedy się poznaliśmy w klubie? – pytam. Madison nie wygląda na dziewczynę, w której stylu byłoby zdradzanie, ale kto ją tam wie? Zostałem wyszkolony w zakresie taktyki wojskowej. Gównu wiem o tym, co się dzieje w kobiecym umyśle.

Znowu się rumieni, pewnie na wspomnienie tamtej nocy, kiedy była taka chętna, żeby pojechać ze mną do domu.

– Oczywiście, że nie – odpowiada szybko, a jej dłoń ulatuje ku górze, by zatknąć kosmyk włosów za ucho. – To nie byłoby w moim stylu.

– Tak sądziłem. Ale pomyślałem, że nie zaszkodzi zapytać.

– Tak bardzo dbasz o interesy Ethana? – prowokuje mnie.

– Nie, o własne. Tak naprawdę nie lecisz na Ethana. Lecisz na mnie.

Jestem pewien, że mnie pragnie. Czuję to wczoraj wieczorem, kiedy była z Ethanem. Widziałem to w jej oczach za każdym razem, kiedy byliśmy w tym samym pomieszczeniu. Powietrze między nami trzeszczy jak naelektryzowane.

Następuje chwila wymownej ciszy, po czym Madison wybuchają dźwięcznym śmiechem. Nie takiej reakcji się spodziewałem.

– Nie brak ci pewności siebie, co?

– Nigdy. I przecież wiesz, że to prawda. Masz na mnie ochotę, odkąd się poznaliśmy. Nie posuniemy się ani o krok do przodu, jeśli się do tego nie przyznasz.

– A dokładnie do jakiego miejsca zmierzamy? – Znowu się śmieje, ale w jej oczach widzę coś, co mnie upewnia, że mam rację. Nie odpowiadam, więc dodaje: – Muszę ci się do czego przyznać. Od tej pierwszej nocy nie daje mi spokoju jedna rzecz.

– Jaka? – pytam, a serce zaczyna mi szybciej bić. Za chwilę się przekonam, co widziała. A po jej minie domyślam się, że nie było to nic dobrego.

Madison unosi podbródek i patrzy mi prosto w oczy.

– Doprowadza mnie to do szaleństwa, bo wszystko, co robiłeś później, zupełnie mi do tego nie pasuje. Całkiem się wtedy rozkleiłeś, Gabriel. Co się stało?

Brakuje mi tchu. Aż mnie skręca na myśl, że ona to wszystko widziała.

Madison czeka na odpowiedź, nie odrywa ode mnie wzroku.

– To długa historia – odpowiadam wymijająco. – Każdy ma swoje demony, a ja swoim jeszcze nie pokazałem, kto tu rządzi.

Madison jeszcze przez chwilę się we mnie wpatruje, po czym zaczyna mówić. Jej głos jest teraz miękki, prawie współczujący. Wzdrygam się. Nie potrzebuję jej pieprzonego współczucia.

– Cóż, nie na taką odpowiedź liczyłam, ale niech ci będzie. Może pewnego dnia mi o tym opowiesz. A jeśli się czegoś nauczyłam od Paxa, to właśnie tego, że każdy ma swoje demony. Nie mam cienia wątpliwości, że możesz skopać swoim demonom tyłki.

Posyła mi kolejny współczujący uśmiech, a ja nie mogę już tego znieść. Więc robię to, co umiem najlepiej. Wykonuję kolejny unik, zachowując się jak dupek.

– Cieszę się, że jesteś taka wyrozumiała – mówię. – Może w takim razie dasz mi jeszcze jedną szansę.

– Jeszcze jedną szansę? Na co?

– Na pokazanie ci mojej sypialni.

Moje bezczelne słowa nie wywołują efektu, jakiego się spodziewałem. Seksualne napięcie między nami iskrzy, ale Madison ponownie wybucha śmiechem.

Pochyla się ku mnie i mruczy mi prosto do ucha:

– Już widziałam twoją sypialnię. Jak myślisz, w jaki sposób tamtej nocy dotarłeś do domu?

Cholera.

– Czy cię zraniłem? – pytam szybko, zanim mam czas pomyśleć, jak to brzmi. W tej chwili myślę tylko o dziurze, którą następnego ranka znalazłem w ścianie w przedpokoju.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Maddy, wyraźnie zaskoczona. – Po prostu straciłeś kontakt z rzeczywistością. Miałeś za to małe nieporozumienie ze swoją ścianą. W jakiś sposób załazła ci za skórę i z pomocą pięści dałeś jej nauczkę. Ale mnie nawet nie dotknąłeś. Dlaczego pytasz?

Rozluźniam się. Dzięki Bogu!

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało – podejmuję próbę odwrócenia kota ogonem. – Chodziło mi o sytuację w taksówce, kiedy się na ciebie rzuciłem...

Moje nieudolne próby ratowania sytuacji przerywa powrót Mili i Paxa.

Dzięki ci, Boże!

Madison uśmiecha się do siostry, a ja zwracam się do Paxa:

– Hej, stary, jesteś już gotowy? Mam dziś randkę. Powinienem się zbierać.

Odwracam się w stronę Madison, żeby jej posłać złośliwy uśmieszek, ale na widok jej

miny uchodzi ze mnie całe powietrze. Przez chwilę, zanim jej twarz znów przybiera obojętny wyraz, wygląda na zdruzgotaną, a mnie zalewa poczucie winy. Nie chciałem jej ranić. Chciałem tylko odzyskać kontrolę.

Zanim mogę dodać, że „randka” jest z moim kumplem Brandem, Madison odwraca się do mnie plecami i pyta Milę o jakiś wiszący na ścianie obraz.

Wzdycham i idę za Paxem w stronę drzwi.

Czasami bycie górą nie jest tak zabawne, jak powinno być.

Rozdział 9

MADISON

O mój Boże. Co. Za. Pieprzony. Dupek.

Myśli formułują się w rytm regularnych uderzeń stóp o ubity piasek na plaży. Całą noc przewracałam się z boku na bok, a wszystko przez tego egoistycznego dupka. A teraz, proszę bardzo, jest siódma rano, a ja biegam. To całkiem nie w moim stylu. Zwykle nie czuję potrzeby, żeby w ten sposób wyrzucić z siebie złą energię i frustrację.

A jednak dzisiaj to robię. Bo nie mogę przestać myśleć o tym bezczelnym uśmiechu, z jakim mi powiedział, że na niego lecę, a potem wspomniał, że jest umówiony na randkę. Tak jakby mnie interesowało, z kim się umawia albo kogo pieprzy.

Co, do cholery, jest z nim nie tak?

„Czy cię zraniłem?” Dziwne pytanie. Jego wyjaśnienie nie trzymało się kupy, bo przecież nie rozmawialiśmy o wypadku. Rozmawialiśmy o tym, że byłam w jego sypialni.

Nie mogę przestać myśleć o tym pytaniu. I o nim.

Ponieważ interesuje mnie, z kim się spotyka. I z kim się pieprzy.

Problem w tym, że nie potrafię dostrzec w tym wszystkim sensu. Nie rozumiem, czemu tak mnie ciągnie do faceta, który ma ego większe niż stan Michigan i który najwyraźniej dźwiga na barkach niemały bagaż doświadczeń.

Każdy dźwiga jakiś bagaż, przypomina mi mój wewnętrzny głos. Nawet ty.

Pieprzyć to. Mój bagaż to nic w porównaniu z jego bagażem. Moi rodzice zginęli. Koniec. Cóż, może ze względu na relację między nimi mam problemy z zaufaniem drugiej osobie. Ale kto na moim miejscu by nie miał? Może Mila akurat nie ma, ale to pewnie dlatego, że nie widziała tego wszystkiego, co ja widziałam. Chroniłam ją przed tym.

Nic dziwnego, że nie bardzo mi idzie w związkach. Jednak moje problemy to pestka w porównaniu z demonami, które dręczą Gabriela. Nie wiem dokładnie, z czym się zмага, ale jest to o wiele straszniejsze niż wszystko, co ja dotąd w życiu widziałam. Dostrzegam to w jego oczach.

Moje rozmyślenia przerywa dźwięk SMS-a. Sięgam do kieszeni bluzy i pochylam się, żeby złapać oddech.

Odczytuję wiadomość: „Mam dziś wolny poranek. Może wspólne śniadanie?”

Ethan.

Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. W tym tygodniu napisał do mnie już kilka wiadomości, a ja albo je ignorowałam, albo zdawkowo na nie odpowiadałam. Nie mogę tak go lekceważyć – to niegrzeczne, a on na to nie zasługuje. Jestem mu winna przynajmniej tyle, żeby osobiście powiedzieć mu, że nie możemy się spotykać. A może powinnam dać mu jeszcze jedną szansę?

„Jasne. Akurat biegam; muszę zmienić ciuchy i wziąć szybki prysznic” – odpisuję.

Nie mija minuta, a już mam odpowiedź: „Świetnie. Podjadę po Ciebie za pół godziny”.

Biegnę do domu, biorę szybki prysznic i się ubieram. Ethan podjeżdża dokładnie za pół godziny. W jasnych szortach, koszuli i ze stuwatowym uśmiechem na twarzy wygląda jak model z magazynu „GQ”.

– Witaj, piękna – mówi, kiedy otwieram drzwi. – Pomyślałem, że możemy iść do tej kawiarenki na plaży w Oval Cove. Co ty na to?

– Brzmi świetnie – zgadzam się, sięgając po torebkę. – Nie byłam tam od lat.

– Muszę tylko po drodze zatankować – mówi Ethan, kiedy idziemy do jego samochodu. – A potem w drogę!

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Tak, jest nijaki. Bezbarwny. Nawet nudny. Ale go znam. A on zna mnie. Ta zażyłość daje poczucie bezpieczeństwa.

Poza tym on nigdy by nie grał w kretyńskie gierki, nigdy by mnie celowo nie zranił. Może za szybko go skreśliłam.

W drodze na stację benzynową gawędzimy niezobowiązująco. Nudna, ale bezpieczna rozmowa. Ile porodów odebrałaś w tym tygodniu? Cztery? To niesamowite! Nadal nie mieści mi się w głowie, że jesteś lekarzem!

On się śmieje, ja się śmieję i nie ma między nami absolutnie żadnej chemii. Ale jeszcze się nie poddaję.

Właściwie to komu zależy na tej całej chemii? Niektórzy żyją w zaaranżowanych małżeństwach. To dopiero nieciekawa sytuacja.

Ethan wjeżdża na stację benzynową, a ja czuję, że muszę się wysiusiać.

Nie znoszę korzystać z publicznych toalet, ale cóż, jak trzeba, to trzeba. Na szczęście ta jest zaskakująco czysta.

Po chwili idę w stronę wyjścia i zamieram w drzwiach.

Przy dystrybutorze paliwa obok Ethana stoi Jared Markson. Tankuje swoją roboczą ciężarówkę. Niech to! Po tamtym wieczorze w restauracji jest ostatnią osobą, którą chciałabym spotkać.

Przypatruję mu się. Szczeka jak u buldoga i niechlujny wygląd, choć jeszcze nie zaczął dziś pracy. Nie mogę sobie wyobrazić, co Jacey widziała w tym facecie. Już za czasów licealnych był kretynem. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Z westchnieniem przenoszę wzrok na Ethana. Nieświadomy obecności Jareda, tankuje swoje bmw, jednocześnie rozmawiając przez telefon i zerkając na zegarek.

Tak, pewne rzeczy się nie zmieniają.

Ethan jest szybki i konkretny. Idealne cechy dla lekarza, ale niekoniecznie w łóżku.

Przypominam sobie, jak Gabriel wsunął we mnie palce, a potem je oblizał. Cholera jasna. Policzki mi płoną.

Odsuwam te myśli, wychodzę z toalety i zmierzam w stronę auta Ethana. Oczywiście Jared mnie zauważa. Spuchnięta górna warga nie przeszkadza mu w rozciągnięciu ust w obleśnym uśmiechu odsłaniającym niepełne uzębienie.

Ohyda.

– Madison! – woła do mnie. – Powiedz swojej zdzirowatej przyjaciółce, żeby przestała kłamać na mój temat.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale prędzej bym umarła, niż zapytała. Próbuję nie zwracać na niego uwagi i idę dalej.

– Mad-dddyyy! – woła jeszcze głośniej i rusza w moim kierunku.

Ethan podnosi wzrok znad telefonu, bo wrzaski Jareda przeszkodziły mu w rozmowie. Nie rusza się z miejsca, nadal stoi oparty o auto i obserwuje rozwój wypadków. Nawet nie odłożył komórki.

Dzięki za wsparcie, Ethan.

Z westchnieniem zwracam się do Jareda.

– Czego chcesz? – pytam. – Nie jestem w nastroju na rozmowę z tobą.

– Powiedziałem, żebyś przekazała swojej zdzirowatej przyjaciółce, żeby przestała kłamać na mój temat. – Jared wypowiada każde słowo powoli i dobitnie, jakbym była głupia.

Patrzę na niego ze złością.

– Nie wiem, o czym mówisz, i nic mnie to nie obchodzi.
Jednak kolejne słowa wysyczone przez Jareda sprawiają, że się zatrzymuję.

– Wiesz, Jacey dobrze cię podsumowała. Jesteś zepsutą suką. Nie masz pojęcia, jaki jest prawdziwy świat. Przez całe życie wszystko miałaś podane na tacy.
Zastygam. Ogarnia mnie taki gniew, że aż mi się mieni przed oczami.

– Jacey nigdy by tak nie powiedziała – rzucam. – Ponieważ ona wie, jak było.
Jared podbiega do mnie truchtem jak atakujący kostki u nóg pies.

– A jednak powiedziała. I miała rację.
– Przecież ty też wiesz, jak było – mówię lodowatym tonem, świadoma, że kłamię, aby mi dokuczyć. – Co uważasz za podanie mi wszystkiego na tacy? To, że moi rodzice zginęli w zderzeniu z osiemnastokółową ciężarówką? A może to, że w związku z tym musiałam wrócić z Nowego Jorku i rozpocząć życie obok takich bezwartościowych sukinsynów jak ty?

– Nikt cię tu nie trzyma – warczy Jared. – Szczerze mówiąc, nawet bym wolał, żebyś się stąd zmyła. Ale zanim wyjedziesz, powiedz swojej zdzirowatej przyjaciółeczce, żeby odwołała swoje cholerne kłamstwa. Jeśli będę chciał z nią pogrywać, to to zrobię. Do tego czasu byłbym wdzięczny, gdyby nie kłamała.

– Nie jestem twoim posłańcem – cedzę przez zęby. – I żadna z nas nie jest zainteresowana tym, co masz do powiedzenia.
Próbuję się odwrócić, ale on chwyta mnie za ramię.

– Zabierz ode mnie te pieprzone łapy.
Kątek oka widzę, że Ethan robi krok w moją stronę, a potem się zatrzymuje. Już nie rozmawia przez telefon, ale nadal się nie spieszy, żeby mi pomóc. Jared szczerzy zęby w uśmiechu, jest tak blisko, że czuję jego nieświeży oddech.

– A może mnie do tego zmusisz, księżniczko.
Otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale ktoś robi to za mnie znajomym, seksownie chrapliwym głosem:

– Nie, ale ja chętnie się tym zajmę.
Gabriel.
Moje ciało natychmiast się rozluźnia, jak gdybym nieświadomie czekała, aż przybędzie i mnie uratuje.

Wypuszczam powietrze z piersi i się odwracam. Gabriel stoi na chodniku, w jednej ręce ma dwa śniadaniowe burrito, a druga, zwisająca koło uda, wyraźnie się napina. Wpatruje się w Jareda.

Ten wzrok mógłby zabić.

– Kurwa – mruczy Jared. Podnosi spojrzenie na Gabriela i mówi: – Nie mamy tu żadnego problemu, stary. Właśnie wyjaśniałem to Madison.

– Wcale nie – zaprzeczam, odsuwając się od niego. – Chciałaś, żebym przekazała Jacey wiadomość.

– Jaką wiadomość? – Gabriel unosi brew.
Jared nie odpowiada, więc robię to za niego:

– Chciał, żebym jej przekazała, że ma przestać kłamać. I nazwał ją zdzirą.
Nie mogłam się powstrzymać przed dodaniem tej ostatniej informacji. Jared sobie na to zasłużył, a ewidentnie boi się Gabriela.

Gabriel spokojnie kładzie śniadanie na dachu swojego samochodu i podchodzi do nas. Nie spuszcza wzroku z Jareda. Całkiem jakbym obserwowała lwa i jego ofiarę. Fascynujący widok.

Robię krok do tyłu.

Gabriel robi krok do przodu.

Jared się odwraca.

– Pieprzyć to – mamrocze. – Dziwka nie jest tego warta.

W kilku susach jest już przy swoim aucie i z piskiem opon odjeżdża z parkingu.

Gabriel obserwuje jego ucieczkę. Potem odwraca się w moją stronę.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Przytakuję, jednocześnie spostrzegając, że Gabriel ma na sobie ciuchy do siłowni, że koszulka ciasno opina szeroką klatkę piersiową, a materiał gładko przylega do wyrzeźbionego brzucha. Przetykam ślinę.

Nagle to wszystko przestaje wyglądać na grę. Gabriel jest poważny i skupiony, silny i groźny.

A ja go pragnę.

Znowu przetykam ślinę i spuszczam wzrok.

– Nic mi nie jest. Jared to po prostu dupek. Zawsze miał problem z panowaniem nad sobą.

– Maddy! – woła Ethan. Zainteresował się, dopiero kiedy zrobiło się bezpiecznie. –

Wszystko w porządku?

Nie dzięki tobie, myślę, rozczarowana jego postawą. Nienawidzę przemocy i nienawidzę agresywnych ludzi, ale stanięcie w obronie kogoś słabszego to zupełnie inna sprawa.

Czuję, jak wzbiera we mnie złość. Był zaledwie dziesięć metrów dalej. Mógł podejść i mi pomóc, a tego nie zrobił. Co z niego za mężczyzna?

– Nic mi nie jest – mówię, opanowując chęć wykrzyczenia mu, jakim jest mięczakiem. –

Gabriel się wszystkim zajął.

Odwracam się gwałtownie, tak żeby nie mieć Ethana w polu widzenia. Może to niegrzeczne, ale jestem wkurzona.

Chcę teraz widzieć tylko Gabriela. Chcę rozkoszować się myślą o tym, że stanął w mojej obronie. Zrobił to, choć nie musiał.

– Dziękuję – mówię mu po prostu. – Nie musiałeś tego robić.

– Nie musiałem? – pyta z powątpiewaniem w głosie. – Nie mam w zwyczaju przyglądać się czemuś takiemu z założonymi rękami. Świetnie sobie radziłaś, ale kiedy cię dotknął, gra była skończona.

Kiwam głową, bo nagle nie mogę wydobyć z siebie słowa.

Gabriel to noc, a Ethan to dzień. Nagle dostrzegam całe piękno tego układu.

Ethan jest lekarzem, który wie, jak się ratuje życie, ale nie potrafi stanąć w obronie kogoś, kto tego potrzebuje. A ja potrzebuję kogoś, kto nie jest agresywny, kto nie jest brutalny, ale potrafi wzbudzić w sobie piekielną furję, jeśli musi stanąć w czyjejs obronie.

Kogoś takiego jak Gabriel.

Gabriel został przeszkolony do tego, by chronić ludzi, nawet za cenę własnego życia. Nie jest brutalnym agresorem. Jest obrońcą.

Powinam była zauważyć to już wcześniej, ale dopiero teraz świadomość tego uderza mnie z wielką siłą. Myśl, że potrzebuję obrońcy, sprawia, że czuję się słaba. Ale świadomość, że mam obrońcę, sprawia, że czuję się silna.

Niepokonana.

Ethan ponownie wkracza w moje pole widzenia, a ja tłumię rozczarowanie i złość. To nie czas na kłótnie czy pretensje. Nie wiem, jak mogłam choć przez chwilę sądzić, że mogłoby się nam udać.

– Maddy, przepraszam cię – mówi, przenosząc wzrok z Gabriela na mnie. Widzę, że czuje się nieswojo, stojąc obok niego. – Muszę jechać do szpitala. Pacjentka ma pełne rozwarcie i

jest gotowa do porodu. Możemy przełożyć nasze śniadanie?

Szybko kiwam głową, czując ulgę.

– Oczywiście – mówię. – Nie ma problemu.

Czekam, aż sobie pójdzie, a on znowu niepewnie na mnie patrzy.

– Maddy, przyjechałaś ze mną.

No tak, zupełnie o tym zapomniałam. Rumienię się i odsuwam się o krok od Gabriela.

Moje stopy nie bardzo chcą współpracować, ale je zmuszam.

– Racja – przyznaję zmieszana. – Przyjechałam z tobą.

Gabe się uśmiecha, jakby dobrze wiedział, dlaczego tak trudno mi się skupić.

– Ja mogę cię podwieźć, skoro pan doktor się spieszy do pilnego przypadku – proponuje.

Ethan przez moment się waha, ale w końcu kiwa głową.

– Byłoby wspaniale. Naprawdę muszę już jechać. Maddy?

Patrzy na mnie, oczekując, że się zgodzę. I tak naprawdę nie mam innego wyboru, jeśli nie chcę wyjść na całkowitą zołzę.

– Nie ma sprawy – mówię. – Dziękuję, Gabriel.

– Przejazdzka z tobą to zawsze przyjemność – zapewnia, a ja mu rzucam ostre spojrzenie.

Podwójne znaczenie jego słów nie umknęło mojej uwadze. Jednak tylko mojej. Ethan jest tego zupełnie nieświadomy.

– Dziękuję – zwraca się do Gabriela, po czym odchodzi. – Zadzwoń do ciebie, Maddy – rzuca jeszcze przez ramię.

Nawet nie odpowiadam.

Gabe patrzy na mnie, w jego ciemnych oczach widzę rozbawienie.

– Co ty widzisz w tym facecie?

– Ja... eeee...

Przypominam sobie, jak Ethan z bezpiecznej odległości przyglądał się Jaredowi, który wypinał pierś jak kogucik, i nagle nie mogę powstrzymać śmiechu. Nawet nie jestem już zła. To wszystko było takie zabawne!

– Nie wiem... – w końcu udaje mi się wydusić odpowiedź. – Przyjaźnimy się od bardzo dawna. Prawdopodobnie po prostu się przestraszył. Stawanie do walki nie jest jego najmocniejszą stroną.

– To mięczak – kwituje Gabriel. – Strach jest wyborem.

Interesujące spostrzeżenie. Jestem pewna, że dla niego strach jest wyborem. Tak został wyszkolony. Jest twardy, silny i niczego się nie boi.

Z wyjątkiem tego, co powaliło go na kolana tamtej nocy w Chicago.

Podchodzimy do jego auta, sadowię się na fotelu pasażera i zapinam pas. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego facetów tak kręca sportowe auta, i prawdopodobnie nigdy tego nie pojmem.

Gabriel wyjeżdża z parkingu i rzuca w moją stronę szybkie spojrzenie.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców.

Cholera.

– Słyszałeś? – pytam, nie patrząc mu w oczy.

– Tak. Stałem zaraz za tobą – odpowiada, po czym milknie.

Nie wiem, czy nie kontynuuje tematu, bo nie jest zainteresowany, czy może nie lubi rozmawiać na takie tematy, ale tak czy siak, jestem mu wdzięczna.

– Co Jared mówił o mojej siostrze? – pyta po chwili.

– Powiedział, że Jacey kłamie na jego temat, i chciał, żebym jej przekazała, żeby przestała to robić. Nie mam pojęcia, o co konkretnie mu chodziło.

– Ja też nie wiem, ale wziął nogi zapas jak tchórz, którym zresztą jest. Stacja benzynowa

na pewno ma monitoring. To, jak cię chwycił... Mogłabyś z tym iść do sądu. Dać dupkowi nauczkę.

– Mogłabym – zgadzam się. – Ciągłe mam nadzieję, że uprzykrzenie życia Jacey w końcu mu się znudzi i po prostu się odczepi, ale może naprawdę powinniśmy zadzwonić na policję. Z drugiej strony, to by go mogło wkurzyć i wtedy nigdy się nie odczepi. Znam go od dziecka. Zawsze był dupkiem.

– Nie możesz dać mu się zastraszyć – zauważa Gabriel. – Może w szkole prześladował mniejsze dzieciaki, ale czas dorosnąć. Z drugiej strony, nie lekceważ go.

– Zmieńmy temat – proszę. – Na dziś mam dosyć Jareda.

Gabriel wreszcie się rozluźnia.

– W takim razie najpierw powiedz mi, gdzie mam skręcić, a potem wyjaśnij, dlaczego tracisz czas na tego swojego doktora.

– W lewo – mówię – a jeśli chodzi o Ethana, podałam ci prawdziwy powód. Przyjaźnimy się od lat.

– Według niego jesteście nie tylko przyjaciółmi – zauważa Gabe, skręcając w moją uliczkę. – Powinnaś skończyć tę zabawę.

– A niby dlaczego miałabym to zrobić? Nie wiesz, jakie mam wobec niego plany.

– Nie wiem – przyznaje. – Ale wiem, czego chcesz. Chcesz mnie.

– Boże. Znowu do tego wracamy? – Kręcę głową, ale jego słowa powodują, że oblewa mnie fala gorąca.

– Jacey uważa, że powinnaś się ze mną spotykać – oznajmia Gabriel, skręcając na mój podjazd.

– Ale ty się nie chcesz ze mną umawiać – odpowiadam. – Ty chcesz mnie pieprzyć. A to duża różnica.

Wzrusza ramionami.

– Zwał jak zwał.

Przeszywa mnie dreszcz. Otwieram drzwi i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Szczerze mówiąc, rzadko robię to, co radzi twoja siostra. Jest szalona.

– Jest – zgadza się Gabriel. – W większości przypadków. Ale akurat tym razem ma rację.

– Doprawdy?

– Tak. Powinniśmy to sprawdzić. Wiesz, tak dla pewności. Co powiesz na kolację w sobotę?

No proszę, znowu gramy w naszą małą grę.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, czeka, aż się zgodzę. Najwyraźniej nie bierze pod uwagę, że mogłabym odmówić.

Nie mogę patrzeć na jego wspaniałe wyrzeźbione ciało, jeśli mam to zrobić. Nie mogę przypominać sobie, jak stanął w mojej obronie.

Ponieważ jest coś, czego o nim nie wiem.

Coś, co sprawiło, że tamtej nocy całkowicie stracił nad sobą panowanie, co zamieniło silnego obrońcę w niebezpiecznego, nieobliczalnego człowieka z całej siły uderzającego pięścią w ścianę. A ja nie mam pojęcia, czym to c o ś jest.

– Jesteś pewny siebie – mówię mu. – Cholernie pewny siebie. Miło, że chociaż twój grafik pewnie jest zapełniony licznymi randkami, znalazłeś dla mnie chwilę. Ale nieważne. W sobotę nie mogę, przykro mi.

Tak naprawdę nie mam żadnych planów, ale Gabriel nie musi o tym wiedzieć. Jeśli on może przy mnie opowiadać o swoich randkach, to ja mogę przy nim opowiadać o moich. Nawet jeśli są wymyślone.

Wygląda na zaskoczonego. Zaczyna coś mówić, ale go nie słucham. Obracam się na pięcie i idę w kierunku domu, cały czas czując między łopatkami spojrzenie jego ciemnych oczu. Ignoruję to.

Ale nie mogę zignorować faktu, że wszystko w tym facecie sprawia, że nogi uginają się pode mną. Nie mogę zignorować, że jedno jego spojrzenie sprawia, że krew w moich żyłach płonie żywym ogniem.

A przede wszystkim nie mogę zignorować pytania, które cały czas leży mi na sercu, choć dopiero niedawno sama się przed sobą do tego przyznałam.

Czy wszystkie dobre rzeczy, które o nim wiem, są w stanie sprawić, żebym zapomniała o jego mrocznych sekrecie?

Rozdział 10

Dzisiejszy dzień należy do wyjątkowo monottonnych. Złożyłam zamówienie na dostawę na następny miesiąc i wypiliśmy cztery filiżanki kawy, która zapewniła mi wystarczająco dużą dawkę kofeiny, żeby się zająć kolejną sprawą na mojej liście, mianowicie zadzwonieniem do Jacey i upewnieniem się, że pojawi się dziś w pracy na czas.

Ostatnio ma zwyczaj wracać z klubów do domu nad ranem, a potem spóźniać się do pracy. Był to nawet niezły sposób na życie, kiedy byliśmy nastolatkami, ale już nimi nie jesteśmy. Pora dorosnąć.

– Tak – wzdycha Jacey do słuchawki. – Wstałam. Wzięłam prysznic. Niedługo będę. Nie musisz mnie sprawdzać. I co zrobiłaś rano mojemu bratu? Powiedział, że tylko cię podwiózł, ale był zły jak osa.

– Nic. Po prostu mu powiedziałam, że nie mogę się z nim umówić na sobotę.

– Boże – jęczy Jacey. – Nie możecie się w końcu ze sobą przespać? Oboje tego chcecie i oboje będziecie szczęśliwsi, kiedy to się wreszcie stanie.

Zaczynam myśleć, że ma rację, ale jej tego nie mówię.

– Nieważne. Czeka z wypłatą już na ciebie czeka.

– Ok. Już się zbieram.

Rozłączamy się, a ja z rozpaczą patrzę na chwiejącą się niebezpiecznie stertę papierów na biurku. Postanawiam zrobić sobie krótką przerwę i biegnę do sali restauracyjnej, żeby rozprostować kości. Kiedy wchodzę, Tony przywołuje mnie zza baru.

– Hej, Maddy! Właśnie dzwoniła twoja siostra, chciała wiedzieć, czy po pracy przywieziesz jej zupę. Pax pojechał na tydzień do Hartford, a ona nie czuje się dzisiaj dobrze. Pomyślałam, że mogłabyś podjechać z tą zupą od razu.

Ogarnia mnie niepokój. Mila nie jest skłonna do narzekania. Nawet umierająca i tak próbowałaby wziąć się w garść.

– A co się dzieje? – dopytuję, opierając się o bar. – Czy to ciągle poranne mdłości, czy coś innego?

Tony potrząsa głową.

– Nie mówiła. Powiedziała tylko, że czuje się gorzej niż zwykle i że ma zamiar zostać dziś w łóżku.

– Cholera. To zupełnie nie w jej stylu. Mam nadzieję, że nie złapała grypy. Jeśli coś przygotujesz, to od razu do niej pojedę.

– Już zapakowane. – Tony uśmiecha się szeroko, wręczając mi dużą torbę z jedzeniem. – Dołożyłem paczkę krakersów, może jej dobrze zrobią na żołądek.

Podrzucenie siostrze jedzenia to żaden problem. Mieszka tylko kilka minut stąd, w domu przycupniętym na brzegu urwiska. Zanim się pobrali, dom należał do Paxa. Jest niezwykle piękny.

Pukam do drzwi, a kiedy Mila wreszcie mi otwiera, zaczynam się na serio martwić. Jest bardzo blada, a jej normalnie skrzące się oczy są całkowicie pozbawione blasku.

– Co się dzieje? – pytam, idąc za nią w głąb domu. – Co ci dolega? Dokuczają ci poranne mdłości? Przecież to nie jest normalne, prawda? Na tym etapie nie powinnaś już ich mieć?

– Nie wiem – jęczy. – W nocy strasznie bolał mnie brzuch, nawet nie zmrużyłam oka.

Pomagam jej usiąść na wysokim stołku i zabieram się za odpakowywanie lunchu.

– Kiedy Pax wyjechał?

Mila opiera głowę na skrzyżowanych przedramionach.

– Wczoraj. Nie mów mi, że jestem chora, bo natychmiast wróci do domu. W tym tygodniu spotyka się z dziadkiem.

– Sama nie wiem, Mi. Wyglądasz raczej nieciekawie.

– Właśnie dlatego nie chcę, żeby wracał. Miej serce. To zwykła żołądkówka. Nie chcę, żeby tu był i nasłuchiwał za każdym razem, kiedy jestem w łazience. To krępujące.

Wzdycham.

– Dobrze. Na razie do niego nie zadzwonię. Ale musisz mi obiecać, że będziesz odpoczywać. Przywieźć ci coś jeszcze?

Potrząsa głową.

– Nie. Skończę zupę, a potem wskakuję do łóżka i zasypiam.

– Posiedzę z tobą jeszcze chwilę.

Mila uśmiecha się słabo.

– Jesteś tak samo nadopiekuńcza jak Pax.

Nie odpowiadam, bo wiem, że ma rację.

– A co u ciebie? – pyta między kolejnymi łyżkami zupy. – Jak się udała randka z Ethanem?

Wywracam oczami.

– Ostatni raz posłuchałam twojej rady co do mojego życia miłosnego. Było drętwo, nudno, nijako... I Ethan dokładnie taki jest.

– Biedny Ethan – odpowiada Mila współczująco. – Nie jego wina, że taki jest.

– Wiem – przytakuję ze smutkiem. Bo naprawdę to wiem.

– Zupa jest świetna – Mila gładko zmienia temat. – Podziękuj ode mnie Tony’emu.

Zjada kolejną łyżkę, a ja upijam łyk kawy. Gdy to robię, słyszę wyciszony dźwięk telefonu w torebce. Wyciągam go, odczytuję wiadomość i nie wierzę własnym oczom.

„Tu Gabriel. Muszę Ci coś powiedzieć”.

Sam widok jego imienia na ekranie mojego telefonu wystarczył, żeby przyspieszył mi puls. Nie mogę oderwać od niego wzroku. To, oczywiście, przykuwa uwagę Mili, która przestaje jeść i patrzy na mnie z zainteresowaniem.

Odpowiadam: „Skąd masz mój numer?”

Uśmiecham się do siebie, a Mila pyta:

– Kto to?

– Nikt – odpowiadam krótko.

Wywraca oczami, ale drąży dalej.

Telefon znów dzwięczy.

„Od Jacey, rzecz jasna”.

„Jacey ma za długi język” – odpowiadam.

Odpisanie zajmuje mu zaledwie parę sekund.

„Cholernie długi”.

Czuję, że brak mi tchu, kiedy odpisuję: „Co mi chciałeś powiedzieć?”

Po chwili przychodzi wiadomość: „Tamtego wieczoru byłem na randce z Brandem”.

Kiedy czytam te słowa, czuję niesamowitą ulgę. Ale nie mogę dać tego po sobie poznać.

Dlatego piszę: „Myślisz, że ma to dla mnie jakieś znaczenie?”

Bezczelność Gabriela nie zna granic. Odpisuje:

„Jestem pewien, że ma”.

Zanim mam czas odpisać, przysyła kolejną wiadomość:

„A dla mnie ma znaczenie, że wprowadziłem Cię w błąd. Przepraszam Cię za to”.

Zamieram, zdumiona tymi przeprosinami. Gabriel nie wydaje się facetem, któremu łatwo

przychodzi przeproszanie. Jest zbyt pewny siebie, zbyt władczy, całkiem jak mój ojciec. Tacy ludzie nieczęsto przepraszają.

A jednak to zrobił.

Niemal słyszę aksamitny głos Gabe'a wypowiadający te słowa. Przez moje ciało przepływają fale ciepła, a w głowie pojawiają się przeblyski wspomnień. Gabriel wyrzucający Jareda z The Hill, stający w mojej obronie, kiedy Jared zaatakował mnie na stacji benzynowej...

Tak naprawdę mój ojciec bardziej przypominał Jareda. Gabriel wcale taki nie jest.

Odpowiadam mu: „W porządku”.

A wtedy on pisze coś, co sprawia, że serce podchodzi mi gardła.

„Tak dla Twojej informacji: na następną randkę pójdę z Tobą”.

„To groźba?” – odpisuję i po prostu muszę zachichotać.

Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Mila zaczyna się niecierpliwić moją tajemniczością, wywraca oczami i mamrocze coś o tym, jaka jestem uparta.

I wtedy przychodzi odpowiedź Gabriela: „Nie, to obietnica”.

„Jest COŚ, co musimy dokończyć” – piszę szybko, żeby zdążyć, zanim się rozmyślę.

Przeszywa mnie dreszcz, kiedy wrzucam telefon z powrotem do torebki i odwracam się w stronę Mili.

– To był...? – pytająco podnosi brew.

– Gabriel – mówię. – Brat Jacey.

– Och, wiem, kim jest Gabriel – śmieje się Mila. – Co jest grane?

Opowiadam jej, jak po randce z Ethanem jestem zimna jak lód, a jedno spojrzenie Gabriela sprawia, że moja krew płonie.

Mila wybucha serdecznym śmiechem.

– O mój Boże! Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę! Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Mad. To cudownie!

– To dlaczego czuję się przerażona?

– Bo to jest przerażające. Kiedy poznałam Paxa, też byłam przerażona. Był taki popapwany, a jednak go kochałam. Bo to on był mi przeznaczony. I zobacz, jak wszystko się pięknie ułożyło i jacy szczęśliwi jesteśmy teraz. Wiem, że Gabriel dźwiga jakieś brzemie. Widzę to w nim. Ty na pewno też to widzisz. Ale cokolwiek go dręczy, razem sobie z tym poradzicie.

– Tak myślisz? – pytam, a moja siostra kiwa głową.

– Ja to wiem.

– Zobaczymy – mówię stanowczo. – Nie chcę skończyć zapłakana, kiedy on straci panowanie nad sobą o jeden raz za dużo. Nigdy nie będę jak mama.

Mila spuszcza wzrok. Pamięta o wiele mniej niż ja z burzliwego związku rodziców. Kiedy się kłócili albo mama płakała, brałam Milę na plażę, żeby się z nią tam pobawić. Nie widziała tego wszystkiego, co ja, ale wie, co się działo.

– Wiem – odpowiada cicho. – Tata miał problemy z panowaniem nad gniewem. Ale Gabriel nie jest tatą. A ty nie jesteś mamą. Zaufaj mi, powinnaś dać mu szansę. Mam przecucie, że to mężczyzna dla ciebie.

Przyglądam się jej zmęczonej twarzy i szczupłym ramionom.

– Przepraszam, siostrzyczko. Siedzę tu i zamęczam cię swoimi problemami, a ty powinnaś odpocząć. Marnie wyglądasz. Chodź, położymy cię do łóżka.

Chcę jej pomóc podnieść się ze stołka, ale nagle nieruchomieje.

– Auć – mamrocze. Jej ręka opada brzuch.

Kiedy widzę jej przerażoną twarz, sama zaczynam się bać.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nie wiem. Mam skurcze.

Przez chwile masuje brzuch, potem ostrożnie wstaje ze stołka i zastyga w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje? – pytam nerwowo.

I wtedy to dostrzegam. Krew spływa szkarłatnym strumyczkiem między jej gołymi nogami i na podłogę. Z gardła wyrывa mi się zduszony okrzyk. Łapię ją za ramię, ciągnę w stronę krzesła i pomagam usiąść.

– Wszystko w porządku? Boli cię?

Miotam się jak oszalała, nie wiem, co robić.

– Tylko coś na siebie włożę i pojedziemy do lekarza, dobrze? – mówi Mila spokojnie.

Kiwam głową i biegnę do jej pokoju na górze.

– Wezmę twoje rzeczy – wołam przez ramię. – Nie ruszaj się z miejsca. Może powinnaś zadzwonić do doktora?

Kiedy przekopuję się przez szuflady, żeby znaleźć spodnie od dresu i podkoszulek, słyszę, jak rozmawia przez telefon. Gdy zbiegam na dół, Mila właśnie odkłada telefon. Jej twarz jest przygnębiona i blada.

– I co powiedzieli? – dopytuję, podając jej ciuchy.

– Żeby natychmiast przyjechać.

Nagle gwałtownie nabiera powietrza. Łapię ją za ramię.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem – mamrocze, wkładając ubranie. – Skurcze stały się silniejsze. Zupełnie nagle.

Nawet ja wiem, że coś jest nie tak. Kobiety w ciąży nie powinny mieć skurczów. A już na pewno nie powinny krwawić. Teraz rozumiem Paxa, bo gdybym mogła, też zaniósłabym Milę do auta na własnych rękach.

Pax.

– Powinnam zadzwonić do Paxa – mówię i czuję ulgę. On będzie wiedział, co zrobić.

Jednak Mila potrząsa głową.

– Może to nic groźnego. Poczekajmy, aż się dowiemy. Nie chcę, żeby się martwił.

Ale jej twarz zdradza prawdziwe uczucia. Jest przerażona.

Biorę głęboki wdech, sadowię ją na przednim siedzeniu, a potem ustanawiam nowy rekord szybkości, kiedy pędzę z nią do lekarza. Biorę kolejny głęboki wdech, kiedy pomagam jej wsiąść i widzę rozmazaną na fotelu krew.

Na szczęście nie musimy czekać, lekarka od razu zaprasza Milę do gabinetu. Pomagam siostrze przebrać się w to okropne papierowe wdzianko, a potem trzymam ją za rękę podczas badania USG.

– Mmmmm... – doktor Hall zastanawia się nad czymś, poruszając głowicą ultrasonografu po brzuchu Mili.

– Co się dzieje? Czy coś widać? Czy jest bicie serca? – dopytuje Mila.

Lekarka podnosi na nią wzrok.

– Tak, słyszę bicie serca – zapewnia. – I to mocne. Ale widzę tu coś, co jest powodem do niepokoju.

– O Boże! – wykrzykuje Mila. Jej palce zaciskają się na moich odrobinę mocniej. – Co to jest?

Lekarka wpatruje się w ekran, po czym wskazuje na okrągłą ciemną plamę tuż koło płodu.

– Widzicie tę czarną plamę?

Mila i ja przytakujemy.

– To krwiak podkosmówkowy. Mówiąc po ludzku, to krew, która zebrała się między łożyskiem a ścianką macicy. Czasem dzieje się tak na skutek poważnego urazu, ale najczęściej bez wyraźnej przyczyny.

– Co to oznacza? – szepcze Mila.

Twarz doktor Hall jest poważna.

– To znaczy, że jeżeli krwi będzie przybywać, może dojść do odklejenia łożyska, które polega na tym, że łożysko odrywa się od macicy. A to może być śmiertelne dla dziecka i zagrażać życiu matki.

– O mój Boże! – wyrywa mi się.

Mila z trudem przełyka ślinę.

– Co możemy z tym zrobić?

– Cóż, gdyby krwi było niewiele, nie martwiłabym się tak bardzo. Niestety, zbierała się już spora ilość. Musimy mieć to pod kontrolą i zrobić wszystko, żeby krwi nie było więcej. Najlepszym sposobem będzie położenie cię do łóżka. Dalszą część ciąży spędzisz na leżąc. Możesz wstawać tylko do łazienki. Żadnego seksu, żadnych spacerów, jak najmniej ruchu.

Lekarka milknie, żebyśmy mogły przyswoić te informacje.

– Jakie są rokowania? – pyta Mila.

– Biorąc pod uwagę ilość zebranej krwi, powiedziałabym, że możliwość przedwczesnego porodu wynosi jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent. W dwudziestym tygodniu ciąży płód nie ma szans na przeżycie, jeśli dojdzie do porodu, dlatego tak ważne jest, żebyś leżała. Zostawiam cię na noc w szpitalu, żebyśmy mogli uzupełnić płyny. Jesteś odwodniona. A potem odpoczywaj w domu i bądź dobrej myśli.

Mila kiwa głową.

Kiedy sięgam po jej rękę, jest jeszcze zimniejsza niż wcześniej.

– Nie martw się – mówię. – Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Patrzę gniewnie na lekarkę, ostrzegając ją wzrokiem, żeby nie odważyła się powiedzieć nic innego. Wiem, że to wszystko nie jest winą doktor Hall, ale denerwuje mnie jej rzeczowy ton. Rozmawiamy o mojej siostrze, która przecież potrzebuje wsparcia.

Doktor Hall powtarza, że mamy jechać prosto do szpitala, i wychodzi. Pomagam Mili wstać, a następnie się ubrać.

– Kiedy tylko znajdziesz się w szpitalu, dzwonię do Paxa – mówię – a on niedługo tu będzie.

Kiwa głową, nie próbuje już protestować. Od lat opiekuję się moją małą siostrzyczką, więc świadomość, że oto stoimy w obliczu czegoś, przed czym nie jestem w stanie jej obronić, jest nie do zniesienia.

– Będzie dobrze – powtarzam, pomagając jej usiąść w samochodzie. Opiera głowę o okno i nie odpowiada. Przełykam gulę w gardle, uruchamiam samochód i ruszam w kierunku szpitala. To nie może się stać, myślę. W ciągu ostatnich lat Mila i Pax kilka razy omal nie stracili siebie nawzajem. Nie mogą stracić swojego dziecka.

W szpitalu zjawia się pielęgniarka z wózkiem i wiezie Milę na oddział, a ja wypełniam papiery i dzwonię do Paxa. Odbiera po drugim sygnale, prawdopodobnie zaniepokojony na widok mojego numeru. Nigdy do niego nie dzwonię, kiedy jest poza miastem.

– Madison?

– Cześć, Pax. Mamy problem. Musisz wracać.

Opowiadam mu, jak wygląda sytuacja, a on praktycznie rzuca słuchawką, tak się spieszy, żeby wracać do domu. Po dziesięciu minutach przysyła mi wiadomość:

„Biorę służbowy odrzutowiec. Będę za trzy godziny. Przekaż Mili, że jestem w drodze”.

W gardle znowu mam gulę, ale staram się ją przełknąć i idę do pokoju Mili. Leży na łóżku podłączona do różnych kabli i monitorów, pod kroplówką. Wydaje się taka mała wśród tego całego sprzętu.

– Hej – mówię miękko, podchodząc do łóżka. Wpatruje się we mnie wielkimi zielonymi oczami.

– Hej. Dzięki, że zadzwoniłaś do Pixa. Napisał, że już jest w drodze.

– Oczywiście.

– Jestem taka śpiąca – mówi Milla, zamykając oczy. – Zdrzemnę się trochę, dopóki go nie ma, ok?

Kiwam głową.

– Jasne. Posiedzę z tobą, dopóki Pax się nie zjawi.

Przytakuję, nie otwierając oczu.

Kiedy jestem już pewna, że zasnęła na dobre, idę do sklepika na dole i kupuję parę czasopism. W drodze powrotnej, czekając na windę, rozglądam się dookoła i widzę trzyosobową rodzinę w poczekalni ostrego dyżuru. Tata, mama i synek.

Siedzą przytuleni do siebie, z policzkami mokrymi od łez, jakby chcieli wspólnie stawić czoło światu. Przez chwilę na nich patrzę, a wtedy matka podnosi wzrok i napotyka moje spojrzenie. W jej oczach jest tak nieopisany ból, że moje serce zamiera. Przeżyli coś strasznego. Znam to uczucie.

Wracają do mnie wspomnienia dnia, kiedy zginęli moi rodzice. Telefon od Mili, jej szloch w słuchawce.

Ja stojąca na środku ulicy w Nowym Jorku, podczas gdy mój świat właśnie się zawalił.

Lot do domu.

Wybieranie trumien.

Zamawianie kwiatów.

Pogrzeb.

Obezwładniający ból, który sprawiał, że ciężko było cokolwiek zrobić, nawet przełykać ślinę czy oddychać.

Poczucie winy.

Poczucie winy.

Poczucie winy.

Świadomość, że nienawidziłam ojca za to, że krzywdził matkę, ale jednocześnie go kochałam.

Poczucie, że zdradzałam matkę, kochając go, a jednocześnie świadomość, że ona też go kochała. Gorąco i bezgranicznie.

Dlatego nie odchodziła.

Ten jeden dzień zmienił mnie na zawsze. Nauczyłam się, że każdy, kogo kochasz – nawet jeśli jednocześnie kochasz go i nienawidzisz – może ci zostać w jednej chwili zabrany, a ty nie możesz nic zrobić, żeby to zmienić.

Byłam bezradna. Bezsilna. I nienawidziłam tego uczucia każdą cząstką swojego jestestwa.

– Proszę pani?

Moje rozmyślenia przerywa niepewny głos. Zaskoczona podnoszę oczy i widzę kobietę przytrzymującą dla mnie drzwi windy.

– Jedzie pani na górę? – pyta, przyglądając mi się życzliwie.

Kiwam głową, bo cholerna gula w gardle nie pozwala mi nic z siebie wydusić. Ta sama

gula była tam w czasie pogrzebu rodziców.

Wchodzę do windy, opieram się o ścianę i próbuję głęboko oddychać, pozbyć się znienawidzonej guli.

Potem biegnę korytarzem, żeby się upewnić, że z Milą wszystko w porządku, że nic strasznego się nie stało, kiedy mnie nie było. Kiedy ją opuściłam.

Opuściłam ją wtedy, gdy wyjechałam do Nowego Jorku. I opuściłam ją teraz.

Otwieram drzwi i widzę, że nadal spokojnie śpi, z piąstką przyciśniętą do twarzy.

Oddycham z ulgą. Nie mogę stracić Mili. Przeszła przez zbyt wiele, zasłużyła na szczęśliwe zakończenie. Jeśli teraz bym ją straciła, nie wiem, co by się ze mną stało.

Opadam na krzesło i pozwalam czasopismom ześlizgnąć się na podłogę.

Minuty zamieniają się w godziny i wreszcie do pokoju wpada Pax.

Patrzę na zegarek. Jest ósma wieczorem. Przyjechał pół godziny przed czasem. Nie wiem, jak tego dokonał. Pewnie też pobił rekord prędkości.

– Co z nią? – pyta z niepokojem, odsuwając krzesło po drugiej stronie łóżka. –

Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

Jego twarz szarzeje, kiedy patrzy na śpiącą żonę, taką kruchą i bezbronną.

– O mój Boże. Nie mogę w to uwierzyć! Co powiedział lekarz? Dlaczego tak się stało?

Powtarzam mu, co powiedziała doktor Hall. Twarz Paxa robi się coraz bledsza.

– Jej życie może być zagrożone? – szepcze.

Kiwam głową.

– Jeśli łożysko oderwie się od ścianki macicy, to tak. Dlatego musi leżeć. Kiedy stoi, siła grawitacji ciągnie macicę ku ziemi i w ten sposób wzrasta ryzyko oderwania łożyska. Musi dużo wypoczywać.

– O to możesz być spokojna. Aż do porodu nie będzie się ruszać.

– To będą długie cztery miesiące – mówię. – Musimy przypilnować, żeby niepotrzebnie nie wstawiała.

– Przywiążemy ją, jeśli będzie trzeba – odpowiada i w tym momencie Mila otwiera oczy.

– To nie będzie konieczne – mówi miękko, uśmiechając się do męża. – Będę grzecznie leżeć w łóżku i wszystko będzie dobrze. Madison mi to obiecała.

– Cóż, skoro Madison ma to wszystko pod kontrolą... – Pax odwzajemnia uśmiech i pochyla się, żeby pocałować ją w czoło.

– Nie pozwoli, żeby coś mi się stało – oznajmia Mila z przekonaniem i dodaje: – Wcale się nie boję, naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

– Masz rację – zgadza się z nią Pax. – Wszystko będzie dobrze i z tobą, i z dzieckiem.

Otacza Milę ramionami, jakby chciał ją ochronić przed całym światem.

Jest obrońcą. Jej obrońcą.

W gardle znowu staje mi znajoma gula, ponieważ ten widok jest tak wzruszający i ponieważ tak bardzo bym chciała mieć to, co mają oni...

Prawdziwą miłość i kogoś, kto by mnie bronił przed wszystkim, co może być dla mnie niebezpieczne.

Kogoś takiego jak Gabriel.

O mój Boże! Muszę stąd wyjść, zanim narobię sobie wstydu.

Wstaję, a oni podnoszą na mnie wzrok.

– Skoro Pax tu jest, idę do domu wziąć prysznic – mówię. – Jeśli będziecie czegoś potrzebować, dzwońcie. Odwiedzę cię jutro w domu, Mi. – Pochyliłam się i całuję ją w policzek. – Kocham cię. Wszystko będzie dobrze!

– Wiem – odpowiada. – Też cię kocham!

Noga za nogą wlokę się szpitalnym korytarzem. Czuję ciężar wszystkich emocji, które mną dzisiaj miały. Strach, że Mila mogłaby stracić dziecko, lęk przed utratą samej Mili... i przytłaczające poczucie samotności.

Dopiero gdy jestem przy aucie, spostrzegam, że po moich policzkach płyną łzy.

Rozdział 11

Dom nigdy nie wydawał mi się taki pusty i cichy.

Nigdy też nie czułam się w nim taka samotna.

Jacey zastępuje mnie w The Hill, bo nie było mowy, żebym zostawiła Milę, aby iść do pracy. Ale teraz, kiedy siedzę na werandzie z butelką wina, wołałabym, żeby Jacey zamiast w restauracji była ze mną. Utknęłam tu zupełnie sama, towarzystwa dotrzymują mi tylko moje zmartwienia.

A to cholernie niedobre towarzystwo.

Upijam łyk wina i wpatruję się w kieliszek, który kupiła moja matka. Postanawiam, że kupię sobie własne pieprzone kieliszki.

Zerkam na zegarek i widzę, że upłynęła zaledwie minuta, odkąd ostatni raz sprawdzałam godzinę.

Jestem żalosna. Siedzę tu, pławiąc się w swoim lęku i nieszczęściu. Nie mogę tak spędzić całego wieczoru.

Kiedy wstaję, żeby znaleźć sobie do roboty coś, co pozwoli mi odegnąć ponure myśli, ktoś dzwoni do drzwi. W pierwszej chwili ogarnia mnie panika, że coś złego stało się Mili. Jednak po sekundzie dociera do mnie, że to niemożliwe. Gdyby coś się stało, Pax by do mnie zadzwonił. Nie wysyłałby kogoś z wiadomością.

Otwieram drzwi i z zaskoczeniem odkrywam, że stoi przede mną Gabriel.

Jest uderzająco seksowny w swoim nieśmiertelnym obcisłym podkoszulku, a ja – sama nie wiem dlaczego – na jego widok czuję wyraźną ulgę.

Uśmiecha się i podaje mi moją szminkę.

– Zostawiłaś ją w moim aucie. Musiała ci wypaść z torebki. A że to raczej nie mój kolor, pomyślałem, że ją zwrócę.

Wyciągam dłoń, a on oddaje mi zgubę. Kiedy to robi, ciepło jego dłoni przenika do mojej.

Próbuję odwzajemnić uśmiech, ale okazuje się, że nie potrafię.

Czuję uścisk w żołądku, a po moim policzku spływa łza.

A potem jeszcze jedna.

Twarz Gabe'a poważnieje.

– Wszystko w porządku? – pyta z troską. Robi krok w moim kierunku, potem przystaje. – W porządku? – powtarza z wahaniem.

Czuję się, jakbym była tylko pustą skorupą. Ale odpowiadam:

– Tak. Chyba. Nie wiem. Masz ochotę na kieliszek wina? Nie chcę być teraz sama. –

Oczy mnie szczypią, ledwo jestem w stanie wydusić z siebie te słowa.

Gabe uważnie mi się przygląda.

– Oczywiście – mówi wreszcie. Nie wspomina, że woli piwo, a przecież wiem, że tak jest.

Prowadzę go na taras. Pada drobny deszczyk, ale żadne z nas nie zwraca na to uwagi.

Nalewam mu kieliszek wina i podaję drżącą ręką. Patrzę na szkarłatny płyn i przed oczami mi staje krew spływająca po nogach Mili. Zaciskam powieki, starając się odpędzić ten obraz.

– Maddy – mówi Gabriel miękko. – Co się stało? Co jest nie tak?

Otwieram oczy i na moment zapominam o Mili, bo moja uwaga skupia się na jego ustach. Ustach, o których myślę od kilku dni.

Przelykam ślinę i unoszę dłoń. Obrysowuję palcem kształt jego ust, czując pod opuszką miękkosć warg. Stoi nieruchomo, czekając, co dalej zrobię. Kiedy jego ciemne oczy odnajdują moje, nie obchodzi mnie, jakie ma problemy.

To już nie jest gra. Może nigdy nie była.

– Maddy – mówi cicho, ale tym razem bardziej stanowczo. – Powiedz mi, co się dzieje.

– Po prostu miałam zły dzień. A teraz chcę, żeby znów stał się dobry.

Wpatruje się we mnie, nic nie rozumiejąc, a ja nie mogę go za to winić.

Wspinam się na palce i przyciskam usta do jego ust, najpierw nieśmiało, rozkoszując się ich słonym smakiem.

Pocałunek jest delikatny, ale intensywność oczekiwania na tę chwilę nadaje mu moc. Jego usta rozpalają ogień, który wpada przez moje usta, ogarnia klatkę piersiową, a potem pełną mocą wybucha między moimi nogami.

Ramiona Gabriela otaczają mnie, kiedy pogłębiam pocałunek, zatapiając język w jego ustach w poszukiwaniu jego języka.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – pyta.

– Teraz tak.

Mówię to szeptem, a on wydaje cichy jęk i przyciąga mnie do siebie.

Moje ręce zaczynają błądzić po jego piersi i brzuchu. Cudownie jest czuć pod palcami jego ciepłą skórę. Przez chwilę przed oczami mam tamtą noc w taksówce. To wspomnienie sprawia, że nogi się pode mną uginają, jak za każdym razem, kiedy o tym myślę.

Chwytam jego rękę i gwałtownie wsuwam ją sobie między uda, ale na drodze stają moje majteczki. Szybko opuszczam je do kostek, a on sięga na dół i zrywa je stanowczym ruchem...

Stoi tak, trzymając w ręce zwisające strzępy moich majteczek, a potem je puszcza, tak że spadają na mokre deski koło naszych stóp.

Cała drzę, czekając, aż mnie dotknie. Gorąco między moimi nogami jest nie do zniesienia.

Każda komórka nerwowa w moim ciele czeka na niego.

Wstrzymuję oddech.

I wtedy mnie dotyka.

Jego palce wślizgują się we mnie i nagle odkrywam, że zawsze na niego czekałam.

Otwieram powieki, podnoszę wzrok i napotykam jego spojrzenie. Jego oczy są ciemne, do połowy zasłonięte rzęsami.

Mocniej chwytam go w pasie.

– Wszystko w porządku? – pytam szeptem.

– Cholernie w porządku – mruczy, kierując moją rękę ku swojemu twardemu kroczu.

Napiera na moją dłoń, pulsującą i gorącą, a mnie zalewa fala pożądania, dzikiego, nieokiełznanego.

Wiem, że go potrzebuję, aby ugasił ten ogień.

Ściągam jego bokserki i odrzucam na bok. Nie obchodzi mnie, że jesteśmy na zewnątrz. Nic oprócz niego teraz mnie nie obchodzi.

Ten żar, to pożądanie, ta mieszanina kolorów i uczuć. Eksplozja rzeczy, których nie potrafię kontrolować, nie potrafię nawet nazwać.

Biorę go do ręki. Mokry od deszczu gładko przesuwam się w moich palcach. Jest tak wielki, jak zapamiętałam, twardy i pulsujący.

To dla mnie jest taki twardy.

Pragnie mnie.

Znowu jęczy, ujmuje w dłonie moją twarz i przyciąga do siebie, przywierając do moich ust swoimi.

Kąsam go w szyję, wędruję wargami wzdłuż jego ramienia. Nie mogę się doczekać, kiedy mnie wypełni, ale wiem, że powinnam być cierpliwa. Chcę, żeby ta słodka udręka oczekiwania

trwała jak najdłużej.

Stoi przede mną całkiem nagi, wysoki i dumny. Taki cholernie przystojny!

Wokół nas szaleje ulewa i huczą grzmoty, naelektryzowane powietrze zderza się z naszą energią. Ta kombinacja jest niesamowicie seksowna, więc opadam na kolana i biorę go do ust.

– Madison – jęczy Gabriel. Jego palce toną w moich włosach, kontroluje szybkość, z jaką to robię. – Boże, jak mi dobrze!

Jeszcze chwilę się nim bawię, po czym Gabriel mnie odsuwa, łapie moją bluzkę i prawie ją ze mnie zdziera. Buchające gorąco naszych przyciśniętych do siebie ciał koncentruje się między moimi nogami.

– Pragnę cię – mruczę do niego. – Teraz.

– Chciałem spytać, dlaczego zmieniłaś zdanie – mówi Gabriel, pochylając głowę i całując mnie wzdłuż szyi. – Ale to teraz nieważne. Chcę być w tobie, Madison. Wreszcie cię zerznę, a tobie się to spodoba.

Bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę domu, ale ja nie ruszam się z miejsca.

– Tutaj – dyszę. – Właśnie tutaj, w deszczu. Pragnę cię teraz.

Nie protestuje. Po prostu kładzie mnie na znajdujący się za nami kamienny stół. Zimny i mokry, ale to się w tym momencie nie liczy.

W tym momencie liczymy się tylko my.

Kładzie się na mnie, ocierając się o każdy centymetr mojego ciała i budząc do życia każdą komórkę nerwową. Unosi się nade mną, dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Unosi się nade mną i zaraz we mnie wejdzie.

Rzeczywistość przerasta moje oczekiwania.

Obejmuję jego plecy, podczas gdy on ponownie wsuwa we mnie palce. Moje mięśnie napinają się w rytm jego ruchów. Wszystko wokół nas przestaje mieć znaczenie – wiatr, deszcz... Wszystko się rozplywa, widzę tylko jego.

– Boże, jesteś taka mokra – szepcze mi do ucha chrapliwym głosem. – I taka cudownie ciasna.

Jego palce pracują najpierw delikatnie, potem mocniej. Nagle je wyciąga. Zanim mam czas zaprotestować, słyszę dźwięk odpakowywania prezerwatywy, a potem wsuwa się we mnie, twardy i pełny.

Mocno go do siebie przyciskam, gdy wykonuje rytmiczne pchnięcia.

Tak bardzo tego potrzebowałam.

Potrzebowałam jego, a nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Obejmuję go nogami i przyciągam do siebie tak blisko, jak to tylko możliwe.

Intymne uczucia, dziwne i nieznane, za chwilę mogą całkowicie mną zawładnąć. Chłonę jego ciepło, jego zapach.

Ta chwila ma w sobie wszystko, czego potrzebuję, nawet jeśli nie potrafię opisać, co czuję, a tym bardziej – dlaczego to czuję. Cały mój smutek, cały niepokój osiągają szczyt i eksplodują. Wszystko jest zamazane, wszystko dzieje się tak szybko. Chcę brać i brać, i brać... wszystko, co on ma do zaoferowania.

Kilka sekund później Gabriel sięga na dół i kciukiem doprowadza mnie do orgazmu.

– Boże, jesteś piękna – mówi zdyszonym głosem, wykonując rytmiczne ruchy i szczelnie mnie wypełniając.

Kiedy nasze ciała się zderzają, czuję jego siłę, każdy napinający się mięsień w jego ciele.

Podnosi moją nogę do góry i przekłada sobie przez ramię, pogłębiając penetrację.

Krzyczę i wbijam w niego paznokcie, mocno go do siebie przyciągając. Chwilę później wstrząsa nim dreszcz i dochodzi.

Opada na mnie i leżymy tak, mocno przytuleni, próbując odzyskać oddech.

– To było niesamowite! – odzywa się po paru minutach.

Wypełniające mnie poczucie spełnienia jest tak silne, że prawie odczuwam fizyczny ból. Wyciągam rękę i przesuwam palcem po jego szczęce, rozkoszując się kilkudniowym zarostem, który tak mnie kręci.

– Owszem – odpowiadam. – Gdyby nie ten deszcz. Jeszcze parę minut temu zupełnie mi nie przeszkadzał, ale teraz...

Gabriel siada, a potem wstaje i podaje mi rękę, żebym też mogła wstać. Wręcza mi ubrania i sam się ubiera.

– Chodźmy – mówi, biorąc mnie za rękę i prowadząc do domu.

– Co zrobimy? – pytam z ciekawością.

– Weźmiemy gorący prysznic. Ten deszcz jest cholernie zimny.

W łazience Gabriel pomaga mi wejść pod prysznic, a potem nabiera na ręce żel i myje mi plecy.

– Jesteś taka piękna – szepce. – Nie masz pojęcia, ile o tobie myślę.

Na te słowa moje serce przyspiesza.

Gabriel klęka i ponownie nabiera żelu. Tym razem pachnącą pianą pokrywa moje uda i wgłębienia za kolanami. Kiedy jego dłonie wędrują w górę moich ud, muszę gwałtownie zaczerpnąć tchu, czemu on przygląda się z uśmiechem.

– Przyjemnie? – pyta. Opłukuje dłoń i wsuwa we mnie palec.

Kiwam głową i do środka wędruje kolejny palec. Zaciskam powieki.

– Otwórz oczy, Maddy – prosi. – Chcę, żebyś na mnie patrzyła, kiedy to robię.

Spełniam jego prośbę. Ustawia mnie obok prysznic, odkręca wodę i przytrzymuje słuchawkę prysznic między moimi nogami.

Przez moje ciało przepływają fale rozkoszy, doprowadzając mnie na skraj kolejnego orgazmu.

Pozwalam sobie na całkowite poddanie się rozkoszy sprawianej mi przez uderzającą pod odpowiednim kątem wodę. Jestem trochę skrępowana, że Gabriel mnie obserwuje, ale jednocześnie jest mi tak dobrze, że po prostu pozwalam mu to robić.

– I o to chodzi, skarbie – mruczy mi w kark. – Idź na całość. Rozluźnij się.

Skupiam się na nadciągających falach orgazmu. A kiedy opieram się o ścianę kabiny, prawie gotowa, żeby dojść, Gabriel odkłada prysznic i zastępuje go językiem.

Prawie krzyczę, gdy wstrząsa mną dreszcz. Orgazm jest tak silny, że uginają się pode mną nogi i muszę mocno trzymać Gabriela, żeby kolana nie odmówiły mi posłuszeństwa.

Twarz ma nieodgadnioną, a spojrzenie lekko zamglone, kiedy mnie podnosi i odwraca. Słyszę, że sięga do portfela i otwiera kolejne opakowanie z gumką. Potem bez słowa wchodzi we mnie od tyłu

Choć przed chwilą szczytowałam, czuję, że podniecenie znowu rośnie. Jęczę, moje ręce ślizgają się w dół po mokrej ścianie, na której oparłam policzek.

– Masz niesamowity tyłek – mruczy Gabriel. Jego usta opierają się na moim ramieniu. – Powiedz mi, czego pragniesz, Madison. Powiedz mi.

Biorę wdech i wolno wypuszczam powietrze, starając się, aby ten moment trwał dłużej.

– Chcę dojść – mówię wreszcie. – I chcę wiedzieć, że jest ci dobrze.

Jęczy, nie przestając się we mnie poruszać:

– Możesz mi wierzyć... Jest mi cholernie dobrze!

– Więć kończ. Pokaż mi, jak bardzo ci dobrze. Chcę to poczuć.

Przenosi ręce na moje biodra i mocno je chwyta. Palce zagłębiają się w moją skórę, kiedy

porusza biodrami, aż wreszcie gwałtownie zaczerpuje powietrza i spuszcza się we mnie. Czuję wypełniające mnie ciepło i zamykam oczy, rozkoszując się tym uczuciem.

Przez kilka minut stoimy pod spływającą na nas gorącą wodą, aż wreszcie Gabriel się prostuje i oplukuje nas. Wychodzimy spod prysznica. Gdy się wycieram, Gabriel pyta:

– Napiłbym się kawy. Mogę zaparzyć?

Kiwam głową.

– Oczywiście. Kuchnia jest... zresztą wiesz, gdzie jest kuchnia. Weszliśmy kuchennymi drzwiami.

Gabriel idzie do kuchni, a ja się ubieram i po chwili do niego dołączam. Zapach parzącej się kawy wypełnia powietrze. Gabriel znajduje dwa kubki i napełnia gorącym płynem. Do jednego dodaje cukier i śmietankę, po prostu zakładając, że taką kawę lubię. I ma rację! Właśnie taką kawę piję.

Stawia przede mną kubek i siada przy stole naprzeciwko mnie.

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodziło? – pyta.

Myślę o mojej biednej siostrze skulonej na szpitalnym łóżku. Myślę o tym, że mogłabym ją stracić. Myślę o tym, że zawsze się czegoś boję, a jedyny moment, kiedy się nie bałam, miał miejsce kilka minut temu, gdy byłam wtulona w jego ramiona.

Moje oczy ponownie napełniają się łzami. Nienawidzę płakać. Nigdy nie byłam beksą. Aż do dzisiaj.

– Po prostu miałam zły dzień – udaje mi się z siebie wydusić przez ściśnięte gardło.

– Na to wygląda – odpowiada Gabriel. – I co, udało mi się sprawić, żeby był lepszy?

Uśmiecham się do słabo i upijam łyk kawy. Nie odpowiadam, bo jestem pewna, że on zna odpowiedź.

– To bezkofeinowa? – pytam zamiast tego.

– Tak. Nie wiedziałem, czy po normalnej nie będzie ci trudno zasnąć.

Jego troska sprawia, że gardło ścisza mi się jeszcze bardziej.

– Dziękuję – udaje mi się powiedzieć, zanim po policzku spływa mi łza.

Gabriel jest wyraźnie zaniepokojony.

– Madison, na miłość boską! Po prostu powiedz mi, co się stało.

Od czego mam zacząć? Postanawiam zacząć od jedynej rzeczy, którą mogę w prosty sposób wyjaśnić.

– Moja siostra może stracić dziecko. – Te słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

– Jezu! To straszne.

Po moim policzku spływa kolejna łza.

Gabriel sięga przez stół, ociera ją, a potem zamyka moją dłoń w swojej. Jego ręka jest twarda i szorstka, myślę, że stała się taka, kiedy był żołnierzem.

– Nie ma nic złego w płakaniu – mówi mi. – Nawet najsilniejszym się to zdarza.

Te słowa sprawiają, że totalnie się rozklejam. Głowa opada mi na blat i wstrząsa mną niekontrolowany szloch.

Gabriel okrąża stół, klęka przede mną i przyciąga mnie do swojej piersi. Jego silne ręce głaszczą mnie po ramionach.

Słyszę, jak mówi, że nie jestem w stanie zawsze wszystkiego naprawić, że jestem tylko człowiekiem. Ale to nie jego słowa mają znaczenie.

Ukojenie daje mi jego spokojny i kojący głos.

Ale nawet ten głos nie jest w stanie powstrzymać niekończącego się strumienia łez.

Nie jestem pewna, czy płaczę tylko nad obecną sytuacją Mili, czy nad wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku lat, a nad czym nie pozwoliłam sobie płakać. Nawet na

pogrzebie rodziców załkałam tylko raz. Chciałam być tą silną, tą, na której Mila będzie się mogła oprzeć. To takie cholernie dobre uczucie, wreszcie się nie powstrzymywać.

Kiedy wreszcie podnoszę wzrok na Gabe'a, czuję, że nie pozostała we mnie ani jedna łza.

– Dzięki, że pozwoliłeś mi się na sobie wypłakać – mówię. Jestem zażenowana, ale on się uśmiecha.

– Jacey mówi, że kobieta czasem potrzebuje porządnie się wypłakać – odpowiada i uśmiecha się szerzej. – Nawiasem mówiąc, akurat jej nie potrzeba dużo. Wystarczy, że kawa nie jest gorąca. A jednak to ma sens. Płacz jest oczyszczający. Powinnaś to robić częściej.

Przewracam oczami, ale czuję się całkowicie oczyszczona, choć oczywiście nigdy mu się do tego nie przyznam. Zawsze byłam dumna ze swojej siły. Nie mam zamiaru stać się teraz słaba. Znowu opieram głowę o jego pierś. Patrzę na ścianę sypialni, na wędrujące po niej cienie i wiem, że nie chcę być dziś w nocy sama. Nie chcę, żeby Gabriel odjechał. Jest taki silny. Chcę przejąć trochę jego siły, żeby uzupełnić własne zubożałe zasoby.

– Wiem, że to trochę szybko i pewnie pomyślisz, że jestem straszny mazgaj – mruczę wtulona w jego ciepłą skórę – ale czy mógłbyś zostać na noc? Chcę cię dzisiaj mieć koło siebie. Nie chcę być sama.

Gabriel tężeje, czuję, jak napinają się jego mięśnie. Najwyraźniej nie ma ochoty zostać ze mną na noc. Gardło mi się ściska, a policzki płoną.

– Zresztą nieważne – mówię szybko, odsuwając się od niego. – To było głupie. Nie musisz zostawać.

Przygląda mi się uważnie i odgarnia z mojej twarzy kosmyk włosów.

– To nie tak, że nie chcę. Po prostu... są różne gówniane rzeczy, których o mnie nie wiesz. Nie mogę zostać na całą noc. Ale mogę poczekać, aż zaśniesz. Co ty na to?

Zgadzam się. Jakiś taki bezradny wyraz jego oczu sprawia, że mu wierzę. Nie odtrąca mnie. Chodzi o coś głębszego.

Gdy wchodzimy pod kołdrę na moim łóżku, wtulam się w pierś Gabriel, rozkoszując się tym, jak mocno trzyma mnie w ramionach. Tuż przy uchu słyszę bicie jego serca i ten dźwięk mnie uspokaja.

– Opowiedz mi o tych gównianych rzeczach, o których nie wiem – proszę cicho. – Chciałabym wiedzieć.

Przez chwilę milczy, szuka odpowiednich słów, ale w końcu odmawia.

– Nie mogę, Maddy.

Nawet nie mogę być zła, bo w jego głosie słyszę ból, zmęczenie, rezygnację. Coś, co nie ma nic wspólnego ze mną.

Przysuwam się jeszcze bliżej.

– Jeśli kiedyś będziesz chciał mi o tym opowiedzieć, chętnie cię wysłucham – mówię. – Nie będę cię osądzać. Po prostu cię wysłucham.

Czuję, że jego usta ruszają się w moich włosach.

– Dzięki, Maddy. Może kiedyś – słyszę.

Zamykam oczy i wdycham jego zapach. Pachnie ziemią, piżmem i cedrem. Pachnie wszystkim, co na tym świecie jest silne i dobre. Cudowny zapach! Wiem, że nigdy go nie zapomnę.

Ale choć przy Gabrielu jest ciepło i bezpiecznie, nadal nie mogę zasnąć i nawet wiem dlaczego. Ponieważ gdy tylko zasnę, on odejdzie.

– Nie mogę zasnąć – mówię mu. – Chyba będziemy tak razem leżeć do białego rana.

Parska śmiechem i odpowiada:

– Mam dziwne przeczucie, Maddy, że możesz nie być najmilsza, jeśli się porządnie nie

wyśpisz.

Już mam zaprotestować, ale dochodzę do wniosku, że właściwie tak jest.

– Masz rację – mruczę niechętnie. – Jestem prawdziwą żoną, kiedy się nie wyśpię.

– Tak myślałem. – Gabriel najwyraźniej jest z siebie zadowolony. – Ale ja lubię twoją żółzowatość.

Daję mu kuksańca w bok, a on się śmieje. Moszczę się wygodnie w zagłębieniu jego ramienia i przez chwilę leżę bez ruchu, po prostu ciesząc się jego bliskością. Nagle czuję potrzebę podzielenia się z nim pewną myślą.

– Nie jesteś taki, za jakiego cię wzięłam.

Wydaje się zaskoczony.

– A jaki jestem? – pyta cicho.

Odpowiadam bez wahania:

– Jesteś człowiekiem, który nigdy by mnie nie skrzywdził.

Gwałtownie wciąga powietrze.

– Dlaczego sądziłaś, że mógłbym cię skrzywdzić?

– Cóż... myślałam, że jesteś agresywny, a nienawidzę agresywnych ludzi.

Dłuższą chwilę trawi tę myśl.

– Pax opowiadał mi trochę o twoim ojcu – mówi wreszcie. – Czy to przez niego nienawidzisz agresywnych ludzi?

Moja ręka nieruchomieje na piersi Gabriela. Nie mogę uwierzyć, że Pax mu o tym powiedział. Nie jestem na niego zła, tylko zaskoczona.

Mam przebłysk wspomnienia, w którym pięść ojca wisi nad twarzą matki, a jej sukienka jest pokryta kropelkami krwi.

– Chyba tak – odpowiadam. – Kochałam tatę. Ale miał problem z kontrolowaniem gniewu.

Kolejne pytanie Gabriel zadaje z wahaniem. Mam wrażenie, że jest wkurzony, ale stara się tego nie okazać.

– Uderzył cię kiedyś?

Serce mi się ściska, bo nie chcę odpowiadać na to pytanie. Nie chcę wypowiadać tego na głos, a jednocześnie nie chcę kłamać. Nie Gabe'owi.

– Tylko raz. Ale to wystarczyło.

Wyczuwa, że to dla mnie ciężki temat, bo przytula mnie mocniej i mówi:

– W porządku. Nie musisz mi o tym opowiadać. Ale wiedz, że ja taki nie jestem, Maddy. Nigdy cię nie uderzę.

– Wiem – odpowiadam szczerze. – I nie tego się obawiałam. Raczej tego, że będziesz mnie kontrolował, a pod wpływem emocji staniesz się agresywny. Mój ojciec taki był. Ale ty taki nie jesteś. Teraz to wiem.

Nie pyta, dlaczego tak myślałam. Dzięki temu nie muszę tłumaczyć, że doszukuję się cech ojca w każdym mężczyźnie.

Nie muszę tłumaczyć, że to czyni mnie słabą, że strach przed tymi cechami sprawia, że jestem bezbronna. A nie chcę być bezbronna.

– A co ty myślałaś o mnie? – pytam po chwili.

– Myślałam, że jesteś oszałamiająco piękna, i nie miałem pojęcia, czemu chcesz do mnie iść. Nie wydawałaś się dziewczyną zainteresowaną przygodami na jedną noc. Ale i tak dziękowałam Bogu, że trafiło właśnie na mnie.

Ta odpowiedź mnie zadowala. Nie jest głęboka, ale typowo męska. Przynajmniej jest szczerzy.

– O co w tym wszystkim chodzi, Gabe? Od pierwszej chwili graliśmy w kotka i myszkę. Ale ja już jestem zmęczona grami.

Całuje mnie w czubek głowy.

– To ty i ja, Madison. Po prostu ty i ja. Może i jesteśmy w jakiś sposób popieprzeni, ale, jak mówi Jacey, jesteśmy dobrymi ludźmi. Pokonamy te przeciwności. Wszystko będzie dobrze.

Przytakuję i liczę jego oddechy, myśląc o tym, że każdy ma jakieś tajemnice. Niektóre są straszniejsze niż inne, więc ludzie często zakopują je najgłębiej, jak się da, bo się ich wstydzą.

Już prawie zasypiam, ale zadaję jeszcze jedno pytanie.

– Czy każdy na świecie jest złamany? – Nawet ja słyszę, że mój szept brzmi rozpaczliwie w środku tej aksamitnej nocy. Czuję na sobie ciężar spojrzenia Gabriela.

– Myślę, że tak – odpowiada. – Na swój sposób.

Przyciąga mnie bliżej i czule całuje w usta. Znowu układam się wygodnie w jego ramionach i po chwili zapadam w sen.

Kiedy się budzę, przez okno wpadają promienie słońca, a Gabriela nie ma.

Rozdział 12

Siadam na skąpanym w promieniach słońca łóżku i przeciągam się jak najedzona kotka. Jest mi ciepło i dobrze. Szkoda tylko, że nie ma przy mnie Gabriela.

Odrzucam kołdrę, sięgam po poduszkę Gabriela i przyciskam ją do nosa. Pachnie piżmem i ziemią. Pachnie nim. Wdycham ten zapach, a potem odkładam poduszkę na miejsce.

Kiedy się ruszam, czuję lekki ból w dole brzucha. Ale wcale mnie to nie dziwi. Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio uprawiałam seks, a ostatniej nocy... no cóż... sporo się działo. Policzki mi płoną, kiedy sobie przypominam, jak Gabriel wziął mnie wczoraj na stole na tarasie... Muszę pamiętać, żeby przetrzeć ten stół, zanim ponownie go użyję.

Idę do łazienki, przypominam sobie, jak Gabriel wziął mnie od tyłu pod prysznicem, i rumienię się jeszcze mocniej.

Niedługo nie będę mogła spojrzeć bez rumieńca na żadne miejsce w domu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie. Na myśl o Gabrielu „chrzczącym” po kolei każde pomieszczenie w domu muszę się uśmiechnąć. To interesujący pomysł i zaczynam snuć marzenia na jawie, tańcząc wokół łazienki i śpiewając na cały głos „I Love Rock-n-Roll”.

Czuję się dziś tak szczęśliwa, że szalony taniec wydaje się najlogiczniejszą czynnością o poranku, z bólem krocza czy bez.

Kiedy wykonuję piruet wokół drzwi kabiny prysznicowej, kątem oka dostrzegam w drzwiach łazienki zarys jakiejś postaci. Jak cień.

Nieruchomieję, kiedy dociera do mnie, kto to jest.

Gabe swobodnie opiera się o futrynę, w oczach ma rozbawienie.

– Dzień dobry – mówi jak gdyby nigdy nic. – Widzę, że ktoś jest w dobrym humorze.

Moje serce chce wyskoczyć z piersi, ale szybko zamiera, bo uświadamiam sobie, że Gabriel właśnie był świadkiem mojego śpiewająco-tanecznego występu.

Policzki zakwitają mi tysiącem odcieni czerwieni, więc szybko odwracam głowę.

– Co ty tutaj robisz? – ledwo jestem w stanie wykrztusić. – Myślałam, że nie zostajesz na noc.

– Bo nie miałem takiego zamiaru – odpowiada z szerokim uśmiechem. – Wiesz, że ślicznie wyglądasz, kiedy tańczysz w łazience w samej bieliźnie? Szkoda tylko, że trochę fałszujesz...

Odwzajemniam uśmiech. Przecież mogę się pośmiać sama z siebie, prawda?

– Nic się nie martw. Nie będę rzucać pracy, żeby robić karierę. Po prostu jestem w dobrym humorze.

Gabe wzdycha.

– Cóż, twój dobry humor może szybko się skończyć – mówi. – Droga jest zalana. Dlatego ciągle tu jestem. Nie można się stąd wydostać.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz. Ta droga nie była zalana od lat.

Wzrusza ramionami.

– Być może, ale dzisiaj jest zalana. Pada od dwóch tygodni, więc nic w tym dziwnego. Jednak dla nas oznacza to, że nie możemy się stąd wydostać.

Jesteśmy odcięci od świata. Gabe i ja.

Razem.

Kiedy myślę o możliwościach, jakie to ze sobą niesie, szeroko się uśmiecham.

– Bywają gorsze rzeczy... – zauważam, myśląc o swoich fantazjach na temat ochrzczenia

każdego pokoju. – Nawet mam parę pomysłów, jak moglibyśmy spędzić ten czas.

– Jakich?

Już mam odpowiedzieć, kiedy przychodzi mi do głowy pewna myśl i natychmiast wpadam w panikę.

– Mila! Muszę zadzwonić i zapytać, jak się czuje. Nie będę mogła jechać do szpitala.

Biegnę do telefonu, ciężko opadam na krzesło i w oczekiwaniu na połączenie ze szpitalem nerwowo uderzam stopą w ramę kanapy.

Zupełnie zapomniałam o Mili, kiedy wczoraj w nocy Gabe i ja byliśmy... razem.

Jak mogłam? Co ze mnie za siostra?

Przełączają mnie do pokoju Mili. Pax odbiera po drugim sygnale.

– Co z Milą? – wyrzucam z siebie zamiast powitania.

– Nie zapomniałaś przypadkiem o „dzień dobry”? – mówi Pax. – Wszystko z nią dobrze. Uspokój się, Maddy. Po twoim głosie słyszę, że świrujesz. Mila spokojnie przespała noc, nawodnili ją i dzisiaj wypuszczają ją do domu. W domu idzie prosto do łóżka. I jeśli kiedykolwiek zobaczysz, że z niego wstała, masz moje oficjalne pozwolenie, żeby ją sprać.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia – obruszam się. – Ale nie wiem, czy będziecie w stanie dostać się do domu. Moja droga jest zalana. Nie wiem, jak wasza. Nie mam jak ruszyć się z domu.

– Nasza jest przejezdna – odpowiada Pax. – Ale przykro mi, że utknęłaś. Nie zamartwiaj się tak tym wszystkim. To i tak nic nie pomoże.

– Spróbuję – obiecuję. – Czy Mila śpi?

– Nie, ale pielęgniarka właśnie ją myje. Powiem, żeby do ciebie zadzwoniła, kiedy już będziemy w domu.

Kończymy rozmowę i zwracam się do Gabe’a.

– Muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc, a potem pomyślimy, czym byśmy się mogli zająć... Ciekawe, jak długo droga będzie zamknięta.

Gabriel wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć. Masz coś do jedzenia?

– Mam roczny zapas mrożonych burritos – mówię. – Może też znajdzie się jakiś ryż.

– W takim razie śmierć głodowa nam nie grozi – zauważa Gabe. – Będzie dobrze.

Dzwoń, gdzie musisz, a ja w tym czasie zadzwonię do Jacey. Będę musiał poprosić Branda, żeby z nią pomieszkał, skoro ja utknęłam tutaj.

Wychodzi z pokoju, a ja dzwonię do Tony’ego. Część miasta, w której mieszka, nie została zalana, więc będzie mógł dotrzeć do restauracji.

– W wiadomościach mówili, że powódź jest tylko po twojej stronie miasta – mówi mi Tony. – Więc The Hill nic nie grozi. Zadzwonię, jeśli będziemy czegoś potrzebować, choć i tak wiele na to nie poradzisz...

– Niestety – mówię ponuro.

Tony śmieje się i odkłada słuchawkę.

Wkładam to, co akurat mam pod ręką, jakąś koszulkę i szorty, po czym idę do kuchni. Gabriel akurat przegląda zawartość lodówki.

– Nie żartowałaś – zauważa. – Naprawdę masz roczny zapas mrożonych burritos.

– Przecież ci mówiłam. – Wzruszam ramionami. – Wiem, jak to wygląda. Jestem właścicielką restauracji, a nie umiem gotować. Nie musisz nic mówić.

– Przecież nic nie mówię. – Parska śmiechem i się odwraca. – Robię kawę. Pomyślałem, że dobrze ci zrobi. Wczoraj długo nie mogłaś zasnąć.

Wciągam nosem rozkoszny zapach świeżo zaparzonej kawy i zerkam na Gabe’a z

aprobata.

– Jeśli nie kochałabym cię wcześniej, zaczęłabym teraz – mówię żartobliwie.

Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, dałabym głowę, że jego kłykcie odrobinę zbieleły, gdy mocniej zacisnął palce na kubku z kawą. Ale przecież tylko żartowałam. Musi to wiedzieć. Biorę z suszarki filiżankę i nalewam sobie kawy.

– Co będziemy robić? – pytam. – Strasznie się wynudzimy, jeśli utknęliśmy tu na dłużej. Gabriel unosi brew.

– Mówisz serio? Jesteśmy w pięknym domu nad brzegiem jeziora Michigan. Znajdziemy sobie coś do roboty.

Rozglądam się niepewnie.

– Myślisz, że ten dom jest piękny? – Przypominam sobie stojący przy plaży dom Paxa i Mili. W porównaniu z nim ten to zwykła buda.

– Oczywiście – zapewnia Gabriel. – Ty tak nie myślisz?

– Sama nie wiem. Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałam. Kiedy rodzice zginęli, Milla i ja odziedziczyłyśmy ten dom. Milla go nie chciała, bo miała małe mieszkanie nad galerią, więc ja tu zamieszkałam. Cały czas myślę o remoncie, dzięki któremu dom stałby się bardziej „mój”, ale jeszcze się do tego nie wzięłam.

– Dojrzejesz do tego – Gabriel jakby czytał w moich myślach. – Daj sobie czas.

Ile czasu już minęło? Ponad cztery lata. Ale teraz nie chcę o tym myśleć.

– Chcę wyjść na zewnątrz zobaczyć tę powódź – mówię, wstając od stołu. – Czy woda podeszła blisko domu?

– Nie, a przynajmniej jeszcze nie. Czy kiedyś była blisko? – pyta Gabe, kiedy wychodzimy przed dom.

Przytakuję.

– Raz. Chyba worki z piaskiem nadal są w piwnicy.

Na widok tego, co się dzieje przed domem, zapiera mi dech. Woda jest wszędzie. Całkowicie pokryła drogę i zbliża się do mojego trawnika.

– Cholera jasna! – szepczę ze zgrozą.

– Mówisz, że gdzie są te worki z piaskiem? – pyta Gabriel. – Będziemy ich potrzebować. Woda jest co najmniej metr bliżej niż piętnaście minut temu, kiedy tu byłem.

– W piwnicy.

Obracam się na pięcie i pędzę w kierunku drzwi do piwnicy. Zbiegam po schodach i przekonuję się, że podziemny warsztat taty wygląda dokładnie tak samo, jak za jego życia. Worki z piaskiem leżą na samym końcu, poukładane w co najmniej dwadzieścia rzędów.

– Jakieś dziesięć lat temu była ogromna powódź – mówię Gabe'owi, chwytając jeden worek i ciągnąc go w kierunku schodów. Jest ciężki, waży około dwudziestu kilogramów, ale Gabe z łatwością bierze cztery naraz. – Tata zatrzymał te worki na wypadek, gdybyśmy kiedyś znowu ich potrzebowali. Napełnienie ich piaskiem było bardzo upierdliwe i doszliśmy do wniosku, że nie chce się nam tego robić jeszcze raz.

– Mądrze. – Gabe kiwa głową. Najwyraźniej wnoszenie po schodach prawie stu kilogramów piasku nie sprawia mu większego kłopotu.

Kiedy ponownie jesteśmy przed domem, kładzie worki o wiele dalej, niż się spodziewałam.

Spogląda na mnie przez ramię i tłumaczy:

– Musimy zbudować wał w pewnej odległości od domu. Jeśli będzie za blisko, kiedy nadejdzie woda, piasek ją zatrzyma i w efekcie dom może bardziej ucierpieć.

– To ma sens. Skąd to wiesz? – pytam, kładąc swój worek na ziemi.

– Znam się na różnych rzeczach – mówi. – Bystrzacha ze mnie.

Nie komentuję tego. Wracamy do piwnicy po kolejną partię worków, a ja zastanawiam się, jakie rzeczy musiał robić, kiedy był rangerem.

Krążymy w tę i z powrotem więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć. Za każdym razem schody wydają mi się bardziej strome, a podwórko – bardziej oddalone od domu.

Kiedy na otaczającej trawnik barykadzie lądują ostatnie worki, mierzy ona ponad metr. W tym czasie woda zbliżyła się o kolejne pół metra.

Wracamy do domu. Choć jestem pokryta warstwą piasku i brudu, padam na kanapę.

– Nie byłabym w stanie przenieść ani jednego worka więcej – dyszę. – Ty dźwigałeś cztery razy tyle co ja, a nawet nie masz zadyszki.

– To dlatego, że jestem twardzielem – mówi lekko. Podnosi moje ramię i zaczyna masować. – Naprawdę się trzęsiesz!

– Wieeeeem – jęczę. – Przeniesienie jednego worka jest w porządku. Przeniesienie stu może dać człowiekowi nieźle w kość.

Gabriel nadal masuje mi ramię. Ciepło jego ręki przyjemnie przenika moją skórę. Przewracam się na bok i patrzę mu w oczy.

– Myślisz, że te worki powstrzymają wodę? – pytam, ale tak naprawdę nie jestem pewna, czy mnie to w ogóle obchodzi. Jeśli dom zostanie zniszczony, za pieniądze z ubezpieczenia kupię sobie nowy. Taki, z którym nie będą się wiązały żadne złe wspomnienia.

Gabriel kiwa głową.

– Powinny. Przynajmniej przez pewien czas. Nie wydaje mi się, żeby taka wysoka woda miała się długo utrzymać.

– To dobrze – mruczę. Skoro nie musimy się martwić, że dom zostanie zalany, kiedy jesteśmy w środku, jest mi dobrze. A gdy czuję na sobie dłonie Gabriela, jest mi jeszcze lepiej. – Dziękuję, że mi pomogłeś. Nie musiałeś tego robić.

– Nie musiałem? A jak sama przeniosłabyś te wszystkie worki? Masz takie wątle ramionka.

Prycham ze złością, a on mówi, ignorując moje oburzenie:

– Nie ma za co. Żaden problem.

– Jesteś moim osobistym bohaterem – ogłaszam, uśmiechając się do niego.

– Tym się zajmuję – mówi po prostu.

Wyobrażam sobie Gabe'a na polu walki, jak spocony i pokryty pyłem biegnie z karabinem, żeby kogoś ocalić. Ale tylko tyle jestem sobie w stanie wyobrazić, bo nie wiem, co dokładnie robił jako ranger.

Dlatego go o to pytam.

Tężeje, ale po chwili rozluźnia się i odpowiada:

– Trochę tego, trochę tamtego. Poszukiwanie i ratowanie ludzi, rozpoznanie, obserwacja. Byłem w jednostce specjalnej. Większość naszych działań jest, niestety, tajna. Nie wolno mi o tym mówić. Doprowadza to Jacey do szału.

– No jasne. – Uśmiecham się na myśl o dociekliwej naturze Jacey. – A skoro już o niej mowa, to czy wszystko tam jest w porządku? Czy woda podeszła pod dom waszych dziadków? Byliśmy tak zajęci moim domem, że zapomniałam zapytać, co z waszym.

– Wszystko w porządku. Brand zostanie z Jacey do mojego powrotu, na wypadek gdyby Jared zaczął fikać. Mam nadzieję, że wybiłem mu z głowy prześladowanie Jacey, ale nigdy nie wiadomo.

Przypominam sobie przerażoną minę Jareda na stacji benzynowej.

– Myślę, że naprawdę się wystraszył – zgadzam się. – Ale, jak mówisz, nigdy nic nie

wiadomo. To dupek.

Wstaję z kanapy i mówię:

– Cała jestem w piasku, muszę wskoczyć pod prysznic. Częstuj się, czym chcesz. Czuj się jak u siebie w domu.

– Zrobię ci masaż, kiedy wrócisz – proponuje Gabriel. – Nieźle się napracowałam, nosząc te worki. Trzeba rozmasować kwas mlekowy w twoich mięśniach, żebyś jutro nie miała zakwasów.

– Wow, to brzmi bardzo... medycznie – śmieję się. – Ale na masaż zawsze się piszę!

GABRIEL

Co ja, do cholery, wyrabiam?

Nic nie mogę poradzić na to, że tu jestem, ale dlaczego zachowuję się jak jakiś udomowiony, zidiociały pantoflarz? Nie jestem pantoflarzem!

Madison to laska. Tylko tyle.

Nic dla mnie nie znaczy.

Nie obchodzi mnie, ile razy spojrzenie jej oczu staje się miękkie, kiedy na mnie patrzy, choć zwykle jest nonszalanckie i wyniosłe. Nie obchodzi mnie, ile razy nazywa mnie swoim osobistym bohaterem. Nie obchodzi mnie, że ma za sobą ciężkie przejścia i przez to przypomina mi Jacey, a konkretnie to, co jej robił nasz ojciec.

Nie jest moją sprawą pomaganie jej wygrzebać się z tego.

Nie potrafię przecież pomóc nawet sobie.

Wypijam dwa kubki kawy, czekając na nią, bo „szybki” prysznic zajmuje jej pół godziny. Ale kiedy wychodzi ubrana tylko w podkoszulek i majteczki, natychmiast jestem pobudzony i to bez pomocy kofeiny. Przez cienki materiał widzę zarys jej sterczących sutków i wszystkie argumenty na temat tego, jak niewiele dla mnie znaczy, idą do diabła.

– Lepiej? – pytam.

Kiwa głową.

– Tak. Długi, gorący prysznic naprawdę dobrze mi zrobił. Przepraszam, że musiałeś czekać tak długo.

– Nie ma sprawy – mówię. – Czas na masaż.

– Gdzie mam się położyć?

– Pode mną na łóżku.

Madison robi zaskoczoną minę, a ja wyjaśniam:

– Pod moimi rękami. Miałem na myśli, że będziesz pod moimi rękami.

– Położę się na łóżku. W ten sposób nam obojgu będzie wygodnie. Muszę ci jednak coś powiedzieć... – zawiesza głos i rumieni się, co budzi moją ciekawość. To będzie coś interesującego. – Boli mnie dzisiaj tam na dole, więc...

– Nic się nie martw – przerywam jej. – Tam też cię rozmasuję.

Na widok jej zaniepokojonej miny wybucham śmiechem.

– Wszystko będzie dobrze, Maddy. Nie będę niczego próbował. Łóżko to idealne miejsce na platoniczny masaż. To znaczy, jeśli tylko będziesz w stanie się kontrolować...

Odwraca się i idzie do sypialni.

– Ta gadka o kontrolowaniu się to nie do mnie – mówi. – Wyjaśnij to Panu Malutkiemu.

Gdy dociera do mnie, że ma na myśli mojego kutasa, natychmiast się zjeżam.

– Nigdy przenigdy nie nazywaj go malutkim! Słowa „mały” nie wolno używać w odniesieniu do mojego penisa!

Śmieje się, wchodząc do sypialni i siadając na łóżku.

– Jak chcesz. Ale nie sądzę, żebyś miał kompleksy na punkcie swojego rozmiaru, bo masz naprawdę wielkiego. To z jego powodu tak się czuję i dobrze o tym wiesz.

– Od razu lepiej – mówię, sadowiąc się koło niej.

W jej oczach widzę szelmowski błysk.

– Uwielbiam twoje wielkie muskuły. – Przesuwa palce po moich bicepsach, a potem wyżej, wzdłuż szyi. Dotyka ustami moich ust. Smakuje jak miód. – I uwielbiam twoje wielkie ego!

– Co jeszcze we mnie uwielbiasz? – pytam miękko, opuszczając głowę, żeby pocałować ją w szyję.

– Uwielbiam twoje wielkie poczucie humoru. I twój wielki uśmiech, kiedy się decydujesz go użyć.

– I...?

Znowu mnie całuje, siada na mnie okrakiem, a jej biodra napierają na moje krocze. Mój kutas jest twardy jak skała i rozsadza mi bokserki.

– Uwielbiam... – szepcze Maddie – ... twojego wielkiego kutasa.

Prawie mi odbiera mowę, kiedy słyszę to słowo z jej ust. Ależ ta dziewczyna ma charakter! Uwielbiam to w niej!

Z trudem przełykam ślinę, gdy jej ręka opada i jej palce zaczynają mnie pocierać. Jęczę.

– Musisz przestać – udaje mi się wykrztusić. – Serio. Jeśli nie chcesz się pieprzyć, to musisz przestać.

Zeskakuje ze mnie.

– To była tylko taka zabawa – mówi, a oczy jej błyszczą. – W co teraz zagramy?

– Jesteś diabłem wcielonym – odpowiadam. – Bardzo złą kobietą.

– To twoja wina, że mnie boli – przypomina mi.

– Czas na rewanż, ty mały demonie – oznajmiam. – Kładź się!

Posłusznie kładzie się na brzuchu, a ja siadam okrakiem na jej szczupłym tyłku.

Pochylam się i szepczę jej do ucha:

– To nie będzie takie łatwe. Będę ci robił masaż. Musisz zdjąć koszulkę.

Bez słowa, nawet na mnie nie patrząc, zdejmuję koszulkę i odrzuca na bok. Zaczynam ją masować i nagle nie jestem pewien, dla kogo ta kara będzie dotkliwsza: dla niej czy dla mnie.

Mój kutas najwyraźniej nic nie zrozumiał z całego wywodu o tym, jak niewiele Madison dla mnie znaczy. Za każdym razem, kiedy ją dotykam, robi się twardszy, a każdy posuwisty ruch mojej dłoni sprawia, że mocniej przyciska się do jej tyłka. Pieprzony zdrajca.

Madison doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ale leży całkowicie rozluźniona.

Ugniatam, naciągam i masuję centymetr po centymetrze. Docieram do karku, potem znów schodzę do krzyża. Jej oddech jest teraz szybki i urywany. Uśmiecham się do siebie. Nie jest taka obojętna, jaką udaje.

Pochylam się i szepczę jej do ucha:

– Nie martw się. Będę delikatny.

Wsuwam w nią palec, kreślę nimi kółka, na zmianę wkładam go i wyjmuję. Nie mija kilka minut, kiedy jej ciało się napręża. Maddie jęczy, potem bez życia pada na łóżko i odwraca się do mnie.

– Co to było? – pyta. – Wiesz, że nie mogę uprawiać z tobą teraz seksu.

– Wiem – mówię – ale skoro cię tam wymasowałem, to może chociaż wieczorem?

Chichocze i przytula się do mnie.

– Może. Jeśli dobrze to rozegrasz. Jestem taka zmęczona od noszenia tych głupich

worków. Zdrzemnijmy się. – Zamyka oczy, ale po chwili je otwiera i zadaje mi pozornie przypadkowe pytanie. A właściwie dwa pytania. – Tęsknisz za rangersami? Jaki miałeś stopień?

– Codziennie – nie muszę się zastanawiać nad odpowiedzią. – Tylko o tym w życiu marzyłem. I byłem w tym dobry. Kiedy odchodziłem, byłem porucznikiem.

– Naprawdę nie mogłeś zostać?

Trafiła w czuły punkt, ale staram się to przed nią ukryć.

– Nie – odpowiadam wreszcie. – Nie było takiej możliwości. Gdyby była, skorzystałbym z niej.

– Lubisz to, czym się teraz zajmujesz?

Kiwam głową.

– Tak, ponieważ staramy się pomóc innym żołnierzom. Brand i ja przeszliśmy razem przez coś naprawdę gównianego. Jeśli dzięki naszemu uzbrojeniu ochronnemu inni żołnierze tego unikną, będę naprawdę cholernie szczęśliwy.

– Czy ta rzecz, która wam się przytrafiła, to to samo gówno, o którym nie chcesz rozmawiać?

Potwierdzam.

O dziwo, nie draży tematu. Patrzą na nią.

– A ty? Jacey wspominała, że miałaś zostać modelką. Jesteś szczęśliwa w Angel Bay?

Milczy, więc wiem, że też trafiłem w czuły punkt.

Wreszcie wzrusza ramionami.

– Widocznie nie było mi to pisane – mówi. – Czasami w życiu zdarza się gówniana sytuacja i jedyne, co możemy, to dać z siebie wszystko. Moim „wszystkim” był przyjazd tutaj.

Przyglądam się tej oszałamiającej kobiecie skulonej przy moim boku. Może nie jestem zbyt lotny, jeśli chodzi o rozgryzanie kobiet, ale nawet ja słyszę w jej głosie rezygnację.

– Możesz stąd wyjechać – zauważam. – Nie musisz żyć takim życiem, jeśli to nie jest to, czego pragniesz. Przecież to jasne, że nie chcesz tu być.

Madison mruga oczami, wpatrując się w przestrzeń. Nie jestem pewien, ale chyba próbuje się nie rozplakać:

– Chcę tu być – odpowiada wreszcie. – Chciałam być blisko Mili. Co prawda ona niedługo wyjeżdża, ale Angel Bay jest moim domem. Tutaj jest restauracja, której prowadzenie jest moim obowiązkiem. No i teraz ty tu jesteś.

– Akurat to, że ja tutaj jestem, to niekoniecznie dobra rzecz – mówię. – Ta gówniana sprawa, o której nie chcę rozmawiać, jest naprawdę nieciekawa.

– Domyślam się. Inaczej nie wzbraniałbyś się tak przed rozmową o tym. Ale to nieważne. Liczy się tylko to, że w głębi duszy jesteś dobrym człowiekiem. Możesz się wydawać bezczelnym twardzielem, ale jesteś dobry. Nie muszę się martwić, że mnie skrzywdzisz.

Milknie, a ja ją gładzę po ramieniu, kiedy zasypia. Po jakiejś półgodzinie oddech jej się wyrównuje i wiem, że zasnęła na dobre. Dopiero wtedy jej odpowiadam.

– Owszem, musisz.

Rozdział 13

MADISON

Budzę się i odkrywam, że jestem sama. Rzut oka na zegarek i już wiem, że spałam półtorej godziny. Rzadko ucinam sobie drzemkę, więc musiałam być naprawdę wykończona.

Powoli rozjaśnia mi się w głowie i przypominam sobie o powodzi. Wyskakuję z łóżka i pędzę do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Woda już dotarła do wału z worków i delikatnie się o nie rozbija. Jak na razie spełniają swoją funkcję.

– Nie przepuszczają wody – odzywa się z tyłu Gabriel. – Jeśli w ciągu kilku dni woda opadnie, powinno być dobrze.

Odwracam się do niego i pytam:

– Znalazłeś sobie coś do roboty, kiedy spałam?

Gabe kiwa głową.

– Tak. Parę razy przeszedłem się po domu. Kilka minut temu znalazłem nawet sposób na dostanie się do pokoju twoich rodziców.

Marszczę brwi. Nie bez powodu trzymam te drzwi zamknięte. Ale Gabe nie miał przecież złych intencji.

– W porządku – rzucam lekko. – Zamknąłeś drzwi, kiedy wyszedłeś?

– Owszem, zamknąłem. Ten pokój wygląda tak samo, jak musiał wyglądać w dniu ich śmierci. Nawet buty twojego taty stoją przy drzwiach, całe w błocie.

Milknie i uważnie mi się przypatruje.

– I co z tego? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Nic. To nie moja sprawa.

– Wiem, że to dziwaczne – mówię. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Nawet samej sobie.

Gabe znowu mi się przypatruje, jego ciemne oczy łagodnieją. Widzę w nich współczucie.

– Chcesz się przejść po plaży? – rzuca.

Przytakuję. Wychodzimy przez drzwi od podwórza, potem idziemy chwilę ścieżką prowadzącą na dół i już jesteśmy na plaży. Powietrze jest chłodne i wilgotne.

Nad naszymi głowami krzyczą mewy.

Wzbudzone przez niedawne sztormy fale jeziora Michigan rozbijają się o brzeg.

– Dlaczego nigdy nie widywałam cię tu latem? – pytam Gabe'a. – Jacey mówiła, że nie przyjeżdżałeś do miasta, bo byłeś nieśmiały, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Wzrusza ramionami, wpatrując się w wodę.

– Sam nie wiem. Spędzałem dużo czasu z dziadkiem. Chodziliśmy na ryby i takie tam, a Jacey i babcia jeździły do miasta.

– Rozumiem. Ale żałuję, że cię wtedy nie poznałam.

– Chyba nie zrobiłbym na tobie najlepszego wrażenia – odpowiada z uśmiechem. – Byłem tak zafiksowany na wstąpieniu do armii, że nic innego mnie nie interesowało.

– A ja byłam wtedy zbuntowaną nastolatką. Pewnie byś mnie nie polubił.

– Wątpię – odpowiada i bierze mnie za rękę. Prosty gest, a jest w nim tyle intymności.

Nie chcę powiedzieć czegoś głupiego, więc zaczynam paplać o swoich eskapadach, o tym, w jakie tarapaty wpadałam, przygotowując o ból głowy rodziców, a zwłaszcza tatę.

Gabriel patrzy na mnie i od razu żałuję, że wspomniałam o ojcu.

– Nie znoszę mężczyzn, którzy wyładowują swój gniew na kobiecie – mówi. – Dlatego obawiam się, że jestem trochę uprzedzony do twojego taty.

Wbijam wzrok w mokry piasek, niezdolna spojrzeć Gabe'owi w oczy.

– Rozumiem. Ale świat nie zawsze jest czarno-biały. Są tysiące różnych odcieni szarości. Pewnie nie miałeś z tym wiele do czynienia w rangersach i dla ciebie wszystko jest dobre albo złe, ale dla zwyczajnych ludzi pomiędzy tymi dwoma pojęciami jest wielka przestrzeń.

– Bronisz swojego ojca? Serio?

Krew uderza mi do głowy, z trudem przetykam ślinę.

– Nie o to chodzi. Po prostu... ty nic nie rozumiesz.

– W takim razie pomóż mi zrozumieć – prosi. – Widzę, że to wszystko spało ci na psychikę. A jednak nadal stajesz w jego obronie. Jego buty stoją nietknięte w pokoju, jakbyś wciąż miała nadzieję, że wróci. Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy. Tyle że Jacey przeszła przez takie samo gówno z naszym tatą. Co prawda nie bije jej, ale za każdym razem nawala, a ona ciągle daje mu szansę. Nie łapię tego. Jeśli ktoś pokazał ci swoje prawdziwe oblicze, to szanse, że się zmieni, są znikome. Dlaczego wspomnienia o ojcu są dla ciebie święte, skoro tak ci namieszał w życiu?

Brak mi tchu, dosłownie brak mi tchu w piersiach.

– Wspomnienia o ojcu nie są dla mnie święte – mówię, gdy udaje mi się zaczerpnąć powietrza. – Kochałam moich rodziców i jednocześnie nienawidziłam ich. Tęsknię za nimi i jednocześnie nie chcę o nich myśleć. Wszystko to splata się w całość, z którą nie bardzo umiem sobie radzić.

Gabe wpatruje się we mnie dłuższą chwilę.

– Jak możesz kochać kogoś, kto tak cię skrzywdził? – pyta wreszcie.

Wzdycham. To pytanie, które sobie zadawałam milion razy.

– Tata był dobrym człowiekiem... dopóki nie wpadł w szał. A wtedy całkowicie tracił panowanie nad sobą. Jak doktor Jekyll i pan Hyde. Szczerze mówiąc, między innymi dlatego ta sytuacja w pierwszą noc w Chicago tak mnie wytrąciła z równowagi. Też byłeś jak noc i dzień. Pomyślałam, że jesteś jak mój ojciec.

– Do cholery, Madison! Nie znałem twojego ojca, ale mogę cię zapewnić, że w niczym go nie przypominam.

– Teraz to wiem. Ale tamtej nocy tak gwałtownie się zmieniłeś. Pstryk i nagle zupełnie bez powodu walnąłeś pięścią w ścianę. Znałam to z doświadczenia, więc naprawdę mnie to przeraziło.

Widzę, że robi mu się głupio.

– Przepraszam – mówi. – Żałuję, że nie mogę ci tego wyjaśnić, ale to skomplikowane.

– Więc powinieneś rozumieć, że świat nie zawsze jest czarno-biały.

Nie jest już taki pewny swego. Dałam mu do myślenia.

– Opowiedz mi o swoich rodzicach – prosi. – Pax coś mi wspominał, ale niewiele.

– Kiedy dorastasz z kimś takim jak mój ojciec, z człowiekiem, który przez większość czasu jest cudowny, ale chwilami staje się kompletnym dupkiem, masz strasznie namieszane w głowie. Zaczynasz myśleć, że to normalne, albo że na to zasługujesz, albo, jak w naszym przypadku, że mama na to zasługuje. Jednak w głębi serca zawsze wiedziałam, że tak nie było. Wściekałam się na nią, że od niego nie odchodzi... A jednocześnie też go kochałam.

– Naprawdę miałaś niezły mętlik w głowie. Ale zawsze wiedziałaś, że to nie twoja wina, prawda?

– Tak. Z wyjątkiem jednej sytuacji. To było wtedy, kiedy mnie uderzył.

– Co mogło skłonić dorosłego mężczyznę do podniesienia ręki na dziecko? – pyta.

– Nie byłam dzieckiem – odpowiadam. – Miałam siedemnaście lat. Tata wrócił z The Hill wkurzony czymś związanym z pracą, a mamy nie było w domu. Nie miałam pojęcia, gdzie poszła, ale tata uważał, że ją kryję. Kiedy był taki wściekły, żadne argumenty do niego nie trafiały. W kółko pytał, gdzie jest mama, a ja ciągle odpowiadałam, że nie wiem. Nagle po prostu wymierzył mi cios pięścią. Z całej siły. Poleciałam na kanapę. Wydawało mi się, że moja twarz eksploduje, tak bardzo bolało. Jednak nie to było najgorsze.

Przerywam i ocieram łzę, która postanowiła mnie nie posłuchać i spłynęła po policzku.

Ręka Gabe'a zaciska się na mojej tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

– Co było najgorsze? – pyta.

Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Boję się, że nie będę w stanie znieść ich wyrazu i znowu się rozkleję.

– Stał nade mną i wrzeszczał, że jestem bezwartościową dziwką jak moja mama. Że kłamie, żeby ją kryć, bo jestem taka sama. Że zawsze będę tylko zwykłą dziwką.

Gabriel bierze wdech i na moment zatrzymuje powietrze w płucach.

– I myślałaś, że to twoja wina?

Wreszcie udaje mi się na niego spojrzeć.

– Nie do końca. Ale wyjechałam do Nowego Jorku, gdy tylko nadarzyła się okazja. Uciekłam. I od tamtego czasu towarzyszy mi poczucie winy. Zostawiłam Milę i mamę... Zostawiłam je z tym całym gównem.

– Mila była wtedy w szkole, prawda? – pyta cicho Gabe. – A twoja mama sama zdecydowała, że zostaje. To była jej decyzja, nie twoja. Ty musiałaś zadbać o siebie.

– Mila chodziła do szkoły, ale mieszkała w domu.

Milczę, wpatrując się we własne stopy, w wodę, w niebo. Wreszcie Gabe podnosi moją twarz ku sobie i mówi:

– Nie powinnaś czuć się winna, Maddy. Nie zrobiłaś nic złego. To on robił złe rzeczy.

– Czuję się winna za wszystko – wyrzucam z siebie. – Za to, że go nienawidziłam, i za to, że go kochałam. Za to, że nienawidziłam mamy, bo od niego nie odeszła. Za to, że ją opuściłam. Czuję, że nic, co zrobię, nie będzie wystarczającą pokutą.

– Dlatego tutaj jesteś – mówi Gabriel, gładząc kciukiem mój kciuk. – Zrezygnowałaś z życia w Nowym Jorku, żeby za to odpokutować.

Ma rację, myślę i ta myśl mnie irytuje.

– Czego wy wszyscy ode mnie chcecie? – prawie krzyczę. – Ty, Ethan, Mila, Jacey... wszyscy cały czas mi mówią, jaka jestem stara, jaka jestem nudna, jak bardzo nie przypominam dawnej siebie. Dobrze wiem, że się zmieniłam! Musiałam rzucić wszystko, żeby tutaj wrócić i żyć życiem rodziców! Myślisz, że tego chciałam?

Gabe nie jest zaskoczony. Zupełnie jakby się spodziewał tego wybuchu.

– Czego ode mnie chcesz? – pytam podniesionym głosem.

– Niczego od ciebie nie chcę – odpowiada spokojnie. – Po prostu do mnie dotarło, że też zrezygnowałaś ze wszystkiego. Wiem, jak to jest. Rozumiem, jak się czujesz.

– Nie wiesz, jak się czuję – mówię mu. – Po prostu nie wiesz.

– Może i nie wiem, jak dokładnie się czujesz. Ale wiem, jak to jest żyć życiem, którego nie chcesz. Ufasz mi?

Jestem zaskoczona tym pytaniem.

– Tak – odpowiadam niepewnie.

– To dobrze. Bo chcę, żebyś mnie posłuchała, nie wkurzając się i nie zakładając, że cię atakuję.

Od razu czuję się zdenerwowana, bo wiem, że to, co powie, wcale mi się nie spodoba.

Ale nie mam okazji wyrazić swoich wątpliwości, bo on już mówi dalej.

– W rangersach robiliśmy różne przerażające rzeczy. Dlatego wiem, czym jest strach. Ty się boisz, Maddy. Boisz się zmierzyć ze swoimi demonami. A dopóki tego nie zrobisz, zawsze będziesz żyć przeszłością. Dobra wiadomość jest taka, że strach jest wyborem. Możesz przed nim stanąć, wymierzyć mu cios prosto w twarz i odzyskać swoje życie.

Rzucam mu ostre spojrzenie.

– Bez obrazy, Gabe, ale jesteś ostatnią osobą, która ma prawo wygłaszać mi kazania na temat uporania się z własnymi problemami.

Wpatruje się we mnie bez słowa, jego spojrzenie najpierw twardnieje, a potem mięknie.

– Ty i ja to dwie różne osoby z dwoma różnymi rodzajami problemów – mówi wreszcie.

– Teraz rozmawiamy o tobie. Próbuję ci pomóc. Chcesz skorzystać z mojej pomocy czy nie?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Po prostu nie wiem.

Gabe uśmiecha się.

– Uwierz mi, chcesz.

– W porządku – mamroczę. – Co wymyśliłeś?

Gabriel prowadzi mnie z powrotem do domu, a tam prosto do pokoju moich rodziców.

– Zmieniłam zdanie – mówię, patrząc na zamknięte drzwi. – Nie mam na to ochoty.

Gabe przytrzymuje mnie.

– Owszem, masz. I możesz to zrobić. Strach jest wyborem, Maddy. Wybierz życie bez lęku. Możesz zacząć już dzisiaj. Nie lubisz swojego życia? Zmień je! Zaczynaj od stawienia czoła temu pokojowi.

Z trudem nabieram powietrza w płuca.

Przed oczami mam ojca, kiedy był wściekły. Z czerwoną twarzą i nabrzniętymi żyłami na skroniach wbiegał do tego pokoju, żeby znaleźć matkę.

Potem przypominam go sobie, kiedy nie był wściekły. Był wtedy spokojny, kochający, cierpliwy.

Doktor Jekyll i pan Hyde.

Zawsze muszę kontrolować wspomnienia, żeby nie dopuszczać do siebie tych, które mnie wytrącają z równowagi. Jestem już naprawdę zmęczona byciem emocjonalnym więźniem przeszłości.

Przekręcam gałkę i otwieram drzwi.

W środku jest spokojnie i cicho, prawie jak w mauzoleum. Wdycham stęchłe powietrze i rozglądam się. Widać, że pokojem zajmowała się kobieta, i tak powinno być, jeśli wziąć pod uwagę, jak często matka szukała tu schronienia.

Robię krok do przodu i wchodzę. Patrzą na buty ojca przy drzwiach, brudne ubrania w koszu, kosmetyki mamy na jej toaletce.

Robię kolejny krok, potem jeszcze jeden, aż wreszcie siedzę po turecku na ich łóżku. Staram się nie myśleć o tym, gdzie jestem.

Zamiast tego wracam myślami do dnia, w którym zginęli.

– Kiedy zadzwoniła Mila, byłam na Times Square z innymi dziewczynami z agencji dla modelek – mówię do Gabe'a. – Była tak rozhisteryzowana, że początkowo nie mogłam zrozumieć, co do mnie mówi. „Zginęli, Mad, szlochala. Już ich nie ma”. Przez sekundę, przez jedną sekundę czułam tylko ulgę, że już nigdy nie będę się musiała zmagać z ich pokręconymi dramatami. Ale odsunęłam to okropne uczucie na bok i zrobiłam, co do mnie należało. W ciągu kilku godzin siedziałam w samolocie. Współlokatorka spakowała moje rzeczy i mi je wysłała, a ja nigdy więcej nie wróciłam do Nowego Jorku.

Ześlizguję się z łóżka i zaczynam grzebać w maminej szufladzie z drobiazgami. Ta kryje

w sobie wszystko, co miało dla niej jakieś sentymentalne znaczenie. Stare zdjęcia, ulubiona biżuteria, miłosne liściki od taty.

Biorę jeden do rąk i czytam.

Kochanie,

nienawidzę być z dala od Ciebie. Każda minuta wydaje mi się godziną, a każda godzina – dniem. Już za trzy dni będziemy małżeństwem i rozpoczniemy wspólne życie. Mam nadzieję, że podobają Ci się kwiaty.

Kocham Cię,

Kent

Oczy napętniają mi się łzami na myśl o tym, że byli kiedyś tacy szczęśliwi, bez problemów, bez przemocy i bicia. Z trudem przypominam sobie czasy, gdy temperament ojca jeszcze nie zatruwał nam życia.

Podaję list Gabe'owi i sięgam po następny.

Nan,

przepraszam za ostatnią noc. Przepraszam, że nie zapanowałem nad sobą. Po prostu sama myśl o tym, że mogłabyś odejść, doprowadza mnie do szaleństwa. Jeśli odejdiesz, będę niczym. Proszę, wybacz mi.

Kocham Cię.

Na zawsze Twój

Kent

Gorąca łza spływa po moim policzku, a ja ją ocieram i rzucam szufladę na drugi koniec pokoju. Uderza o ścianę i cała zawartość wylatuje, tworząc na podłodze spory pagórek śmieci.

– Pieprz się, tato – mówię. – Pieprz się, pieprz się, pieprz się.

Gabe podnosi liścik, czyta go i spogląda na mnie.

– Twoja mama miała zamiar go zostawić?

Kiwam głową.

– Sto razy. Ale nigdy tego nie zrobiła. Kazała nam pakować walizkę i wsiadać do samochodu, ale potem czekałyśmy tam godzinami, bo rodzice kłócili się i wreszcie godzili. Nie pamiętała, że siedzimy w aucie i czekamy na to, żeby była silna i zmieniła nasze życie. Nigdy tego nie zrobiła. Nienawidziłam jej za to.

Prawie krzyczę. Zaskoczony Gabe patrzy, jak szarpnięciem otwieram szafę i wyrzucam z niej wszystko, tworząc na podłodze wielki stos.

Gdy przyglądam się swemu dziełu, Gabe mówi:

– Zapomniałaś o tym – i pokazuje mi stare kartki z życzeniami spięte gumką recepturką.

Wskazuję górę ubrań.

– Rzuć to tam.

Robi to i oboje patrzymy, jak kartki ześlizgują się w dół po ubraniowym zboczu.

Gabriel patrzy na mnie z podziwem.

– Nie sądziłem, że pozbędziesz się wszystkiego za jednym zamachem. Masz jaja, Maddy.

– Ale co, do diabła, mam z tym wszystkim zrobić? – mruczę. Odpowiedź przychodzi mi do głowy natychmiast. – Ognisko!

Gabriel kiwa głową z entuzjazmem.

– Świetny pomysł! Zanieśmy to wszystko na plażę i spalmy.

Gdy taszczymy wszystko na wilgotną plażę, wspominam wieczorne ogniska, które Mila i ja urządzaliśmy z przyjaciółmi.

To będzie zupełnie inne.

Po pierwsze, jest dzień.

Po drugie, przypomina odczynianie złego czaru.

Odwracam się do Gabe'a i rzucam mu pudełko zapalek i gaz do zapalniczek.

– Mam zamiar spalić wszystko, co mnie zraniło i przez co nie mogłam się pozbierać – mówię. – Mama nie była wystarczająco silna, żeby sobie z tym poradzić, ale ja jestem.

Gabriel kiwa głową.

– Właśnie o to mi chodziło, Maddy. Strach jest wyborem.

Polewa gazem cały stos, odwraca się do mnie i wręcza mi zapalną.

– Ty to zrób – mówi. – Zaslugujesz na to.

Patrzę na ogromną górę i uzmysławiam sobie, że symbolizuje potwora, który o wiele za długo kontrolował moje życie.

To przez rodziców boję się zaangażować, to przez nich boję się, że mężczyzna, z którym będę, zrani mnie, tak jak tata ranił mamę. Ojciec mnie kochał, a jednak wyrządził mi ogromną krzywdę.

Rzucam zapalną i patrzę, jak stos staje w płomieniach. Próbuję sobie wyobrazić, że wszystko, co przez lata ciążyło mi na sercu, ulatuje teraz z dymem... To nie ja powinnam dźwigać to brzemie. Należało do nich, a ich już nie ma.

Ja jestem. Przede mną mnóstwo błędów do popelnienia... ale jestem pewna, że nie powtórzę ich błędów.

Siedzimy przy ognisku co najmniej godzinę. Ilekroć ogień przygasa, dolewam więcej gazu, żeby płomień znowu wystrzelił do nieba. Chcę mieć pewność, że każde złe wspomnienie spali się na popiół.

– Czujesz się lepiej? – pyta Gabe, kiedy wracamy do domu.

– Tak – odpowiadam. – To był dobry pomysł. Przykro mi, że musiałeś oglądać całe to gówno. Ale dziękuję, że mnie nakłoniłeś, żebym stawiała temu czoła.

Podgrzewamy mrożone burrito i ryż, a potem siedzimy przytuleni na kanapie. Kiedy nadchodzi czas na sen, wchodzimy pod kołdrę i Gabriel tuli mnie, dopóki nie zasypiam.

Rozdział 14

GABRIEL

Co, do jasnej cholery, się dzieje?

Ćwiczę na siłowni, a w głowie mam totalny mętlik. Nie wierzę, że to się przytrafiło właśnie mnie. Ja nie przywiązuję się do kobiet. Nigdy. Pieprzę je i lubię je pieprzyć. Ale przywiązywać się?

Nie ma takiej opcji.

W takim razie dlaczego tak się zafiksowałem na punkcie Madison? To nie ma sensu, bo nie mogę z nią być. Jestem za bardzo popieprzony, a ona nie jest świadoma nawet połowy tego. To nie w porządku.

Mady nie ma pojęcia, jakim jestem potworem. Gdyby wiedziała, pewnie kopnęłaby mnie w jaja i ile sił w nogach uciekała w odwrotną stronę.

I tak właśnie powinna zrobić.

„Jesteś człowiekiem, który mnie nie skrzywdzi”.

Jezu Chryste. Na wspomnienie tych słów ściska mi się żołądek. Co ja, do kurwy nędzy, wyrabiam? Dlaczego ją pieprzę? To nie w porządku.

Kiedy jednak pomyślę o odejściu od niej, wszystko wydaje się zwykłym gównem. Czy naprawdę jestem tak egoistyczny, żeby ją przy sobie trzymać, choć wiem, że nie jestem w stanie stworzyć normalnego związku?

Walę w worek tak długo, aż opadam z sił. Moje ręce są słabe, a ramiona wydają się zrobione z gumy.

Ciężko opadam na podłogę i opieram się o ścianę, próbując złapać oddech.

Biorę prysznic, po czym sięgam po telefon i dzwonię do Jacey.

– Siema, siostra! Masz ochotę postrzelać?

– Jasne! Na miejscu za godzinę?

– Zgodna.

Nauczyłem ją strzelać, kiedy oboje byliśmy w liceum.

Miałem jeszcze mleko pod nosem i byłem kompletnie zielony. Myślałem, że wstąpienie w szeregi rangersów będzie najwspanialszym momentem mojego życia, że zrobi ze mnie mężczyznę.

Nie miałem pojęcia, że mnie złamie.

Wstępuję do domu po AR-15 i kilka pudełek nabojów, wrzucam je do bagażnika i kieruję się w stronę strzelnicy.

W ciągu lat, które upłynęły od naszej pierwszej wycieczki na strzelnicę, Jacey i ja spędziliśmy setki godzin, dziurawiąc tarcze, po prostu żeby oczyścić umysł. Monotonność strzelania ma w sobie coś kojącego i swojskiego. To jedyna rzecz, którą możemy robić razem, jedyna, którą oboje lubimy.

Kiedy docieram na miejsce, Jacey już tam jest i rozpakowuje swoje badziewia, między innymi różową „dziewiątkę”, z której zawsze mam ubaw.

– Co się dzieje?

Rzucam jej chmurne spojrzenie.

– O co ci, do cholery, chodzi? Myślisz, że dorobiłem się jajników? Że będę gadać o swoich uczuciach i innych pierdołach?

Jacey szeroko się uśmiecha.

– Nie. Najpierw trochę postrzelamy. A potem możemy pogadać o twoich uczuciach i innych pierdołach.

Potrząsam głową i wkładam do uszu stopery z pomarańczowej pianki.

W ciągu następnych dwóch godzin rozwalamy nasze tarcze w strzepy. Jacey wystrzeliwuje całą amunicję, a kiedy moja też jest na wykończeniu, zwraca się do mnie, wyjmując najpierw stoper z jednego ucha:

– Masz ochotę na kolację?

– Jasne.

Jedziemy do małej przydrożnej knajpki serwującej hamburgery, gdzie Jacey zamawia prawie pół wołu i margaritę. Własne zamówienie wydaje mi się żenująco skromne: podwójny ćwierćfuniak i cebulowe krążki.

– Nie jadłaś od miesiąca? – pytam, kiedy rozsiadamy się w ozdobionej połamanymi płytami winylowymi łoży.

– To te dni, Gabe – wyjaśnia. – Mogłabym zjeść dwie krowy i jeszcze cielaka.

Fuj.

– Nie musiałaś tego mówić, Jace. Serio.

Śmieje mi się w nos.

– Dlaczego tu jesteśmy, Gabe? Pytam poważnie. Albo mi powiesz, albo to z ciebie wyciągnę. Dla mnie bez różnicy.

Wiem, że wyciąganie tego ze mnie sprawiłoby jej sporą frajdę.

– Dałem ciała – przyznaję wreszcie. – Bardziej niż zwykle.

Podnosi jasną brew.

– Co się stało?

Wzdycham i wypijam łyk piwa. Zimny napój przyjemnie szczypie w gardło.

– Madison.

Oczy Jacey natychmiast się zwięzają.

– Co zrobiłaś? Powiedziałaś mi, że cię wykastruję, jeśli ją skrzywdzisz. Nie spieszy mi się, żeby oglądać twoje klejnoty, ale to zrobię.

Potrząsam głową, gapiąc się w stół i kręcąc piwem w kuflu.

– Jeszcze nie. Ale tak to się skończy.

Jacey jest zaskoczona. Patrzy na mnie i ewidentnie nie wie, co o tym myśleć:

– Chyba nie nadażam. Skoro jej jeszcze nie skrzywdziłaś, to chyba nie musisz tego robić.

Nasze jedzenie wjeżdża na stół i Jacey dosłownie rzuca się na swoją porcję, pochłaniając mięso z większym zapalem niż jakakolwiek inna znana mi laska.

– Nie rozumiesz – mówię wreszcie z westchnieniem. – Jestem totalnie popieprzony.

Kiedy na mnie patrzysz, widzisz swojego dużego brata, starego dobrego Gabe'a. Ale ja już nie jestem tamtym gościem. To, co się przytrafiło Brandowi i mnie... naprawdę namieszało mi w głowie. Maddy zasługuje na kogoś lepszego.

Jacey przestaje żuć i patrzy na mnie.

– Dlaczego nie pozwolisz, żeby sama zdecydowała? – proponuje. – Opowiedziałeś jej, co ci się przydarzyło?

– Nie – potrząsam głową.

Jacey przechyla głowę i uważnie mi się przygląda.

– Czy z tobą naprawdę jest tak źle? Znam cię, Gabe. Jesteś dobrym człowiekiem, naprawdę dobrym. Nigdy nie próbowałabym wyswatać cię z Maddy, gdybyś taki nie był.

– Właśnie tego nie możesz zrozumieć, Jacey – odpowiadam. – Już nie jestem dobry. Po prostu nie.

– Zabiłeś kogoś, kiedy byłeś w rangersach? – pyta. – Czy o to chodzi? Przecież musiałeś wiedzieć, że kogoś zabijesz, jeśli wstąpisz do wojska i pojedziesz do Afganistanu.

Potrząsam głową.

– Owszem, zabijałem ludzi. Ale to nie to.

– Coś gorszego niż zabijanie? – Jacey patrzy na mnie z niedowierzaniem. – W takim razie chyba nie chcę wiedzieć.

Pochylam głowę, żeby nasze oczy były na tym samym poziomie.

– Uwierz mi, nie chcesz. Ale teraz mam problem i nie wiem, co robić. Nie chciałem tak się zbliżyć do Madison. Naprawdę nie chciałem. Myślałem, że prześpiemy się ze sobą kilka razy, a potem wrócę do domu. Ale...

– Ale naprawdę ją polubiłeś, co? Od dawna ci mówię, że jesteście dla siebie stworzeni.

Wzdycham.

– Lubię ją. I wiele w życiu przeszła. Niepotrzebne jej moje jazdy. Ale jestem egoistą i nie chcę jej jeszcze zostawiać.

Jacey odpycha od siebie talerz i mierzy mnie wzrokiem. Krzyżuje ręce, jej twarz nabiera surowego wyrazu.

– Gabrielu Josephie Vincent. Czy uważasz, że nie zasługujesz na nic dobrego w życiu? Czy to, co się zdarzyło za oceanem, było aż tak złe, że nie będziesz już nigdy szczęśliwy? Zasługujesz na szczęście bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Posłuchaj mnie. Musisz powiedzieć Maddy prawdę. Po prostu wyłóż karty na stół. Pozwól jej samej zdecydować, czy chce z tobą być. Jesteś to winny sobie i jej.

Przytakuję, ocierając usta i rzucając serwetkę na talerz.

– W porządku – wyrzucam z siebie. – Może masz rację.

– Oczywiście, że mam rację – odpowiada. – I fajnie, że choć raz ja mogę prawić ci morały, zamiast je od ciebie wysłuchiwać.

Idziemy do swoich samochodów.

– Serio, braciszku. Ona jest tego warta. Naprawdę. Na zewnątrz jest sztywna i niedostępna, ale serce ma z pieprzonego złota.

Wracam myślami do wczorajszego popołudnia, kiedy staliśmy przed ogniskiem, obserwując, jak płoną jej złe wspomnienia. Była taka bezbronna.

Na zewnątrz jest sztywna i niedostępna, ale w głębi serca jest cholernie krucha i delikatna. I właśnie tego się boję.

– Dzięki za radę, siostrzyczko – całuję ją w czoło. – Wrócę dziś później.

– A jeśli w ogóle nie wrócisz, nic się nie stanie – odpowiada. – Jared od dawna nie kręci się w pobliżu. Myślę, że dał sobie spokój.

– Miejmy nadzieję – mówię, wskakując do samochodu.

Przed odpaleniem silnika wysyłam wiadomość do Maddy: „Chcesz się ze mną spotkać po pracy na pomoście koło Twojego domu?”

Po zaledwie chwili odpowiada: „Jasne. W celu...?”

„Chcę pogadać” – odpisuję.

Po chwili dostaję odpowiedź: „Ok. Do zobaczenia o 21.30”.

Jadę do domu i biorę prysznic. Potem się obijam w oczekiwaniu na spotkanie z Maddy. Wyjeżdżam przed czasem i siadam na końcu pomostu z nogami zwisającymi nad powierzchnią wody. Puszczam kaczki i czekam.

Nawet gdybym nie słyszał trzasku drzwi jej samochodu na podjeździe, i tak wyczułbym jej obecność. Jej spojrzenie wypala dziurę między moimi łopatkami, kiedy idzie długim pomostem na spotkanie ze mną. Siada koło mnie, bierze z mojej ręki kamień i płasko rzuca go

przed siebie. Kamień tylko raz podskakuje na powierzchni jeziora, po czym idzie na dno jak kamień, którym przecież jest.

– O co chodzi? – cicho pyta Maddy. Po jej minie widzę, że prawdopodobnie myśli, że zamierzam jej powiedzieć, że to koniec.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że są różne gówniane rzeczy, których o mnie nie wiesz? – pytam poważnie, rzucając kolejnym kamieniem.

Udaje, że się nad tym zastanawia.

– Chyba coś pamiętam...

– Postanowiłem ci o tym opowiedzieć.

Maddy bierze głęboki wdech i wpatruje się we mnie.

– Jesteś pewien?

Potrząsam głową.

– Nie. Tyle że wczoraj byłaś cholernie odważna. Nie jestem mięczakiem, którego nie stać na to samo. Ale może uznasz mnie za mięczaka, kiedy skończę opowiadać.

Madison patrzy mi prosto w oczy.

– Nie sądzę, ale jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Biorę głęboki wdech, potem kolejny. Nocne powietrze jest chłodne, wokół naszych głów krążą świetliki. Przez chwilę zastanawiam się, czy się nie wycofać. Jednak nie ma takiej opcji.

Po prostu to zrób, pieprzony mięczaku.

– Dobrze – zaczynam. – Wiesz, że byłem w Afganistanie z rangersami. Wiesz, że robiliśmy tak różne gówniane rzeczy. Ale zdarzyła się jedna rzecz, która totalnie spieprzyła psychikę mnie i Brandowi. To dlatego jesteśmy tutaj, mieszkamy w wygodnych, klimatyzowanych domach i jemy porządne jedzenie, podczas gdy nasi kumple ciągle są na piekielnie gorącej pustyni i wcinają żołnierskie racje żywnościowe.

Madison patrzy na mnie wyczekująco.

– W porządku – mówi. – Rozumiem tę część. Gdyby nie przytrafiło ci się coś strasznego, nie byłoby cię tutaj. Jestem gotowa na wysłuchanie twojej historii. Nie będę cię oceniać.

Wpatruję się w nią w mroku.

– Powinnaś wiedzieć, że to był najgorszy dzień mojego życia. Nie mogę ci opowiedzieć wszystkiego, ale chcę, żebyś wiedziała, z czym masz do czynienia, okej?

Patrzy na mnie poważnie i kiwa głową.

Nabieram do płuc powietrza, a następnie wypuszczam. Mój chrapliwy oddech zakłóca ciszę nocną, ale nie zwracam na to uwagi. Skupiam się na słowach, które mówię, na każdym słowie z osobna, żeby przebrnąć przez nie wszystkie.

– W Afganistanie było cholernie ciężko. Żar lejący się z nieba, pot, smród. Wszędzie, gdzie byliśmy, musieliśmy mieć oczy dookoła głowy. Ludzie nas nienawidzili, choć udawali, że tak nie jest. Ale dałbym sobie z tym radę. Nawet przez długi czas, gdyby była taka potrzeba, bo takie życie sobie wybrałem. Tego właśnie chciałem. Jednak pewnej nocy zdarzyło się coś, co mnie złamało. Kompletnie mnie złamało, Madison.

Przerywam, żeby zebrać myśli i wziąć się w garść, zanim zacznę mówić dalej. Nie śmiem spojrzeć na twarz Madison. Nie chcę wiedzieć, co o mnie myśli.

– Pewnej wyjątkowo gorącej i ciemnej nocy Brand i ja byliśmy na patrolu poza Kabulem. Był z nami nasz kumpel, Szalony Pies. Jechaliśmy na czele konwoju złożonego z czterech humvee i zmierzaliśmy w kierunku miejsca, w którym mieliśmy się rozdzielić i rozjechać w czterech kierunkach. Kiedy tylko się rozdzieliliśmy, wybuchła bomba. Nasz humvee wyleciał w powietrze, a siła eksplozji rozerwała Szalonego Psa.

Madison gwałtownie wciąga powietrze, jednak nic nie mówi. Czeka na dalszą część

opowieści. Przełykam ślinę.

– Był porządnym gościem, Maddy. Naprawdę porządnym. W domu czekała na niego żona z malutkim dzieckiem. Nazywaliśmy go Szalonym Psem, bo pił za dużo whisky Mad Dog. Poza tym nigdy nie przegrał w pokera. Nigdy. Był dobrym przyjacielem. A ja odpłaciłem mu za to wszystko, podejmując decyzję, przez którą został rozerwany na milion pieprzonych kawałków.

Madison nabiera tchu, potem powoli wypuszcza powietrze. Widzę, że powiedziałem już wystarczająco dużo.

– O mój Boże. To takie straszne! Nie wiem, co powiedzieć. Tak mi przykro. Ale nie możesz za to obwiniać siebie. Przecież to nie była twoja wina.

Podnoszę na nią wzrok i widzę, że na jej pięknej twarzy maluje się groza.

– Była. Popełniłem błąd. Właśnie to się zdarzyło tamtej nocy. Po powrocie do kraju pojechałem na pogrzeb Szalonego Psa. Kiedy próbowałem wręczyć jego żonie flagę, którą okryta była trumna, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: „To powinieneś być ty”. Ponieważ to powinienem być ja. Ona знаła prawdę.

Wiedziała o wszystkich rzeczach, o których nie mogę powiedzieć Maddy.

Wiedziała, co naprawdę się zdarzyło. Czytała raport z wydarzenia, czarne słowa na białym papierze.

Czuję w gardle falę gorąca, za chwilę nie będę w stanie nic z siebie wykrztusić. Przełykam ślinę, potem jeszcze raz i próbuję się rozluźnić, głęboko oddychać.

Maddy obejmuje mnie i mocno przytula. Czuję na szyi jej delikatny oddech.

– Nie wolno ci w to wierzyć – mówi miękko, a jej usta muskają moje ucho. – Nie wolno ci w to wierzyć. Gabriel, jesteś silny i dobry. To był straszny wypadek. To nie była twoja wina.

Znowu na nią patrzę, w gardle mam gulę.

– To była moja wina – mówię jej. – Nie musisz wiedzieć, jak dokładnie to się stało. Ale musisz sobie zdawać sprawę, że wróciłem do kraju totalnie rozpieprzony, z zespołem stresu pourazowego, i nie umiem się z tym uporać. Nie jestem już normalnym człowiekiem. I wydaje mi się, że nie powinnaś być z kimś takim jak ja.

Maddy patrzy na mnie. W jej lśniących od łez oczach widzę współczucie. Powinienem jej za to nienawidzić, ale czuję tylko cholerną ulgę, że nie widzę w nich potępienia. Czuję cholerną ulgę, że ona nie uważa, że jestem słaby. Albo żalony.

– Jesteś normalnym człowiekiem – mówi stanowczo. – Jesteś dobry, silny i odważny. Codziennie narażałeś życie dla ludzi takich jak ja, żebyśmy mogli spać spokojnie w nocy.

Robiłeś niewyobrażalne rzeczy, Gabe. Dla ludzi takich jak ja. Uwierz mi, chcę być z kimś takim jak ty. Więc możesz sobie darować tę głównianą gadkę.

Nagle jej oczy się rozszerzają.

– Wtedy w Chicago... Miałeś przeblłycki wspomnień z Afganistanu, prawda?

Przytakuję, nie patrząc na nią.

– To się po prostu czasem zdarza. Nie potrafię tego kontrolować, a to najbardziej popieprzony aspekt tego wszystkiego. To moja słabość.

– A nie możesz mieć słabości? Nawet Achilles miał swoją piętę...

– Jeśli dobrze pamiętam, Achilles zginął przez swoją piętę.

– Prawda – przyznaje mi rację. – Gabe, nie jesteś słaby. Przykro mi, że to wszystko ci się przydarzyło. Nie zasłużyłeś na to. I nie podoba mi się, że uważasz, że powinieneś się z tym kryć. Nie ma się czego wstydzić. Słyszałam, że mnóstwo żołnierzy wraca do domu z zespołem stresu pourazowego. Nawet ci najsilniejsi.

Tylko potrząsam głową. Nie umiem jej wyjaśnić, co taka słabość oznacza dla mężczyzny. Jak cholernie podle się z tym czuję.

– Co z tym robisz? – pyta niepewnie. – Na czym polega terapia?
– Odmówiłem poddania się terapii. To znaczy byłem kilka razy u psychiatry, ale nie zapisałem się na kompleksową terapię, na której był Brand. Nazywa się TPP, czyli terapia przetwarzania poznawczego. Brand powiedział, że jest tam cholernie ciężko, ale i tak mnie namawiał do wzięcia udziału. Powiedziałem, że nie ma mowy. Sam sobie z tym poradzę.
– I jak ci idzie? – pyta Madison, a w jej głosie słyszę wątpliwość.
– Do dupy – przyznaję. – Ale to nie może być gorsze niż TPP.
– Ile trwa TPP? – pyta z zaciekawieniem. – Ciągłe możesz się zapisać?
– Tak – odpowiadam ostrożnie. – Ale nie chcę. To by był tydzień prawdziwego piekła. A ja się już wystarczająco dużo napatrzyłem na piekło.
– Rozumiem – mówi. – Pamiętasz, co mi powiedziałaś wczoraj? Że boję się zmierzyć ze swoimi demonami, a dopóki tego nie zrobię, zawsze będę żyć przeszłością. To mądre słowa, Gabe. I myślę, że odnoszą się również do ciebie.
Potrząsam głową.
– Twoja przeszłość jest inna od mojej, Maddy. Przeze mnie zginęli ludzie. To nie to samo.
Patrzy na mnie bez przekonania, ale nie ciągnie tematu.
– Na pewno wiesz, co robisz.
Wcale nie, myślę. Ale nie mówię tego na głos.
Zamiast tego pytam:
– Myślisz teraz, że jestem szalonym dupkiem?
Patrzy na mnie, jakbym naprawdę był szalony.
– Gabe, widziałam, jak się rozkleiłeś w Chicago. A kiedy potem nic na ten temat nie powiedziałaś, myślałam, że może naprawdę jesteś szalony. Ale nie jesteś.
Podnoszę się i podaję jej rękę, żeby pomóc jej wstać.
– Nienawidzisz mnie teraz?
– Niby za co? – pyta ze zdziwieniem. – Za to, że robiłeś, co do ciebie należało? Że wróciłeś do kraju totalnie rozbity? Że straciłeś przyjaciela? O, nie! Teraz, kiedy wiem, przez co przeszedłeś, szanuję cię nawet bardziej.
– W takim razie może to ty jesteś szalona – mruczę, kiedy idziemy pomostem w stronę plaży.
– Nie można tego wykluczyć – przyznaje mi rację.
Cicho się śmieję, głęboki dźwięk przerywa ciszę nocy.
Odprowadzam ją do auta.
– Zostań na noc – proponuje.
Odruchowo się spinam, tak z przyzwyczajenia.
– Nie – mówię jej. – Nie powinienem.
– Przecież wiem, czego się mogę spodziewać – odpowiada. – Koszmary senne, niespokojny sen, przewracanie się z boku na bok. Uwierz mi, już to wszystko widziałam. Pierwszej nocy w Chicago i ubiegłej nocy. Obudził mnie hałas, a to ty się przewracałeś na kanapie. Dla mnie to żaden problem.
Przypominam sobie tamtą dziewczynę w Kabulu. Krew spływającą po jej twarzy. Jestem pewien, że byłaby odmiennego zdania.
Ale to było prawie rok temu. Od tego czasu z pewnością wiele się zmieniło.
Wreszcie się zgadzam.
– W porządku. Widzimy się u ciebie.
Madison uśmiecha się radośnie.

– Świetnie. Do zobaczenia!

Wsiadam do auta i przez chwilę siedzę bez ruchu. Nie mogę uwierzyć, że właśnie to zrobiłem. Nie powiedziałem jej wszystkiego, ale powiedziałem wystarczająco dużo. A ona nie uciekła.

Czy to możliwe, że wszystko naprawdę dobrze się ułoży?

Odpalam silnik i podążam za tylnymi światłami samochodu Madison aż do jej domu.

Wyglądają prawie jak lśniące czerwone światła obserwujące mnie w mroku.

Twój demon cię dopadł.

Pieprzyć demona.

Rozdział 15

MADISON

W drodze do domu myślę o tym, co powiedział mi Gabriel. To wszystko ma sens.

Nic dziwnego, że zaczął świrować tamtej nocy w Chicago, kiedy eksplodowała taksówka. Musiało mu to przypomnieć wybuch bomby na przedmieściach Kabulu.

Opowiadając mi to wszystko, był taki bezbronny i zraniony. Mam ochotę zamknąć go w ramionach i trzymać, aby czuł się całkiem bezpiecznie. Jednak wiem, że nie mogę tego zrobić, tak jak wiem, że on nigdy by mi na to nie pozwolił. Jest najbardziej alfa ze wszystkich samców, którzy chodzą po tej ziemi.

Zatrzymuję samochód na podjeździe, wysiadam i podchodzę do Gabriela, który właśnie wysiada ze swojego camaro. Przysuwam do siebie jego twarz i namiętnie go całuję. Jest zdziwiony, ale obejmuje mnie i przyciąga do siebie, odwzajemniając pocałunek.

Wreszcie mnie puszcza.

– A to za co? – pyta.

– Tylko za to, że jesteś sobą – odpowiadam.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem, ale nic już nie mówi. Po prostu idzie za mną do domu. Po wysłuchaniu jego historii jestem w sentymentalnym nastroju, mam ochotę usiąść i wpatrywać się w niego, podziwiając jego odwagę. Albo mocno go przytulać. Albo schować się w jego ramionach. Jednak gdybym to zrobiła, wyszłabym na stukniętą, więc nie robię żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego proponuję wspólną kąpiel w jacuzzi.

– Masz jacuzzi? – podnosi brew. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Nigdy o tym nie gadaliśmy – wzruszam ramionami.

– Nie mam spodenek kąpielowych – ostrzega.

Uśmiecham się.

– Nie będą ci potrzebne.

Biorę go za rękę i prowadzę do wpuszczonego w podłogę jacuzzi na tarasie. Gabe jest zaskoczony.

– Nic nie zauważyłem pierwszej nocy, kiedy tu... Po prostu nie zauważyłem.

Śmieję się, ściągając szorty i zrzucając top.

– Tamtego wieczoru byliśmy zajęci czymś innym.

Zdejmuję stanik, potem majteczki i staję przed nim zupełnie naga.

Przygląda mi się z uznaniem.

– Teraz też jestem zajęty czymś innym... – stwierdza, rozpinając spodnie i zrzucając ciuchy.

Przyciąga mnie do siebie, moja skóra ociera się o jego skórę, a jego ręce wędrują w górę i w dół moich pleców.

– Mówiłem ci już, że masz najbardziej seksowny tyłek na świecie? – pyta cicho.

– Nie, nie mówiłeś – odpowiadam ze śmiechem. – Ale możesz powiedzieć...

– Właśnie taki jest – oświadczam. – Mógłbym go trzymać w rękach przez cały dzień.

– A czy mógłbyś go w nich trzymać w jakimś cieplejszym miejscu? – proponuję, odsuwając się od niego i zmierzając w kierunku jacuzzi.

Gabriel pozbywa się reszty ciuchów i idzie za mną.

Zanurzam się w wodzie i natychmiast wspinam się Gabe'owi na kolana. Chcę wchłonąć

jego ból, cały ból, który ukrywa przed światem. Chcę go od niego przejąć, żeby już go nie czuł.

Chcę się w nim zanurzyć. Chcę, żeby on zanurzył się we mnie. Znam tylko jeden sposób, żeby osiągnąć ten stan.

Biorę jego sztywny członek, pozwalam ręce ślizgać się po nim w górę i w dół i słucham, jak Gabe gwałtownie nabiera tchu. Uwielbiam słuchać jego głosu w ciemności, uwielbiam czuć go w dłoni. Uwielbiam sposób, w jaki reaguje na mnie jego ciało.

Uwielbiam to, jak się przede mną dzisiaj otworzył.

Jak mi zaufał.

Znowu go całuję, tłumiąc głośny jęk wydobywający się z jego ust. Bez słowa obniżam biodra, pozwalając jego kutasowi głęboko się we mnie zanurzyć. Gabe odrzuca głowę do tyłu i kładzie dłonie na moich plecach.

– Nie chcesz, żebym użył gumy? – udaje mu się wykrztusić.

Potrząsam głową.

– Biorę pigułki. Poza tym ci ufam.

– Cholera jasna, Mad – jęczy, kiedy podnoszę się i opadam, przyjmując w siebie całą jego imponującą długość.

Widzę, że doprowadza go to do szaleństwa. Zresztą mnie również. Gdy jego skóra ociera się tak o moją, chcę krzyczeć, moje nerwy są rozpalone do białości, moje emocje całkiem nagie.

Ale chcę, żeby doszedł. Chcę go przyjąć w siebie, chcę wziąć wszystko, co może mi dać. Chcę brać i brać, i brać.

– Skończ we mnie, Gabe – szepczę do jego gardła, bo głowę ma odrzuconą do tyłu.

Całuję go powoli, zlizuję wilgoć z jego skóry, smakuję go. – Skończ we mnie.

– Zabijasz mnie... – jęczy.

Śmieję się głębokim gardłowym śmiechem.

– O to właśnie chodzi – mówię mu. – Chcę, żebyś doszedł. Chcę to poczuć.

Ruszam się teraz szybciej w górę i w dół. Wreszcie Gabe wydaje z siebie chrapliwy jęk i mocno mnie do siebie przyciska. Wiem, że dochodzi, czuję, jak przeszywa go dreszcz, a potem znajome pulsowanie. Czuję rozpływające się we mnie gorące nasienie i uśmiecham się.

– I co, było tak trudno? – pytam, przytulając się do jego piersi.

Gabe szeroko się uśmiecha.

– Nie, bez problemu – odpowiada. – Ale ty jeszcze nie doszłaś. Musimy o to zadbać, żeby było sprawiedliwie.

Protestuję i zapewniam go, że nie musi tego robić, ale on przerzuca mnie na plecy i przyciska do siebie, kiedy jego palce wślizgują się we mnie. Płynne i wprawne ruchy szybko doprowadzają mnie do orgazmu. Dochodzę, wijąc się z rozkoszy pod wpływem czarodziejskich ruchów jego ręki.

– Jesteś w tym dobry – mówię mu, kiedy wreszcie łapię oddech.

– Dzięki Bogu! Jesteś nienasycona.

– Niech ci będzie – śmieję się cicho.

Leżymy w jacuzzi, aż opuszki palców zaczynają się nam marszczyć.

– Myślę, że musimy wypuścić wodę, porządnie wyszorować wannę i napełnić ponownie – zauważam, kiedy z niej wychodzimy i owijamy się ręcznikami.

– Po co? Czy ktoś poza nami będzie jej używał?

Ma rację.

Zamawiamy chińszczyznę i jemy, usadowiwszy się wygodnie na kanapie. Oglądamy film, a kiedy oczy zaczynają się nam kleić, zbieramy się do łóżka. To moja ulubiona chwila.

Leżę w zagłębieniu jego łokcia, słucham jego rytmicznego oddechu, a potem cichego

pochrapywania, gdy zapada w sen.

Nie wiem, kiedy sama zasypiam.

Nie wiem, ile czasu minęło, kiedy się budzę.

Ale natychmiast orientuję się, że nie mogę oddychać.

Palce Gabe'a oplatają mi gardło, dłonie ściskają szyję jak imadło.

Cała senność natychmiast znika. Walczę z nim, próbując złapać oddech, ale jego ramiona są jak ze stali, nie mam szans przesunąć ich choćby o milimetr.

– Gabe... – wydaję z siebie chrapliwy szept. – Gabe, to ja! Obudź się!

Jednak jego ciemne oczy mają mętny wyraz, nie jest świadomy tego, co robi. I najwyraźniej bierze mnie za kogoś innego.

– Wal się! – krzyczy, a jego twarz jest wykrzywiona gniewem. – Dlaczego to zrobiłeś? To była tylko dziewczynka. Jesteś pieprzonym mordercą!

Zaciska palce jeszcze mocniej, teraz w ogóle nie mogę oddychać. Odpycham go z całej siły, ale przed oczami mam już mroczki, obraz zamazuje się na krawędziach.

– Gabe – wydaję z siebie zrozpaczony jęk.

Brak tlenu rozrywa mi płuca, tracę czucie w rękach i nogach.

Już nawet nie jestem w stanie go odpychać. Powieki wydają się za ciężkie, żeby je trzymać otwarte, ale wiem, że jeśli je zamknę, być może już nigdy ich nie otworzę.

– Gabriel, proszę...

Nie mogę już mówić. Uścisk na moim gardle jest zbyt mocny.

Nie mogę się ruszać. On jest sto razy silniejszy ode mnie.

Kiedy zamykam oczy i wszystko okrywa ciemność, zdaję sobie sprawę, że tak właśnie wygląda śmierć.

Rozdział 16

GABRIEL

Wokół mnie kłębi się dym, uniemożliwiając mi zarówno widzenie, jak i oddychanie. Jeszcze bardziej przybliżam głowę do ziemi, czołgając się na łokciach. Im niżej będę, tym czystszy powietrzem będę oddychał. Smród benzyny i palonej gumy prawie mnie dusi, próbuję oddychać płytko.

– Brand! – syczę cicho. Nie wiem, kto jeszcze może się kryć w mroku, kto nas obserwuje i tylko czeka na dogodny do ataku moment. – Brand!

Nadal nic nie widzę, ale słyszę jęk, niski i chrapliwy, więc czołgam się w tamtym kierunku.

W ciemności nic nie widzę, a trzaskający ogień trawiący naszego humvee uniemożliwia mi usłyszenie czegokolwiek.

– Kurwa – mamroczę, kiedy nierówny kawałek metalu wbija mi się w udo i zagłębia w ciało. Sięgam, żeby go wyciągnąć. Wiem, że jestem w szoku, bo nic nie czuję, zupełnie nic, choć cały jestem we krwi. Czuję jej metaliczny smak, kiedy kapie w głąb gardła. Nie wiem, jak długo jeszcze będę przytomny, bo mieni mi się przed oczami, obraz to się pojawia, to znika.

Wybuch był potężny. Jeśli coś się stało Brandowi, nigdy sobie tego nie wybaczę. Powinienem był to przewidzieć. Powinienem był szybciej zareagować. Gdyby tylko ta dziewczynka nie była tak cholernie wystraszona.

– Nie Brand – błagam Boga. – Tylko nie on. Proszę.

Czołgam się przez pył i wreszcie dym rzednie, a księżyc świeci na tyle jasno, że mogę się lepiej zorientować w sytuacji. Rozpoznaję leżącą kilka kroków ode mnie nieruchomą sylwetkę Szalonego Psa. Jego nogi nie są już połączone z ciałem, a wnętrzności wylewają się z brzucha. Kałuża krwi, w której leży, wydaje się czarna w świetle księżyca.

Kurwa.

Nie żyje, i to przeze mnie. Jednak w tej chwili nie mogę mu pomóc. Muszę znaleźć Branda.

Skręcam w prawo, ale nic nie widzę. Intensywnie wpatruję się w dal i wreszcie dostrzegam przed sobą jakiś ruch. Noga. Wojskowy but, wydany przez amerykańską armię. Znowu się poruszył.

Brand.

Dzięki Bogu.

Kiedy próbuję do niego dotrzeć, natykam się na dziewczynkę.

Jej otwarte oczy są szkliste.

A głowa jest oderwana od reszty ciała.

Wiem, że zemdlałem, bo kiedy otwieram oczy, stoi nade mną jakiś mężczyzna. Jest ubrany w tradycyjną afgańską szatę i bez słowa wpatruje się we mnie. Instykt mi podpowiada, kim jest. To on wysłał dziewczynkę, żeby nas zaatakowała. Jednak nie jest prawdziwy. Nie jest prawdziwy, bo nie było go tam tamtej nocy. Jest wytworem mojego umysłu.

Prawdziwy czy nie, i tak chcę go zabić za to, co zrobił.

Gwałtownie się podnoszę, nie zważając na ból, nie czując nic oprócz wściekłości, która mnie opętała. Łapię go za gardło.

– Ty skurwysynu – syczę. – Ona była tylko dzieckiem. Jesteś pieprzonym mordercą. Nie musiała ginąć w imię twojej fałszywej wiary. Jesteś obłąkany.

On próbuje coś powiedzieć, a wtedy mocniej zaciskam palce.
– Pieprz się! – wrzeszczę. Widzę, że moja ręka jest pokryta krwią. – Była tylko małą dziewczynką. Jesteś pieprzonym mordercą!
Zamierzam skrócić mu kark. I zrobię to. Ale najpierw chcę, żeby cierpiał.
Powinien cierpieć za to, co zrobił.
Ściskam mocniej. Widzę, jak życie ucieka z jego oczu, a oddech opuszcza bezradne płuca, i sprawia mi to przyjemność. Zasluguje na ból. Zasluguje na to wszystko.
– Gabriel, proszę – błaga ostatkiem sił.
Ściskam mocniej i mężczyzna wreszcie staje się bezwładny pod moimi dłońmi.
Dopiero wtedy coś do mnie dociera.
Skąd on zna moje imię?
Otwieram oczy i widzę w moich rękach szczupłą szyję Madison. Oczy ma zamknięte, jej ciało jest bezwładne. Jestem w szoku, prawie nie mogę oddychać na myśl o tym, co właśnie zrobiłem.
Jezu Chryste, zabiłem Madison.

Rozdział 17

MADISON

Dokoła panuje mrok. Unoszę się na powierzchni stawu. A może jestem na końcu ciemnego tunelu. Albo na jego początku. Właściwie nie wiem, gdzie jestem. Jednak wszystko jest zamglone, ciepłe i miękkie i nie chcę stąd odchodzić.

Tutaj nic nie może mnie zranić.

Nagle ktoś zaczyna mną potrząsać, łapie mnie za ramiona, czyjeś palce wbijają się we mnie. Słyszę ciężki oddech i mamrotanie:

– Kurwamaćkurwamaćkurwamać... – Słowa są połączone w jedną całość, wypowiedziane w panice i szybko. Znam ten głos.

Balansuję na skraju przepaści. Ponieważ to Gabe, który przed chwilą próbował mnie zabić. Jednak okazał się szalony.

Jeśli otworzę oczy, znowu będę z nim. Będę musiała walczyć o życie. A czy naprawdę tego chcę? Tutaj jest mi tak dobrze. Nic nie bolało. Wszystko jest już za mną.

Moje ramiona są bezwładne, a ciało zdrętwiałe, kiedy robię jedyną rzecz, jaką mogę zrobić.

Otwieram oczy.

Rozdział 18

GABRIEL

Kurwamaćkurwamaćkurwamać...

Madison leży bezwładnie w moich ramionach, nie rusza się.

– Maddy, obudź się – błagam ją, wbijając palce w jej ramiona. – Obudź się. Boże, proszę... Obudź się.

Jest bezwładna, blada i taka delikatna. Oczy ma zamknięte. Jest zbyt spokojna, zbyt nieruchoma. To dlatego, że Bóg mnie już nie słucha.

Pochylam głowę i nasłuchuję, czy oddycha, staram się wyczuć bicie serca.

Nic.

Ale chwila...

Tak, coś jest, ale bardzo słabe.

– Maddy – proszę znowu i kompletnie się rozklejam. Nie mogę złapać tchu. Nie mogę myśleć. Przyciskam usta do jej czoła, powtarzam jej imię. – Boże, proszę – błagam jeszcze raz w jej imieniu.

A ona, tak po prostu, otwiera oczy i się we mnie wpatruje.

– Gabe? – pyta drżącym głosem, a jej ręce wędrują w stronę gardła, jakby wypowiedzenie tego jednego słowa było dla niej zbyt wielkim wysiłkiem.

Przyciągam ją do piersi i obejmuję, a moje serce wali jak szalone, kiedy próbuję uwierzyć, że jednak jej nie zabiłem.

Czy to się dzieje naprawdę? Teraz już w nic nie wierzę. Nie w nocy. Nie kiedy śpię.

– Przepraszam – mówię chrapliwie, wdychając zapach jej włosów. – Jezu, tak bardzo cię przepraszam...

Po chwili dociera do mnie, że ona próbuje mi się wyrwać, odpycha się rękami od mojej piersi. Zaskoczony wypuszczam ją z objęć, a ona odskakuje daleko ode mnie, jak wystraszone zwierzę.

– O co, kurwa, chodziło, Gabe? – pyta z furią, nadal trzymając ręce na gardle. – Co to było?

Kiedy patrzę w jej nieprzytomne oczy, widzę najgorszą z rzeczy, które mógłbym tam zobaczyć. Nie wściekłość, nie nienawiść, nie wyrzut.

Tylko strach.

Przedemną.

Teraz wiem, że to się dzieje naprawdę. Wszystko jest prawdziwe. Wszystko.

Żołądek mi się ściska, jakby się dostał do imadła, z trudem przełykam ślinę. Nawet nie jestem w stanie jej odpowiedzieć.

Wpatruje się we mnie, nadal ogarnięta paniką.

– Wynoś się! – próbuje krzyczeć. – Po prostu się wynoś!

Czuję się, jakbym dostał obuchem w łeb, nie mogę się ruszyć, więc ona zrywa się na równe nogi i pędzi do sypialni. Patrzę, jak ucieka, i robię jedyną rzecz, która mi przychodzi do głowy.

Jeden skok i jestem po drugiej stronie pokoju. Łapię ją i przytrzymuję, żeby nie odeszła.

Ale ona walczy, wije się w moich ramionach, uderza mnie w pierś, kopie i drapie.

– Puść mnie! – krzyczy, orząc mi twarz paznokciami. – Puść mnie!

– Maddy, przestań – proszę ją, nie zwracając uwagi na pałacę bruzdy biegnące skosem po

policzku. – Przestań, proszę. Nie skrzywdzę cię. Chcę ci to tylko wytłumaczyć. Przysięgam na Boga, że cię nie skrzywdzę.

Przestaje się miotać i patrzy na mnie niepewnie.

– Puść mnie – powtarza. – Jeśli mnie puścisz, wysłucham cię.

Natychmiast ją puszczam, a ona stoi przede mną w kompletnym bezruchu.

– Widzisz? – mówię. – Obiecuję, nie skrzywdzę cię. Chcę ci to wytłumaczyć. Proszę cię, Maddy.

– Co to, do cholery, było? – chce wiedzieć. – Powiedz mi natychmiast.

– Maddy... – zaczynam, ale głos mi się załamuje i muszę podjąć kolejną próbę. – To było... to właśnie ta część tej historii, której ci nie opowiedziałem. To był ten demon. Dopadł mnie i nieważne, jak bardzo bym się starał od niego uciec, nie mogę. Nigdy od niego nie ucieknę, bo to ja teraz jestem tym demonem.

Wiem, że bełkoczę bez sensu, ale mówię dalej, bo zależy mi tylko na tym, żeby mnie wysłuchała. Żeby zrozumiała, kim jestem.

Twarz Maddy przesywa skurcz.

– Demon?

Sceptyczna.

Pełna wątpliwości.

Kiwam głową, jednocześnie próbując nabrać tchu.

– Kobieta w Afganistanie... po tym wszystkim... Powiedziała mi, że demon mnie dopadł. Tyle że się myliła. To ja jestem tym demonem, Maddy. I nie powinienem się do ciebie zbliżać. Próbowałem ci powiedzieć. A teraz już wiesz. Nie chciałem cię skrzywdzić. Jezu Chryste, nie chciałem cię skrzywdzić. To dlatego nie chciałem z tobą spać. To się zdarza, kiedy śpię... koszmary senne. Są tak prawdziwe, że przestają być sobą.

Zamykam oczy, nienawidząc tej czerwonej poświaty pod powiekami, nienawidząc ucisku w gardle, w sercu. Nienawidzę tego, że nie mogę oddychać. Nienawidzę tej cholernej słabości.

Nienawidzę siebie.

Jednak czuję na sobie dotyk chłodnych dłoni Maddy. Drżą, kiedy palce głaszczą mnie po twarzy, delikatnie dotykają mojego czoła. Pochyla głowę i szepcze w moje włosy:

– Już dobrze, Gabe. Rozumiem. Nie chciałeś mnie skrzywdzić. Teraz to rozumiem.

Widzę, że jest przestraszona, widzę to w drzeniu jej ciała, w nieufnym i czujnym spojrzeniu jej oczu.

Ale mimo swojego strachu jest tutaj.

– Już wszystko z tobą dobrze – powtarza, a ja nie jestem pewien, czy próbuje przekonać mnie, czy siebie.

– Ale z tobą nie jest dobrze – mówię z udręką w głosie, patrząc na ślady na jej gardle w kształcie moich rąk.

Jezu Chryste...

– Teraz rozumiesz? – pytam. W gardle mam tak sucho, że ledwo mogę mówić. – Rozumiesz? Dlatego nie możesz ze mną spać. Dlatego nie powinnaś ze mną być.

Potrząsa głową i przyciąga mnie do siebie. Jej oddech jest przyspieszony, a mój urywany, kiedy próbujemy się uspokoić, przetrwać to wszystko.

– Powiedz mi, co się stało – wyrzuca z siebie. – Opowiedz mi resztę tej historii. Muszę to zrozumieć.

Nagle przed oczami mam twarz tej dziewczynki, jej ciemne, śmiertelnie przerażone oczy. Cała ta krew, smród płonącego ciała. Dym.

Zaciskam powieki, ale to wszystko nadal tam jest. Nie daje mi spokoju i wiem, że tego

spokoju nigdy nie zaznam.

Otwieram oczy i patrzę na Maddy. Czeka na wyjaśnienia. Przełykam ślinę.

– Tej nocy, kiedy nasze humvee eksplodowało – zaczynam bez zbędnych wstępów – powietrze było pełne pyłu, pełne pieprzonego pyłu. Ledwo widzieliśmy własne dłonie, kiedy podnieśliśmy je do oczu, a ciemność też nie pomagała. Mówiłem coś do Branda, jednocześnie obserwując horyzont, kiedy moją uwagę przykuł jakiś ruch. Coś sprawiło, że włoski na moim karku się podniosły. Wiedziałem, że to coś złego. I tak właśnie było.

Przerywam na chwilę, między nami rozpościera się pełna oczekiwania cisza.

– Co to było? – szepcze Maddy, jej twarz jest blada i niepewna. Nie chce wiedzieć i zrazem chce. M u s i wiedzieć, a ja muszę jej to powiedzieć. Zasługuje na to.

– To była dziewczynka. Wyłoniła się z mroku. Musiałem wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć jej twarz, a kiedy mi się to udało, zobaczyłem, że jest przerażona. Zobaczyłem też dlaczego. Do klatki piersiowej miała przymocowaną bombę.

Maddy gwałtownie nabiera tchu.

– Wiedziałem, że jeśli zdetonuje tę bombę, wylecimy w powietrze – podejmuję opowieść.
– Wiedziałem to, ale i tak się zawahałem. Nie chciałem zabić dziecka – przerywam i z trudem przełykam ślinę. W ustach mam tak sucho, że słyszę, jak język uderza o zęby. – Patrzyłem na nią przez sekundę, tylko sekundę, żeby się przekonać, co robi. Nie byłem zdolny do zrobienia żadnego ruchu. Wszystko, co mi wpoili podczas niezliczonych treningów, nagle przestało się liczyć, bo ona była tylko pieprzonym dzieckiem. Widziałem jej drobne palce trzymające detonator. Widziałem, jak drżą. I wiedziałem, że ona nie chce nacisnąć tego guzika.

– Co zrobiłeś? – pyta Maddy, choć w jej oczach widzę, że już wie.

– Obserwowałem ją przez celownik karabinu. Krzyknąłem, żeby się zatrzymała. A ona podniosła na mnie wzrok. Jej oczy miały błagalny wyraz. Były czarne jak noc i przepełnione strachem. Przerażeniem. W tej chwili zrozumiałem, że bardziej się boi tego, kto przymocował do niej bombę – kimkolwiek był – niż śmierci. Zrozumiałem, że ona to robi. Jej palec drgnął, a ja nacisnąłem spust.

Zaciskam oczy, próbując odegnać wspomnienia, próbując zapomnieć straszny zapach unoszący się tamtej nocy w powietrzu.

Zapach krwi.

– Wszystko wyleciało w powietrze. Wszystko. Nic nie widziałem. Nic nie czułem. Nie byłem w stanie myśleć. Czołgałem się przez dym i pył, a kiedy dotarłem do Szalonego Psa, był martwy. Nie miał nóg, a jego wnętrzności leżały na zewnątrz, obok niego. Było tak dużo krwi. Czułem jej smak w ustach. Nadal go czuję. Co noc.

– A dziewczynka? – pyta szeptem Maddy.

– Została rozerwana na kawałki. Znalazłem jej głowę. Nie mogę zapomnieć wyrazu jej oczu. Patrzyły tak błagalnie, prosiły o pomoc, a ja nie mogłem nic zrobić. Nigdy się od tego nie uwolnię.

Maddy wstrzymuje oddech i patrzy na mnie oczami pełnymi zgrozy.

– O mój Boże, Gabe. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? To jest... ja... to jest straszne.

Maddy wygląda na przerażoną, ale jej palce znowu się poruszają, gładząc mnie pocieszająco.

– Nie zabiłeś jej, Gabe. Zrobił to ten, kto umieścił bombę na jej piersi. Ty zrobiłeś jedyną rzecz, jaką mogłeś zrobić.

– Nie widziałeś jej twarzy – mówię chrapliwie. – Ale ja tak. Tuż przed tym, jak wyleciała w powietrze, spojrzała na mnie i wszystko zamarło. Byliśmy tylko my, ona i ja. Byliśmy połączeni przez soczewki mojego karabinu. Potrzebowała mojej pomocy, a ja ją zastrzeliłem.

Będę to przeżywał na nowo każdej nocy, aż do śmierci. Nie mogę zapomnieć jej twarzy.

Głos mi się łamie, a palce Maddy wędrują w dół mojej twarzy, potem szyi, wreszcie na plecy. Mówi coś urywanym szeptem, ale to tylko puste słowa, bo nie może mnie uleczyć. Nie ma słów, które mogłyby mi przynieść ulgę.

– Gabe, to nie była twoja wina. To nie była twoja wina – powtarza. – Boże...

– Bóg nie miał z tym nic wspólnego – mówię z goryczą. – Uwierz mi. Dawno temu odwrócił się plecami od tego całego gówna. A nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego.

Madison zastyga bez ruchu, zdjęta grozą.

– Nie powiedziałeś mi wszystkiego?

– Tak. Nie powiedziałem ci jeszcze najgorszego. Dziewczynka miała jedynie odwrócić naszą uwagę. Wyszli humvee, żeby odwrócić naszą uwagę od tego, co naprawdę chcieli nam pokazać. Chcieli, żebyśmy to zobaczyli, ale żebyśmy nie dotarli na czas, by temu zapobiec.

Zamykam oczy, próbując odegnać znajomy obraz. Ciała matek, rzucone na ciała ich dzieci i krew. Morze krwi.

Przełykam ślinę i mówię dalej:

– Talibowie chcieli zastraszyć mieszkańców pobliskiej wioski, żeby ich wsparli. Kiedy nic innego nie zadziałało, zamordowali kobiety i dzieci na oczach mężczyzn. Darowali życie tylko chłopcom, żeby zrobić z nich rebeliantów.

W sypialni jest cicho jak w grobie, jedyny odgłos to urywany oddech Maddy. Jej oczy są szeroko otwarte, a dłonie, które trzyma na kolanach, zaciśnięte tak mocno, że aż zbieleły jej kostki.

– Gabe... – mówi i głos więźnie jej w gardle.

Patrzę jej głęboko w oczy.

– Powinienem być zrobić, co do mnie należało, i zastrzelić tę dziewczynkę. Nie powinienem być się zawahać. Ale się zawahałem i dlatego tamtej nocy zginęły setki dziewcząt i kobiet. Wybuch bomby był dla rebeliantów sygnałem, że jesteśmy blisko, że czas rozpocząć rzeź. Dał im czas, żeby to zrobić, zanim ich dopadniemy. Gdybym zastrzelił tę dziewczynkę, nie doszłoby do eksplozji ani do tej rzezi... – Głos mi się łamie, głowa opada na ręce. – Spalili je, Maddy. Spalili ciała. Spalili nawet te, które jeszcze żyły. Czuję swąd spalonych ciał. Nigdy go nie zapomnę. Ani zawodzenia ojców. Nigdy nie słyszałem, żeby mężczyźni tak płakali. To był potworne, nieludzkie... A wszystko dlatego, że popełniłem błąd.

Powieki mam zaciśnięte, żeby nie widzieć przerażających obrazów z tamtej nocy.

– Nigdy nie słyszałem, żeby mężczyźni tak płakali – powtarzam głucho.

Maddy głaszcze mnie po plecach.

– To nie była twoja wina – mówi miękko. – Nie mogłeś wiedzieć, co się dzieje, Gabe.

Podnoszę na nią wzrok.

– Zapytałaś mnie, czy nie było żadnego sposobu, żebym został w rangersach... Teraz wiesz, dlaczego nie mogłem. Jestem naprawdę popieprzony. Nie mogę ufać samemu sobie.

Oczy Maddy są przepełnione bólem, kiedy odpowiada:

– Oczywiście, że możesz, Gabe. Ja ci ufam.

Jest tak przejęta tym, co właśnie jej powiedziałem, tak bardzo mi współczuje, że zapomniła, co przed chwilą jej zrobiłem. Wyciągam rękę i dotykam ciemnofioletowej pręgi przecinającej jej szyję. Wzdryga się, ale próbuje się opanować i nie uciekać przed moim dotykiem.

– Jestem potworem, Maddy – mówię jej po prostu. – Nieważne, czy chcę nim być. Jestem nim i to wystarczy.

– Nie mów tak – protestuje. – Nie jesteś. Po prostu nie.

Wzdycham.

– Jestem też rangerem, Maddy. Zostałem wyszkolony, żeby zabijać. We śnie, kiedy ciągle od nowa przeżywam tę noc, jestem jak jakiś pieprzony rozpędzony pociąg. To wydaje się takie prawdziwe, takie cholernie prawdziwe. Nie wiem, co mogę zrobić, kiedy będzie mi się wydawać, że znalazłem się w zagrożeniu.

Potrząsa głową.

– Może i zostałeś wyszkolony, żeby zabijać, ale zostałeś również wyszkolony, żeby chronić. Jesteś obrońcą, Gabe. Chroniłeś Szalonego Psa, Branda i pozostałe trzy humvee. Chroniłeś tę dziewczynkę, kiedy nie chciałeś jej zastrzelić. Nie skrzywdzisz mnie.

– Już to zrobiłem – przypominam, wpatrując się w sińce na jej szyi. – I nie wiemy, czy znowu tego nie zrobię.

Mówię to z rozgoryczeniem i rezygnacją.

– Nie zrobisz – odpowiada stanowczo i wreszcie patrzy mi w oczy. Ciągle czai się w nich strach.

– Tego nie wiemy – powtarzam.

– J a to wiem – upiera się.

Nagle czuję się zmęczony, potwornie zmęczony dźwiganiem tego ciężaru. Skrzywdziłem Maddy, a to najgorsza z możliwych rzeczy. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to zadbać, żeby to się nie powtórzyło.

Wreszcie mam coś, na czym mogę się skupić.

– Porozmawiajmy o tym rano – proponuję, choć czuję się podle, wypowiadając te słowa. Nienawidzę kłamstw. – Odpocznij. To była ciężka noc. A szyja musi cię boleć.

Biorę ją w ramiona i przytulam. Jest ufna, ale trochę przestraszona.

– Nie zostaniesz, prawda? – pyta. – Odejdiesz, gdy tylko zasnę. Już nigdy nie zostaniesz na noc.

Wydaje się tym zasmucona, choć przecież omal jej dziś nie zabiłem.

– Nie myśl o tym teraz. Po prostu śpij. Nie martw się. Już więcej cię nie skrzywdzę. Poczucie winy z powodu tego niedopowiedzenia ciąży mi tak bardzo, że brak mi tchu. Nie skrzywdzę cię, bo wyjeżdżam z Angel Bay i nigdy tu nie wrócę.

– Nie martwię się – odpowiada Madison. – Nie martwię się, że mnie skrzywdzisz, Gabe. A jednak się martwi. Wiem, że tak jest.

Strach jest wyborem, ale powinna się mnie bać. Jeśli sama nie dojdzie do tego wniosku, będę musiał zrobić to za nią.

„Jesteś obrońcą, Gabe”.

Ma rację, jestem. Więc choć ona tego nie zrozumie i pewnie nigdy mi nie wybaczy, mam zamiar ją chronić.

Madison bardzo długo nie może zasnąć, ale wcale mi to nie przeszkadza. Tulę ją w ramionach jeszcze długo po tym, jak zapada w sen.

Gardło mam ściśnięte, kiedy wreszcie ostrożnie uwalniam ją z objęć i otulam kołdrą. We śnie Madison jest otwarta i ufna, nie boi się. Zawsze powinna taka być. Ale ze mną nigdy nie będzie jej to dane.

Zawsze będzie miała powód, żeby się mnie bać.

Chyba że odejdę.

Pochyliam się i całuję ją w czoło.

– Kocham cię – szepczę i zdecydowanym krokiem wychodzę z pokoju.

Nie oglądam się za siebie.

Rozdział 19

MADISON

Zatrzymując się na parkingu The Hill, nadal jestem w szoku, nie zwracam nawet uwagi na piękny poranek dokoła.

Budynek lśni w promieniach słońca. Otacza mnie malownicze piękno, jakby przeniesione z jakiegoś obrazu – łagodnie opadające zbocza wzgórz wzdłuż plaży i woda rozbijająca się o piasek. Czysta natura w najwspanialszym wydaniu.

Ale to wszystko nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co się zdarzyło dzisiejszej nocy.

Wyłączam silnik i zerkam w lusterka. Poprawiam jedwabną apaszkę, którą zawiązałam wokół szyi, żeby ukryć sińce. Za każdym razem, kiedy przełykam ślinę, czuję ból. Gdy mówię, mój głos jej chrapliwy. To wszystko przypomina mi o tym, co się stało.

Prawie się cieszę, że Gabe'a nie było, kiedy się obudziłam. Nie powinien widzieć tych sińców w świetle dnia.

Zamykam oczy i przypominam sobie wyraz jego twarzy dzisiejszej nocy. Wyraz twarzy bezwzględnego zabójcy. Jego oczy były prawie czarne i pełne determinacji – jego jedynym celem było zabicie mnie.

Serce mi bije jak szalone, kiedy to sobie przypominam. *Myślał, że jestem kimś innym.*

Myślał, że jestem talibskim radykałem. Wiem o tym, ale to nie sprawia, że przestaję się martwić. Ani że przestaję się bać.

Strach jest wyborem, powtarzam sobie w duchu.

A dzisiejszej nocy bałam się Gabriela.

Tak jak zawsze bałam się ojca.

Tyle że Gabe nie jest moim ojcem.

Nigdy świadomie by mnie nie skrzywdził, jestem pewna. Po prostu musimy naprawić w nim to, co zostało zepsute. Cokolwiek Gabe na ten temat sądzi, ja wiem, że zespół stresu pourazowego nie jest nieuleczalny.

Wyjmuję telefon i piszę do niego.

„Dzień dobry! Tęskniłam za Tobą dziś rano. Wszystko w porządku?”

Jeszcze raz poprawiam apaszkę i ruszam w stronę The Hill.

Tony już jest, więc przystaję, żeby z nim pogadać. W tym tygodniu przejął wiele z moich obowiązków, więc należy mu się ogromne „dziękuję”. A może również karta podarunkowa czy coś takiego.

– Nie wygłupiaj się, Madison – zbywa mnie, kiedy próbuję mu podziękować. – Robię tylko to, co do mnie należy. Zawsze będę ci pomagał, kiedy będziesz tego potrzebować.

Wraca do baru, a ja idę do biura. Na co jak na co, ale na brak papierkowej roboty nie mogę w tym fachu narzekać.

Sprawdzam telefon, ale nie znajduję odpowiedzi od Gabe'a. Pewnie śpi, co specjalnie mnie nie dziwi. Prawdopodobnie nie spał całą noc.

Odkładam telefon i zagłębiam się w pracy. Po godzinie znowu sprawdzam telefon, ale odpowiedzi od Gabriela jak nie było, tak nie ma.

Cholera. Muszę się upewnić, że wszystko z nim w porządku.

Postanawiam, że skoczę do ubikacji, a potem podjadę do niego do domu. Powinniśmy porozmawiać o tym wszystkim na spokojnie w jasnym świetle dnia. Musimy zdecydować, co robić, jaka pomoc będzie dla niego najlepsza.

To konieczne, jeśli chcemy ruszyć naprzód.

Jestem zaskoczona, kiedy w łazience natykam się na Jacey, bo nie wiedziałam, że jest już w pracy. Przez chwilę panuje między nami niezręczna cisza.

Wiem, że to z mojego powodu. Nie byłam z nią do końca szczerą, nie powiedziałam, że ja i Gabe jesteśmy razem. To głupie. Muszę naprawić ten błąd, więc po umyciu rąk zwracam się do niej:

– Wiesz... twój brat i ja zaczęliśmy się spotykać.

– Wiem – odpowiada niepewnie. – Naprawdę mi przykro, Maddy. Wszystko w porządku? Nie rozumiem, o co jej chodzi. Czyżby Gabe jej powiedział o dzisiejszej nocy?

– Tak – mówię wreszcie, odruchowo podnosząc ręce do gardła. – Ze mną wszystko w porządku. To był wypadek. Zrobił to we śnie, to nie było specjalnie. Gabriel czuje się z tym paskudnie, więc nie wracajmy do tego, dobrze? I nie chcę, żeby Tony się o tym dowiedział.

Jacey patrzy na mnie, jakby nic nie rozumiała.

– Nie chcesz, żeby Tony dowiedział się o czym? O czym ty, do diabła, mówisz, Madison? Czego Gabe nie zrobił specjalnie?

Nagle jej spojrzenie zastyga na mojej szyi i domyślam się, że apaszka się ześlizgnęła. Jacey chwytą mnie za ramię.

– Cholera jasna! Mój brat ci to zrobił?

Patrzę na nią oniemiała, w głowie mam kompletny mętlik.

– Skoro nie wiedziałaś, to o czym mówiłaś? Z jakiego powodu jest ci przykro?

Zastyga w bezruchu i przez moment tylko patrzymy sobie w oczy. Powietrze między nami aż trzeszczy od napięcia.

– Chyba doszło do nieporozumienia – mówię powoli, czując w piersi narastający strach. – Z jakiego powodu jest ci przykro, Jacey?

– Cóż... teraz jest mi przykro z dwóch powodów – z trudem dobiera słowa. – Przykro mi, że mój brat cię skrzywdził. Ja nie... On nigdy... Nic z tego nie rozumiem.

Nie spuszczam z niej wzroku, moje palce zaczynają drżeć.

– A ten drugi powód, Jacey? – pytam. Rozumiem, że jest oszołomiona, ale chcę wiedzieć, choć równocześnie jestem przerażona tym, co mogę usłyszeć. – Jaki jest drugi powód?

Gapi się na mnie i mruga, jakby mruganie mogło zmienić to, co się stało. To coś złego. Coś naprawdę złego. Widzę to w jej oczach.

– Gabriel wyjechał – mówi wreszcie. – Dziś rano.

Z niedowierzaniem kręcę głową.

– Nie, to niemożliwe – protestuję słabo. – Nie zrobiliby tego. Był ze mną całą noc. Opowiedział mi o wszystkim, co mu się zdarzyło. Nie opuściłby mnie teraz.

„Nie martw się. Już cię nie skrzywdzę”.

W głowie dźwięczą mi słowa, które wypowiedział dziś w nocy. Więc to miał na myśli. Nie skrzywdzi mnie więcej... bo odejdzie.

Mam ochotę osunąć się na podłogę, pozwolić drżącym kolanom dotknąć chłodnej posadzki. Ale tego nie robię. Wracam do biura i zamykam za sobą drzwi, nie zwracając uwagi na pytania Jacey i jej prośby, żeby porozmawiać.

– Chcę być sama – mówię jej przez drzwi, a potem opadam na krzesło i opieram głowę na rękach.

Jestem w totalnym szoku. Nie spodziewałam się tego. Zupełnie się nie spodziewałam.

Czuję w sobie czarną, niekończoną się otchłań. Moje serce ziele pustką. Czy ja w ogóle mam serce? Czy to wszystko działa się naprawdę? Czy cokolwiek z tego było prawdziwe? Może w tę pierwszą noc po wizycie w klubie po prostu wpadłam do króliczej nory. Może... może...

może...

Otwieram oczy i gapię się w ścianę z policzkiem przyciśniętym do chłodnego blatu.

To się dzieje naprawdę.

Gabriel odszedł.

A ja jestem tutaj.

Nagle zdaję sobie sprawę, że przez cały ten czas obawiałam się nie tego, co trzeba.

Zamiast się martwić, że Gabriel jest agresywny i łatwo traci panowanie nad sobą, powinnam się była bać tylko jednego, czym mógł mnie skrzywdzić.

Tylko jednego, czym mnie skrzywdził.

Powinnam się była bać, że go stracę.

Podnoszę głowę i ocieram łzy, które spływają mi po policzkach. Biorę komórkę i wybieram jego numer. Od razu włącza się poczta głosowa.

Zwalczam pokusę rzucenia telefonem w ścianę.

Zamiast tego zaczynam pisać: „Nie wolno pozwolić komuś się pokochać, a potem odejść”.

Wysłałam wiadomość, a kilka minut później kolejną: „Pieprz się, Gabe”.

– Słodki Boże – jęczy Mila, kiedy po raz milionowy sprawdzam telefon. – Własnoręcznie go zabiję! Wyjdę z tego pieprzonego łóżka, znajdę go i go zabiję.

Patrzę na nią żałośnie. Czuję się kompletnie rozbita, pusta, porzucona. Gabe nie zadzwonił do mnie. Nie raczył nawet odpowiedzieć na moje wiadomości.

Opowiedział mi wszystko, odkrył przede mną to, co w nim najgłębsze, najbardziej mroczne. Pozwolił mi się zrozumieć. Pozwolił, żeby jego cierpienie złamało moje serce, żebym wręcz fizycznie odczuła jego ból... po czym odszedł.

Jakbym się wcale nie liczyła, jakbym nie była nawet na tyle ważna, żeby pomyśleć o moich uczuciach.

Pieprzyć go.

Właśnie to powtarzam mojemu sercu. Ale moje głupie serce jest bardzo uparte. Koniecznie chce być złamane.

– Powiedz mi, co się stało – nalega Mila, kiedy po moim policzku spływa łza.

Wiem, że się niepokoi, bo ja nigdy nie płaczę.

Prawie nigdy.

– To skomplikowane – mówię znużonym głosem. – Nie chcę się w to zagłębiać.

– To pech, bo ja tak – odpowiada, a jej oczy rzucają skry. – Muszę wiedzieć, co się stało, żebym mogła pomóc. Kiedy Pax mnie zostawił, zmusiłaś mnie, żebym ci wszystko powiedziała. Teraz twoja kolej.

Więc opowiadam. Wszystko po kolei, od momentu, kiedy poznałam Gabe’a, poprzez to, jak wybił pięścią dziurę w ścianie, jak potraktował Jareda... aż do naszej ostatniej wspólnej nocy. Kiedy kończę, Mila jest blada, a jej oczy są wielkie jak spodki.

– Pokaż mi te sińce.

Jej słowa są surowe i stanowcze.

Odwiązuję apaszkę i pozwalam jej opaść na podłogę. Na widok fioletowych odcisków dłoni Gabriela na mojej szyi Mila wydaje zduszony okrzyk.

– O mój Boże... – szepcze.

– To się stało, kiedy spał – wyjaśniam. – Nie zrobił tego specjalnie.

Mila patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna – odpowiadam ostro. – Nie jestem idiotką. Zrobił to we

śnie. Jego koszmary senne są tak realistyczne, że nie potrafi odróżnić snu od rzeczywistości. Myślał, że jestem kimś innym. Był kompletnie załamany tym, co zrobił, Mi. A teraz go nie ma. Chciał mnie chronić, więc odszedł.

Zaczynam płakać, więc Mila wyciąga ręce i mnie obejmuje.

– Już dobrze – uspokajają mnie. – Ciiii. Popłacz sobie. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Gładzi mnie po plecach, a ja płaczę i płaczę, i płaczę.

Kiedy wreszcie się uspokajam, wręcza mi chusteczkę higieniczną.

– Nie zrobił tego specjalnie – powtarzam, patrząc jej prosto w oczy.

Mila kiwa głową, jej twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Nie wątpię – mówi. – Znam się na ludziach, to nie tego typu człowiek. Ale to nie zmienia faktu, że to zrobił, Maddy. On potrzebuje pomocy. A skoro nie chce jej poszukać, to może dobrze, że odszedł.

Oczy mnie pieką, ale staram się nie rozplakać.

– Nie rozumiesz – mamrocze. – On uważa, że nic mu nie pomoże.

Znowu kiwa głową, ma poważną minę.

– Na pewno. Pamiętam, że Pax też tak sądził. I co mi wtedy powiedziałaś?

Odwracam twarz, bo nie chcę odpowiadać na to pytanie, choć bardzo dobrze pamiętam, co powiedziałam.

– Co mi powiedziałaś? – powtarza Mila stanowczo.

– Powiedziałam ci, że sam musi chcieć sobie pomóc, że ty nie zrobisz tego za niego – mówię niechętnie, bo zupełnie inaczej było dawać tę radę, niż teraz ją przyjmować.

– I miałaś rację – mówi łagodnie. – A teraz ja mam rację, kiedy mówię ci to samo.

– Ale on nie odszedł, żeby znaleźć pomoc – protestuję słabo. – Odszedł na dobre, żeby mnie chronić.

Na twarzy Mili maluje się ból, znowu zaczyna delikatnie gładzić moje plecy.

– Wiem. Ale może wszystko się ułoży, może on wróci. I wszystko będzie w porządku.

Wierz mi, kiedy Pax odszedł, też nie wierzyłam, że wróci. A jednak wrócił...

Potrząsam głową i zmieniam temat. Po prostu nie mogę już o tym rozmawiać.

Przynajmniej jeśli nie chcę się znowu rozkleić.

– Przepraszam cię, Mila – mówię zmęczonym głosem. – Nie chciałam cię dołować. Masz wystarczająco dużo własnych zmartwień teraz. Naprawdę przyszedłam tylko po to, żeby pomóc z pokojem dla dziecka. Trzeba go przygotować, a wątpię, czy Pax będzie wiedział, jak to zrobić.

Mila przytakuje, przyglądając mi się uważnie.

– Tak, co do tego masz rację. Pax nie ma pojęcia, co zrobić z rzeczami dla dziecka. Ale nie myśl, że nie możesz ze mną porozmawiać, Mad. Wierz mi, dobrze wiem, jak się teraz czujesz. Jeśli będziesz jeszcze potrzebowała pogadać, jestem tutaj.

– Dziękuję – mówię miękko, schylając się, żeby pocałować ją w policzek, po czym idę w kierunku drzwi.

– Nie poddawaj się, Maddy! – woła jeszcze za mną. – Mówię serio!

Nie odpowiadam. Idę korytarzem w stronę pokoju dla maluszka i otwieram drzwi. Na dzień dobry zalewa mnie podwójna słoneczna fala, bo wpadające przez okno słońce odbija się od żółtych ścian. Na prośbę Mili Pax wynajął malarza, który pomalował pokój na żółto. Jako że nie chcą znać płci dziecka, musieli wybrać neutralny kolor. A Mila kocha słońce.

Pieprzyć słońce. Dzisiaj nienawidzę słońca.

Rozglądam się i widzę nieotwarte pudełka, nianię elektroniczną, stopy ubranek z metkami, wózek ciągle w kartonie. Pax zamówił wszystko, co trzeba, tylko nie ma pojęcia, co z

tym zrobić.

I właśnie dlatego ja tu jestem. Nawet dobrze się złożyło, bo dzięki temu nie będę myśleć tylko o swoim bólu.

Biorę się do roboty. Montuję przewijak i przesuwam w sensowne miejsce, koło mahoniowego łóżeczka. Na półeczce obok układam kosmetyki i przybory kosmetyczne dla niemowlęcia: puder, balsam, małe nożyczki do paznokci.

Nad łóżeczkiem wieszam karuzelę, ustawiając kolorowe latawce na odpowiedniej wysokości. Materac nakrywam prześcieradłem. Nastawiam elektroniczną nianię. Otrzępuję poduchy na fotelu bujanym.

Potem siadam na nim i składam małe ubranka, żeby potem odłożyć je na półki.

Kiedy patrzę na małe kaftaniki, niewiele większy od mojej dłoni, w oczach znowu mam łzy i świat mi się zamazuje.

Mnie nie będzie to dane... Może w odległej przyszłości. A może w ogóle.

Gabe mnie opuścił, a ja nie chcę nikogo innego. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zainteresować się kimś innym, więc rodzina, dziecko, mąż są poza moim zasięgiem.

Zamykam oczy i po prostu pozwalam sobie znowu płakać; ciche łkanie w promieniach słońca, słońca, które nie chce mnie zostawić w spokoju.

Nie wiem, jak długo płaczę. Wiem tylko, że wreszcie nie mam już więcej łez. Jestem totalnie wyczerpana.

Otwieram oczy i widzę, że po drugiej stronie pokoju, na białej małej kanapie siedzi Pax.

– Co, do...? – Jestem tak zaskoczona, że brak mi słów. – Długo tu jesteś?

Patrzy na mnie, w jego piwnych oczach widzę troskę.

– Wystarczająco długo. Powiedz mi, gdzie on jest, a skopię mu tyłek.

Potrząsam głową i wbijam wzrok w swoje dłonie.

– O nie, ty też? Miła groziła tym samym. Nie, żeby akurat ona była w stanie dużo mu zrobić... On nie chciał mnie skrzywdzić, Pax. To się stało, kiedy spał. Już tłumaczyłam Mili, że ma zespół stresu pourazowego. Naprawdę nie był świadomy tego, co robi.

Pax potrząsa głową.

– To nie za to chcę mu skopać tyłek. Wierzę, że nie chciał cię skrzywdzić. To nie ten typ faceta, znam się na tym. Skopię mu tyłek za to, że cię zostawił. Tylko dupki tak się zachowują.

Oczy znowu napęniają mi się łzami, choć myślałam, że wypłakałam już wszystkie.

Jedna spływa na nos, a potem kapie mi na rękę.

– Żałuję, że go w ogóle spotkałam – przyznaję z bólem. – Żałuję, że tutaj przyjechałam.

Gdyby tak się nie stało, nie czułabym się teraz tak podle. Nie czułabym się, jakby ktoś wypruł mi wnętrzności, a potem włożył je z powrotem, ale już nie na swoje miejsce.

Pax uważnie mi się przygląda, po czym podchodzi, klęka i kładzie mi rękę na plecach.

– Nawet tak nie myśl – mów łagodnie. – Byłaś bardzo zamknięta w sobie. Nie bardzo się znam na kobietach, ale nawet ja to widziałem. Czujesz się okropnie, wiem. Ale przynajmniej coś czujesz.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę tak uważasz, Pax? Wolalabym nie czuć nic, niż tak się męczyć.

Kiwa głową.

– Rozumiem. Przykro mi, że nie jestem lepszy w te klocki. Mogę ci tylko powiedzieć, że teraz powinnaś się skupić na sobie. Wycofuję się z inwestowania w DefenseTech, żebyś nawet nie musiała słyszeć jego nazwiska. Po prostu skup się na sobie. Gabe ma problemy, którymi musi się zająć, i nie jest to twoja wina.

– Wiem – mówię mu. – Wiem, że to nie moja wina. I wiesz co? Masz rację. Zamiast się

koncentrować na nim, skupię się na pracy nad sobą. Bóg jeden wie, że jest tu jeszcze sporo do zrobienia.

Usta Paxa rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Powiedziałbym, że niewiele. Jesteś świetną laską, Mad. Gość nie ma pojęcia, co stracił.

Moje oczy znowu napełniają się łzami.

– Nie chcę już o nim myśleć – szepczę. – To zbyt trudne.

Pax kiwa głową.

– Wiem. Tak mi przykro, Maddy. Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, co się stało.

Gabe to porządny facet. Możesz mi wierzyć, znam się na dupkach, on nie jest taki. Mam nadzieję, że się upora ze swoimi problemami.

Potakuję w milczeniu.

– Teraz to już nie jest moja sprawa – odpowiadam wreszcie.

– To nawet lepiej – stwierdza Pax i wstaje. – Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Naprawdę na to zasługujesz. Tak długo opiekowałaś się Milą, nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny. Ale teraz to ja się tym zajmę, a ty powinnaś zadbać o siebie.

– Dzięki, Pax. Naprawdę. Wiem, że nie lubisz sentymentalnych bzdur, więc po prostu ci dziękuję.

Szeroko się do mnie uśmiecha.

– Nie ma sprawy. Moje rady nie zawsze są dobre, ale przynajmniej są darmowe.

Rzucam mu szybkie spojrzenie, więc natychmiast dodaje:

– Ale akurat ta jest dobra.

Przewracam oczami i wstaję.

– Skoro Mila ucina sobie drzemkę, zajrzę do restauracji. Później podjadę z obiadem.

Pax podnosi pięść, żebyśmy mogli zrobić żółwika.

– Bosko! Mila będzie ci wdzięczna. Ma już dosyć cholernej jajecznicy, a tylko to potrafię przygotować.

Uderzam pięścią w jego pięść i potrząsam głową.

– Dobrze, że chociaż jesteś przystojny – mówię mu w drodze do drzwi.

Wychodząc, słyszę jego śmiech.

Nie jestem w nastroju na żarty. Naprawdę nie. Ale może jeśli będę udawać, że wszystko jest w porządku, to kiedyś naprawdę będzie.

Rozdział 20

GABRIEL

Pieprz się, Gabe.

Wpatruję się w ostatnią wiadomość od Maddy.

Żołądek mi się ściska na widok każdego słowa.

Co ja takiego, do cholery, zrobiłem?

Od dwóch dni zadaję sobie to pytanie. I od dwóch dni nie potrafię znaleźć dobrej odpowiedzi. Wiem tylko, że nie mogę już nigdy skrzywdzić Madison, a to był jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy, żeby ją chronić.

Ale, Boże... jest cholernie ciężko. Chcę tylko wziąć telefon i zadzwonić do niej, sprawdzić, co u niej, wszystko jej wyjaśnić.

Nie mogę tego zrobić. Jeśli do niej zadzwonię, jeśli usłyszę jej głos, nie oprę się pokusie puszczenia w niepamięć wszystkich swoich lęków i obaw dotyczących tego, że mogę ją skrzywdzić, i w te pędy do niej wrócę.

Jak mogłem dopuścić do sytuacji, że kocham kobietę, choć dobrze wiem, że nie mogę jej mieć? To wszystko moja wina. Przecież wiedziałem, że nigdy nie będę mógł z kimś być. Że nie jestem zdrowy. Że nie jestem normalny.

Że jestem potworem. Demonem.

Wiedziałem to wszystko, a i tak się za nią uganiałem, bo chciałem ją przelecieć, bo chciałem okiełznać tę dzikość, którą wiedziałem, że w niej znajdę.

A teraz ją kocham i wszystko się popieprzyło.

I mogę za to winić wyłącznie siebie.

Wzdycham i wracam myślami do pieprzonej rozmowy kwalifikacyjnej, którą właśnie przeprowadzam.

Brand przysłał do mnie kilka kandydatek na asystentkę. Osoba na tym stanowisku będzie pracować w Denver, ponieważ tu będzie się znajdować fabryka. On się zajął pierwszym etapem rozmów, więc, żeby sprawiedliwości stało się zadość, mnie przypadł drugi.

Tyle że rano zasnęłam i musiałem przyjąć kandydatkę w swoim pokoju hotelowym zamiast w kawiarni na parterze.

Mówi coś do mnie, ale jej słowa zlewają mi się w całość, a głos gdzieś odpływa. Nie obchodzi mnie, co ma do powiedzenia. Myślami jestem w Angel Bay u boku oszałamiającej blondynki.

– Więc to by było wszystko – kończy dziewczyna, Alex, uśmiechając się do mnie. – Mogę zacząć nawet natychmiast.

Zerkam na jej CV, które mam w ręce.

– W porządku. Słyszałem, że Brand już z tobą rozmawiał, więc skontaktuję się z nim i jeden z nas da ci znać, co postanowiliśmy.

Alex znowu się uśmiecha. Jest młoda i całkiem ładna. Kiedy na nią patrzę, zakłada nogę na nogę, a następnie powoli ją zdejmuje.

Nie wierzę własnym oczom. Czy właśnie specjalnie pozwoliła mi zerknąć na swoje krocze? O co, do cholery, chodzi?

– Naprawdę potrzebuję tej pracy – mówi, a jej głos jest teraz o ton niższy i bardzo sugestywny. – Czy jest coś, co mogłabym zrobić, żeby ją dostać?

Bingo! To było celowe. Do jasnej cholery. Całkiem niezły prezent od losu, dzięki

któremu będę mógł choć na chwilę zapomnieć o Madison.

Alex już wstaje i rusza w moim kierunku, nie spuszczać oczu z moich ust.

– Potrafię być bardzo przekonująca – szepcze, popychając mnie na łóżko i wślizgując się między moje nogi.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – przyznaję, odruchowo przesuwając dłońmi w górę jej bioder. – Czy Branda też tak próbowałaś przekonać?

Chichocze.

– Nie, nie musiałam. Powiedział, że mu się podobam. Jeśli tobie też się spodoba, to mam tę pracę.

Do diabła.

Moje sumienie robi sobie wolne, a krew w trybie pilnym zostaje przekierowana z jednej głowy do drugiej.

– W takim razie bądź tak miła i pokaż mi, jakie masz kwalifikacje.

Alex całuje mnie namiętnie. Smakuje jak czekolada. Nowe doświadczenie, ale raczej przyjemne. Odwzajemniam pocałunek.

– Wiesz, że nie musisz tego robić – mówię po chwili, choć tak naprawdę nie jestem pewny, czy zwracam się do niej, czy do siebie.

– Ale chcę – odpowiada bez wahania. – Chyba wiesz, jak wyglądasz?

Teraz stara się polechtać również moje ego. Bystra dziewczyna.

Sięga w dół i bierze do ręki mój członek, tym samym dokonując perfekcyjnego hat tricka. Hormony, ego, kutas. O niczym nie zapomniła. Moje ciało reaguje tak jak zawsze. Erekcją.

Przewracam ją na plecy i przykrywam jej ciało swoim, jednocześnie wsuwając rękę pod jej minispódniczkę. Powinienem się był domyślić, że coś jest na rzeczy, kiedy przyszła na spotkanie w sprawie pracy w takiej krótkiej spódniczce.

Robię się jeszcze twardszy, kiedy moje palce się w nią wślizgują.

Myśli mi się mąca, gdy zbliżam do końca, który – jak wiem – pozwoli mi zapomnieć o rzeczywistości, o stresie, o dylematach, czy na pewno podjąłem właściwą decyzję.

Kiedy to robię, nie muszę myśleć.

Muszę tylko czuć.

To naturalne, instynktowne.

Alex jęczy, a ja zamykam oczy. Nie chcę jej widzieć. Chcę ją tylko czuć. Poruszam w niej palcami, coraz głębiej, coraz szybciej. A potem podwijam jej spódniczkę, nie fatygując się, żeby ją zdjąć.

Kręci się, żeby mi ułatwić zadanie, jednocześnie szepcząc moje imię. Jej zdyszany głos sprawia, że na chwilę przestaję i otwieram oczy.

Leży z rozłożonymi nogami na wymiętej hotelowej pościeli, chętna i gotowa.

Ale to, w jaki sposób wypowiedziała moje imię, przypomniało mi Madison.

Zastygam nad nią w bezruchu, zawieszam się.

– Co? – pyta wyraźnie zbita z tropu, otwierając oczy. – Coś nie tak?

Teraz już nie brzmi jak Madison. Nie wygląda jak ona, nie pachnie jak ona.

Ponieważ nie jest Madison.

Dziewczyna przede mną nie jest Madison, ale przed oczami mam tylko ją. Uśmiech Maddy, jej błękitne oczy, jej oszalałające ciało. Przypominam sobie wyraz jej twarzy, kiedy ostatniej nocy trzymałem ją w ramionach. Łagodny, pełen miłości i zrozumienia.

„Pieprz się, Gabe”.

Czuję w gardle głuche pulsowanie, kiedy próbuję przełknąć ślinę. Maddy mnie już nie chce. Nie, żeby miałem prawo ją za to winić. A jeśli istnieje jakiś niezawodny sposób wyrzucenia

kobiety z mojej głowy, to z pewnością jest nim przelecenie innej.

Takiej, która mnie chce.

Potrząsam głową.

– Wszystko w porządku – kłamię jak z nut.

Skupiam się z powrotem na Alex i przesuвам palcami po jej talii, która nie jest tak szczupła, jak talia Maddy.

– Chcę, żebyś był ostry – jęczy. – Zerznij mnie ostro, Gabe.

W ustach rozlewa mi się kwaśny smak, ale próbuję nie zwracać na to uwagi.

Opuszczam głowę, przyciskam ją do szyi Alex, a jednocześnie rozpinam bokserki.

Dziewczyna obejmuje mnie za ramiona, przyciąga do siebie i zatapia język w moich ustach.

Jednak to nie ten smak, którego pragnę.

To nie ten zapach, którego pragnę.

Mój członek też jest tego świadomy, bo nagle odkrywam, że nie jestem już twardy.

Jeszcze jedno pchnięcie, ale to nic nie daje. Nie jestem twardy. I nie będę. Ponieważ przed oczami mam tylko Madison. Schodzę z Alex i idę pod prysznic.

Słyszę za plecami jej zdezorientowane pytania, ale mam to gdzieś.

Woda swobodnie spływa na moją głowę i ramiona, a ja przekręcam gałkę na maksa, żeby była lodowato zimna.

Cholera.

Teraz wdepnąłem w naprawdę niezłe gównno.

Przed oczami znowu miga mi postać Madison. Jej błękitne oczy, łagodne i szczerze. Jej długie, szczupłe nogi owinięte wokół moich bioder.

Prawie jęczę. Mam poczucie, że mógłbym się przespać z tysiącem różnych kobiet na tysiące różnych sposobów, a i tak nie byłbym w stanie zapomnieć o Maddy.

Co takiego ma w sobie Madison, że nie mogę o niej zapomnieć?

Wszystko.

Czy to możliwe, żebym z nią był i jej nie skrzywdził?

Pytanie jest czysto teoretyczne, skoro już ją zostawiłem. Ale o tym pytaniu również nie mogę zapomnieć.

Po pięciu dniach dochodzę do wniosku, że nienawidzę Denver.

Nienawidzę swojego życia.

I nienawidzę siebie samego.

Jestem pewien, że te uczucia nie umknęły uwadze osób mających pecha znajdować się w moim otoczeniu, bo zachowywałem się w stosunku do nich jak totalny dupek.

Dzisiaj odbywaliśmy spotkania z potencjalnymi wykonawcami w miejscu, w którym ma stanąć fabryka. Potem wróciliśmy do hotelu i teraz przy stole w moim pokoju przeglądamy ich oferty. Tyle że wcale nie chcę tutaj być. Jest tylko jedno miejsce na świecie, w którym chciałbym być, a skoro nie mogę być tam, to pieprzyć wszystko inne.

Przecieram zaczerwienione oczy i staram się ignorować lupanie w głowie. Whisky, które używałem z nadzieją, że pomoże mi radośniej spojrzeć na świat, przyniosła dokładnie odwrotny skutek. Pieprzony kac rozsadza mi głowę.

Alex wręcza mi ibuprofen.

– Proszę. To ci pomoże.

– Dzięki – mamroczę, połykając cztery tabletki i popijając wodą.

Z takiego czy innego powodu Alex trzyma się bardzo blisko. Przychodzi wcześniej i zostaje do późna.

Tak jakby traktowała moją łóżkową porażkę z nią, mój chłód i chamskie zagrywki jak

osobiste wyzwanie. Nie bardzo to ogarniam, ale ogólnie nie bardzo ogarniam zachowanie kobiet.

– Jak myślisz, jak długo tu zostaniesz? – pyta Alex, przesuwając palcem po moich plecach. Instynktownie odsuwam się od niej. Dotyka mnie przy każdej okazji, najwyraźniej wierzy, że nie można się jej oprzeć. Nie ma pojęcia, jak bardzo na mnie n i e działa.

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba tyle, ile trzeba, żeby wszystko tu zorganizować.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. – Robi nadąsaną minę i wysuwa dolną wargę. – Lubię, kiedy tu jesteś.

Udaje mi się nie przewrócić oczami. Nie ma takiej opcji, żeby lubiła mnie takiego, jaki teraz jestem. Przejrzałem ją. Dziewczyna po prostu chce się przespać z szefem.

– Wiedziałaś, że wyjadę – przypominam jej. – Właśnie dlatego musieliśmy zatrudnić asystentkę, żeby ktoś się zajmował bieżącymi sprawami, kiedy nas tutaj nie ma.

– Wiem – przyznaje. – Ale...

Muszę skoczyć do toalety. Kiedy wracam, Alex stoi na środku pokoju. Jest całkiem naga.

– Co, do diabła...? – mamrocze. Nie chcę jej, ale nie mogę się zmusić do odwrócenia wzroku. W końcu jest młoda, ładna i ma idealne cycki. Zanim mogę ją poprosić, żeby się z powrotem ubrała, rozlega się pukanie do drzwi.

– Zamówiłam coś do jedzenia – uprzejmie informuje Alex.

– To wyjaśnia, dlaczego zdjęłaś ubranie – zauważam cierpko.

W drodze do drzwi ściągam koc z łóżka i narzucam jej na ramiona. Nawet nie patrzę, kto stoi za drzwiami, i dlatego jestem cholernie zaskoczony, kiedy widzę szczelnie wypełniającą futrynę wielką postać Branda.

Szybko omiata wzrokiem scenę – naga asystentka na środku pokoju, niezaścielone łóżko, ja nieco wczorajszy. Łatwo z tego wyciągnąć błędne wnioski.

I to właśnie robi Brand.

– Nawet nie żartuj! – wykrzykuje, energicznie wchodząc do pokoju. – Gabe, chłopie, o co tu, kurwa, chodzi?

– To nie tak, jak myślisz – mówię w ramach wyjaśnienia. – Poza tym myślałem, że jeszcze jesteś w Chicago.

Brand zwraca się do Alex.

– Alex, kotku, dasz nam chwilkę?

Odwraca wzrok, a ona niezgrabnie się ubiera.

– Idę na dół na kawę – mówi szybko, po czym nie oglądając się, wybiega z pokoju.

Brand mierzy mnie gniewnym wzrokiem.

– Co tu się, do cholery, dzieje, Gabe? – Przygląda się stojącej na stole pustej butelce po whisky. – Oczom nie wierzę. Zaszłyś się w hotelu, ostro dajesz w palnik i rzniesz naszą nową asystentkę?

Zerkam na pustą butelkę.

– Piję tylko w nocy – uściślam. – I nie rznę asystentki.

Brand kręci głową. Dobrze rozumiem, dlaczego mi nie wierzy, ale i tak mam to wszystko gdzieś.

– Nieważne – mamrocze. – Myśl, co chcesz.

– Chłopie, przecież wiesz, że Pax Tate nie jest już zainteresowany inwestowaniem, bo spartolił sprawę z jego szwagierką. Musimy się postarać i znaleźć nowego inwestora. A nie zrobimy tego, zapijając smutki w pokoju. Poza tym nie potrzebujemy pozwu o molestowanie od naszej asystentki.

– Powtarzam po raz ostatni, nie przeleciałem jej. Na miłość boską, to ja mógłbym ją oskarżyć o molestowanie! Praktycznie wchodzi mi do łóżka. Poszedłem do kibla, a kiedy

wróciłem, stała na środku pokoju goła, jak ją Pan Bóg stworzył.

Brand wydaje się zainteresowany.

– Serio? To miło!

Nie spuszcza z niego oka.

– Miło? Przed chwilą prawileś mi kazanie w sprawie rżnięcia asystentki.

Brand wzrusza ramionami.

– Prawda. Cieszę się, że nie grozi nam pozew o molestowanie, ale swoją drogą to dziwne, że przepuściłeś taką okazję. Co się z tobą dzieje, stary? Jeśli chcesz być w Angel Bay z tą długonogą blondynką, to po prostu tam jedź. W ten sposób upieklibyśmy dwie pieczenie na jednym ogniu: twoje kiepskie samopoczucie i problem z inwestorem. Jeśli tam wrócisz, Tate prawdopodobnie zdecyduje się zainwestować.

– Więc chcesz mnie sprzedać jak dziwkę, bo nasz interes na tym zyska?

– Nie wydaje mi się, żeby to było wbrew twojej woli. Co ty, do cholery, wyrabiasz, brachu?

Wiem, że nie mówi teraz o interesach, i gniewnie na niego spoglądam, porządkując bałagan na stole.

– Od kiedy to tak się przejmujesz kobietami, które porzuciłem? – pytam.

Brand uważnie mi się przygląda.

– Nie przejmuję się. Ale przejmuję się tobą. I nie podoba mi się, że właśnie próbujesz spięprzyć coś, dzięki czemu byłeś szczęśliwy.

– Nie łapiesz, o co tu chodzi – mruczę, podrzucając pustą butelkę po piwie, a następnie ciskając ją do kosza. – Nie rozumiesz.

– Naprawdę? – Brand podnosi brew. – Myślę, że ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie ja rozumiem cię najlepiej. Na przykład wiem, że jedną z najgorszych rzeczy, jeśli chodzi o odejście z rangersów, jest poczucie, że odpuściliśmy. I choć wiemy, że nie odpuściliśmy, że mieliśmy poważny powód, żeby odejść, i tak czujemy się, jakbyśmy zbyt szybko dali za wygraną. Mam rację?

Patrzę na niego.

– Do czego zmierzasz?

– Zmierzam do tego, że ja wiem, stary. Wiem, jak to jest. Wiem też, że jeśli nie wyprostujesz tej sprawy z Madison, to znowu dasz za wygraną. Tyle że tym razem naprawdę. Nie rób tego, Gabe. Zrób ze sobą porządek i zabieraj dupsko z powrotem do Angel Bay, gdzie twoje miejsce.

Zerkam na niego, sznurując buty.

– Jeśli takie jest twoje zdanie, to gówno wiesz. Moje miejsce nie jest w Angel Bay. A to, że trzymam się z dala od Maddy, nie jest odpuszczaniem. W ten sposób ją chronię. Przed samym sobą. W tej sytuacji powrót nie byłby dobrym pomysłem, co?

Brand wzdycha i potrząsa głową.

– Uparty z ciebie sukinsyn, wiesz o tym?

– Taaa.

– Możesz przynajmniej wziąć się w garść i przestać chlać po nocach? – pyta ze znużeniem. – Wyglądasz jak studenciak na kacu. Nie wierzę, że w takim stanie spotykałeś się z kontrahentami.

Wzruszam ramionami.

– To oni mają pracować dla nas, nie my dla nich. Ale nieważne. Rano lecę do Chicago.

– Dobrze.

Mamy do przejrzania kilka kontraktów. Brand gawędzi z Alex, żeby mieć absolutną

pewność, że nie grozi nam pozew o molestowanie, a ja przez cały czas gapię się nieuważnie w okno.

Jemy kolację, szybko omawiamy jeszcze kilka spraw, po czym Brand idzie do swojego pokoju, żeby się spakować, bo wraca do Chicago nocnym lotem.

– Do zobaczenia jutro – mówię mu.

Zamykam za nim drzwi i odwracam się. Alex już zdążyła zrzucić szpilki i przenieść się zza stołu do łóżka, gdzie czeka na mnie z miną „chodź tutaj” na mocno umalowanej twarzy. Próbuję zwalczyć niemiły dreszcz, który wstrząsa moim ciałem.

– Zapomniałam nastawić nagrywanie mojego ulubionego serialu – mówi. – Masz coś przeciwko, żebym obejrzała tutaj? Nie chcę przegapić odcinka.

Mam ochotę jęknąć, ale się powstrzymuję. Skoro i tak rano wyjeżdżam, równie dobrze mogę być dla niej miły.

– Jasne – mówię i osuwam się na fotel koło łóżka. – Nie ma problemu.

Problem w tym, że podczas oglądania zasypiam.

Budzi mnie wrzask Alex.

– Co, do cholery, jest z tobą nie tak?! – drze się jak opętana.

Podnoszę się do pozycji siedzącej i dociera do mnie, że jestem na podłodze i przed chwilą czołgałem się po hotelowym dywanie. Alex ucieka do najdalszego kąta pokoju.

– Czołgałeś się po podłodze i wołałeś Branda. Co to, do cholery, ma być? Jesteś pieprzonym gejem czy coś w tym stylu? Spadam stąd. Pieprzony świr!

Łapie torebkę i wybiega z pokoju, trzaskając drzwiami.

Jestem ciągle oszołomiony, zdezorientowany, więc przez chwilę siedzę na podłodze, rozcierając skronie. Nie sądziłem, że to możliwe, ale te koszmary stają się coraz gorsze. Ciemnookie, krwawe koszmary senne.

I gorsze, bo teraz jest w nich również Madison. Leży na skraju kręgu martwych dzieciaków, a ja nie jestem w stanie jej utrzymać.

Wiem, że muszę ją ocalić, ale w głębi serca czuję, że to niemożliwe. Bo ona osuwa się w stronę ognia, w stronę rebeliantów, w stronę niebezpieczeństwa.

Tyle że tym niebezpieczeństwem jestem ja.

Jezu Chryste.

To się nigdy nie skończy.

Chcę tylko Madison. Przy niej wszystko się układało. Była ciepłem i światłem, i zrozumieniem, i zaufaniem. Była tym wszystkim. A ja nigdy jej nie odzyskam.

Wypijam duszkiem dwie butelki wody i wreszcie kładę się do łóżka, ale w ustach nadal czuję smak popiołu. Popiołu z palonych ciał. Moje płuca się zamykają, kiedy próbuję przełknąć smak martwych dzieci. Mój żołądek też ich nie chce, buntuje się i wywraca na wszystkie strony. Przewracam się na bok i wymiotuję na podłogę. Torsje wstrząsają mną tak długo, aż w żołądku nie zostaje zupełnie nic.

Z wyjątkiem tego smaku.

Popiół i krew. Czarna rozpacz. A teraz jeszcze wymioty.

Wycieram usta i obracam się na plecy. Oczy zasłaniam ramieniem. Próbuję oddychać, próbuję opanować drżenie nóg. Próbuję wyprzeć te wizje z głowy.

Jestem tym wszystkim tak cholernie zmęczony.

Wstaję z łóżka i ślaniając się, wychodzę na balkon. Wciągam nosem zimne górskie powietrze z nadzieją, że moje płuca się otworzą i napełnią tlenem. W uszach głucho dudni mi krew, ale powietrza nadal brak. Nie ma powietrza, bo nadal nie mogę oddychać.

Oddychaj, skurwysynu.

Nic dziwnego, że nie mogę się zmierzyć z syfem, skoro nie mogę nawet zmusić się do oddychania. Jestem pieprzonym mięczakiem.

Ściskam balustradę i patrzę na znajdującą się piętnaście pięter pode mną ulicę. Ludzie, zajęci swoimi sprawami, oddychają, śmieją się i idą naprzód ze swoim życiem, choć moje się właśnie rozpada.

Życie jest cholernie podłe. Ale tutaj nikt o tym nie wie.

Tylko ja.

Spoglądam w dół, obserwując ruch, obserwując życie, które jest tak odległe ode mnie, tak bardzo dalekie. Tu na górze jest cisza. To na górze jest samotność. Tu na górze jestem tylko ja.

A ja jestem popieprzony.

Moja dusza – tak jak oczy tej dziewczynki – jest czarna jak noc i wypełniona przerażeniem.

Przypominam sobie słowa wytatuowane na moim ramieniu – moje motto, moje credo. Wyznanie wiary.

„Śmierć przed hańbą”.

Nie mogę przestać myśleć o tych słowach i dobrze wiem dlaczego. Ponieważ przez ostatnie miesiące zachowywałem się jak człowiek bez honoru, jak cholerny tchórz, który nie potrafi wziąć się w garść. I spieprzyłem jedyną dobrą rzecz, która mi się przytrafiła. Prawie zabiłem Madison.

To tylko jeden więcej przykład hańby, który mogę dodać do swojej listy.

Patrzę w dół.

„Śmierć przed hańbą”.

Wiem, co muszę zrobić, żeby to wszystko się skończyło, żeby te przerażone czarne oczy na zawsze opuściły moje myśli. Oko za oko.

Okno za pieprzone okno.

Życie za pieprzone życie.

Przekładam nogę przez balustradę, podciągam się, siadam i patrzę w dół. Samochody wydają się mniejsze niż mój duży palec u nogi. Upadek byłby śmiertelny. Nie miałbym żadnych szans na przeżycie.

Wszystko by się skończyło.

Demon nie będzie mógł mnie dopaść, jeśli gra będzie skończona.

Zamykam oczy, czuję na twarzy lekki powiew, a w nozdrzach zapach gór. Moje płuca teraz pracują. Ironia losu, jeśli wziąć pod uwagę, że za parę minut nie będę już ich potrzebował.

Nie boję się. Strach jest wyborem, a ja, do cholery, nie boję się. Mam plan.

Dzięki temu planowi już nigdy nikogo nie skrzywdzę.

Ciemność poniżej wygląda prawie zachęcająco, jakby owijała się wokół moich stóp, czekając tylko, aż będzie mogła pociągnąć mnie w dół. Jakby obiecywała, że gdy tylko stanę się jej częścią, połknie mnie i cały mój syf przestanie istnieć.

Tak wygląda śmierć.

Po prostu koniec.

Odpoczynek.

A ja jestem tak cholernie zmęczony. Przyda mi się odpoczynek.

Gapię się w tę kuszącą ciemność. Każda komórka w moim ciele jest wyszkolona, żeby walczyć o przetrwanie. To, co chcę zrobić, jest niezgodne ze wszystkim, czego mnie uczono.

Przymykam powieki i zamiast oczu dziewczynki widzę błyszczące błękitne oczy Maddy.

Gdybym tylko mógł to naprawić.

– Co ty, kurwa, wyrabiasz?! – Głos Branda przebija się przez ciemność i dociera do mnie

przez otwarte drzwi balkonu.

Zerkam przez ramię. Brand długimi krokami przemierza pokój, wpatrując się we mnie przerażonym wzrokiem.

– Co się, do cholery, dzieje, Gabe?

W jego głosie słyszę strach. Mógłbym mu powiedzieć, że strach jest wyborem, ale tego nie robię. On już to wie.

– Zatrzymaj się, Brand – mówię.

Słyszę kompletny brak emocji w moim głosie i wiem, że Brand też to słyszy.

Ktoś inny by tego nie rozumiał, ale on – tak. Wie, jak to jest, kiedy musimy się zmierzyć z przerażającym zadaniem. Trzeba się wtedy zdystansować, zobojętnieć na to, co musimy zrobić, i po prostu działać.

Brand wie, że właśnie to teraz robię.

Jego oczy się rozszerzają i widzę w nich panikę.

– Nie rób tego, Gabe – mówi cicho. – Nie musisz tego robić. Możemy to wszystko naprawić.

Patrzę na niego i kręcę głową.

– Nie, nie możemy. To straszny syf i dobrze o tym wiesz. Wszystko się popieprzyło. Nie da się tego naprawić.

– Da się – uparcie powtarza Brand.

– A tak w ogóle, to co tu robisz? – pytam, choć nieszczególnie mnie to obchodzi. Już nie.

– Zostawiłem na stole portfel – odpowiada. – I dzięki Bogu. Gabe, przemyśl to. Pomyśl o Jacey i Maddy. To je zabije. Dla Jacey jesteś wszystkim, bo wasi starzy są do niczego. A Maddy już straciła rodziców. Jak sądzisz, jak na nią wpłynie kolejna tragedia? Czy ty w ogóle o niej myślisz?

Z trudem przełykam ślinę i odwracam wzrok.

– Myślę tylko o niej – mamroczę. – Cały czas. Nie mogę przestać o niej myśleć i to mnie zabija, Brand.

Wpatruje się we mnie, w jego oczach widzę determinację.

– Gabe, to był twój wybór, żeby odejść od Madison – mówi. – To ty odpuściłeś, chociaż nie musiałeś. Teraz musisz tylko poszukać pomocy. Nie zrobiłeś tego wcześniej, ale możesz to zrobić teraz.

Nie odpowiadam, więc Brand mówi dalej:

– Pamiętasz pogrzeb Szalonego Psa? Chcesz, żeby teraz wręczyli flagę twoim rodzicom? Albo Jacey, bo twoi rodzice nie zasługują na flagę. Jacey tego nie przeżyje. Na Boga, Gabe. Zejdź z tej balustrady. Nie jesteś gościem, który odpuszcza. Wracaj do pokoju i pogadamy o tym. Znajdziemy jakiś sposób, żeby wszystko naprawić.

– Jestem tchórzem – odpowiadam przez ściśnięte gardło. – Nie wiem, jak to naprawić. Po prostu nie wiem. Nie mam już na to wszystko siły, Brand.

Brand zaciska zęby i robi krok do przodu. Rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Stój.

Zastyga w bezruchu.

– Nie jesteś tchórzem – mówi. – I nie jesteś typem faceta, który odpuszcza. Jesteś twardym sukinsynem. Powiedz mi, jakich słów mam użyć, żebyś zszedł z tej barierki. Powiedz mi, a ja ci to powtórzę. Odbyliśmy razem podróż do piekła i z powrotem. To się tak nie skończy. Nie pozwoliłbyś mi tak skończyć i możesz mi wierzyć, że też ci na to nie pozwolę. Nie po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

Zaciskam oczy i pozwalam ciemności wsączyć się pod powieki. Byłoby tak łatwo

pozwoić jej zająć również resztę mnie.

– Powiedz mi, że możesz uwolnić mnie od koszmarów sennych. Powiedz mi, że możesz ocalić tę małą dziewczynkę... że możesz ocalić wszystkie te małe dziewczynki.

Oddech Branda jest urywany i chrapliwy.

– Wiesz, że nie mogę ich ocalić. Ale mogę ocalić ciebie, Gabe. Złaz z tego pieprzonego balkonu. Przynajmniej od koszmarów sennych możemy cię uwolnić.

Nie odzywam się. Otwieram oczy i patrzę w dół, poza moje stopy, poza samochody, aż mój wzrok zatrzymuje się na ziemi. Długa droga na dół, a jednak może warto. Brand podąża za moim spojrzeniem.

– Gabe, przysięgam na Boga, ja już prawie nie mam koszmarów. Może raz czy dwa razy na miesiąc. A pewnego dnia nie będę ich miał w ogóle. Musisz po prostu zejść z tej barierki i zapisać się na terapię. To wydaje się głupie i straszne, ale mnie pomogło. Tobie też pomoże. Terapię jest o niebo lepsza niż to.

Lepsza niż śmierć.

Zerkam na niego przez ramię.

– Ponieważ to jest łatwe wyjście?

Brand nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Tak – potwierdza. – Wybierz trudniejsze i zbieraj wreszcie dupsko z tego balkonu.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc, zastanawiając się nad tym.

Nie chcę umrzeć. Jeśli umrę, demon wygra.

Pieprzyć to.

Biorę głęboki oddech, a potem chwytam wyciągniętą rękę Branda.

Rozdział 21

MADISON

Gabriel nie wróci.

Teraz to wiem. Minął już tydzień.

Siedem dni.

Sto sześćdziesiąt osiem godzin.

Nie wiem, gdzie jest, i wątpię, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Tej ostatniej myśli staram się do siebie nie dopuszczać, bo jest dla mnie zbyt druzgocąca. Ból jest nadal nie do zniesienia.

Zamiast tego skupiam się na udawaniu przed Jacey i Tonym, Milą i Paxem, że wszystko jest w porządku. Dzisiaj Jacey przyniosła mi kubek gorącej czekolady. Najwyraźniej uważa, że gorąca czekolada potrafi uleczyć wszystkie rany.

Teraz kuli się po drugiej stronie stołu, przy którym zawijam sztućce w serwetki, i posyła mi nieśmiałe spojrzeńce.

– Tak przy okazji, do mnie też się nie odzywał. Pewnie się spodziewa niezłego opieprzu. Podnoszę na nią wzrok.

– Możemy o tym nie rozmawiać? Mówię poważnie. Po prostu wolę o tym nie myśleć.

– Jasne – Jacey szybko się zgadza. – Tylko nie chciałam, żebyś przypadkiem myślała, że jestem z nim w kontakcie i to przed tobą ukrywam.

Kiwam głową, składając kolejną serwetkę.

– Dzięki, Jace. Przepraszam, że tak ostro ci odpowiedziałam. Ja po prostu... ostatnio nie jestem sobą.

– W porządku.

Pracujemy w milczeniu, aż wreszcie drzwi się otwierają, wpadają przez nie promienie słoneczne, a twarz Jacey cała się rozjaśnia.

– Brand!

Zrywa się na równe nogi i pędzi przez salę, jakby nie widziała go od roku.

Gwałtownie nabieram powietrza, niepewna, czy jestem gotowa na spotkanie z najlepszym przyjacielem Gabe'a. Nie odwracam się, nadal zawijam sztućce, nie odrywając od nich wzroku. Ale słyszę ich ściszone głosy i nastawiam uszu. Głęboki głos Branda słychać lepiej niż głosik Jacey, więc wiem dokładnie, co mówi.

– Wszystko u niego w porządku, Jace. Oczywiście czuje się winny, że opuścił ciebie... i Madison, ale ogólnie wszystko u niego w porządku. Wybiera się na specjalną terapię, przeznaczoną dla ofiar zespołu stresu pourazowego. Ja przez nią przeszedłem od razu po powrocie do kraju. Jest bardzo ciężka, ale działa. Pamiętaj, że będzie potrzebował twojego wsparcia.

Jacey mu odpowiada, ale nie słyszę jej słów.

I znowu Brand:

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Zespół stresu pourazowego to paskudna sprawa. To coś, czego się nie da kontrolować, a tacy goście jak Gabe i ja... cóż, ciężko jest nam sobie z czymś takim radzić. Dlatego Gabe potrzebuje twojego pełnego wsparcia. W tym tygodniu będzie w Walter Reed, ale prosił, żebym sprawdził, co u ciebie, i upewnił się, że Jared zostawił cię wreszcie w spokoju.

Jacey mamrocze coś w odpowiedzi.

– Co ty, do cholery, mówisz? – unosi się Brand. – Dlaczego miałabyś to robić?

Jest wyraźnie zirytowany, ale nie mam pojęcia, co Jacey mu powiedziała.

– Nieważne – odzywa się po chwili. – Po prostu już nas więcej nie okłamuj, Jacey. Powiesz o tym Gabrielowi, kiedy stamtąd wyjdzie. Nie mów mu o tym, gdy jest w trakcie terapii. Nie powinien się rozpraszać. Powinien się teraz skoncentrować na TPP.

Jacey znowu coś mamrocze.

– Zaufaj mi – odpowiada jej Brand. – Też przez to przechodziłem. Wiem, jak to jest. Jeśli Gabe chce, żeby terapia przyniosła skutek, musi się na niej w stu procentach skoncentrować. Będziesz miała okazję, żeby go wspierać, kiedy wróci do domu.

Jacey znów coś mówi, po czym zapada cisza. Właśnie zbieram się na odwagę, żeby dyskretnie zerknąć za siebie i sprawdzić, czy Brand już wychodzi, kiedy nagle słyszę jego głos tuż przy moim uchu.

– Maddy?

Powoli się odwracam i podnoszę wzrok na jego błękitne oczy.

– Cześć, Brand. Miło cię widzieć.

Ale wcale nie jest miło. Ponieważ on tu jest, a Gabe'a nie ma. Wiem, że to irracjonalne, ale tak właśnie to odbieram.

– Hej! – Wygląda na to, że mówienie do mnie jest dla niego równie krępujące, jak dla mnie słuchanie go. – Chciałem ci tylko coś powiedzieć, jeśli się zgodzisz. Gabriel nie wie, że z tobą rozmawiam. Chciałem, żebyś wiedziała, że to dobry facet, Maddy. Wiem, że gówniano wyszło, kiedy tak po prostu wyjechał, ale daję ci słowo... ze tego nie chciał. Myślał tylko o tym, że musi cię chronić. Przed samym sobą. To dlatego wyjechał.

Oczy mnie szczypią, ale kiwam głową.

– Domyśliłam się – mówię. – Ale to nie zmienia faktu, że wyjechał bez słowa. Nie odpowiada na moje SMS-y, nie oddzwania. To raczej nieciekawy sposób postępowania.

– Zgadza się – stwierdza Brand. – On też tak uważa. Myślę, że nie ufa sobie wystarczająco, żeby z tobą porozmawiać. Uważa, że jeśli to zrobi, po prostu do ciebie wróci.

– A to by było takie straszne? – Nawet ja słyszę, że mój głos brzmi żałościwie.

Brand potrząsa głową.

– Nie sądzę. Ale dla Gabe'a absolutnym priorytetem jest, żebyś była bezpieczna. Strasznie za tobą tęskni.

Oczy wypełniają mi się łzami, więc odwracam wzrok.

– W porządku – udaje mi się wreszcie wydusić. – Dzięki, że mi to powiedziałaś, Brand.

Kładzie mi rękę na ramieniu, po czym odchodzi. Po chwili pojawia się Jacey. Patrzy na mnie z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho.

Przytakuję.

– Tak. A u ciebie?

– Też. Cieszę się, że Gabe zdecydował się na terapię. Powiesz mi, co się stało, że wrócił z Afganistanu taki rozpieprzony?

Przez chwilę kusi mnie, żeby wszystko jej opowiedzieć. Jednak po krótkim namyśle kręcę przecząco głową.

– Nie mogę. To jego historia. Tylko on może się nią podzielić.

– Spodziewałam się, że to powiesz.

– O co Brand się na ciebie wkurzył? – pytam. – Czego masz na razie nie mówić Gabe'owi?

Jacey robi zakłopotaną minę.

– Okłamałam Gabe'a w sprawie Jareda.

Pytająco unoszę brew.

– Co zrobiłaś?

– Powiedziałam mu, że Jared ciągle do mnie pisze, i takie tam. Kłamałam. Nic takiego nie robił. Dał mi spokój już po pierwszym spotkaniu z moim bratem.

Patrzę na nią osłupiała.

– Dlaczego, do cholery, kłamałaś? Przecież chodziło właśnie o to, żeby Jared się od ciebie odczepił, prawda?

Jacey spuszcza wzrok.

– Ja po prostu stęskniłam się za bratem – wyznaje cicho. – I pomyślałam, że dłużej tu zostanie, jeśli będzie sądził, że Jared ciągle sobie ze mną pogrywa. I faktycznie został. A potem zaczął się spotykać z tobą, więc i tak nie spieszyno mu się, żeby wyjeżdżać. W sumie wszystkim nam wyszło to na dobre.

Wzdycham.

– Nie licząc tego, że Gabe wybił Jaredowi ząb tylko dlatego, że ty kłamałaś.

Jacey przewraca oczami.

– Wierz mi, należało mu się. To duppek.

– Wiem – mamrocze nieuważnie. Szczerze mówiąc, nie zależy mi na Jaredzie.

Ostatnio nie zależy mi na prawie niczym.

Taszcę pojemnik pełen świeżo zawiniętych w serwetki sztućców do odsuwanej szafki, po czym udaję się do biura i dokładnie zamykam za sobą drzwi. Naprawdę nie mam ochoty mieć teraz do czynienia z ludźmi.

Chwilę pracuję nad wypłatami, a potem sprawdzam pocztę i widzę coś, co sprawia, że moje serce podskakuje aż do gardła.

E-mail od Gabriela.

Wstrzymuję oddech, kiedy na niego klikam. Wstrzymuję oddech, kiedy czytam te słowa:

Droga Madison!

Tak mi przykro. Wiem, że myślisz, że jestem dupkiem, i pewnie nim jestem. Nawet większym, niż Ci się wydaje. To, że nie mogłem z Tobą porozmawiać, dobiło mnie, a teraz na pewno Ty nie zechcesz przeczytać tego maila.

Chciałem Ci tylko powiedzieć, że miałaś rację. To nie było fair, że zachęcałem Cię, żebyś stawiała czoła własnym demonom, podczas gdy ja nie chciałem się rozprawić ze swoimi.

Więc chciałem Ci napisać, że właśnie się z nimi rozprawiam.

Mam nadzieję, że masz się dobrze i że gardło już Ci nie dokucza. Nie masz pojęcia, jak mnie dobija, że Ci to zrobiłem.

Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć oprócz tego, że bardzo mi przykro, Maddy. Naprawdę.

Gabe

Podpisał się tylko imieniem. Żadnego: „Kocham Cię”. Właściwie to nigdzie nie wspomina o miłości.

Nie wspomina również, że wyjechał bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. Że nie odbierał telefonu i nie odpowiadał na SMS-y. Że nie napisał choćby zdawkowego maila. Nawet cholerny mail, w którym by ze mną zrywał, byłby lepszy niż nic.

Teraz też nic nie wyjaśnia.

Pisze tylko, że jest mu przykro.

Cóż, w takim razie mnie też jest przykro.

Przykro mi, że zakochałam się w kimś, kto nie odwzajemnia mojego uczucia.

Rozdział 22

Dzień pierwszy

GABRIEL

Siedzę w przydzielonym mi pokoju w Walter Reed i gapię się w ścianę. Chciałbym zadzwonić do Maddy, ale nie mogę. Nawet nie odpowiedziała na mojego maila.

Najwyraźniej nie życzy sobie, żebym się z nią kontaktował.

Wkurza mnie myśl o tym, do jakiej roli dałem się sprowadzić. A kiedy patrzę w wiszące naprzeciwko lustro, widok samego siebie wkurza mnie jeszcze bardziej.

Nagle ogarnia mnie wściekłość, świat mieni mi się przed oczami na czerwono. W uszach mi dzwoni i z całej siły walę pięścią w ścianę koło lustra. Rozlega się głośny huk, ale ja czuję ulgę.

Przybiega pielęgniarka i przygląda się najpierw mnie, a potem kroplom krwi spływającym z mojej dłoni.

– Wszystko w porządku, żołnierzu? – pyta.

Spokojnie kiwam głową.

– Tak, wszystko pod kontrolą. Kiedy będę miał pierwszą sesję?

– Zaraz sprawdzę. Ale najpierw opatrzę panu rękę.

Odchodzi, a ja oplukuję rękę w zlewie i właśnie ją wycieram, kiedy pielęgniarka wraca. Z ciemnymi włosami spiętymi w koczek i w nieskazitelnym białym fartuchu wygląda jak uosobienie efektywności.

Siada obok mnie, przemywa moje kłykcie jodyną i ciasno owija rękę bandażem.

– Zaraz sprawdzę, czy może zacząć pan jeszcze dziś wieczorem – mówi. – Nie wiem, co pan słyszał na temat TPP, ale terapia składa się z dwunastu sesji. Niektórzy odbywają jedną sesję na tydzień, inni – jedną dziennie, a jeszcze inni – dwie dziennie, rano i wieczorem. Pan wygląda na człowieka, którego zainteresuje ta ostatnia opcja.

– Chciałbym już mieć to z głowy, więc im szybciej, tym lepiej.

Pielęgniarka się uśmiecha.

– Dam panu znać, czy znajdzie się miejsce na wieczornej sesji.

Wychodzi, a ja wyciągam telefon i sprawdzam skrzynkę mailową. Wiem, że Maddy nie odpisała i nie ma zamiaru odpisać, a mimo to jestem zdziwiony, jak ciężko mi się robi na sercu, kiedy się okazuje, że miałem rację.

Pewnie jakaś głęboko ukryta część mnie miała nadzieję, że jednak znajdę odpowiedź. Chyba myślałem, że skoro wykonałem ten najtrudniejszy krok i zapisałem się na terapię, ona mi wybaczy.

Ale to było głupie. Przecież nawet nie wie, że tu jestem.

Dla Maddy i dla mnie nie ma już nadziei.

Ona jest tam, ja jestem tu, a to miejsce to jakieś pieprzone piekło. I tu nasuwa się pytanie: skoro jej już nie zależy, to po co, do cholery, tu jestem i muszę przez to wszystko przechodzić?

Dla siebie samego? Kiepska odpowiedź, bo tak naprawdę to mam w dupie siebie samego.

Dla Branda? On chce, żebym przeszedł tę terapię. Jestem mu to winien.

Zainwestowaliśmy w ten nasz biznes wszystkie pieniądze, więc byłoby paskudne zostawić go

teraz samego z całym tym bajzlem na głowie. Jednak w tym momencie to też brzmi nieprzekonująco.

Bo w tym momencie nic się nie liczy.

Wszystko brzmi kiepsko.

A zwłaszcza ja.

Siedzę rozwalony na składanym metalowym krześle w kręgu złożonym z innych żołnierzy z zespołem stresu pourazowego i dochodzę do wniosku, że to miejsce jest jak siódmy krąg piekła. Każdy czuje się nieswojo, każdy unika wzroku pozostałych. Atmosfera jest napięta i niezręczna.

Terapeutka siedzi w środku. Przycupnęła na wysokim stołku i przegląda notatki.

– Dołączyło dziś do nas dwóch nowych żołnierzy – odzywa się wreszcie, podnosząc na mnie wzrok. – Jeden z nich jest teraz z nami, to porucznik Gabriel Vincent. Witamy w grupie! Nie wiem, czego się pan spodziewa po TPP, ale jestem pewna, że będzie zupełnie inaczej, niż pan sobie wyobrażał. Może pan być zupełnie szczerzy, to nie miejsce na strach, skrępowanie czy wstyd. W tym pokoju zrozumie pan, że z czymkolwiek przyszło się panu zmierzyć w czasie służby, nie była to pana wina. Z naszą pomocą wyjdzie pan stąd jako całkiem nowy człowiek.

Nie wiem, jakiej reakcji się po mnie spodziewa, więc tylko kiwam głową. Zastanawiam się, jak może mówić, że nic, co się wydarzyło w czasie służby, nie jest naszą winą. Gówna prawda. Czasem to jest czyjaś wina, czyjś błąd.

Zeskakuje ze stołka i podaje mi podkładkę z jakimiś papierami przymocowanymi klipsem.

– Proszę, żeby podczas sesji wypełnił pan te karty zadań. Pod koniec omówimy pana odpowiedzi.

Zaczyna sesję, a ja przeglądam papiery. Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Jakby próbowali mnie rozgryźć czy coś w tym stylu. Próbuję nie zwracać na to uwagi i uporać się z tą kretyńską papierkową robotą tak szybko, jak to tylko możliwe.

Na widok niektórych pytań mam ochotę przewrócić oczami.

„Proszę opisać incydent, który wywołał u Pani/Pana stres i wyjaśnić, jakie uczucia wzbudził w Pani/Panu ten incydent”.

Co to, do cholery, za pytanie?

To chyba jasne, że incydent, przez który tu jestem, sprawił, że czuję się gówniano, bo w przeciwnym razie by mnie tu nie było. Tak właśnie piszę. Pieprzyć to. Nie mam zamiaru owijać w bawełnę. Sama mówiła, żeby się nie krępować i być szczerym, więc tak właśnie mam się zamyślić zachowywać.

Gryzmołę odpowiedzi na wszystkie te głupie pytania, słuchając jednym uchem, co mówią inni żołnierze. W pewnym momencie jakiś głos przykuwa moją uwagę.

Głos dziewczyny.

Z tego, co mówi, dowiaduję się, że była przetrzymywana w niewoli przez talibów. Jej oczy ciągle mnie odnajdują, patrzy na mnie, kiedy opowiada. Ma na sobie mundur, więc wiem, że nadal jest w czynnej służbie. Coś w jej twarzy wydaje mi się znajome, ale nie mam pojęcia, gdzie mogłem się z nią zetknąć.

– Przez dziewięć dni trzymali nas w brudnej norze – mówi. – Głodzili nas, znęcali się nad nami, a ja byłam regularnie gwałcona przez grupę talibów. Nie wiedziałam, czy chcę być uratowana, bo nie byłam pewna, czy po tym wszystkim będę chciała nadal żyć. Ale nie miałam wyboru. Zostałam uratowana, 75. Pułk Rangersów zrobił nalot na ten obóz i uratował całą naszą trójkę.

75. Pułk Rangersów.

Mój pułk.

Nagle zdaję sobie sprawę, dlaczego jej oczy wydają mi się znajome. Ponieważ już kiedyś w nie patrzyłem.

Pamiętam, że kilka lat temu wpatrywała się we mnie w podobny sposób, choć, rzecz jasna, wyglądała wtedy zupełnie inaczej. Jej twarz była brudna i zakrwawiona, mundur zniszczony i podarty.

Szczerze mówiąc, nie miałem wtedy z nią bliższego kontaktu. Z pewnością to nie ja ją wyprowadziłem, ale mój oddział tam był, podobnie jak oddział Branda.

Pamiętam ten dzień. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Moim zadaniem nie było ratowanie jeńców. Byłem na czele, wyważałem drzwi i eliminowałem porywaczy, a moi ludzie sprawdzali pomieszczenia i wyprowadzali więźniów.

Jednak kiedy akcja została zakończona i zapanował spokój, ta dziewczyna uważnie nas obserwowała z miejsca, w którym zajmował się nią personel medyczny. Druga kobieta więzień płakała, a mężczyzna siedział z głową ukrytą w zakrwawionych dłoniach. Ale nie ona.

Ta dziewczyna trzymała głowę wysoko i po prostu się nam przyglądała, gdy personel medyczny sprawdzał jej organy wewnętrzne, badał ją i wypytywał.

Teraz też na mnie patrzy, jej oczy są jasne i czyste.

– Pamiętasz mnie? – pyta cicho. – Byłam z inną pielęgniarką i lekarzem, kiedy nas porwali z naszego humvee, którym jechaliśmy do Zielonej Strefy w Kabulu. Twój oddział zrobił nalot na obóz talibów i nas uratował.

Kilku innych żołnierzy przygląda mi się z zaciekawieniem. Krótko kiwam głową.

– Tak – odpowiadam. – Pamiętam. Nigdy nie zapomniałem, że trzymałaś uniesioną wysoko głowę, podczas gdy inni płakali.

Uśmiecha się smutno.

– To był mój sposób, żeby nie zwariować – wyjaśnia, a jej głos jest teraz pełen bólu i o ton wyższy. – Powtarzałam sobie, że cokolwiek by nie zrobili, nie odbiorą mi dumy. Nie odbiorą mi prawa do bycia odważną i do patrzenia im prosto w oczy. Mogli mnie traktować w najgorszy możliwy sposób, ale cokolwiek mi robili, patrzyłam im prosto w oczy. Nie chciałam, żeby myśleli, że mnie złamali.

Patrzę na nią. W jej oczach widzę odwagę i dumę, ale dostrzegam w nich coś jeszcze – udrękę i smutek. To sprawia, że postanawiam zapytać prosto z mostu:

– A jak było naprawdę? Złamali cię?

Milczy. Właściwie to w całej sali zapadła cisza. Gdyby ktoś teraz upuścił szpilkę, usłyszałbym, jak spada na podłogę. Zastanawiam się, czy moje pytanie było niestosowne albo niegrzeczne, jednak terapeutka nic nie mówi.

Wreszcie dziewczyna kiwa głową.

– Dlatego tutaj jestem. Bezpośrednio po tym zdarzeniu odwiedziłam parę razy terapeutę, ale nie zdecydowałam się na terapię stacjonarną. Myślałam, że to będzie dowód słabości, że poddając się takiej terapii, pozwolę im zwyciężyć. W końcu zrozumiałam, że jeżeli pozwolę ZSP kontrolować moje życie, to właśnie w ten sposób pozwolę im wygrać. Jeśli nadal co noc we śnie będę widzieć ich twarze, to będzie ich triumf. To wszystko... – szerokim gestem omiata nasz krąg i całą salę – jest moją wygraną. W ten sposób mogę skopać ich tchórzliwe tyłki.

Pozostali żołnierze wstają i zaczynają klaskać, a ja przez chwilę siedzę bez ruchu, obserwując grupę. Wszyscy starają się wspierać siebie nawzajem, nikt nikogo nie ocenia. Dociera do mnie, że jako jedyny nie klaszczę, więc wstaję, zaczynam klaskać, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Kiedy oklaski wreszcie milkną, siadam z powrotem. Tymczasem dziewczyna wstaje,

przecina nasz krąg i zatrzymuje się przede mną.

– Nie miałam okazji ci podziękować – mówi. – Nie wierzę, że tu jesteś... że Bóg znalazł sposób, aby postawić cię na mojej drodze, żebym mogła ci podziękować za to, co zrobiłeś. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo jestem wdzięczna tobie i twoim ludziom za wyciągnięcie mnie z tamtego piekła. Ocaliłeś mi życie.

Staje na baczność i salutuje.

Nawet nie potrafię opisać uczuć, które w tym momencie się we mnie kotłują.

Jako ranger robiłem, co do mnie należało, i wracałem do obozu. Nie zostawałem na miejscu akcji, żeby z kimś porozmawiać. Spotkanie z tą dziewczyną przypomina mi, że to, co robiłem, miało swój cel. I to nie było jakie. Musieliśmy zrobić wiele paskudnych rzeczy, ale także sprawialiśmy, że czyjeś życie stawało się lepsze.

Sprawiliśmy, że życie tej dziewczyny stało się lepsze.

Może mimo wszystko nie jestem bezwartościowym złamasem.

Wstaję i również salutuję.

Wszyscy znowu zaczynają klaskać.

Pozostała część sesji mija powoli, ale wreszcie nasz czas dobiega końca i zaczynamy wychodzić z sali. Wydaje mi się, że wojskowa pielęgniarka chce podejść i ze mną porozmawiać, ale w drodze do drzwi zagaduje ją inny żołnierz. I dobrze. Marzę tylko o tym, żeby położyć się do łóżka.

Kupuję kanapkę z automatu i wracam do pokoju, wcinając po drodze suchy chleb z szynką.

Padam na wyrko i przez chwilę gapię się w sufit, aż wreszcie dochodzę do wniosku, że to żałosne tak beczynnie leżeć. Zamiast czekać, aż zacznie mi się wydawać, że ściany się do mnie zbliżają, wskakuję w spodenki do ćwiczeń. Robię pompki i przysiady, żeby dać ujście nadmiarowi energii. Jednak choć zrobiłem po pięćset powtórzeń każdego z tych ćwiczeń, nadal jestem niespokojny.

Zerkam na laptop i próbuję się oprzeć pokusie, żeby go otworzyć i napisać maila do Madison.

Może ona nie ma ochoty ze mną rozmawiać, ale ja mam cholerną ochotę do niej napisać.

Droga Maddy!

Jestem pewien, że nie chcesz tego słuchać, ale tęsknię za Tobą.

Pozdrawiam,

Gabe

Rozdział 23

MADISON

Rozglądam się dookoła, patrzę na obrazy, meble, kolory... wszystkie rzeczy, które wybrała moja matka. Rzeczy, które nie są moje. Czas to zmienić. Nie mam zamiaru dalej tutaj leżeć i użalać się nad sobą.

Siadam z podwiniętymi nogami na sofie, ciaśniej otulam się kocem i przeglądam katalogi z meblami. Potrzebuję nowych mebli do salonu, do sypialni i do kuchni. Do każdego pomieszczenia.

Robienie zakupów jest dobre, bo dzięki temu skupiam się na czymś innym niż Gabriel. Myślenie o nim jest żalosne. A ja nie jestem żalosna.

Otwieram laptop i zamawiam wszystko, co wybrałam, nie czując się ani odrobinę winna, że wydaję tyle pieniędzy. The Hill przyniosło w tym roku niezły dochód. Stać mnie. Lepiej wydać pieniądze na coś, co odmieni moje życie, niż kupować kolejne buty.

Kiedy dzwoni telefon, moje serce podskakuje, bo przez sekundę wydaje mi się, że to może być Gabriel.

To głupie, wiem. Gdyby nawet zadzwonił, to i tak nie mogę odebrać. Nie pozwolę mu po raz kolejny podeptać moich uczuć.

Kiedy jednak widzę na wyświetlaczu numer The Hill, zalewa mnie fala gorzkiego rozczarowania.

Skoro nie mogę rozmawiać z Gabe'em, to nie chcę rozmawiać z nikim. Czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka, po czym zamykam laptop i leniwym krokiem wychodzę na taras.

Najwyraźniej jednak jestem żalosna.

Siadam przy stole i podziwiam jezioro. Ale nawet wśród tych oszałamiających widoków jedyne, o czym mogę myśleć, to noc, kiedy Gabe wziął mnie na tym stole.

Zamykam oczy i oddaję się wspomnieniom... Jego usta muskające moją szyję, jego wargi delikatnie kłuszące moje ramiona, jego głos w moim uchu, jego palce we mnie. Żar naszych ciał, ciasno ze sobą zwartych w zimnym deszczu. Jego członek we mnie i to uczucie, kiedy wypełniało mnie jego ciepłe nasienie...

Zaciskam powieki, żeby powstrzymać gorące łzy.

Przez chwilę nie otwieram oczu, próbuję wziąć się w garść... i jestem z siebie dumna, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie popłynęła ani jedna łza.

Po kilku minutach biorę telefon i odsłuchuję wiadomość na poczcie głosowej.

„Hej, Maddy. Mówi Tony”. Jakbym nie rozpoznała jego głosu. Uśmiecham się. „Miałaś jakieś wiadomości od Jacey? Nie pojawiła się w pracy i nie dzwoniła”.

Niestety, ostatnio często jej się to zdarza. Prawdopodobnie odsypia wczorajszy wypad do klubu. Oddzwoniam do Tony'ego i mówię mu to, a potem wchodzę na skrzynkę mailową.

Wstrzymuję oddech, kiedy widzę wiadomość od Gabe'a.

Kiedy ją czytam, serce mi wali jak oszalałe.

Tęskni za mną.

Moje palce drżą, gdy piszę odpowiedź.

„To Ty mnie zostawiłeś. To Ty dokonałeś wyboru. Teraz oboje musimy sobie z tym radzić”.

Patrzę na te pełne jadu słowa i na ich widok ścisną mi się serce, jakby miało pęknąć z

bólu. Więc je kasuję.

„Żałuję, że wyjechałeś. Ale to zrobiłeś”.

Kasuję również tę wiadomość i piszę trzecią.

„Też za Tobą tęsknię”.

Ze wszystkich uczuć właśnie tęsknota doskwiera mi teraz najbardziej. Ale nie mogę mu się do tego przyznać. Mógłby pomyśleć, że nic się nie stało, gdy tak po prostu wyjechał, gdy potraktował mnie, jakbym była niczym.

Kasuję wiadomość i zamykam laptop.

Jeśli nie wiesz, co powiedzieć, najlepiej nie mów nic.

Rozdział 24

Dzień drugi

GABRIEL

Czy ma Pani/Pan poczucie, że zawsze musi być czujna/y albo zawsze mieć się na baczności?

Czy Pani/Pana opinia na temat incydentu jest oparta na faktach?

Czy łatwo Panią/Pana przestraszyć?

Brand wcale nie żartował, kiedy mówił, że tu jest do dupy. Jest do wielkiej, tłustej, śmierdzącej dupy, a każde kretyńskie pytanie, na które muszę odpowiedzieć, naprawdę mnie wkurza.

Dzień drugi nie jest lepszy od pierwszego, a może nawet gorszy. Pytania, które mi zadają zarówno na grupowej, jak i na kretyńskiej indywidualnej terapii, są po prostu śmieszne.

Rozmowa zaczyna się od pozornie niewinnych pytań z karty zadań, ale potem rozwija się w głęboką konwersację o zdarzeniach, przez które tu jesteśmy, i o naszych największych lękach.

To jak lepka terapeutyczna pajęczyna utkana z jakichś bzdur.

Jestem przybity, kiedy wracam do pokoju z indywidualnej sesji. Nie chce mi się iść do stołówki na kolację, więc postanawiam, że potem kupię sobie coś z automatu.

Pierwsza rzecz, jaką robię, kiedy zamykam za sobą drzwi pokoju, to sprawdzenie skrzynki e-mailowej. Wpisuję hasło i przyłapuję się na tym, że wstrzymuję oddech... Chcę zobaczyć maila od Maddy. Ale przyszła tylko krótka wiadomość od Branda.

„Dzień drugi jest beznadziejny, wiem. Nie poddawaj się! Pewnie Ci się wydaje, że to nie jest warte takiego wysiłku, bo i tak nie przyniesie efektów. Ale uwierz mi, efekty będą. Głowa do góry, brachu! Brand”.

Cieszę się, że mam takiego kumpla. Naprawdę. Ale czekałem tylko na wiadomość od Maddy. W tym przypadku brak wiadomości jest wiadomością samą w sobie.

Spierzyłem sprawę i straciłem Madeline. A jej utrata jest dokładnie tak samo bolesna jak wszystko, co przeszedłem w Afganistanie. I nie mogę nic z tym zrobić.

Burczy mi w brzuchu, więc zamykam komputer i idę na dół, gdzie stoją automaty. Wybieram kanapkę z mięsem, serem i warzywami i chipsy, a kiedy się odwracam, widzę przed sobą Annie, wojskową pielęgniarkę, która czeka na swoją kolej z garścią ćwierćdolarówek w ręce.

– Dzisiaj było beznadziejnie, co? – zagaja. – To był twój drugi dzień, prawda?

Kiwam głową, choć wiem, że Annie nie ma pojęcia, jak bardzo zły był dla mnie ten dzień.

– Taaa. To wszystko wydaje się bez sensu. Kumpel napisał mi maila, w którym zapewnia, że będzie lepiej. A przynajmniej, że zacznę dostrzegać w tym jakiś sens.

– Twój kumpel ma rację – mówi Annie. – Nie będzie łatwiej, ale zobaczysz, że to ma sens.

– Ile sesji masz na dzień?

– Jedną – odpowiada, wrzucając monety do maszyny. – Nadal pełnię służbę, tyle że tutaj, na miejscu, więc nie mam czasu na więcej. A ty?

– Dwie. I na razie to wszystko wydaje mi się raczej denne. Pocieszam się, że jutro będzie

lepiej. Dobranoc, Annie.

– Dobranoc! – woła za mną.

Kiedy odchodzę, czuję na plecach jej wzrok. Trochę mnie martwi, że obdarza mnie specjalnymi względami, bo nie rozumiem, czego dokładnie ode mnie chce. Mam wrażenie, że umieściła mnie na piedestale tylko dlatego, że byłem z oddziałem, który ją uratował. A jest dla mnie jasne, że zupełnie na coś takiego nie zasługuję.

Po zjedzeniu kanapki jeszcze raz otwieram skrzynkę. Wstrzymuję oddech, sprawdzając, czy coś jest. Ale potem wolno wypuszczam powietrze.

Nie ma nic. Skrzynka jest pusta.

Rozdział 25

Dzień trzeci

MADISON

Gdy kończę rozmowę z facetem od remontów, którego wynajęłam, żeby zajął się moim domem, siedzący na krześle przed moim biurkiem Tony mówi:

– Wynajęłaś firmę Mathis i Syn? Znam Derricka Mathisa. Powiedz mu, żeby dał ci zniżkę.

Uśmiecham się, choć Bogiem a prawdą wcale mi nie jest do śmiechu.

– Też go znam – przypominam Tony’emu. – Nie bój się, nie policzył mi dużo. Będą malować wszystkie pomieszczenia, kłaść nowe podłogi i kafelki, a to wszystko zaledwie w tydzień. Skoro już się zdecydowałam na ten remont, chcę mieć go szybko z głowy. Nie ma na co czekać. Dlatego Derrick przysłała kilka ekip, które będą pracowały jednocześnie. Ja przez tych kilka dni będę mieszkać z Milą i Paxem.

– Dobry plan – chwali mnie Tony, a jego krzepkie ręce przerzucają grafik. – Musimy porozmawiać o Jacey, Mad. Drugi dzień z rzędu nie pojawiła się w pracy. Co z nią, do cholery, jest?

Wzdycham. Pisałam do niej wczoraj wieczorem, ale nie dostałam odpowiedzi, co zawsze oznacza, że Jacey robi coś, o czym wie, że by mi się nie spodobało.

– Cóż, przekonajmy się – mówię i sięgam po telefon.

Wybieram jej numer. Po piątym sygnale Jacey wreszcie odbiera.

– Hej, Maddy! – mówi radośnie, jakby od dwóch dni nie była zaginiona w akcji. – Co tam?

– To ty mi powiedz – rzucam surowo. – Nie ma cię w pracy drugi dzień. Co się, do cholery, dzieje, Jacey? Potrzebuję cię. Mamy dużo klientów, potrzebuję wszystkich pracowników.

Zapada cisza, potem słyszę jakiś szmer i czyjś głos w tle.

Męski głos. Znajomy męski głos.

– Kto to? – pytam pełna złych przeczuć. – Mam nadzieję, że nie osoba, o której myślę. Znowu cisza, długa i wymowna.

Czuję, że krew we mnie wrze, podchodzi mi do uszu i rozlewa się na policzki, które natychmiast stają się purpurowe.

– Co, do cholery, Jared robi u ciebie w domu?!

Tony natychmiast odrywa się od tego, co robił, i całą uwagę skupia na mojej rozmowie. Krzywiąc się, wskazuje telefon, i podnosi rękę, jakby chciał zapytać o motywy Jacey. Bezradnie potrząsam głową.

– Nie mam pojęcia – mówię bezgłośnie.

– Wiiiieem... – wzdycha wreszcie Jacey. – Wiem, że jesteś wściekła, i Gabe też będzie wściekły, ale Jared przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i przeprosił za wszystko. Zachowywał się jak dupek, bo tak bardzo za mną tęsknił, Mad. Tak naprawdę to porządny facet. Po prostu musi nad sobą popracować. I naprawdę mnie kocha.

O. Mój. Boże. Żołądek mam w okolicy gardła, nawet nie mogę myśleć.

– Jacey, on cię nie kocha. Myśli tylko o sobie. Wiem, że szukasz akceptacji. Ale uwierz

mi, nie potrzebujesz jego akceptacji. To duppek. Zawsze będzie dupkiem. To się nie zmieni. I czy nie jest wkurzony, że nakłamałaś Gabe'owi na jego temat? Moim zdaniem nie puści tego w niepamięć.

Tony stoi teraz nade mną, wygląda jak naładowana piorunami chmura. Nie może uwierzyć w ten cały syf, podobnie zresztą jak ja.

– Przeprosiłam go za to – mówi słabym głosem Jacey. – Zrozumiał, że miałam mętlik w głowie. Że tęskniłam za bratem.

Liczę do dziesięciu, starając się głęboko oddychać.

– Mad? – pyta niepewnie Jacey.

Osiem.

Dziewięć.

Dziesięć.

– Jacey, kocham cię. Ale jesteś naprawdę popieprzona. Skoro tak bardzo pragniesz czyjejs uwagi, że jesteś szczęśliwa, kiedy cię nią obdarzy psychopatyczny duppek, to znaczy, że potrzebujesz profesjonalnej pomocy. Zawsze będziesz moją najlepszą przyjaciółką. Ale cię zwalniam. Muszę mieć tutaj kogoś, kto będzie przychodził do pracy zgodnie ze swoim grafikiem. Kiedy się ogarniesz, możesz wrócić.

Jacey próbuje protestować, ale przerywam połączenie.

Tony i ja patrzymy na siebie bez słowa.

– Przykro mi. – Wzruszam ramionami. – Czasami trzeba być twardym nawet wobec najbliższych. Nie wierzę, że Jacey to robi! A ja nawet nie mogę o tym powiedzieć Brandowi i Gabe'owi, bo ich tutaj nie ma. Mogłabym napisać do Gabe'a, ale wiem, że teraz nie będzie miał do tego głowy. Nie, kiedy jest w Walter Reed.

Jeszcze nigdy nie widziałam Tony'ego w takim stanie. Jest wściekły, jego wielkie dłonie zaciskają się w pięści, a usta są wykrzywione grymasem.

– Napisz jej, żeby nie ruszała się z miejsca. Jadę z nią pogadać. Wygląda na to, że potrzebuje kopniaka w tyłek, a ja jestem odpowiednią osobą, żeby się tym zająć – mówi, idąc w stronę drzwi.

– Nie pakuj się w kłopoty przez Jareda! – wołam za nim. – Nie jest tego wart.

Zrywam się zza biurka i biegnę za nim.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Nie martw się. Chcę tylko zamienić parę słów z Jacey. I przy okazji wyrzucić tego śmiecia z jej domu.

Wzdycham. Właśnie tego się obawiałam.

Ale co mam zrobić? Mogę tylko patrzeć, jak wychodzi zamaszystym krokiem.

GABRIEL

Z tego, co mi powiedziałaś, zabiłeś niewinną osobę, która została wysłana, żeby zabić ciebie i doprowadzić do śmierci wielu innych ludzi. Powiedz mi, Gabe, czy naprawdę masz poczucie, że zamordowałeś tę dziewczynkę i pozostałe dziewczynki i kobiety? Nie amerykańska armia, nie twój oddział, nie wujek tej dziewczynki... ale TY.

Mam ochotę użyć pięści i wcisnąć pieprzone zęby mojego terapeuty głęboko do jego pieprzonego gardła. Indywidualna sesja trwa już trzecią godzinę i były to trzy bardzo wyczerpujące godziny.

W ciągu tych trzech dni musiałem napisać o tym, co się wydarzyło, opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, i przemyśleć to, co się wydarzyło. Gruntownie. W sposób, w jaki jeszcze nigdy tego nie analizowałem.

Ale tego ranka nastąpił przełom.

Zdałem sobie sprawę, co tak naprawdę spowodowało moją traumę. Jestem w stanie sobie poradzić ze śmiercią Szalonego Psa, nawet jeśli czuję, że mogłem jej zapobiec. Już wcześniej widziałem umierających ludzi i jakoś sobie z tym radziłem.

Najbardziej męczy mnie to, co wraca do mnie w koszmarach sennych.

Ta dziewczynka.

Chciała, żebym ją ocalił, a ja ją zawiodłem. Zabiłem ją, zamiast jej pomóc. Ponieważ w ułamku sekundy, w którym musiałem podjąć decyzję nie byłem w stanie wymyślić, jak jej pomóc.

Zawiodłem ją.

To sedno sprawy. Nikt mnie nie nauczył, jak się zmierzyć z porażką. Zawiodłem i zginęli ludzie, a ja nie mogę sobie poradzić z poczuciem winy. Ta dziewczynka jest dla mnie symbolem mojej porażki.

Kiedy dochodzimy do tego wniosku, doktor Hart, mój terapeuta, każe mi opowiedzieć wszystko, co o niej wiem.

Nazywała się Ara Sahar. Armia mi to powiedziała.

Miała dziesięć lat. To również powiedziała mi armia.

Jej wujek był talibańskim rebeliantem. Porwał ją i wysłał, żeby zniszczyła naszego humvee. Kolejna rzecz, którą wiem od armii.

Była przerażona i potrzebowała mojej pomocy. Tego nikt nie musiał mi mówić, widziałem to w jej oczach. I właśnie tego nie umiem sobie wybaczyć. Nie widziałem innych dziewcząt i kobiet, kiedy jeszcze żyły. Ale widziałem Arę Sahar.

– Dopóki sobie nie wybaczysz, będziemy stać w miejscu – mówi poważnym tonem doktor Hart. – Możesz mi wierzyć, widziałem to tysiące razy.

Patrzę na niego, a na piersi czuję ogromny ciężar.

– Jak mam sobie wybaczyć, że zawiodłem dziecko? – pytam. – Że zawiodłem setki dzieci? Pan by potrafił?

Doktor Hart patrzy na mnie z namysłem i odpowiada:

– Gdybym był na twoim miejscu, próbowałbym się skupić na czymś, na czymkolwiek, co mogłoby mi przynieść spokój. Czasem musimy uciec się do podstępu, żeby nasz umysł uwierzył w to, co mu mówimy. Czy myślałeś kiedyś o napisaniu listu do rodziców Ary? Żeby im wyjaśnić, co się stało, i prosić ich o przebaczenie. Jestem pewien, że armia pomoże nam zdobyć ich adres i poinformuje, czy jej rodzice jeszcze żyją.

Jezu Chryste. Sama myśl o wysłaniu listu do rodziców tej dziewczynki sprawia, że mój żołądek wykonuje salto. Jestem chyba ostatnią osobą, z którą chcieliby się kontaktować.

Ale zasługują na wyjaśnienie. Na przeprosiny.

Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić.

Przełykam ślinę.

Terapeuta podsuwa mi notatnik i długopis.

– To będzie twoje zadanie domowe – mówi.

Patrzę na niego niechętnie, ale sięgam po notatnik.

W nocy siedzę przed pustą kartką papieru i gapię się na nią co najmniej przez godzinę, zanim jestem w stanie coś wymyślić. Wreszcie piszę:

Szanowni Państwo!

Nie znamy się, ale coś, co zrobiłem, zmieniło Wasze życie. Moje też.

Nazywam się Gabriel Vincent i do niedawna służyłem w 75. Pułku Rangersonów. Jechałem w konwoju, w którym miała miejsce eksplozja humvee, wskutek której zginęła Państwa córka.

Patrzę na słowa, które napisałem do tej pory, i widzę, że są suche, przedstawiają nagie fakty. A to, co się zdarzyło, nie było dla mnie nagim faktem. Każdego dnia myślę o Waszej córce. Każdego dnia żałuję, że nie mogłem powstrzymać tego, co się stało, że nie mogłem jej pomóc. Każdego dnia nienawidzę się za to, że nie potrafiłem tego zrobić.

Nie wiem, co Wam mogę powiedzieć oprócz tego, że jest mi bardzo, bardzo przykro. Wątpię, czy kiedykolwiek będę w stanie sobie wybaczyć to, co się stało, więc tym bardziej nie mogę prosić Was o przebaczenie. Dlatego nie proszę. Jednak chciałbym, abyście wiedzieli, że gdybym mógł zmienić bieg zdarzeń tamtej nocy, zrobiłbym to.

Bardzo mi przykro z powodu Waszej straty.

Przyjmijcie wyrazy najgłębszego współczucia.

porucznik Gabriel Vincent

75. Pułk Rangersów

Czytam ten list kilka razy, aż wreszcie dochodzę do wniosku, że nic już nie mogę dodać. Składałem go i wkładałem do notatnika, żeby jutro oddać doktorowi Hartowi.

Potem myślę o Maddy, bo ze wszystkich ludzi na świecie to przede wszystkim ją powinienem błagać o przebaczenie. Pozwoliłem jej obdarzyć mnie zaufaniem, a potem po prostu wyjechałem. To musiało być dla niej druzgocące, a myśl o tym jest druzgocąca dla mnie.

Moje palce biegają po klawiaturze i już mi nie zależy, że wyjdę na słabeusza czy nieudacznika. Chcę tylko, żeby zrozumiała, że jest mi przykro. Nawet jeśli nigdy nie będzie mogła mi przebaczyć.

Droga Maddy!

Właśnie napisałem list do rodziców tej dziewczynki, tej afgańskiej dziewczynki. Dzięki temu zdałem sobie sprawę, że jeszcze Cię nie przeprosiłem za to, że wyjechałem bez słowa.

Przysięgam, że zrobiłem to tylko po to, aby Cię chronić... przede mną. Skrzywdziłem Cię, Maddy. Mogłem Cię zabić. Ale wiem, że skrzywdziłem Cię również, kiedy wyjechałem bez słowa wyjaśnienia.

Niczym sobie nie zasłużyłaś na to, żebym wszedł do Twojego życia i narobił tam takiego zamieszania. Przepraszam Cię za to. Przykro mi, że zaoferowałem Ci coś, czego nie powinienem był oferować – ponieważ w tamtym momencie bycie ze mną po prostu nie było możliwe.

Biorę teraz udział w TPP i mam nadzieję, że pomogą mi tu zebrać te wszystkie połamane kawałki i zrobią ze mnie pełnowartościowego człowieka.

Na terapii jest bardzo ciężko. Nienawidzę każdego dnia tutaj i nie jestem pewien, czy wytrwam do końca. Próbuję nas tu kompletnie rozwalić, żeby potem na nowo nas poskładać i nauczyć, jak sobie radzić z tym całym syfem. To okropne.

Nie wiem, czy jestem wystarczająco silny.

Przepraszam, że Cię tym zanudzam. Brakuje mi rozmów z Tobą.

Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. I że choć na to nie zasługuję, mam nadzieję, że wybaczysz mi, że Cię zraniłem.

Pozdrawiam,

Gabe

Kiedy zamykam laptop, jestem kompletnie wypompowany. Czuję się, jakbym dotknął dokładnie każdej emocji, jaką dziś przeżywałem. Dochodzę do wniosku, że dobrze mi robi mała drzemka przed wieczorną sesją.

Gdy zasypiam, widzę ciemne oczy Ary Sahar. Obserwuje mnie z ciekawością, ale jej twarz nie ma już oskarżycielskiego wyrazu.

Mimo to koszmary senne nadal mnie męczą.

Rozdział 26

MADISON

W oczekiwaniu na powrót Tony'ego przeglądam internet na komórce, próbując się powstrzymać przed sprawdzeniem skrzynki mailowej. Coś mi mówi, że mogłabym znaleźć wiadomość od Gabe'a.

A jeśli nadal będzie wysyłał mi maile, nie wiem, jak długo zdołam się powstrzymać, żeby mu nie odpisać.

Tęsknię za nim.

Boże, jak bardzo za nim tęsknię.

Nie mijają dwie minuty i sprawdzam pocztę.

Miałam rację. Jest wiadomość od Gabe'a.

Serce mi bije jak szalone, kiedy czytam każde przepelnione bólem słowo.

Wciskam „Odpowiedz” i piszę: „Jesteś wystarczająco silny”. Tylko tyle. Żadnego „Drogi Gabe” czy „Pozdrawiam, Madison”.

Zastanawiam się, czy wysłać tę wiadomość, i wtedy dzwoni telefon.

Na ekranie wyświetla się numer Jacey. Jest ostatnią osobą, z którą mam ochotę teraz rozmawiać. Jeśli chce być głupia, proszę bardzo, ale ja nie zamierzam się temu przyglądać.

Coś mi jednak podpowiada, że powinnam odebrać. Że muszę odebrać.

Robię to.

W słuchawce rozlega się rozdzierający krzyk Jacey.

GABRIEL

Znowu słyszę rozdzierający krzyk, jak zawsze, kiedy sobie przypominam tamtą noc. Gapię się w leżącą przede mną kartkę papieru.

Skoro to wszystko było twoją winą, to jak mogłeś temu zapobiec? Zastanówmy się nad tym. Napisz tu każdą rzecz, którą mogłeś zrobić, a która zapobiegłaby śmierci Ary Sahar i Szalonego Psa i śmierci dziewcząt i kobiet z wioski. Moim zdaniem nie było sposobu, żeby ich ocalić. Spróbuj mi udowodnić, że się myłę.

Czysta kartka wydaje się ze mnie kpić, gdy słucham tykania zegara i gapię się na swoje buty. Wreszcie zaczynam bazgrać jakąś odpowiedź.

Ciche pukanie do drzwi odrywa mnie od tego. Otwieram i widzę, że w progu stoi Annie.

– Hej, żołnierzu! – mówi z szerokim uśmiechem i rzuca mi zimną puszkę z colą. – Jak tam po sesji?

Wydaję z siebie jęk, opadając z powrotem na łóżko. Otwieram puszkę i pociągam łyk.

– Nienawidzę tego gówna!

Annie przysiada na brzegu krzesła. Jej wojskowe buty są idealnie wypolerowane, aż lśnią.

– Wiem – mówi ze współczuciem. – Będziesz tego nienawidził przez cały czas. Ale to pomaga. Wszystkie pytania, które nam zadają, mają sens. Chcą, żebyśmy zaczęli myśleć w inny sposób. Ciągle mam koszmary, ale już nie trwają całą noc. Wciąż jestem nerwowa, ale już nie zerkam cały czas przez ramię. Damy radę, żołnierzu.

– Nie jestem już żołnierzem – przypominam, gryzmołoc odpowiedź na kolejne pytanie na karcie zadań.

Annie przewraca oczami.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że zawsze będziesz żołnierzem. Masz to we krwi.

Dobrze jest tak siedzieć i rozmawiać z kimś, kto to rozumie. Brand też to rozumie, ale nie

rozmawiamy o tym. Mężczyźni nie gadają o takich sprawach.

Annie zerka na mnie i pyta:

– Tęsknisz czasem za tym?

Teraz moja kolej na przewrócenie oczami.

– A jak myślisz?

Szeroko się uśmiecha.

– Ja bym cholernie tęskniła. Kiedy wróciłam do kraju, rodzice błagali, żebym wystąpiła z wojska, rozpoczęła cywilne życie i była „normalna”. Tak jakby to było możliwe. Jestem żołnierzem. Zawsze będę żołnierzem. Nie wyobrażam sobie, że zwracam swoje buty!

To cios poniżej pasa, bo ja zwróciłem swoje buty.

– Każdy musi podjąć własną decyzję – odpowiadam po chwili. – Musiałem odejść, bo tak było najlepiej dla mnie i dla mojego oddziału.

Annie kiwa głową, a ja wiem, że naprawdę mnie rozumie. Dobrze mi się z nią rozmawia. A jej dobrze się rozmawia ze mną. Zerka na mnie, a jej palce niespokojnie poruszają się na kolanach.

– Cieszę się, że tutaj jesteś – mówi wreszcie. – Nie tylko dlatego, że dzięki temu mogę ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłeś, ale również dlatego, że przypomniałeś mi o kilku ważnych rzeczach.

– Na przykład jakich? – pytam.

Podnosi się z krzesła i siada koło mnie na łóżku, co sprawia, że natychmiast się spinam.

– Przypomniałeś mi, że są na świecie silni faceci, którzy rozumieją, przez co przechodzę, bo sami też przez to przechodzą – odpowiada.

Kiedy mówi, jej ręka łąduje na moim ramieniu. Zastygam w bezruchu, bo już wiem, do czego to zmierza.

– Zrozumiałam również, że wszystko się dzieje z jakiegoś powodu – ciągnie Annie. – Jakie były szanse, że najpierw mnie uratujesz, a potem będziesz szukał tu pomocy w tym samym czasie co ja? Bliskie zeru, Gabe. Więc myślę, że tak po prostu miało być. Pytanie tylko, co z tym zrobimy.

Zanim jestem w stanie zorientować się, co się dzieje, pochyla się w moją stronę i przyciska swoje usta do moich.

Nie jestem w stanie się poruszyć. Annie obejmuje mnie, a ja przez moment – jeden krótki moment – mam ochotę się temu poddać. Tak łatwo byłoby uciec do tego miejsca poza czasem i przestrzenią, w którym pochłonąłby mnie seks, w którym nie ma miejsca na nic innego. To by była najprostsza rzecz na świecie. Poza tym potrzebuję kogoś. Potrzebuję czyjejś bliskości.

Tyle że ona nie jest osobą, której potrzebuję.

Próbowałem już tego z Alex, ale się nie udało.

Delikatnie chwytam Annie za ramiona i odsuwam ją od siebie, patrząc jej prosto w oczy:

– Nie chcesz tego – mówię łagodnie, ale stanowczo. – W takim miejscu jak to łatwo pogubić się w swoich uczuciach. To nic złego, każdemu może się przytrafić.

Patrzy na mnie gniewnie, po czym odpowiada:

– To nie kwestia miejsca. To ty, Gabe. Dzięki tobie przypomniałam sobie, jaki świat może być piękny. Przy tobie wszystko nabiera sensu.

– Annie, zastanów się nad tym, co mówisz. Rozumiem, dlaczego ci się wydaje, że jest między nami szczególna więź. Oboje przechodzimy przez to samo gówno. Ale po co wsiadać do pociągu pędzącego w przepaść? Każde z nas potrzebuje kogoś spoza tego syfu, kogoś, kto nam pomoże spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Słyszałem, jak kiedyś na lunchu opowiadałaś o swoim chłopaku. Musisz mu powiedzieć to wszystko, co powiedziałaś mnie.

Zaczyna płakać. Cholera. Nienawidzę takich sytuacji. Nigdy nie wiem, jak się zachować. Niezdarnie klepię ją po plecach.

– Annie, nie płacz. Nic się nie stało. Naprawdę. To tylko nieporozumienie.

Płacze dalej, a potem chowa twarz na mojej piersi.

– Przepraszam – chlipie. – Przepraszam, że źle cię zrozumiałam i wszystko spieprzyłam.

Przepraszam.

Znowu poklepuję ją po plecach.

– Nic nie spieprzyłaś, Annie. To tylko nieporozumienie. Nasze emocje wymykają się tu czasem spod kontroli. Nie masz za co przepraszać.

Kiwa głową i przemyka od łóżka do drzwi.

– Przepraszam, Gabe. – Jeszcze raz pociąga nosem i wychodzi.

Kiedy udaje mi się otrząsnąć i zebrać myśli, zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja, choć nieprzyjemna, coś mi dała.

Zrozumiałem, dlaczego od czasu tego incydentu uganiam się za kobietami.

Ich akceptacja sprawia, że na chwilę mogę zapomnieć o poczuciu winy. One akceptują mnie takim, jaki jestem. To dlatego odwiedzałem tę prostytutkę w Kabulu, to dlatego prawie przespałem się z Alex.

Ale już nie muszę tego robić. Pogodziłem się z tym, co zrobiłem Arze Sahar. Pogodziłem się z tym, dlaczego to zrobiłem. I nie muszę już szukać tej namiastki akceptacji.

Teraz potrzebuję czegoś prawdziwego.

Czegoś na stałe.

Próbowałem się przespać z Maddy z tego samego powodu, z jakiego spałem ze wszystkimi innymi. Ale zakochałem się w niej.

I teraz pragnę tylko jej.

Sięgam po telefon.

Rozdział 27

MADISON

Kiedy próbuję zrozumieć, co krzyczy Jacey, mam drugi telefon, ale nawet nie patrzę, kto dzwoni.

– Jacey, uspokój się. Nic nie rozumiem – mówię jej. – Weź głęboki oddech.

– OmóJBożeMadison! – wrzeszczy. – OmóJBoże... omóJBoże...

Jest rozhisteryzowana i wcale mnie nie słucha.

– Co się stało?! – podnoszę głos. – Jacey, co się dzieje?!

– To Tony... – udaje jej się wykrztusić. – Jezu Chryste. Maddy, musisz tu przyjechać!

Jesteśmy przy tym zakręcie na twojej ulicy. To ten zakręt, na którym...

Ten zakręt, na którym zginęli moi rodzice. Serce przestaje mi bić.

– Pospiesz się! – jęczy Jacey. – Po prostu tu przyjedź.

Słyszę dźwięk syreny, a potem w słuchawce zapada cisza.

Łapię torebkę i wybiegam. Nie pamiętam drogi na miejsce wypadku. Nie pamiętam żadnych czerwonych świateł, znaków stop ani niczego innego. Jadę na autopilocie, próbując się zdystansować od własnych emocji.

Nie stało się nic złego, powtarzam sobie. Może złapał gumę. Może miał stłuczkę. Zjechał z drogi, tak jak ja kilka tygodni temu. Wszystko z nim w porządku.

Tony'emu nic nie mogło się stać. Dzięki niemu się trzymam. Dzięki niemu moja rodzina się trzyma, a The Hill funkcjonuje. To on zawsze pomaga mi wziąć się w garść. Tak jak całe lata pomagał wziąć się w garść mojemu ojcu. A potem zastąpił mi ojca.

Wszystko z nim w porządku.

Ale to nieprawda. Wiem o tym, jeszcze zanim tam docieram. Wiem o tym, kiedy parkuję i widzę zniszczoną furgonetkę Tony'ego na poboczu. Kiedy widzę ambulans i wozy strażackie. Kiedy widzę nosze, a na nich nieruchomy kształt okryty prześcieradłem. I czubek buta Tony'ego wystający spod prześcieradła.

Z Tonym nie jest w porządku.

I ze mną też nie.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa i osuwam się na ziemię. Upadając, ogarniam wzrokiem resztę tej sceny. Widzę Jareda w kajdankach, widzę zalaną łzami Jacey biegnącą w moją stronę. I sanitariusza rzucającego się w moim kierunku.

A potem nie widzę już nic.

GABRIEL

Maddy nie odebrała.

Skoro nie chce ze mną rozmawiać, trudno.

Idę na sesję grupową i siadam jak najdalej od Annie. Kilka razy zerka w moją stronę, ale udaję, że tego nie widzę. Nie jestem na nią zły, po prostu nie chcę mieć na głowie jeszcze jej. Mam dosyć własnych zmartwień.

Skupiam się na leżącej przede mną kartce. Odpowiadam na te cholerne pytania, żeby w czasie sesji indywidualnej móc w miarę gładko przez nie przejść.

Też żałuję, że nie mogłeś zapobiec temu wydarzeniu. Ale zauważyłem, że zmienił się twój sposób mówienia na ten temat, Gabe. Zamiast mówić: „Powiniennem był to powstrzymać”, mówisz: „Żałuję, że nie mogłem tego powstrzymać”. Jak się teraz czujesz, kiedy zdałeś sobie

sprawę, że nie mogłeś nic z tym zrobić?

Jak się czuję? Ostatniej nocy po raz pierwszy od roku nie miałem koszmarów.

Kiedy się obudziłem, przez chwilę nie mogłem się zorientować, dlaczego jestem taki wypoczęty.

A to dlatego, że naprawdę dobrze spałem. Cholernie fajne uczucie! Zdążyłem zapomnieć, jak to jest.

Uświadamiam sobie również, że mój terapeuta miał rację. Chyba naprawdę uznałem, że to, co się stało, nie stało się z mojej winy. To znaczy moja głowa zawsze wiedziała, że nie jestem winny, ale głowy i serca nie zawsze się zgadzają. A moje serce czuło się cholernie winne.

Już się takie nie czuje.

A przynajmniej nie z tego powodu.

Poczucie winy z powodu Maddy wciąż ma się dobrze. Ale tego problemu nie rozwiążę tutaj. Może w ogóle go nie rozwiążę, jeśli ona nie zechce ze mną porozmawiać. Dzisiejsze sesje wydają mi się mniej wyczerpujące niż zazwyczaj, pewnie dlatego, że do nich przywykłem, no i dlatego, że zbliżam się do końca terapii. Przede mną jeszcze tylko jeden dzień, już jutro mogę wyjechać.

I co wtedy?

Co wtedy zrobię?

Czy zdobędę się na to, żeby pojechać do Maddy i próbować jej wszystko wyjaśnić? Bo po raz pierwszy czuję, że coś by z tego mogło być. Gdyby dała mi szansę, wiem, że już nigdy jej nie skrzywdzę.

Ale skoro nie chce ze mną rozmawiać, to nie ma szans, żeby wysłuchała moich wyjaśnień.

Po sesji wracam do pokoju, ignorując Annie, która woła mnie na korytarzu.

Właśnie mam otworzyć laptop i wysłać Maddy jeszcze jedną wiadomość, kiedy mój telefon zaczyna dzwonić.

To Brand.

– Stary, nie chcę ci przeszkadzać, ale musisz o czymś wiedzieć. Kiedy rano będziesz się stamtąd zbierał, przyjeżdżaj prosto do Angel Bay.

Zanim mam czas zaprotestować, Brand mówi:

– Nie żyje Tony, barman z The Hill.

– Jak to? – pytam. – Co się stało?

Brand wzdycha.

– To długa historia. I z udziałem Jacey.

Z trudem przełykam ślinę.

– Co się stało? – powtarzam.

– Wróciła do tego małego skurwiela Jareda. Nie znam szczegółów, ale gdy Tony do niej jechał, żeby przemówić jej do rozumu, Jared zepchnął go z drogi. Zginął na miejscu.

– Czy Jacey nic się nie stało? – pytam. – Była tam?

– Wszystko z nią w porządku. I tak, była tam. Pojechała z Jaredem, żeby załagodzić sytuację, ale nie mogła go powstrzymać. Jest w szoku, ale wyjdzie z tego.

– A Jared? – mój głos nie zdradza żadnych emocji.

– W więzieniu.

– A Maddy?

Głos Branda jest teraz cichszy:

– Kompletnie się załamała. Nie chce nawet rozmawiać z Jacey. Ten facet był dla niej jak ojciec, więc bardzo to przeżywa. Też była na miejscu wypadku. Musisz wracać do domu, Gabe.

Maddy cię potrzebuje. I Jacey.

– Będę jutro. Powiedz Jacey, że przyjeżdżam.

– A Maddy?

– Nic jej nie mów.

– Ale...

– Nie ma żadnych „ale” – przerywam mu. – Będę tam, Brand. Po prostu przekaż to Jacey.

Kończę rozmowę i gapię się w ścianę.

To musiało dobić Madison. Bardzo kochała Tony’ego. Tak często musiała radzić sobie ze stratą – włączając w to stratę mnie – a teraz jeszcze to.

Chciałbym zebrać swoje kłamoty, jechać prosto do Angel Bay, wziąć ją w ramiona i ochronić przed wszystkim.

Ale przed tym jej nie ochronię.

Tony nie żyje, a ja tego nie zmienię.

Biorę szybki prysznic, pakuję szpeje i wskakuję do łóżka, odliczając godziny do chwili, kiedy będę mógł się stąd wymeldować i wyruszyć do miejsca, do którego należę.

Rozdział 28

MADISON

Cały dzień spędzam w domu Tony'ego i Marii.

Nie mieli wiele pieniędzy, a to, co mieli, wydali na czesne swojej córki Sophii. Teraz Maria zastanawia się, skąd wziąć pieniądze na pogrzeb.

– Ja zapłacę za pogrzeb – mówię, przyglądając się rodzinnym zdjęciom, na których widzę także siebie.

Maria wbija we mnie wzrok, całkowicie oniemiała.

Tony od lat był częścią mojego życia.

Był rodziną.

A to jedyna rzecz, którą mogę teraz dla niego zrobić.

Ostatnia rzecz.

– Chcę to zrobić – zapewniam Marię, która aż się rozplakała z wdzięczności. – Był dla mnie jak ojciec. Dla Mili też. Zawsze mogliśmy na niego liczyć, kiedy go najbardziej potrzebowałyśmy... – Głos mi się łamie, a w gardle czuję gulę.

Choć z powodu szoku i smutku trudno mi zebrać myśli, pomagam Marii w podejmowaniu decyzji, bo wiem, że to, co czuję, ona odczuwa sto razy bardziej. A biedna Sophia leży zwinięta w kłębek na łóżku i nie jest zdolna w ogóle do niczego.

Wiem, jak to jest. Człowiek ma wrażenie, że błądzi we mgle.

Jednak trzeba podejmować decyzje co do tysiąca rzeczy związanych z pogrzebem. Nie wierzę, że znowu się tym zajmuję. Najpierw moi rodzice... a teraz Tony. Na dodatek, właśnie kiedy czuję, że to wszystko mnie zaczyna przerastać, dzwoni Jacey.

– Proszę cię, Maddy – błaga płacząco. – Nie chciałam, żeby to się stało. Też kochałam Tony'ego. Nie miałam pojęcia, że Jared robi coś takiego. Myślałam, że jest inny. Myślałam, że się zmienił...

– O mój Boże, po prostu się zamknij! – wyskakuję na nią. Wyszłam na werandę, żeby swobodniej rozmawiać. – Przez twoją głupotę Tony jest w kostnicy! Nigdy bym nie pomyślała, że potrzebujesz akceptacji aż tak bardzo, żeby się płaszczyć przed taką kanalią jak Jared. Popatrz, do czego doprowadziłaś. To wszystko twoja wina, Jacey. Twoja wina.

Kończę połączenie, nie zważając na jej szloch, i odwracam się. Przede mną stoi Maria.

– To nie wina tej małej – mówi łagodnie, a jej ciemne włosy lekko falują na wietrze. – Popelniła błąd, ale jest jeszcze bardzo młoda. Winny jest Jared Markson i nikt inny. Tony podjął decyzję, że tam pojedzie. To był jego wybór. Nie możesz winić za to Jacey, Madison.

Mogę. I to właśnie robię.

Jestem taka wkurzona na cały świat, że żadne argumenty do mnie nie docierają.

Kiedy wrzucam telefon do torebki, zauważam coś, co mi całkiem umknęło w chaosie wczorajszego dnia.

Nieodebrane połączenie od Gabriela.

Dzwonił dokładnie wtedy, kiedy rozmawiałam z Jacey. Nie zostawił wiadomości.

Dziwne jest, że nic w związku z tym nie czuję. Cała jestem pozbawiona czucia. Mój umysł, moje serce, moje kończyny.

Ale to mi pasuje. Bo skoro nic nie czuję, ból nie może nade mną zapanować. Mogę się zdystansować i robić to, co do mnie należy. Gabriel się w tym momencie nie liczy.

Liczy się przebrnięcie przez jutrzejszy pogrzeb.

Liczy się przetrwanie tego straszego smutku.

Liczy się wymyślenie, co dalej z moim życiem.

Ponieważ kiedy się rozglądam, kiedy patrzę na jezioro, na restaurację, na wszystko, czym jest to miejsce, myślę, że mam tego dość.

Mam dość tego wszystkiego.

Rozdział 29

GABRIEL

Wchodzę do domu dziadków. Jacey rzuca się w moje ramiona z takim impetem, że prawie mnie przewraca.

– Dzięki Bogu, że już jesteś! – szlocha i chowa twarz na mojej piersi.

Po drugiej stronie kuchni jest Brand, opiera się o futrynę i wygląda na zmęczonego. Prawdopodobnie rozmawiał z Jacey całą noc.

– Cześć wam – witam się cicho, odkładając torbę na podłogę. – Przykro mi z powodu Tony’ego, Jacey. Wiem, że byliście blisko.

Jej zapłakana twarz unosi się w moją stronę.

– Kochałam go, Gabe. Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego specjalnie.

Mam ochotę powiedzieć jej, jak źle zrobiła, najpierw okłamując nas, że Jared nie daje jej spokoju, a potem wracając do tej kanalii. Ale widzę, że jest zbyt załamana, żeby jeszcze ją dobijać. Jej szczupłe ramiona drżą, kiedy płacze, a Brand ostrzegawczo potrząsa głową.

– Wiem, Jace – mówię zamiast tego. – To nie twoja wina. To Jared jest winny. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to godnie uczcić pamięć Tony’ego.

– Ale Maddy nawet nie chce ze mną rozmawiać – łka Jacey. – Uważa, że to moja wina. I ma rację. Gdybym tylko nie wróciła do Jareda! Gdybym was posłuchała! Jutro rano jest nabożeństwo żałobne. Wiem, że Maddy się wkurzy, jeśli na nie pójdę. Ale muszę iść, Gabe. Był też moim przyjacielem.

Głaszczę ją po plecach, pocieszam i podtrzymuję na duchu najlepiej, jak umiem. Tak naprawdę jestem na nią wkurzony, ale nie chcę, żeby się poczuła jeszcze gorzej. Zrobiła głupią rzecz, ale to dobra dziewczyna. Muchy by nie skrzywdziła.

Odprowadzam ją do jej pokoju i sadzam na łóżku.

– Musisz odpocząć, Jacey – tłumaczę. – Masz podkrążone oczy. Wiem, że nie spałaś. To nie była twoja wina i pójdziesz na to nabożeństwo. Pójdę z tobą, dobrze?

Bez słowa kiwa głową i zwija się w kłębek. Otulam ją kocem i wychodzę, zamykając za sobą drzwi.

Brand czeka na mnie w kuchni.

– Nic jej nie będzie – mówi, rzucając mi piwo. – Nie spała całą noc. Ale nic jej nie będzie. Maddy w końcu się opamięta. Kiedy coś się dzieje tak nagle, zawsze ciężko to zaakceptować.

Kiwam głową, wypijam duszkiem piwo, miazdę w ręce puszkę i kieruje się w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz? – woła za mną Brand.

– Wychodzę – odpowiadam, nie zatrzymując się. Zna mnie na tyle dobrze, że zostawia mnie w spokoju, a ja krętą ścieżką schodzę na plażę.

Kiedy jestem na brzegu, kucam i wpatruję się w horyzont. Z tego miejsca widać tylko jezioro. Jest ogromne, przy nim czuję się mały.

Jezioro sprawia, że czuję się jak jakaś pieprzona drobinka we wszechświecie, jak gdyby wszystkie moje gówniane problemy były za małe, żeby się nimi przejmować. W perspektywie wszechświata takie zresztą są.

Życie toczy się dalej. Złe, dobre czy jeszcze inne – toczy się dalej. Nie możemy nic z tym

zrobić, tylko starać się je przeżyć najlepiej, jak umiemy.

Najlepsza rzecz, jaką teraz mogę zrobić, to jakoś naprawić relacje z Maddy. Nie jest na to dobry moment, bo ona przechodzi przez piekło, ale wiem, że muszę spróbować.

Jeśli mnie nienawidzi i nie zechce ze mną porozmawiać, będę musiał sobie z tym poradzić.

Jednak nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie spróbował. Nie jestem typem faceta, który łatwo daje za wygraną.

Nie poddam się. Gra jeszcze się nie skończyła.

Tyle że to nigdy nie była gra.

Rozdział 30

MADISON

Nadal uważam, że to nie jest dobry pomysł – próbuję przekonać Milę, kiedy Pax znosi ją po schodach na dół i ostrożnie sadowi na wózku inwalidzkim.

Mila podnosi na mnie wzrok.

– Kochałam Tony’ego tak samo jak ty – odpowiada. – Jak mogłabym leżeć w domu podczas jego nabożeństwa żałobnego? Zastanów się, Maddy! Zawsze mogłyśmy na niego liczyć, kiedy go potrzebowałyśmy. Ja też go teraz nie zawiodę.

– Pogrzeby są dla żywych, Mi – podejmuję jeszcze jedną próbę. – Tony’emu nie zrobi to żadnej różnicy.

Pax patrzy na mnie i kręci głową.

– Bez szans. Całą noc usiłowałam przemówić jej do rozumu. Uparła się.

Wzdycham, sfrustrowana.

– Mila, ostatnia rzecz, jakiej mi dzisiaj trzeba, to że bym się musiała o ciebie martwić! Tak jakby to i tak nie było wystarczająco trudne.

Spogląda na mnie ze złością.

– Maddy, przepraszam, jeżeli zabrzmiało to niegrzecznie, ale dzisiaj nie chodzi o ciebie.

Chodzi o Tony’ego i wszyscy powinniśmy tam być. Ja chcę tam być.

Trafiła w dziesiątkę, prosto w środek mojego serca. Ma rację. Dzisiaj nie chodzi o mnie, a ona ma prawo tam być. Wolno kiwam głową.

– Przepraszam cię. Oczywiście, że powinnaś tam być. Ale potem wracasz prosto do domu. Nie powinnaś długo siedzieć.

– Wiem – zgadza się Mila. – Obiecuję, wrócę do domu zaraz po nabożeństwie.

Pax pomaga jej wygodnie usiąść w samochodzie, pakuje wózek do bagażnika, a wreszcie zwraca się do mnie.

– Też mi się to nie podoba – mówi. – Ale Mila ma rację. Pożegnania są ważne.

W milczeniu kiwam głową, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. Milczę, kiedy jedziemy do kaplicy; milczę, kiedy pomagamy Mili wysiąść; milczę, kiedy zajmujemy miejsca w ławce dla rodziny, obok Marii i Sophii. Maria pochyla się w moją stronę i obejmuje mnie.

Obezwładniający zapach pogrzebowych kwiatów, lilii, chryzantem, goździków... Ten zapach przywołuje wspomnienia z pogrzebu rodziców. Płaczu, bólu, rozpacz.

Patrzę na niewielką lśniąca czarną urnę, w której są prochy Tony’ego. Jest taka mała, a on był taki duży. Trudno mi uwierzyć, że się w niej zmieścił.

Trudno mi uwierzyć, że to w ogóle się wydarzyło. W jednej chwili wszystko się może zmienić. Wszystko się może skończyć, a my jesteśmy całkiem bezradni. To dołujące.

Zamykam oczy i wsłuchuję się w urzekające dźwięki *Amazing Grace* dobiegające z głośników. Nie otwieram oczu, dopóki Mila nie daje mi kuksańca w bok.

Podążam za jej spojrzeniem.

Gabriel prowadzi Jacey środkiem nawy w głąb kaplicy. Jej twarz jest zalana łzami i zmęczona, ale to nie ona przykuwa moją uwagę.

To on.

Moje serce w sekundę budzi się z długiego snu, radosnym skokiem wydobywa się z ospałego więzienia klatki piersiowej i łąduje prosto w gardle, kiedy nasze oczy spotykają się i nie mogą od siebie oderwać.

Nie odwraca wzroku, wpatrujemy się w siebie, jakby łączyła nas jakaś niewidzialna nić. Chcę go nienawidzić, chcę być na niego wściekła... ale czuję tylko ulgę.

Bo jest tutaj.

– Przyjechał – szepcze Mila.

Bez słowa kiwam głową, nie spuszcżając wzroku z Gabe'a. Za nim kroczy Brand, obaj mają na sobie galowe mundury. Razem z Jacey wchodzą do ławki. Z czapkami w rękach i wzrokiem wbitym w dal siedzą bez ruchu, wyprostowani i pełni godności.

Chociaż Gabe już na mnie nie patrzy, łącząca nas nić ciągle tam jest. Jakby tysiąc woltów iskrzyło w powietrzu, znacząc trasę on – ja.

Zaczyna się nabożeństwo i zmuszam się, żeby skupić uwagę na tym, co teraz najważniejsze. Na uczczeniu pamięci człowieka, który się stał moim drugim ojcem, pod wieloma względami lepszym od prawdziwego.

– Drodzy bracia i siostry, zebraliśmy się tutaj, żeby pożegnać Tony'ego Romano. Męża, ojca, przyjaciela...

Moje oczy wypełniają się łzami, a słowa pastora monotonicznie płyną dalej. Jestem świadoma obecności cicho szlochającej Marii, Paxa obejmującego ramieniem Milę, kwiatów, urny, żałobników...

Jestem tego wszystkiego świadoma, a jednocześnie znajduję się jakby obok tego wszystkiego. Obserwuję to z oddali, jakby przez zasłonę.

Muszę tak robić, bo inaczej rozpadłabym się na milion kawałków.

Zawsze tak robię. Odgradzam się niewidzialnym murem.

Sekundy zamieniają się w minuty, a minuty w godzinę. Kiedy myślę, że to już koniec, Gabe wstaje z miejsca. Patrzę na niego zaskoczona, nie wiem, co o tym myśleć.

Gabriel pewnym krokiem idzie naprzód, w ręce trzyma kartkę papieru.

Cicho mówi coś pastorowi, a potem pastor zwraca się do nas:

– Porucznik Gabriel Vincent chciałby powiedzieć parę słów.

Moje serce przyspiesza. O co tu chodzi?

Mila i ja wymieniamy szybkie spojrzenia, ale moją uwagę całkowicie pochłania Gabriel. Do niego należy mównica, do niego należy kaplica.

Do niego należę ja.

Nieważne, co się stało ani co się stanie. Należę do niego. Teraz to rozumiem. Rozumiem to, kiedy słucham jak przemawia swoim niskim, seksownie chrapliwym głosem, jednocześnie szukając mnie wzrokiem w tłumie, by potem utkwic we mnie oczy.

– Nie znałem Tony'ego dobrze – przyznaje się żałobnikom. – Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ponieważ nie zdążyliśmy dobrze się poznać. Ale z tego, co widziałem, gdyby było nam dane więcej czasu, na pewno byśmy się zaprzyjaźnili. Tony był ucieleśnieniem zalet, które są dla mnie ważne. Siła, prawość, uczciwość. Co najważniejsze, był lojalny. Chronił bliskie sobie osoby w odważny i bezkompromisowy sposób. Próbował ochronić moją siostrę, Jacey, za co zawsze będę mu wdzięczny. Próbował ją chronić, kiedy ja nie mogłem tu być.

Przerywa, żeby zaczerpnąć tchu, a ja odkrywam, że nie mogę oddychać. W zaledwie kilku zdaniach zdołał przedstawić to, co stanowiło istotę Tony'ego; pastorowi nie udało się to w ciągu godziny. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Stoi na baczność i bije od niego szczerłość. To nie jest przedstawienie. To nie jest gra. Przemawia przez niego najszczerza wdzięczność. Przetykam ślinę, a on mówi dalej.

– Nie chcę zabierać wam dużo czasu, ale chciałem powiedzieć parę słów od siebie, żeby uczcić Tony'ego, żeby mu podziękować za opiekowanie się moją siostrą i za otaczanie troską Mili i Maddy przez te wszystkie lata. Jak widzicie, jestem rangerem. A raczej byłem. Możecie mi

wierzyć, że przez lata służby widziałem niejednego bohatera. I mogę wam powiedzieć jedno: Tony Romano był bohaterem. Nie znałem go dobrze, ale jestem tego pewien.

Opuszcza mównicę i wraca na miejsce. Wreszcie jestem w stanie oddychać, ale wtedy on spogląda na mnie i znów brak mi tchu w piersi.

Jego słowa były tak piękne, że znowu chce mi się płakać. Nigdy bym nie pomyślała, że potrafi tak przemawiać. A jednak potrafi. Powiedział dokładnie to, co należało powiedzieć.

Żałobnicy kierowani przez mistrza ceremonii opuszczają kaplicę, a ja rozmawiam jeszcze chwilę z Marią, Sophią, Milą i Paxem. Kiedy się odwracam, Gabriela, Branda i Jacey już nie ma. Wzdycham.

– To było piękne. – Mila wie, o czym myślę. Jej zielone oczy patrzą prosto w moje. – Musisz iść go poszukać.

– Sama nie wiem... – odpowiadam z wahaniem. – Mimo wszystko zostawił mnie. To akurat się nie zmieniło.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Zostawił cię, bo pojechał szukać pomocy. Wrócił. Jest tutaj. Dla każdego było oczywiste, że bardzo cię kocha, kiedy tak na ciebie patrzył. Uwierz mi. Wszystko się zmieniło.

Z trudem przełykam ślinę, obawiam się, że mogę nie wytrzymać nadmiaru emocji.

– Musimy cię zabrać do domu – oznajmiam, ignorując jej słowa. – Maria nie będzie dziś rozsypywać prochów Tony'ego. I nie ma mowy, żebyś została na stypie.

– Nie zostawiaj teraz Marii – mówi Mila stanowczo. – Zostań. Pax mnie odwiezie, a potem wróci po ciebie. Maria cię potrzebuje.

Kiwam głową.

– W porządku. Jeśli dla Paxa to nie problem.

– Żaden problem – zapewnia mnie stojący za Milą Pax. – Zadzwoń, kiedy będziesz chciała wracać.

Odchodzi, pchając przed sobą wózek z moją siostrą, a ja przepycham się przez tłum, żeby dostać się na dół, na stypę. Nagle z tłumy wyłania się jakaś ręka, łapie mnie i wciąga do bocznego pomieszczenia.

Jacey.

– Tak mi przykro, Madison – mówi przez łzy. – Proszę, uwierz mi. To okropne, kiedy jesteś na mnie taka zła. To okropne, że myślisz, że to moja wina. Przecież wiem, że to moja wina. Czuję się taka winna, że tu przyszedłam, ale po prostu nie mogłam nie przyjść. Musiałam pożegnać Tony'ego.

Jedyne, co mogę zrobić, to mocno ją przytulić. Ma takie smutne oczy.

– Wiem – mruczę w jej włosy. – Wiem, że to nie twoja wina. Zrobiłaś głupią rzecz, ale to, co się stało, jest winą Jareda. Wtedy byłam po prostu zdenerwowana. Przepraszam.

– Napisałaś, żebym się nie ruszała z miejsca, ale Jared się wkurzył i wskoczył do swojej furgonetki, a ja pomyślałam, że będzie najlepiej, jeśli z nim pojedę, żeby nie pozwolić mu zrobić czegoś głupiego. Kiedy zobaczył Tony'ego na zakręcie, gwałtownie zajechał mu drogę. Nie wiem, może myślał, że Tony ustąpi albo coś takiego. Ale Tony stracił panowanie nad samochodem. Nie mogłam go powstrzymać, Maddy. Naprawdę nie mogłam.

Jej głos się załamuje, a ja mówię cicho:

– Oczywiście, że nie mogłaś, Jacey. Jego się nie da kontrolować.

Wybucha płaczem, a ja ją przytulam. Wydaje mi się, że stoimy tak razem przez całą wieczność, aż wreszcie słyszę chrząknięcie. Spoglądam nad ramieniem Jacey i widzę opartego o ścianę Gabriela. Obserwuje nas, a jego spojrzenie natychmiast wbija mi się prosto w serce.

Puszczam Jacey i stoję niezdolna do żadnego ruchu. Nagle jesteśmy tylko Gabe i ja.

Jak zza gęstej mgły dochodzi mnie głos Jacey mówiącej, że zostawi nas samych, żebyśmy mogli pogadać, ale nie jestem w stanie nawet skinąć głową. Mogę tylko patrzeć na Gabriela.

Robi krok w moją stronę, potem następny. Wreszcie jest tak blisko, że czuję jego zapach. Tak pachnie tylko on.

– Zostawiłeś mnie – szepczę, patrząc mu prosto w oczy. – Znienawidziłam cię za to.

Na jego twarzy maluje się ból.

– Wiem. Ja też się za to znienawidziłem. Przepraszam, Madison. Tak bardzo cię przepraszam. Myślałem, że to jedyne wyjście. Źle zrobiłem.

Sztywno kiwam głową. Ponieważ nie wiem, co robić. Ponieważ świat wiruje i wiruje, a ja chcę tylko zatopić się w jego ramionach i jednocześnie nie mogę tego zrobić. Nie powinnam. W głowie mam mętlik i nie mogę sobie przypomnieć, jak powinnam się czuć.

Wiem tylko, jak się czuję.

Tak bardzo za nim tęskniłam. Chcę tylko jego.

Kompletnie się pogubiłam, a Gabe to widzi.

– Może wrócimy na stypę? A potem porozmawiasz ze mną chwilę?

Jego przystojna twarz jest pełna nadziei, bezbronna, choć jednocześnie silna.

– Tak – mówię.

Ponieważ muszę się zgodzić.

Rozdział 31

GABRIEL

Stypa ciągnie się niemiłosiernie, ale wreszcie dobiega końca. Maddy uściskała i ucałowała wszystkich, których musiała uściskać i ucałować. Rozmawiała. Pocieszała. Była pocieszana.

W międzyczasie ciągle sprawdza, gdzie jestem. Obserwuje mnie kątem oka, jakby się bała, że znowu ją opuszczę.

Zanim zdążę jej wyjaśnić, dlaczego poprzednio to zrobiłem.

Ale nie ma takiej opcji. Już nigdy tego nie zrobię.

Patrzę, jak Maddy przytula Jacey, a potem zostawia ją z Brandem.

– Podwieziesz ją do domu? – pytam go cicho. – Muszę pogadać z Madison.

Kiwa głową.

– Nie ma sprawy. Powodzenia!

– Przyda mi się – mamroczę pod nosem.

Ale kiedy Maddy spogląda na mnie, jej spojrzenie jest miękkie. Ufne. Nie jest pełne nienawiści czy gniewu. Jest pełne nadziei.

A to z kolei mnie napełnia nadzieją.

Podchodzę i staję u jej boku, tam, gdzie moje miejsce. Podnosi na mnie wzrok.

– Nie mam samochodu – mówi. – Pax mnie przywiózł. Mógłbyś mnie podrzucić do domu? Moglibyśmy spokojnie pogadać.

– Oczywiście – zgadzam się szybko.

Pomagam jej przejść między ludźmi, którzy jeszcze zostali na stypie. Idziemy do mojego samochodu, otwieram jej drzwi.

Kiedy siadam za kierownicą, spogląda na mnie i mówi:

– W mundurze wyglądasz naprawdę dobrze. A to, co powiedziałaś dziś o Tonym... cóż, to było piękne.

– Każde słowo było prawdziwe – zapewniam.

Bo tak właśnie było.

Maddy dzwoni do Paxa, żeby mu powiedzieć, że nie musi po nią przyjeżdżać. Nie umyka mojej uwadze, że nie mówi mu, kto ją podwozi do domu. Ale to teraz nieważne.

Liczy się tylko to, że zgodziła się dać mi szansę.

I jestem cholernie pewny, że tego nie schrzanię.

Kiedy jesteśmy już u niej, prowadzi mnie na taras i siadamy przy stole.

– Napijesz się wina czy piwa? – pyta, nie spuszczając ze mnie swoich błękitnych oczu.

Potrząsam głową.

– Niczego. Chcę tylko ciebie, Maddy.

Gwałtownie nabiera tchu. Nie zamierzałem od tego zaczynać, ale to ma sens. Bo to absolutna, pieprzona prawda.

Stoi w promieniach wieczornego słońca, oszałamiająco piękna, a ja mogę myśleć jedynie o tym, że chcę tylko jej.

Słowa płyną coraz szybciej, wylewają się ze mnie jedno za drugim.

Jak się czułem tej nocy, kiedy wyjechałem. Jak cholernie ciężko mi było. Co próbowałem zrobić z Alex, ale nie potrafiłem. Jak żadnym sposobem nie mogłem wymazać Maddy z pamięci. Jak stałem na krawędzi hotelowego balkonu i jak Brand przemówił mi do rozumu. Poczucie

całkowitej, pieprzonej beznadziei. Leczenie. Terapia. Jak afgańska dziewczynka już tak bardzo mnie nie prześladowuje. Jak odrzuciłem Annie.

– Każda minuta była wypełniona tęsknotą za tobą – mówię szczerze, prosto z serca. – Nie mogę bez ciebie żyć. Cokolwiek bym robił, nie mogłem o tobie zapomnieć. Każda minuta bez ciebie była minutą rozpacz.

Wpatruję się w nią, ona wpatruje się we mnie, ale nie potrafię nic odczytać z jej twarzy.

– Tak jakbym nie był kompletny, kiedy nie jestem przy tobie – mówię jej po prostu. – Jesteś częścią mnie. Kiedy cię nie ma, nie mogę normalnie funkcjonować. Jestem tylko połową człowieka. Przepraszam cię. Wiem, że to spieprzyłem. Zachowałem się beznadziejnie. Zostawiłem cię. Ale zrobiłem to, co musiałem, żebyś była bezpieczna. Czy to rozumiesz?

Odwraca wzrok.

– Nie mogę uwierzyć, że prawie się przespałaś z inną – mówi słabym głosem. – Ja tu umierałam, Gabe. Mogłam myśleć tylko o tobie. Nigdy nie poszłabym do łóżka z kimś innym. Po prostu bym tego nie zrobiła. Za bardzo za tobą tęskniłam.

– Ja też za tobą tęskniłem – przerywam jej. – Boże, jak za tobą tęskniłem! Próbowałem zrobić jedyną rzecz, która, jak sądziłem, pozwoli mi o tobie zapomnieć. Ale nie zadziałało. Nic nie zadziałało. Jeśli mi dasz jeszcze jedną szansę, to przysięgam na Boga, że już nigdy cię nie zranię. Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy nawet nie spojrzę na inną kobietę. Chcę tylko ciebie.

Bez słowa wstaje i schodzi na plażę. Nie odzywa się, spoglądając na wodę.

– Maddy? – mówię wreszcie, kiedy minuty płyną, a ona nadal milczy.

Odwraca się do mnie.

– Nie wiem, co mam robić – przyznaje. – Wiem, że powinnam ci powiedzieć, żebyś odszedł. Żebyś nigdy nie wracał. Ale wcale tego nie czuję. Choć jestem wkurzona. Jestem wkurzona, bo kimkolwiek jest ta kobieta, sięgnęła po coś, co jest moje. Prawie byłeś w niej, Gabe. A jesteś mój. Co mam z tym zrobić?

Z trudem nabieram tchu.

– Masz przestać o tym myśleć, Maddy. Nigdy więcej do tego nie wracajmy. Ponieważ jej nie pragnęłam. Pragnęłam tylko ciebie. W wyobraźni widziałem twoją twarz. Twoje oczy. Czuję twój zapach, dotyk twoich rąk. Proszę, wybac mi, Madison. Nie zasługuję na ciebie. To prawda. Ale pragnę tylko ciebie. A jeśli nie mogę mieć ciebie, nie chcę nikogo innego.

Po policzku sływa jej łza, zaciska powieki. Nie wiem, co robić. Pragnę ją wziąć w ramiona, przytulić i już nigdy nie stracić jej z oczu, ale nie wiem, czy ona też tego chce.

Po chwili otwiera oczy.

– Gabriel? – mówi cicho.

– Tak?

– Obejmij mnie – prosi.

Więc to robię.

Robię to, czego pragnę od kilku tygodni – obejmuję ją i mocno przytulam. Wdycham zapach jej włosów, gładzę jej szczupłe plecy.

Podnoszę do góry jej podbródek i namiętnie całuję jej miękkie usta.

Przez minutę oboje nie możemy złapać tchu, potem Madison się odsuwa i uważnie patrzy mi w oczy.

– Nigdy więcej mnie nie opuszczaj.

Kiwam głową, biorę ją na ręce i niosę do domu.

MADISON

To się dzieje naprawdę.

Tylko o tym mogę myśleć, kiedy Gabriel wnosi mnie do domu i idzie w stronę sypialni. Patrzę na niego i z jakiegoś powodu wszystkie złe uczucia... wściekłość, cierpienie, strach... odpływają. Bo teraz co innego jest ważne.

On i ja.

Tylko to się liczy. Wszystko inne powoli się łoży.

– Nigdy nie przestałam ci wierzyć – mówię szczerze. – Naprawdę. Kiedy zdałam sobie sprawę, że odszedłeś, byłam wkurzona. I zraniona. Ale szybko zrozumiałam, dlaczego to zrobiłeś. Wtedy znowu się wkurzyłam. Ale zawsze wierzyłam, że zrobiłeś to, bo uważałeś, że tak właśnie powinienes postąpić.

Przygląda mi się uważnie, na jego zamysłonej twarzy maluje się zmęczenie.

– Pragnę tylko ciebie – odpowiada cicho. – Przysięgam ci. Przepraszam, że cię zraniłem. Przepraszam, że nasza droga była kręta i wyboista. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że myślenie o tobie dało mi siłę, żeby przetrwać terapię. W głębi serca zawsze miałem nadzieję, że jeśli zrobię porządek z samym sobą, uda nam się naprawić to, co jest między nami.

Przełykam ślinę.

– W głębi serca ja też na to liczyłam. Nawet kiedy byłam na ciebie wkurzona. Nawet kiedy cię nienawidziłam.

Patrzy na mnie, jego oczy są pełne emocji.

– Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła, Maddy. Mogę sobie poradzić ze wszystkim innym, co świat rzuci mi pod nogi, ale nie z tym. Kocham cię. Wiem to od jakiegoś czasu, ale bałem się do tego przyznać. Nie jestem pewien, czy ze mną już wszystko w porządku, ale wiem, że zmierzam w dobrym kierunku. Już nigdy cię nie skrzywdzę, nie pozwolę na to. Chcę, żebyś to wiedziała.

– Wiem – szepczę, przyciągając go do siebie. – Potrzebuję cię, Gabe.

– Ja też cię potrzebuję.

– W takim razie mi to pokaż.

Bez słowa osuwa mnie na łóżku i kładzie się na mnie. Brakowało mi jego ciężaru, tego uczucia całkowitego dopasowania, kiedy jego ciało napiera na moje.

– Tęskniłem za tobą – mówi, a potem zaczyna mnie całować.

Jego język zagłębia się w moich ustach, smakuje jak mięta. Całuje mnie najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, niemal zachłannie, jakby nie mógł nad sobą zapanować, bo tak bardzo się za mną stęsknił.

Powietrze wokół nas przesiąknięte jest namiętnością i pożądaniem, pragnę go coraz bardziej.

Jego ręce są teraz wszędzie, osuwają się po moich biodrach, zrywają ze mnie ubrania. Pomagam mu się ich pozbyć i po chwili oboje jesteśmy nadzy. Dotyk jego ciała jest cudowny, rozkoszuję się nim.

Moje biodra wyginają się w jego stronę. Ujmuje w dłonie moje pośladki, a jego usta wędrują po mojej ręce.

– Uwielbiam twój zapach – mówi, przesuwał usta po moim ramieniu. Zmierzając ku moim ustom, delikatnie całuje każde miejsce po drodze. – Marzyłem o tym zapachu.

A ja marzyłam o nim.

Oplatam nogi wokół jego bioder i przyciskam go do siebie... w głąb siebie.

I nagle czuję się kompletna. Bierze mnie całą, aż do koniuszków palców, aż do stóp, aż do najgłębszej części mojego serca.

Moje tajemnice.

Moje sekrety.

Bierze to wszystko, a ja chętnie mu to oddaję.
Ponieważ chcę, żeby było jego.
Wślizguje się we mnie i rozpoczyna powolne pchnięcia, leniwie, bez pośpiechu. Jego ręce nadal wędrują po moim ciele, jak gdyby nie mógł przestać mnie dotykać.
Jakby chciał się upewnić, że jestem prawdziwa.
Patrzę w jego ciemne oczy.
– Kocham cię – szepczę.
Szeroko się uśmiecha.
– Wiem – odpowiada, po czym chowa twarz w mojej szyi i wstrząsa nim dreszcz, gdy szczytuje. – Ja też cię kocham. Boże, jak cię kocham.
Te słowa przeszywają moje serce i wysyłają mnie na szczyt. Drżąc i wyginając się w jego stronę, dochodzę, krzycząc jego imię.
Kiedy pod nim leżę, jestem tak szczęśliwa, że mogłabym umrzeć w jego ramionach. Leżymy tak chyba przez całą wieczność, wsłuchując się w swoje oddechy.
Jednak w końcu głodniejemy, więc przygotowuję tacę z plasterkami mięsa, serem i krakersami. Rozsiadamy się wygodnie na kanapie z butelką wina.
– A co z twoimi koszmarami? – pytam, sącząc wino. – Przestały cię dręczyć?
Potrząsa głową.
– Ciągle je mam, ale już tylko przez część nocy. Przedtem męczyły mnie bez przerwy przez całą noc. Trzymajmy kciuki, żeby były coraz krótsze. Tak czy siak, to duży postęp. Ale na razie będę spał na kanapie. Nie chcę cię narażać.
Zgadzam się, choć wcale tego nie chcę. Nie chcę spać bez niego, ale nie chcę również być znowu duszona. Jak trzeba, to trzeba.
– Zauważyłeś, jak się tu zmieniło? – pytam.
Rozgląda się i dopiero teraz widzi, że ściany są pomalowane na inny kolor, a nowe meble zastąpiły stare.
– Nic nie mówiłam, kiedy zaniósłeś mnie do starej sypialni, ale teraz śpiam w pokoju rodziców. Wszystko tam zmieniłam, żeby była naprawdę moja.
Patrzy na mnie, a w jego oczach widzę coś bardzo podobnego do podziwu.
– Dwa tygodnie temu nie byłaś w stanie otworzyć drzwi do pokoju rodziców, a teraz się tam wprowadziłaś?
Uśmiecham się.
– Mam jaja, Gabe. Ktoś mi to kiedyś powiedział.
Odzwajemnia uśmiech.
– Owszem, masz. Ten, kto ci to powiedział, ma głowę na karku.
Śmiejemy się i wkładamy talerze do zlewu, po czym wracamy do łóżka, gdzie zwijam się w kłębek w jego ramionach.
– Nie zostawiaj mnie już – mówię mu, zanim zamykam oczy. – Nigdy.
– Nie martw się – odpowiada cicho, całując mnie w czubek głowy. – Dobrze być w domu.
Podnoszę na niego wzrok, walcząc z sennością, która mnie ogarnęła po tym piekielnie długim dniu.
– Naprawdę uważasz Angel Bay za swój dom?
Odgarnia mi włosy z twarzy i patrzy na mnie z powagą.
– Maddy, mój dom jest tam, gdzie jesteś ty.

Rozdział 32

MADISON

Za kilka minut wyjeżdżamy – mówię Mili, starając się utrzymać telefon między podbródkiem a ramieniem, kiedy chwytam leżącą na kuchennym stole torebkę. – Po drodze zatrzymamy się tylko, żeby ci kupić koktajl mleczny, i już jesteśmy. Proszę, zachowujcie się jak gdyby nigdy nic, dobrze? Czuję się naprawdę niezręcznie, przyprawiając go do was tak szybko, ale Pax mnie prosił, żebym z tobą posiedziała, więc... – milknę, bo nie jestem pewna, co powiedzieć.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia wesoło Mila, ale potem zniża głos. – Możesz mi wierzyć, ja rozumiem. Ale tak dla twojej informacji, Pax planuje rozmówić się z Gabe'em.

Zastygam w bezruchu.

– Rozmówić się z nim?

Wiem, że Mila kiwa teraz głową.

– Taaa... Powiedziała mu, żeby się nie posuwał do rękoczynów.

– Cóż, dobre i to – wzdycham. – Powiedz mu, że naprawdę nie musi tego robić. Gabe i ja wszystko sobie wyjaśniliśmy. Rozumiem, dlaczego wyjechał. Miał powód. Wrócił dopiero wczoraj, nie chcę, żeby Pax go wystraszył.

Wiem, że Gabriela nie tak łatwo przestraszyć. Ale jednak.

– Wiem, że miał powód, żeby wyjechać – odpowiada Mila. – Ale Pax chce się upewnić, że to się więcej nie wydarzy. Podejrzewam, że to będzie taka męska rozmowa.

– W porządku – daję za wygraną i odkładam telefon. Gabe zerka na mnie zza kierownicy.

– Co się dzieje? – pyta.

– Wygląda na to, że Pax chce z tobą pogadać o tym, co się stało. Przykro mi. Mogłabym mu powiedzieć, żeby tego nie robił, ale chyba lepiej po prostu mieć to z głowy. Nie ma dużej rodziny, więc jest bardzo opiekuńczy wobec swoich nielicznych bliskich.

Gabe kiwa głową, nieporuszony.

– W porządku – mówi po prostu. – Szanuję taką postawę. Poza tym zasłużyłem sobie na to. Wysłucham, co mi ma do powiedzenia.

Wzdycham.

– Mężczyźni...

Kupujemy koktajl i po paru minutach jesteśmy u Paxa i Mili.

Kiedy podchodzimy do domu, Pax otwiera drzwi, najwyraźniej na nas czekał.

– Hej, braciszku! – witam go ostrożnie. – Co się dzieje?

Z najbardziej marsową ze swoich min otwiera szerzej drzwi i gestem zaprasza nas do środka. Gdybym była facetem, podkuliłabym ogon i wiała, gdzie pieprz rośnie. Ale Gabe tego nie robi. Niewzruszenie trwa przy moim boku.

– Hej, Mad! – wita się ze mną Pax. – Dasz nam minutkę? Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym porozmawiać z Gabe'em.

– Szczerze mówiąc, to mam coś przeciwko – odpowiadam. – Lepiej będę w pobliżu. I pamiętaj, co ci powiedziała Mila. Żadnych rękoczynów.

– Nie musisz się o to martwić – zapewnia Pax, prowadząc nas do salonu.

Zerkam na niego.

– Hmm, nie byłabym taka pewna. Zostaję z wami – mówię stanowczo.

Wzrusza ramionami.

– Jak sobie chcesz. To nie potrwa długo – stwierdza, po czym zwraca się do Gabe’a. – Mówiłem ci już, że cholernie szanuję to, co robiłeś jako ranger. Miałeś do czynienia ze straszonym gównem, więc nie dziwię się, że wróciłeś do domu z nieciekawym bagażem. Rozumiem to. Nie mam ci tego za złe. Ale jeśli jeszcze kiedyś potraktujesz Maddy w ten sposób, jeśli zostawisz ją na łodzi albo choćby dotkniesz w sposób, który mi się nie spodoba, to ci, kurwa, przywalę. Możesz sobie być rangerem, ale nie radzę ci ze mną zadzierać.

Gabe patrzy mu prosto w oczy, kiedy tak stoją naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Ramiona Paxa napinają się, ale Gabriel jest rozluźniony i spokojny.

– W to nie wątpię – odpowiada. – Ale możesz mi wierzyć, nie zranię już więcej Maddy. Obiecałem jej to, teraz obiecuję to tobie. Zachowałem się beznadziejnie. Ale nie wiedziałem, jak inaczej mogę ją ochronić przed samym sobą, więc po prostu wyjechałem. Gdybym mógł cofnąć czas, wymyśliłbym jakiś inny sposób. Ale nie mogę. Za to mogę obiecać, że już nigdy tego nie spieprzę.

Pax powoli kiwa głową.

– Twoje słowo mi w zupełności wystarczy. Cholernie cię szanuję za to, że przyszedłeś na pogrzeb Tony’ego i wygłosiłeś mowę. To było wspaniałe.

– Dzięki. Wydawało mi się, że tak właśnie powinienem zrobić.

Zapada cisza. Patrzę na Paxa i pytam:

– Konkurs „Kto ma większego” zakończony? Bo powinnam iść do Mili, a nie chcę was tu zostawiać samych, jeśli nie będę absolutnie pewna, że to bezpieczne.

– Nikomu nic nie grozi, Mad – zapewnia mnie z uśmiechem. – Mila jest na górze. Przed wyjściem muszę jeszcze chwilę porozmawiać z Gabe’em o interesach. Jeszcze raz dziękuję, że zgodziłaś się przyjść. Wiem, że Mila nie potrzebuje niani, ale nie chcę, żeby była siedziała sama, kiedy termin porodu się zbliża.

– Jasne, nie powinna być sama – zgadzam się. – To dla mnie żaden problem.

Kiedy wychodzę, słyszę, jak Pax mówi coś do Gabe’a na temat uzbrojenia ochronnego. Uśmiecham się do siebie. Wiem, że wycofał się z tej inwestycji tylko ze względu na mnie.

Jest uosobieniem lojalności.

Wchodzę po schodach na górę i zaglądam do pokoju Mili.

– Już po wszystkim – mówię. – Wszyscy zostali odpowiednio postraszeni i wygląda na to, że na razie mamy spokój.

Podaję jej koktajl.

– Cieszę się – odpowiada. – Mówiłam mu, żeby się nie wtrącał, ale wiesz, jacy są mężczyźni.

Kręci się w łóżku, próbując znaleźć wygodną pozycję. Pochylam się i poprawiam ogromną poduchę, którą ma za plecami.

– Lepiej?

Przytakuję, ale widzę, że kłamie.

– Nie mogę się dziś wygodnie ułożyć – marudzi. – Plecy mnie bołą. I biodra. I wszystko. To pewnie dlatego, że robię się taka ogromna. I dlatego, że jestem przykuta do tego cholernego łóżka.

Mierzę wzrokiem jej drobne ciało.

– Ogromna, dobre sobie... Wyglądasz jak komar, którego wzdęło. Siedź spokojnie, to ci zrobię paznokcie. Rozerwiesz się trochę.

– Możemy spróbować – zgadza się Mila. – Ale tak mnie boli, że ciężko o tym zapomnieć.

– Cóż, podejmuję wyzwanie!

Kończę malować jej paznokcie u rąk i właśnie biorę się za paznokcie u nóg, kiedy

wreszcie porusza temat Gabe'a. Czekałam na to. Szczerze, to jestem zaskoczona, że tak długo zdołała się powstrzymać.

– Powiesz mi, co z Gabe'em? – pyta, siląc się na swobodny ton.

Uśmiecham się.

– Jest po prostu wspaniale. Koszmary senne już mu tak nie dokuczają i wszystko zmierza w dobrym kierunku. Nie jest łatwo, bo w międzyczasie tyle się zdarzyło, ale jestem szczęśliwa, że wrócił. Tylko to się teraz liczy. Ze wszystkim innym sobie poradzimy.

– Znam to uczucie. – Miła ze zrozumieniem kiwa głową. – Przykro mi, że musiałaś przez to wszystko przejść, Mad. Ale możesz mi wierzyć, czasem trudny początek prowadzi do wspaniałego „i żyli długo i szczęśliwie”. Wierzę, że w waszym przypadku właśnie tak będzie. Gabriel włożył w to dużo wysiłku.

– Wiem – przyznaję. – Ale tak naprawdę boję się, że nagle nasze szczęście przysnie jak bańka mydlana. Że okaże się, że to nie była prawda, tylko piękny sen, z którego się obudzę, a jego nadal nie będzie. Jednak jak na razie jest dobrze. On tutaj jest i wszystko jest w porządku.

– Przywykniesz do tego – mówi ze spokojną pewnością w głosie.

Podnoszę na nią wzrok.

– Przywyknę do czego?

– Do kochania kogoś, do myśli, że nie musisz się bać o waszą przyszłość. Wiem, że to trudne, szczególnie po tym, jak cię zostawił. Ale Gabe cię kocha. To widać. Pewnego dnia zrozumiesz, że to, co masz, nie jest bańką mydlaną. Nauczysz się ufać.

– Taką mam nadzieję – mruczę. Bardzo dobrze wiem, co ma na myśli. Kończę jej paznokcie i obie milczymy, każda zatopiona w swoich myślach.

Po chwili Miła potrząsa głową, jakby chciała odegnać jakieś myśli.

– Przydałby mi się prysznic – mówi z krzywym uśmiechem. – Wiesz, że należy mi się tylko jeden na tydzień? To najobrzydliwsza rzecz na świecie. Przecieranie gąbką niewiele mi już daje.

– Faktycznie, trochę śmierdzisz – przyznaję, a ona daje mi kuksańca. – Dobrze, pomogę ci. Pójdę wszystko przygotować i zaraz wracam.

Kiwa głową, więc idę do łazienki przygotować jej krzesło pod prysznic i tak ułożyć kosmetyki, żeby miała wszystko pod ręką.

Wracam i biorę ją za ramię, pomagając jej wstać. Kiedy idziemy, mięśnie jej drżą, co dowodzi, jak bardzo osłabły przez tych kilka miesięcy nieużywania. Doktor Hall powiedziała, że to normalne i Miła szybko wróci do formy po urodzeniu dziecka, ale na razie jest bardzo słaba.

– Teraz to naprawdę masz nogi jak patyki – zauważam, kiedy zdejmuję koszulę nocną, a ja pomagam jej usiąść na krześle. – Tak jak Tony zawsze mówił.

Na myśl o Tonym ogarnia mnie smutek. Żałuję, że to powiedziałam. Miła chyba ma podobne odczucia, bo daje mi kuksańca.

– Oj! – wyrywa mi się, kiedy puszczam wodę i niechcący opryskuję siostrze twarz.

Wzdryga się, bo woda jest zimna, i łapie mnie mokrymi rękami.

– Hej! – podnoszę głos, usiłując ją złapać. – Przepraszam. Uspokój się, zanim zrobisz sobie krzywdę! Wczoraj i tak za dużo czasu spędziłaś poza łóżkiem, nie prowokuj losu!

Miła posłusznie siada i nie rusza się, kiedy polewam jej włosy ciepłą wodą, a następnie myję szamponem. Nucę pod nosem, masując jej głowę, tak aby powstało dużo pachnącej piany. Następnie dokładnie spłukuję szampon.

Na chwilę wyłączam się i zatapiam we własnych myślach. Myślę o Gabrielu i o tym, co może teraz zrobić. Może ze mną zamieszka? To wszystko jest takie nowe, takie ekscytujące!

Nagle Miła mocno się wzdryga i chwytą za brzuch, wybijając mnie z zamyślenia.

– Co się dzieje? – pytam zaniepokojona. – Masz skurcze?

Potrząsa głową zgina się w pół.

– Auć. Nie, chyba nie. Skurcze zaczynają się powoli, a to... Auuuuuu – jęczy, kurczowo trzymając się za brzuch. Podnosi na mnie wzrok, jest blada jak ściana. – Maddy, nie powinno tak być. Coś jest nie tak.

Cholera. To przez to, że wczoraj wstała z łóżka.

– Pax! – krzyczę w panice, ale szybko zdaję sobie sprawę, że nie usłyszy mnie z łazienki.

Ręce tak bardzo mi się trzęsą, że z trudem udaje mi się wydostać ją spod prysznic. Kiedy sięgam, żeby zakręcić wodę, Mila wydaje z siebie głośny i przenikliwy okrzyk, po czym nagle zgina się w pół.

Rzut oka w dół i widzę, że spieniona woda wokół odpływu zabarwiła się na czerwono. To krew.

Po kilku sekundach czerwona strużka zamienia się w prawdziwy potok. Nigdy w życiu nie widziałam tyle krwi.

Rozdział 33

GABRIEL

Pax właśnie mi mówi, jak bardzo jego dziadek jest zainteresowany uzbrojeniem ochronnym Defense Tech, kiedy na piętrze rozlega się mrozący krew w żyłach krzyk. Nie wiem, czy to Maddy czy Mila, ale to nieważne. Obaj zrywamy się na równe nogi i pędzimy na górę.

Kiedy wpadamy do sypialni, Maddy właśnie próbuje wyciągnąć bezwładną siostrę z łazienki. Mila jest kompletnie naga, zakrwawiona i ocieka wodą.

– Pax! – krzyczy Maddy. – Wezwij karetkę!

Natychmiast wyciągam telefon i wybieram numer alarmowy, ale Pax potrząsa głową, biorąc na ręce nieprzytomną Milę.

– Nie ma czasu! – krzyczy przez ramię, biegnąc w dół po schodach z żoną w ramionach.

Maddy zrywa prześcieradło z łóżka i biegniemy za Paxem. Mila krwawi tak bardzo, że na schodach utworzyła się szkarłatna kałuża. Maddy się ślizga i spada na półpiętro; ubranie, twarz i ręce ma pobrudzone krwią.

Podnoszę ją i pędzimy do samochodu Paxa.

– Trzymaj – mówi Maddy do szwagra, rzucając mu prześcieradło. – Przynajmniej ją okryj.

– Co się stało? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada drżącym głosem. – Pomagałam jej wziąć prysznic i nagle zaczęła krwawić. Boże, tej krwi jest za dużo!

Ma rację. Krew tryska dookoła, przecieka przez prześcieradło i wsiąka w ubranie Paxa.

– Poprowadzę – proponuję, siadając za kierownicą.

Maddy wskakuje na tylne siedzenie, a Pax z Milą w ramionach ciężko opada na fotel pasażera. Jest ciasno, ale jest tak zdesperowany, że daje radę.

– Szybko! – ponagla mnie, choć nie ma takiej potrzeby. Moja stopa już przyciska do podłogi pedał gazu.

Koła chargera prawie nie dotykają jezdni, gdy z prędkością światła pędzimy w stronę szpitala. Maddy z tylnego siedzenia woła do Paxa:

– Znasz numer jej lekarki?

– Oczywiście, że nie – prychna Pax. – Nie mam pieprzonego pojęcia. Zadzwoń na numer alarmowy, niech dadzą znać do szpitala, że jedziemy.

Maddy dzwoni i nienaturalnie wysokim głosem opisuje dyspozytorowi sytuację.

Podróż do szpitala trwa dziesięć minut, przez cały ten czas mimo błagań Paxa Mila nie otwiera oczu.

– Mila, popatrz na mnie – prosi Pax, odgarniając jej włosy z twarzy. Próbuje otrzeć jej krew z policzka, ale tylko bardziej ją rozmazuje. – Proszę, obudź się – mamrocze bezradnie.

Wszędzie jest krew.

Mnóstwo krwi.

– Ona nie oddycha! – krzyczy nagle Pax, pochylając ucho do ust żony, żeby usłyszeć oddech. – Ona nie oddycha! Jezu Chryste!

Maddy szamocze się na tylnym siedzeniu, chce pomóc, chce coś zobaczyć. Wjeżdżam na parking, ale Pax nie czeka, aż zaparkuję, tylko otwiera drzwi i kładzie Milę na chodniku.

– Oddychaj, kochanie! – błaga, klękając i przykładając usta do jej ust, żeby zrobić sztuczne oddychanie. – Oddychaj!

Jest oszalały z rozpaczy i cały we krwi Mili.

– Pax – mówi Maddy, ciągnąc go za ramię. – Musimy ją zanieść do środka, nie mamy na to czasu!

Próbuje go odciągnąć, jednak Pax nie myśli logicznie. Odpycha ją, czym prędzej wracając do Mili i kontynuuje sztuczne oddychanie.

Ze szpitala wybiegają ludzie z noszami na kółkach, Pax zrywa się na równe nogi z Milą w ramionach i oddaje ją ekipie medycznej.

– Nie oddycha – mówi z rozpaczą. – Proszę, pomóżcie jej.

Lekarze i pielęgniarki tworzą wokół Mili zamknięty krąg, kiedy kładą ją na noszach i w pośpiechu wiozą do szpitala.

Maddy bezradnie przyłgnęła do noszy. Patrząc na Milę i widząc, że jej oczy nadal są zamknięte i że jest bardzo blada. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś był taki blady. Ale jeszcze bardziej przerażające są słowa padające z ust pielęgniarek.

Nie reaguje.

Nie ma pulsu.

Potrzebujemy defibrylator.

Maddy wzdryga się na dźwięk tych słów, po jej policzkach płyną łzy.

– Wszystko będzie dobrze, Mila – zapewnia siostrę, kiedy medycy kierują nosze na kółkach za podwójne drzwi, gdzie tracimy je z oczu. – Wszystko będzie dobrze.

– Mila, jestem tutaj! – krzyczy Pax, kiedy pielęgniarka zagradza mu drogę.

Jednak Mila nadal się nie rusza. Nie słyszy ich słów.

Nigdy nie czułem się tak bezradny jak teraz, gdy stoję i patrzę, jak ją zabierają. Wiem, że nic nie mogę zrobić, i, co gorsza, nie jestem pewien, czy ktokolwiek może coś zrobić.

Jest tak dużo krwi.

Zupełnie niespodziewanie przypomina sobie tamtą noc w Afganistanie i boję się że za chwilę stracę panowanie nad sobą.

Zapach krwi, smak strachu, panika.

Dym.

Śmierć.

Zakrwawione dzieci.

Staram się to zwalczyć, staram się oddychać.

Maddy mnie potrzebuje, nie mogę wymięknąć.

Biorę głęboki wdech, wyobrażając sobie, że wciągam do płuc cały strach, a potem razem z wydechem się go pozbywam.

Wciągam panikę, a następnie ją wydycham.

Tej sztuczki nauczył mnie doktor Hart, wydaje się działać.

Kiedy chwilę później Maddy osuwa się w moje ramiona i kryje twarz na mojej piersi, jestem już spokojny. Mogę znowu oddychać.

Wszystko jest ze mną dobrze. Tyle że z Milą – nie.

Gdzie tu sprawiedliwość?

– Wszystko będzie z nią dobrze – po raz setny powtarza Maddy, gdy bez celu przemierzamy szpitalną poczekalnię. – Wszystko będzie w porządku. Nie mogę stracić również jej. Po prostu nie mogę. Będzie dobrze.

Nie sądzę, żeby zdawała sobie sprawę, że coś mówi. W równych odstępach czasu słowa po prostu automatycznie wychodzą z jej ust, głuche i bezbarwne.

Pax jest w swoim własnym świecie. Nie pozwolili mu być z Milą, więc krąży po poczekalni jak uwięziony lew w klatce. Jego mięśnie się napinają, kiedy zatacza kolejne kręgi.

Napięcie w tym pokoju jest wręcz namacalne. W powietrzu czuć smak strachu, ale nikt się nie przyznaje, że się boi.

– Są lekarzami – mówi Maddy Paxowi. – Pomogą jej.

Patrzy na nią, jego spojrzenie jest pozbawione wyrazu. Bez słowa przechodzi obok Maddy.

Z kolei ona przechodzi obok mnie.

To jakiś potworny, wykańczający nerwowo krąg.

Zostawili nas tu samych sobie, zadreżających się, niepewnych, co się dzieje. Najgorzej jest nie wiedzieć. Chociaż wiedzieć byłoby jeszcze gorzej. Tego jestem pewien. Bo nie ma takiej opcji, żeby Mila przeżyła.

Nie ma.

Kiedy przyglądam się Paxowi i widzę jego bladą, ściągniętą twarz, widzę, jak bezcelowo chodzi tam i z powrotem, ścisną i rozluźnia dłonie i zmusza się, żeby oddychać, wiem, że on też zdaje sobie z tego sprawę.

Mijają minuty. Godzina. Dwie godziny. Kilka razy zagląda do nas pielęgniarka, żeby powiedzieć, że operacja trwa i zostaniemy poinformowani, kiedy będą jakieś wieści.

Przynoszę Paxowi i Madison kawę. Przynoszę im wodę. Idę do toalety i przynoszę im zwilżone papierowe ręczniki, żeby mogli zetrzeć ślady krwi z twarzy. Żadne z nich nawet tego nie zauważa.

Są pogrążeni w strachu.

– Była taka zimna – mówi Madison, a jej głos jest zupełnie pozbawiony emocji. – Była taka zimna, Gabe.

Masuję jej plecy, przytulam ją. Patrzę na zegarek.

Minęło kolejne pół godziny.

Nie może przeżyć. Nie ma takiej opcji.

Wreszcie zza podwójnych drzwi wychodzi lekarz. Wydaje się wyczerpany.

Co gorsza, wydaje się przygnębiony.

Wstrzymuję oddech.

Pax zrywa się na równe nogi, Maddy nieruchomieje. Oboje spodziewają się najgorszego, boją się tego, co zaraz usłyszą.

– Wszystko będzie z nią dobrze – zapewnia lekarz po chwili, która wydawała mi się wiecznością. – Łóżysko się oderwało, powodując krwotok. Kiedy ją przywieźliście, nie miała pulsu. Straciła dużo krwi, więc jej ciało się wyłączyło, to była reakcja na za duży wstrząs. Na szczęście udało nam się przywrócić ją do życia. Chwilę to trwało, ale udało nam się powstrzymać krwawienie i naprawić szkody – przerywa i czeka, aż te informacje do nas dotrą.

Pax i Madison wyglądają na ogłuszonych.

– Naprawdę nie umarła? – pyta zaszokowany Pax.

Lekarz kiwa głową.

– Kiedy ją przywieźliście, jej serce nie biło. Ale przywróciliśmy ją do życia w ciągu dwóch minut. Wszystko z nią będzie dobrze. Teraz chce się zobaczyć z panem. Tylko proszę nie przedłużać wizyty. Powinna odpocząć.

Pax natychmiast rusza w stronę drzwi, lecz po chwili przystaje i pyta:

– A dziecko? – W jego oczach lśnią łzy.

Doktor się uśmiecha.

– Zdrowa dziewczynka. Urodziła się parę tygodni za wcześnie, więc zostanie tu przez kilka dni. Ale nie ma powodów do obaw, synu. Gratulacje!

Jego słowa w czarodziejski sposób zdejmują z tego pokoju powłokę strachu. Pax lekko

się uśmiecha i zmierza w stronę drzwi.

Maddy pada mi w ramiona, po czym ze szlochem osuwa się na ziemię.

Podnoszę ją i zaglądam jej w oczy.

– Powiedziałem ci, że wszystko będzie dobrze – przypominam. – Widzisz? Dotrzymuję obietnic.

Wreszcie pozwala sobie na uśmiech.

– Dotrzymujesz – mruczy. – Tak się bałam, Gabe.

– Wiem – mówię łagodnie.

Przez kilka minut trzymam ją w ramionach, czekając, aż dojdzie do siebie. Wreszcie odgarnia włosy z twarzy, wstaje i zaczyna spacerować po poczekalni.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę siostrzenicę – mówi wreszcie. – Ciekawe, do kogo jest podobna.

– Cóż, ma dobre geny – zauważam. – Wyrośnie na piękność.

Maddy znowu się osuwa, tym razem na moje kolana.

– Nie masz pojęcia, jak się bałam – wyznaje cicho. – Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym straciła Milę.

– Wiem. Ale trzymałaś się świetnie, Maddy. Jestem z ciebie dumny.

Lekko się uśmiecha.

– Powtarzałam sobie, że strach jest wyborem, ale tym razem nie bardzo to działało.

Byłam zbyt przerażona.

Odwzajemniam uśmiech.

– Myślę, że w tej sytuacji to było całkiem usprawiedliwione – mówię jej. – To wyglądało naprawdę groźnie. Ale wszystko będzie dobrze. Mila ma się dobrze. Dziecko ma się dobrze.

Wszystko jest w porządku.

Maddy się rozluźnia i zastanawia się, jak dziecko wygląda i jak będzie miało na imię.

– Po prostu nie możesz się doczekać, kiedy jej kupisz malutkie buciki – żartuję, próbując rozładować resztki napięcia.

– Och, nie mogę się doczekać! – przyznaje. – To będzie najlepiej ubrana dzidzia w całym stanie!

Czekamy z niecierpliwością, kiedy Pax po nas przyjdzie. Gdy wreszcie przychodzi, Maddy prześciguje nas obu, tak jej się spieszy, żeby zobaczyć siostrę.

Kiedy wchodzimy do jej sali, Maddy siedzi przy Mili, trzyma ją za rękę i opowiada jej, jak bardzo się baliśmy.

Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę dziecka.

Pytając patrzę na Madison.

– Urodziła się za wcześnie, więc wzięli ją na oddział dla noworodków – wyjaśnia. –

Pielęgniarka może nam ją pokazać przez szybę.

Mila jest blada i wyraźnie zmęczona, ale ogólnie mówiąc, wygląda dobrze.

– Możecie teraz iść ją zobaczyć – mówi znużonym głosem. – Wiem, że nie możesz się już doczekać, Mad.

– Na pewno? – dopytuje Pax. – Możemy poczekać.

Mila kiwa głową.

– Na pewno. Idź zobaczyć córkę.

Znajdujemy oddział dla noworodków i wszyscy przyciskamy nosy do szyby.

Kiedy pielęgniarka przysuwa inkubator bliżej okna, Maddy grucha w kierunku maleństwa.

– To najpiękniejsza istotka, jaką w życiu widziałam – oznajmia, chociaż mnie mała

wydaje się czerwona i pomarszczona. – Jak jej dacie na imię?

Pax zerka na Maddy.

– Madelyn Susanna Tate – oznajmia z dumą. – Po tobie i po mojej mamie.

Maddy zastyga w bezruchu, tak jest zaskoczona.

– Dajecie jej imię po mnie? – szepcze.

Pax uśmiecha się od ucha do ucha.

– A mamy inny wybór? Pax to nie najlepsze imię dla dziewczynki.

Maddy odwraca się w stronę dziecka i mówi przez szybę:

– Posłuchaj, malutka Mad. Ty i ja będziemy się trzymać razem. Kupię ci tyle par butów, że twój tata będzie musiał wybudować nowy dom, żeby je wszystkie pomieścić. Tak, wiem... To bardzo dużo... Ale jesteś tego warta!

Patrzę na Paxa i potrząsam głową.

– Wyrazy współczucia, stary. Ona prawdopodobnie wcale nie przesadza.

– Jestem tego świadomy – wzdycha Pax. – Ale nie szkodzi. Moje dziewczyny już mnie sobie owinęły wokół palca. Jako stuprocentowy mężczyzna nie wstydę się do tego przyznać.

Słyszając te słowa, nie mogę się nie uśmiechnąć. Wcale mu się nie dziwię. Ja też mam swoją słabość. Znowu zerkam na Maddy i dochodzę do wniosku, że skoro już muszę mieć słabość, to dobrze, że jest taka piękna.

– Chodźmy się pożegnać z twoją siostrą, żeby mogła odpocząć – sugeruję łagodnie. – Możemy wrócić jutro. Jeśli chcesz, możemy nawet przynieść bućki dla Madelyn.

– Och, jasne, że chcę! – mówi wesoło, po czym posyła małej całusa i wszyscy wracamy do pokoju Mili.

– Wpadniemy do ciebie jutro, siostrzyczko. – Maddy całuje Milę w policzek. – Już nigdy mnie tak nie strasz – dodaje surowo.

Mila uśmiecha się łagodnym, zmęczonym uśmiechem świeżo upieczonej mamy i obiecuje, że nie będzie. Nigdy przenigdy.

Tym akcentem kończymy wizytę i wychodzimy z pokoju.

W drodze do domu biorę Madison za rękę.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Dużo się dziś działo.

– Bardzo dużo – przyznaje. – Myślałam, że dostanę ataku serca. Najpierw było tyle krwi, a potem Mila zemdląła. Nie wiedziałam, co zrobić. Ale to, że cały czas byłeś ze mną w tej poczekalni... Przetrwalam to tylko dzięki tobie, Gabe.

Brak mi słów, kiedy to słyszę. Jestem pod wrażeniem siły, z jaką stawia czoła wszystkim przeciwnościom w życiu. Pod wrażeniem zaufania, jakim mnie obdarza.

Zatrzymuję samochód na podjeździe i całuję ją w czoło.

– Jestem z ciebie dumny – mówię cicho. – Naprawdę. Uważasz, że ja jestem najsilniejszą osobą, jaką znasz, ale tak naprawdę to ty jesteś silna. Silniejsza od nas wszystkich.

Przewraca oczami, ale nic nie mówi. Wchodzimy do domu.

Jemy kolację pogrążeni we własnych myślach, a potem, nadal w milczeniu, odpoczywamy chwilę w salonie. Maddy opiera głowę na moich kolanach.

– Powinniśmy iść do domu Paxa i Mili i zmyć tę krew – mówi. – Pax na pewno zostanie dziś z Milą.

Kiwam głową.

– Posprzątam. Ale zajmiemy się tym jutro. Dzisiaj jesteś zmęczona.

Zgadza się. Po chwili zaczyna drzeć z powodu zimna i ciężkich przeżyć, więc proponuję jej, żeby wzięła gorący prysznic. Spędza w łazience dobre pół godziny.

Kiedy wreszcie wychodzi, podaję jej ręcznik i pomagam się nim owinąć. Wycieram ją i

przyciągam do siebie.

Nadal niewiele mówi, a kiedy kładziemy się do łóżka, jest nawet jeszcze bardziej milcząca.

– O co chodzi? – pytam wreszcie, bo ta cisza mnie niepokoi.

Wzdycha w ciemności.

– Myślę o tym, jak szybko wszystko może się skończyć. Moi rodzice odeszli tak niespodziewanie, a dzisiaj o mało co nie straciłam też Mili. Moje serce zostałoby złamane na zawsze. Wiem o tym, bo już przez to przechodziłam. Serca są takie kruche, Gabe.

Przerywa i patrzy na mnie. Nie jestem pewien, co chce ode mnie usłyszeć. Ale nie daje mi szansy, żebym coś powiedział, bo mówi dalej:

– To mi przypomniało, jak szybko mogę stracić ciebie. Wszystko może się zdarzyć, a myśl o tym cholernie mnie przeraża. Przeraża mnie, że masz nade mną taką władzę.

Ręce jej się trzęsą. Ostrożnie sięgam po jedną z nich.

– Ty masz nade mną taką samą władzę – odpowiadam. – To się nazywa miłość. Miłość do ciebie czyni mnie słabym... ale czyni mnie też silnym. Miłość do ciebie sprawia, że jestem szczęśliwy, a to jest dobre, Madison. Lepsze niż cokolwiek innego na świecie. Miłość ma moc uzdrawiającą. Potrafi wyleczyć nawet mnie, a ja jestem nieźle popieprzony. Więc zanim uznasz, że miłość do mnie nie jest warta strachu, że mnie stracisz, pomyśl, jaka szczęśliwa jesteś, kiedy jesteśmy razem. Strach jest wyborem, Maddy. Ale bycie szczęśliwym też.

– Wiem – przyznaje cicho. – Mój rozum to wie. Ale serce się boi, bo wie, że wystarczy moment i cię nie będzie. Wygląda na to, że wszyscy mnie opuszczają, Gabe. Moi rodzice, Tony. Mila też była blisko. A jeśli ty odejdziesz... jeśli ty odejdziesz, mój świat się zawali.

Głos jej się łamie i zaczyna płakać. Serce mi się kraje.

– Maddy, wiem, dlaczego się boisz. Na twoim miejscu każdy by się bał. Zbyt wiele w życiu straciłaś. Jednak śmierć jest częścią życia i strach przed nią nie może nas powstrzymać przed życiem. Nauczyłem się tego w Afganistanie. Lepiej w ogóle nie żyć, niż żyć w ciągłym strachu. Ale nam nic złego się nie zdarzy. Nie stracisz mnie, chyba że jak oboje już będziemy starzy, siwi i zmęczeni. Kocham cię.

Leży wtulona we mnie, jej szczupłe palce mocno ściskają moje ręce.

– W takim razie postarajmy się, żeby nam się udało, Gabe. Wiem, z czym jeszcze musimy się zmierzyć. Ale damy radę. Ponieważ liczymy się tylko my, ty i ja.

Ta dziewczyna ma jaja.

– Madison, wszystko będzie dobrze – mówię jej stanowczo. – Wróciłem i jesteśmy razem. Już nigdy cię nie opuszczę. Proszę, nie martw się. Już nie ma się czego bać.

Czuję, że się uśmiecha. A potem jeszcze mocniej się we mnie wtula. Kładę ręce na jej biodrach i patrzę na nią w ciemności.

Pociąga nosem.

– Boję się tylko, że cię stracę.

– To się nie zdarzy – zapewniam, choć czuję uścisk w sercu na te słowa. – To się nigdy nie zdarzy.

Trzymam ją w ramionach, aż zasypia, a potem ostrożnie wyslizguję się z łóżka i siadam na krześle.

Jest zimne i wydaje się oddalone o tysiące kilometrów od Maddy, ale przynajmniej jestem przy niej. A to jest najważniejsze.

Zamykam oczy.

Rozdział 34

MADISON

Podjeżdżam pod dom Paxa i Mili i przez chwilę siedzę w samochodzie, po prostu ciesząc się letnim cykaniem koników polnych i delikatnym szmerem wiatru znad jeziora. Myślałam, że po kryzysie związanym z nagłym porodem Mili powrót do normalności trochę nam zabierze, ale okazało się inaczej.

Pax i Mila kilka dni temu przywieźli dziecko do domu i od tej pory wszystko świetnie się układa. Mila całkiem odzyskała siły, a malutka jest zdrowa i silna. Nigdy bym nie pomyślała, że jesteśmy tacy twardzi.

Wbiegam po schodach i zaglądam przez drzwi. Natychmiast słyszę zawodzenie dziecka i Paxa wołającego do Mili:

– Nie wiem, co robić! Wszystko porzygała!

Chichoczę i wchodzę do środka. Biorę dziecko od Paxa, który obdarza mnie pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Mila bierze prysznic – mówi zawstydzony. – Zmieniałem pieluchę, ale mi nie wyszło. Pielucha mi spadła, a wtedy ona zwymiotowała.

Kładę małą, odpinam jej pieluszkę, a następnie zdejmuję malutką koszulkę.

– Prawie ci się udało – mówię mu. – Po prostu nie zapiąłeś wystarczająco mocno. Nauczysz się.

Podaje mi czystą koszulkę, a ja ubieram małą, biorę ją na ręce i kołyszę w ramionach. Pax nawet nie próbuje wyciągać po nią ręk, bo wie, że dopóki tu jestem, na pewno jej nie oddam. Przytulam ją do siebie i głęboko wdycham słodki niemowlęcy zapach.

– Uwielbiam to! – wdycham. – To najpiękniejszy zapach na świecie, nie licząc zapachu deszczu.

– Zgadzam się – mówi Pax, sadowiąc się na fotelu i zamykając oczy. – Jestem cholernie zmęczony, Mad. Twoja siostrzenica prawie nie spała dziś w nocy.

Potrząsam głową, przyglądając się jego znużonej twarzy.

– Odpocznij. Zajmę się małą, dopóki Mila nie skończy się myć.

– Jesteś najlepsza – wzdycha, zapadając w drzemkę.

Podnoszę się z miejsca i mocno go przytulam, zarzucając mu ramiona na szyję.

– Nie, ty jesteś najlepszy – szepczę do niego. – Naprawdę! Dziękuję, że tak dobrze się opiekujesz moją siostrą.

– Nie wiem, za co dziękujesz, ale proszę bardzo. – Klepie mnie po plecach i wtedy do pokoju wchodzi Mila, osuszając ręcznikiem włosy.

– Booooo! Spróbujcie być trochę bardziej dyskretni – wywraca oczami, po czym szeroko się do mnie uśmiecha. – Przyjechałaś zaopiekować się małą, żebyś mogła się zdrzemnąć?

W jej głosie jest tyle nadziei, że wybucham śmiechem.

– Przyjechałam coś wam powiedzieć, ale mogę zostać i przypilnować małej.

Mila jest zaciekawiona.

– Co nam chcesz powiedzieć?

Wskazuję na kanapę.

– Możesz usiąść?

Mila wygląda na zaniepokojoną, ale posłusznie siada. Kiedy siedzimy naprzeciwko siebie, biorę jej dłonie w swoje.

– Mi, kiedy mama i tata odeszli, nie potrafiłyśmy oddać restauracji w obce ręce. Przyjechałam tutaj, żeby się nią zająć, i wydaje mi się, że dobrze mi szło – przerywam, a ona niepewnie kiwa głową. Pax patrzy ze zrozumieniem, jakby już zgadł, co mam zamiar powiedzieć.
– Jednak nie mogę tego dłużej robić, Milo. Czuję się, jakbym żyła nie swoim życiem. Choć wyremontowałam dom, i tak mam poczucie, że przejęłam życie mamy i taty. Chcę teraz mieć własne życie. Czy to rozumiesz?

Powoli kiwa głową.

– Tak. Zdecydowanie tak. Ale co próbujesz mi powiedzieć? Co masz zamiar zrobić?

Biorę głęboki wdech.

– Chcę sprzedać The Hill. I chcę sprzedać dom. Myślę o... wiem, że to trochę szalone, ale myślę o przeprowadzce do Hartford i otwarciu tam restauracji. Wygląda na to, że jestem w tym naprawdę dobra. Ale po prostu nie mogę robić tego tutaj. Zbyt wiele wspomnień... tata, mama, Tony... Ja po prostu nie mogę. Znienawidzisz mnie za to?

Mila zarzuca mi ramiona na szyję, prawie mnie dusi.

– Oczywiście, że nie! Chcesz się przeprowadzić z nami do Hartford? Zrobiłabyś to? O mój Boże! Tak się cieszę. Tak bardzo bym za tobą tęskniła!

Oczy mam pełne łez.

– Wiem. Po prostu muszę zacząć od nowa. Potrzebuję nowego życia. Ale nie chcę go zaczynać zbyt daleko od ciebie.

Pociąga nosem, ja też pociągam nosem, a Pax obejmuje nas obie i obdarza niedźwiedzim uściskiem.

– Wszystko będzie dobrze, Maddy – mówi Mila głosem nabrzmiałym łzami. Dzięki Bogu, to łzy szczęścia. – Naprawdę!

Kiwam głową.

– Wiem. I też tak uważam.

Pax wreszcie nas puszcza i się prostuje.

– Na pewno możesz się chwilę zająć Madelyn? – pyta Mila, starając się stłumić ziewnięcie.

– Jasne, że tak! – potwierdzam. – Mam zamiar zostać jej ulubioną ciocią.

– Jesteś jej jedyną ciocią – zauważa dowcipnie Pax. Ale żart przechodzi bez echa, bo rzuca go przez ramię, pędząc razem z Milą do sypialni, żeby się trochę zdrzemnąć.

Muszę się roześmiać na ten widok, bo choć często słyszałam o pozbawionych snu rodzicach, zupełnie czym innym jest zobaczyć na żywo, jak rozpaczliwie go potrzebują.

Madelyn zasypia wkrótce po nich, w czym widzę pewną ironię losu. Trzymam ją w ramionach, kiedy drzemie, wdycham jej słodki niemowlęcy zapach i myślę o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich tygodni.

Tęsknię za Tonym. Tęsknię za nim każdego dnia. Ale Maria powoli dochodzi do siebie, a Sophia wróciła do szkoły. Radzą sobie, a czas powoli uleczy ich rany. A także rany nas wszystkich.

Może naprawdę wszystko będzie w porządku.

Pewnego letniego wieczoru wracam do domu po spotkaniu z pośrednikiem w handlu nieruchomościami w sprawie sprzedaży The Hill. Gabe z dziwną miną siedzi przy stole w jadalni, przed sobą ma kartkę papieru.

– Co tam? – pytam. – Co się stało?

Podnosi na mnie wzrok.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że kiedy byłem na TPP, napisałem list do rodziców Ary Sahar? Terapeuta rzucił taki pomysł, a ja się zgodziłem. Nie spodziewałem się wiele, bo nawet

nie wiedziałem, czy jej rodzice nadal żyją. Jednak armia przetłumaczyła list na arabski i odnalazła ich. Odpowiedzieli mi.

Podnosi kartkę.

Nie potrafię nic wyczytać z jego twarzy, jest zupełnie pozbawiona emocji.

– Mogę zobaczyć? – pytam z wahaniem, trochę się obawiając tego, co tam zobaczę.

Kiwa głową i podaje mi list. Czytam:

Drogi Panie Poruczniku!

Bardzo dziękuję za list.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co Panu odpisać, ponieważ nasze serca zostały złamane. Ale jest Pan żołnierzem, który przyjechał tutaj, żeby pomagać ludziom takim jak ja i dzieciom takim jak Ara, dlatego pomyślałam, że zasługuje Pan na odpowiedź.

Pisanie tego listu sprawia mi wielki ból, niemniej jest kilka rzeczy, o których powinien Pan wiedzieć.

Przede wszystkim powinien Pan wiedzieć, że to nie Pana wina, że Ara została uprowadzona. Mój kraj został rozszarpany przez straszne wydarzenia, złe wydarzenia, które się nie stały ani z Pana winy, ani z Pana udziałem. Codziennie budziłam się z lękiem, że to dzisiaj coś złego może się przydarzyć Arze. Teraz, kiedy to się wreszcie stało, nie muszę się już martwić. Jej już nic nie grozi. Jest teraz w ramionach Allaha, bezpieczna i spokojna.

Powinien Pan również wiedzieć, że nawet pośród największego zła kwitnie dobro, nawet wtedy. Pan jest dobry. Wzniósł się Pan ponad zło i ciężko walczył za dobro. Ara to wiedziała. Patrzyła, jak amerykańscy żołnierze przejeżdżają drogą, i mówiła mi: „Oni są tutaj, żeby nas chronić, mamo”. Widziała w Panu dobro. Widziała dobro w Was wszystkich.

Powinien Pan również wiedzieć, że to nie Pan odebrał mi córkę. Nie odebrało mi jej również panoszące się tu zło, bo ona tak naprawdę nie odeszła. Nadal jest moją córką, a ja nadal jestem jej mamą. Miłość jest nieśmiertelna. Pewnego dnia znowu ją spotkam, ona uśmiechnie się do mnie i milion połamanych kawalków, z których się teraz składam, znowu stanie się całością. Pewnego dnia.

Powinien Pan też wiedzieć, że Ara Pana nie wini. Przysięgam na każdy oddech, który we mnie pozostał. Moja córka taka nie była, moja córka taka nie jest. Pragnęłaby, żeby zaznał Pan spokoju. Proszę jej nie oplakiwać. Ara jest wśród aniołów. Myślę, że czuwa teraz nad Panem, tak jak Pan czuwał nad nią, kiedy Pan tu był. Choć nie wiedział Pan tego i nie znał jej Pan, to walczył Pan za nią.

Ona o tym wiedziała.

Panie Poruczniku, proszę przestać się nienawidzić. To nie była Pana wina. Musi Pan sobie wybaczyć.

Powinien Pan wiedzieć, że ja Panu wybaczyłam.

Pokój z Panem,

Pashka Sahar

Oddech zastyga mi w gardle, a po policzkach płyną łzy.

Ona nie wini Gabriela. Choć spowija ją welon niekończącej się rozpacz, przebaczyła mu.

Wyobrażam sobie małą afgańską dziewczynkę i jej pogrążoną w żałobie matkę i mogę jedynie podziwiać piękną postawę Pashki Sahar wśród całej otaczającej ją brzydoty. Czytam list jeszcze raz i każde słowo łamie moje serce.

– Wybacza ci, Gabe – mówię miękko. – Teraz ty musisz wybaczyć samemu sobie. Już czas na to.

Gabriel otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zamyka je i opiera głowę na ramionach.

Potem wybuchła płaczem.

Tyle razem przeszliśmy, ale jeszcze nie widziałam go płaczącego.

Biorę go w ramiona i osuwam się razem z nim na podłogę. Układam jego głowę na swoich kolanach i pozwalam mu się wypłakać.

Wiem, że nie płacze tylko nad tym listem. Płacze nad wszystkim. Nad Arą Sahar, nad Szalonym Psem, nad swoim dawnym życiem, które stracił, nad poczuciem winy, które w sobie nosił.

– Ciiii... – uspokajam go, gładząc delikatnie po plecach. – Już dobrze. Nie powstrzymuj się, Gabe. Nawet najsilniejsi płaczą. Tak mi kiedyś powiedziała pewna mądra osoba.

Wreszcie się uspokaja, odwraca w moją stronę i patrzy mi w oczy.

Schylam głowę i całuję go w usta.

– Jesteś moim bohaterem, Gabe – mówię. – Naprawdę. Nie musisz już tego dźwigać. Zostaw za sobą poczucie winy, zostaw za sobą smutek. Tak jak napisała Pashka, nie mogłeś temu zapobiec. Ara nie chciałaby, żebyś nadal dźwigał to brzemię.

Mała zmiana pozycji i teraz to ja jestem w jego ramionach.

– Kocham cię, Madison Hill – słyszę. – Nigdy wcześniej nie płakałem. Powinienem się tego wstydzić, ale się nie wstydzę. Kocham cię za to, że nie masz mi za złe mojej słabości.

– Nie jesteś słaby, Gabe – odpowiadam miękko. – Jesteś bardzo, bardzo daleki od słabości. To dzięki takim jak ty zwyczajni ludzie śpią spokojnie w nocy. Możemy to robić, bo wy za nas stawiacie czoła niebezpieczeństwu. Nawet mała Ara to wiedziała. Myślisz, że jesteś demonem, ale tak nie jest. Ty nas chronisz przed demonami. Jesteś obrońcą, Gabe. Moim obrońcą.

– Dziękuję ci – mówi cicho.

Kiwam głową i przez dłuższą chwilę po prostu siedzimy w milczeniu.

Wreszcie zbieramy się z podłogi i wypijamy butelkę wina, ciesząc się swoją obecnością. Potem idziemy do łóżka.

Leżymy w ciemności, wyczerpani emocjonalnie i zmęczeni, gdy Gabriel nagle się odzywa:

– Ostatnio dużo o czymś myślałem. Nie chcę tak po prostu jechać do Hartford.

Na te słowa zamieram.

– Nie chcesz? – udaje mi się wydusić.

– Nie. Tyle razem przeszliśmy, Maddy. Byliśmy razem w piekle i udało nam się wrócić. Nie chcę jechać do Hartford z tobą jako moją dziewczyną. Chcę się tam przeprowadzić z tobą jako moją żoną.

Wpatruję się w niego w ciemności, moja ręka bezwładnie leży na jego piersi.

– Naprawdę? – Mój głos to zaledwie cichy szept.

– Tak – odpowiada z powagą. – Maddy, wiem, że pewnie boisz się małżeństwa ze względu na nieudany związek twoich rodziców. Ale mogę ci obiecać, że nasze małżeństwo będzie tak różne od ich małżeństwa, jak dzień od nocy. Będę cię kochał każdego dnia swojego życia. Jeśli ktokolwiek będzie chciał cię skrzywdzić, najpierw będzie musiał się zmierzyć ze mną. Strach jest wyborem, Maddy. Nie bój się tego. Wyjdź za mnie. Proszę.

Odpowiadam natychmiast. Nie muszę się nad tym zastanawiać.

– Tak – mówię bez tchu. – Chcę za ciebie wyjść.

– Dzięki Bogu! – mruczy, przyciągając mnie do siebie. – Nie miałem pojęcia, jakich jeszcze argumentów mógłbym użyć, gdybyś się nie zgodziła.

Śmieję się, gładząc jego twarz, podbródek i szyję.

– Naprawdę ci nie przeszkadza, że przeniesiemy się do Hartford? – pytam chyba setny raz

w tym tygodniu.

– Maddy, wszędzie bym za tobą pojechał.

– Nie zostawiaj mnie dziś, Gabe – szepczę. – Zostań ze mną całą noc.

Cały sztywnieje na tę myśl, ale po chwili rozluźnia się i wreszcie kiwa głową.

Jego słowa sprawiają, że przeszywa mnie dreszcz.

– Może już czas na to. Nie możemy się pobrać, jeśli nawet nie możemy ze sobą sypiać, prawda?

Czuję cudowną ulgę.

– Zdecydowanie – zgadzam się. – Ale ślub bierzemy tak czy siak!

Gabe cicho się śmieje, a ja powoli zapadam w sen, rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa i miłością, które otaczają mnie, kiedy jestem w jego ramionach.

Noc miją spokojnie.

Kiedy budzi mnie poranne słońce, odwracam się w stronę Gabe'a i widzę, że mi się przygląda. Jego ciemne oczy są zamyślane.

– Miałeś jakiś sen? – pytam.

Uśmiecha się szeroko tym swoim leniwym uśmiechem, który zaczyna się na ustach, a potem rozciąga się na oczy.

– Ani śladu koszmarów! Może wreszcie skopałem tyłek tym demonom.

Wyciągam ręce w jego stronę i przyciągam go do siebie. Jedno jest pewne, ten facet jest moim osobistym bohaterem.

Kiedy patrzę w jego oczy i widzę czekające tam na mnie obietnice, przychodzi mi do głowy kolejna życiowa prawda.

Strach naprawdę jest wyborem.

A my oboje zmierzaliśmy się z naszymi demonami i wygraliśmy.

Już nie musimy się niczego bać.

Epilog

Rok później Arlington, Wirginia

GABRIEL

Rzędy białych nagrobków wydają się ciągnąć w nieskończoność na cichym cmentarzu. Ale teraz liczy się tylko jeden z nich.

Ten, przed którym stoję.

Marshall Elijah Crane.

Szalony Pies.

Brand przyklęka na jedno kolano i ściera cienką warstwę pyłu pokrywająca nagrobek. Oczywiście nie jest na nim wyryte „Szalony Pies”. Proste drukowane litery układają się w jego pełne imię i nazwisko i podają jego stopień. Nic więcej o nim nie mówią.

Z nagrobka nikt się nie dowie, że był cholernie zabawny, piekielnie lojalny i że nawet kiedy był śmiertelnie przerażony, zawsze zachowywał się honorowo.

Ale tego nie ma na nagrobku.

– Hej, stary! – Brand wita się z nim cicho. – Jak tam twoje jaja?

Wywracam oczami, a Madison częstuje go kuksańcem w zębra.

– No co? – Brand robi niewinną minę. – Nie będę się inaczej do niego zwracał tylko dlatego, że umarł.

Wyciągam rękę do Maddy, a ona podaje mi pudełko.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, co zrobiłeś? – pyta miękko. – Dlaczego dowiedziałam się dopiero, kiedy dali ci ten medal?

– Nie przejmuj się – wtrąca się Jacey. – Też nic nie wiedziałam. Nie wierzę, że mi nie powiedział!

Potrząsam głową.

– To nie było istotne.

Brand parska krótkim, gorzkim śmiechem.

– Dla mnie było!

Patrzę na niego i nagle zamiast wysokiego, dumnego mężczyzny, jakim jest teraz, widzę go zakrwawionego i nieprzytomnego. Jego noga była całkowicie rozszarpana, a ja nie miałem pojęcia, czy coś nam jeszcze grozi. Zrobiłem więc jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić.

Zarzuciłem go na plecy i ruszyłem naprzód.

– Twój mąż niósł mnie przez trzy i pół kilometra – mówi Brand do Maddy. – Kiedy nasz humvee wyleciał w powietrze, talibańscy rebelianci natychmiast zaatakowali, żeby zabić wszystkich, którzy ocaleli. Wyciągnął mnie z tego piekła i zaniósł w bezpieczne miejsce, przez wzgórze, piasek i dym. Zabiliby mnie, gdyby tego nie zrobił.

Maddy unosi brew i pochyla się w moją stronę.

– I aż do teraz nie uznałeś za stosowne, żeby o tym wspomnieć? Czulaś się jak idiotka, kiedy zadzwonili z Pentagonu, żeby cię zaprosić na ceremonię wręczenia medali. Mogłeś mnie chociaż uprzedzić.

Uśmiecham się.

– Nie wiedziałem, że to zrobią. Przepraszam.

– Dlaczego mieliby tego nie zrobić? – pyta, odgarniając włosy z twarzy. – Jesteś

bohaterem, Gabe. Wszyscy to wiedzą, tylko nie ty. Przez prawie rok skupiałeś się wyłącznie na tym, czego nie zrobiłeś tamtej nocy. A powinieneś się skoncentrować na tym, co zrobiłeś.

Patrzmy sobie w oczy.

– Wiem – odpowiadam po prostu.

Bo to wreszcie prawda. Wiem, że nie mogłem zapobiec temu, co się stało tamtej nocy. To nie była moja wina. Nie zawiodłem.

Dojście do tego trochę mi zajęło, ale wreszcie odnalazłem spokój.

Ponieważ rząd zwykle się nie spieszy, zadzwonili dopiero miesiąc temu. Postanowili uhonorować mnie i Branda medalami za tamtą noc. Branda Purpurowym Sercem, a mnie Medalem Honoru.

Medalem za wyjątkowy akt odwagi i męstwa z narażeniem życia, z przekroczeniem granic i ponad obowiązki. Właśnie tak ujął to prezydent, wkładając mi na szyję niebieską wstążkę.

Maddy i Jacey siedziały w pierwszym rzędzie i płakały.

Obok nich siedziała żona Szalonego Psa. Potrzebowała miesięcy, ale czas i list od Maddy sprawiły, że zrozumiała, że bez wahania oddałbym życie, aby ocalić Szalonego Psa.

Bo to prawda.

Niestety nie miałem szansy tego zrobić. Dlatego jestem dziś tutaj, żeby uczcić jego pamięć w jedyny możliwy sposób.

Kłękam i wieszam błękitną wstążkę na nagrobku.

– Tylko żeby ci nie uderzyło do głowy – ostrzegam go.

Oczywiście nie ma go tu, więc nie może mnie usłyszeć. Ale w tym pełnym uroczystej ciszy miejscu jego obecność wydaje się prawie realna. Mógłby stać za mną z butelką whisky Mad Dog w rękę i pękać ze śmiechu, że zostawiam swój medal umarłakowi.

Ale jest dobrze.

Miejsce tego medalu jest tutaj.

Muszę go tu zostawić, a razem z nim wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy. Nie chcę już o tym więcej myśleć.

– Jesteś pewien, że chcesz go tu zostawić? – pyta łagodnie Maddy.

Kiwam głową.

– Nie potrzebuję kawałka metalu, żeby wiedzieć, kim jestem.

Uśmiecha się, oszalałymi oczami piękna i pełna ciepła, a jej ręka wędruje na brzuch, po którym właśnie zaczyna być widać, że spodziewa się naszego dziecka.

– Dobrze się czujesz? – pytam. – Jest gorąco. Może napijesz się wody?

Śmieje się.

– Na razie czuję się dobrze, kochanie. Zapytaj mnie za kilka miesięcy. Teraz jest w porządku.

Brand obejmuje ją jednym ramieniem, a drugim otacza Jacey. Cała nasza czwórka stoi przez chwilę, wsłuchując się w ciszę i oddając cześć wszystkim poległym żołnierzom wokół nas. Wiem, że Brand myśli o tym samym co ja. Że to my mogliśmy tu leżeć.

– Jeśli to chłopiec, chciałbym, żeby miał na imię Elijah – mówię do Maddy. – Zgadzasz się?

Jej oczy zachodzą łzami.

– Pod warunkiem, że na drugie będzie miał Gabriel.

Robi mi się ciepło na sercu.

– Umowa stoi – udaje mi się wykrztusić.

– Może nie będziesz chciał o tym mówić – zwraca się do mnie łagodnie – ale nasz syn się

dowie, że jesteś bohaterem.

Bierze mnie pod ramię, a ja myślę o słowach pod jej palcami. „Śmierć przed hańbą”.

Szalony Pies nie żyje, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Umarł z honorem. Tak samo jak Ara Sahar i wszystkie te kobiety i dzieci. Ale ja ciągle żyję. Więc mogę zrobić tylko jedno. Życ dla nich.

Życ z honorem.

– Gotowy? – pyta Brand, zerkając na mnie.

Kiwam głową.

Wreszcie jestem gotowy.

Odchodzimy, pozostawiając przeszłość tam, gdzie jej miejsce – za nami.

Od autorki

Od kiedy zaczęłam pisać tę książkę, mniej więcej 3460 Medali Honoru Kongresu zostało przyznanych żołnierzom armii amerykańskiej za wyjątkowe akty odwagi i męstwa.

Żołnierze odznaczeni medalem zasługują na najwyższe uznanie.

Tak jak tysiące amerykańskich żołnierzy służących zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i stacjonujących na całym świecie.

Podobnie żołnierze, którzy brali udział w działaniach wojennych i wrócili do kraju z zespołem stresu pourazowego, często w stopniu uniemożliwiającym normalne funkcjonowanie. Według statystyk, w 2012 roku więcej żołnierzy straciło życie przez samobójstwo (mniej więcej jeden na dzień) niż na polu bitwy. Te dane są szokujące.

I bolesne.

Żołnierze stawiają czoła rzeczom, którym my nie chcemy stawiać czoła, a przede wszystkim nie musimy stawiać czoła, bo oni to robią za nas. Ale właśnie dlatego, że mierzą się z najtrudniejszymi sprawami i zagląдают śmierci w oczy, wracają do domu wewnętrznie okaleczeni.

Nie powinniśmy o tym zapominać. Nie powinniśmy zapominać o nich.

Istnieje wiele stron internetowych i grup wsparcia, które zajmują się niesieniem pomocy rannym żołnierzom i żołnierzom z zespołem stresu pourazowego. Jeśli chcecie się zaangażować w szczytny cel, gorąco polecam zainteresowanie się tym tematem. Możecie zacząć od strony www.woundedwarriorproject.org, gdzie opisane są sposoby pomocy weteranom.

W moim sercu jest specjalne miejsce dla żołnierzy, dlatego między innymi powstała ta książka.

Zanim opuściłam świat korporacji, żeby zająć się tym, o czym zawsze marzyłam, czyli pisaniem książek, miałam zaszczyt pracować z zespołem byłych oficerów i żołnierzy. Każdy z nich był uosobieniem cech, do których wszyscy powinniśmy aspirować.

Honor, godność, lojalność, odwaga, dyscyplina. Właśnie oni pokazali mi, jak niezwykle ludźmi są żołnierze.

Warto wspomnieć, że mój dziadek służył w armii podczas II wojny światowej. Babcia opowiadała mi, że przez całe miesiące nie miała od niego żadnych wieści (poczta bardzo wolno działała), ale kiedy poszła do kina, w kronice zobaczyła żołnierzy wsiadających na statek mający ich zawieźć za ocean. Jednym z nich był mój dziadek. Babcia mówiła: „Wiedziałam, że to on. Nikt inny nie chodził w taki sposób jak Olen”.

Ci chłopcy wsiedli na statek, żeby walczyć przeciwko nieznanemu wrogowi w wojnie, której groza była nieporównywalna z niczym, co wcześniej widzieli. Walczyli z honorem. Walczyli z godnością. Wszyscy osobiście się przekonali, że strach jest wyborem. Zmierzyli się ze strachem, aby ludzie w kraju nie musieli tego robić. Gdy o tym myślę, przechodzi mnie dreszcz.

Mój dziadek, już niestety nieżyjący, uosabiał każdą z cech, które wymieniłam powyżej. Miał w sobie godność, siłę i odwagę. Nigdy nie opowiadał o tym, co mu się zdarzyło w czasie wojny, ponieważ większość mężczyzn z jego pokolenia o tym nie mówiła. Były to rzeczy zbyt straszne, żeby o nich opowiadać.

Jednak czasy się zmieniły i teraz żołnierze są zachęcani do opowiadania o tym, co ich spotkało. Są zachęcani, żeby stawić czoła swoim wewnętrznym demonom, które ich opętały, kiedy pełnili służbę.

Demonom, które ich opętały, kiedy chronili nas przed wrogiem.

Tak książka jest moim hołdem dla każdego z nich. Ma przypominać, że żołnierze walczą

za rzeczy, które dla nas są oczywiste. Walczą, żebyśmy mogli spokojnie spać w nocy. Chronią nas przed zagrożeniami, które by nam odebrały spokojny sen. Służą z honorem, żebyśmy się cieszyli wolnością.

Wszyscy są bohaterami i nigdy o nich nie zapomnę.
Mam nadzieję, że Wy również.

Podziękowania

Pisząc tę książkę, sporo czasu spędziłam zamknięta w swoim gabinecie. Dziękuję więc rodzinie, że ze mną wytrzymała. Dziękuję, że nie narzekaliście, że musicie jeść na mieście, i że się ze mnie nie nabijaliście (przynajmniej nie za bardzo), kiedy zapomniałam się umyć, zjeść albo kiedy straciłam poczucie czasu. To prawdziwe błogosławieństwo, że tak mnie wspieracie. Bardzo Was kocham.

Amy Pierpont, mojej odlotowej redaktorce serii „Na zawsze”. O mój Boże, nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła w trakcie pisania tej książki! Dziękuję, że byłaś taka cierpliwa, kiedy cztery razy zmieniała mi się koncepcja i że nie chciałaś mnie zabić za każdym razem, kiedy coś dodawałam. Dziękuję, że jesteś taka cudowna i dziękuję za Twoje cenne rady.

Emerytowanemu podpułkownikowi Gerrittowi Peckowi i żołnierzowi zawodowemu Desiree'owi DeCoteau. Dziękuję Wam obojgu za odpowiadanie na moje pytania dotyczące życia na misji w Afganistanie. Wiem, że jesteście bardzo zajęci, więc wiele dla mnie znaczyło, że zechcieliście poświęcić swój cenny czas, żeby odpowiedzieć na moje pytania. Jesteście bohaterami.

Mojej najlepszej przyjaciółce i kumpelce do zadań specjalnych M. Leighton. Składam jej podziękowania w każdej książce, bo praktycznie trzyma mnie za rękę, kiedy piszę. Jeśli mam problem albo pytanie, jeśli utknęłam, mam doła, nie jestem czegoś pewna, dzwonię do M. Potrafi mnie natychmiast uspokoić albo rzuca to, czym się akurat zajmuje, czyta newralgiczny fragment i udziela mi cennych rad. Jest niesamowita! Mam nadzieję, że pewnego dnia będziemy mieszkać w tym samym miejscu – będziemy sąsiadkami, których piwniczki z winem do siebie przylegają.

Mojej agentce marzeń, Catherine Drayton. Jesteś cudowna i czasami nadal jestem w szoku, kiedy widzę Twoje nazwisko w swojej skrzynce odbiorczej albo na telefonie. Dziękuję, że dałaś szansę skromnej dziewczynie ze wsi!

Mojej utalentowanej i niezwyklej ekipie zajmującej się PR-em i marketingiem – Kelly Sinmmon z Inkslinger PR i niezwykle dziewczynom z Hachette: Jessice, Marissie, Jane i Tanishie. Jesteście najlepsze!

Oraz blogerom i czytelnikom, którzy czytają moje książki. Każdy z Was jest cudowny! Każdego z Was doceniam bardziej, niż jesteście to sobie w stanie wyobrazić. Bardzo dziękuję za to, co robicie – za czytanie moich książek, pisanie komentarzy na Facebooku, pisanie do mnie wiadomości i twittowanie. To dla Was robię to, co robię, i za to jestem Wam nieskończenie wdzięczna!